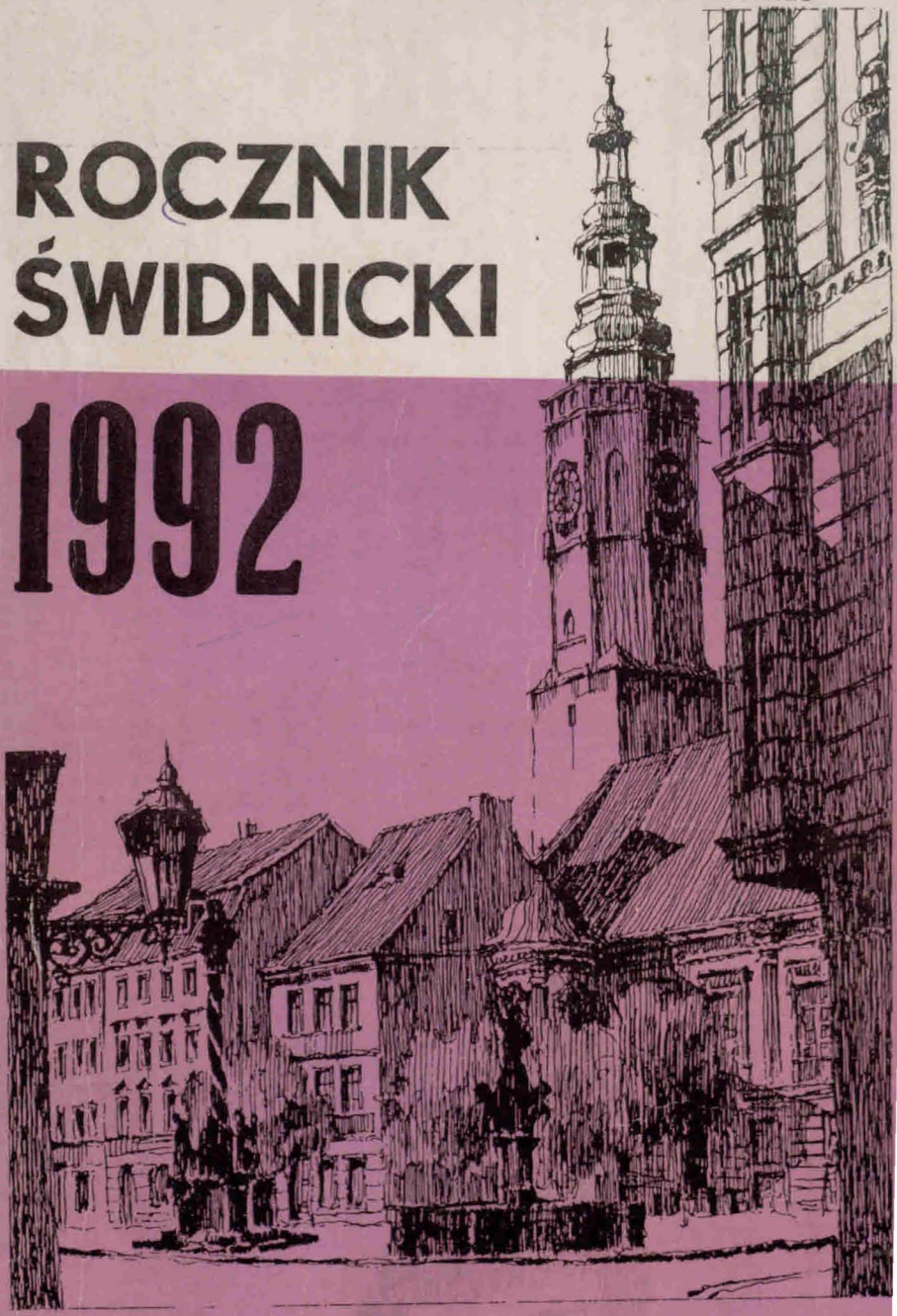
TOWARZYSTWO REGIONALNE ZIEMI ŚWIDNICKIEJ

ROCZNIK ŚWIDNICKI

1992



TOWARZYSTWO REGIONALNE ZIEMI ŚWIDNICKIEJ

ROCZNIK ŚWIDNICKI 1992

ŚWIDNICA

KOMITET REDAKCYJNY
Krystyna Bartela, Franciszek Jarzyna, Stanisław August Kawczak, Janina Kocemba, Stanisław Kotełko, Danuta Sajdak, Andrzej Scheer, Irena Szuba

ZDJĘCIA — dostarczone przez autorów prac

OPRACOWANIE TECHNICZNE — Władysław Lange

KOREKTA — Stanisław August Kawczak, Janina Kocemba

Na okładce: Rysunek Waldemara Skórskiego
z cyklu „Świdnica w grafice"

MUZEUM ŚWIDNICA BIBLIOTEKA

CENA 40 000 zł

DZG 2713-1-4-0515 500 05 93

SPIS TREŚCI

Stanisław Kotełko
Świdnica w średniowieczu (od początków miasta do r. 1526) . . 5

Ryszard Len
Twórcy najstarszego planu Świdnicy 44

Zdzisław Lec
Siostry Elżbietanki w Świdnicy i okolicy 54

Zarys życia klasztornego w Świdnicy 63

Marcin Wodziński
Średniowieczne macewy ze Świdnicy 76

Ks. prałat Stanisław Marchewka
Wspomnienia z pobytu w Świdnicy i w więzieniu w latach 1946—1952 85

Ireneusz Pałac
Działalność NSZZ „Solidarność" w Świdnicy (część II) 137

Irena Kozłowska
Wspomnienia świdniczanki z roku 1944 154

Danuta Sajdak
Kronika. Rok 1991 216

Stanisław Kotełko

ŚWIDNICA W ŚREDNIOWIECZU
(od początków miasta do r. 1526)

I. Powstanie miasta oraz etapy jego rozwoju w dobie średniowiecza

Zaludnienie Dolnego Śląska było znaczne już w I tysiącleciu ne. Do XII w. jednak osadnictwo skupiało się głównie na Nizinie Śląskiej oraz Przedgórzu Sudeckim. Tutaj też najwcześniej zostały wytrzebione kompleksy leśne ustępując miejsca polom uprawnym. Sprzyjały temu warunki naturalne: łagodny klimat i żyzne gleby. Obszary Podgórza i samych Sudetów zostały zasiedlone, nie licząc kotlin śródgórskich, dopiero w dobie kolonizacji.

Do w. X osadnictwo skupiało się szczególnie w dolinie Odry oraz dorzeczach: Baryczy, dolnego Bobru, Kaczawy, Ślęży, Oławy i dolnej Bystrzycy. Tu właśnie, na pograniczu obszaru zwartego osadnictwa i jeszcze słabo zaludnionych terenów Podgórza, powstała pierwsza osada w miejscu dzisiejszej Świdnicy. Czas jej powstania określić trudno. Badania archeologiczne wykazują ciągłość osadnictwa prasłowiańskiego na tym terenie już od okresu kultury łużyckiej (przełom epoki brązu i żelaza). Pierwotna osada, w miejscu dzisiejszej Świdnicy, znajdowała się na lewym brzegu Bystrzycy, w rejonie dzisiejszego placu Drzymały i ul. Piekarskiej. Jej charakter był zapewne rolniczy, być może też rybacki. Położenie jej na tzw. drodze podsudeckiej, ważnym trakcie handlowym, spowodowało prawdopodobnie przekształcenie się w w. XI—XII osady rolniczej w handlową o charakterze targowym, zwłaszcza, że w tym okresie powstała nowa droga, prowadząca z Wrocławia do Czech doliną Bystrzycy, wprawdzie o znaczeniu tylko lokalnym, ale zapewne dość ruchliwa. Świdnica znalazła się zatem na skrzyżowaniu wzmiankowanych szlaków, co musiało odbić się na jej rozwoju. Nowy charakter osady spowodował zmianę w jej lokalizacji. Odsunęła się wyraźnie od rzeki, a jej centrum znalazło się w okolicy dzisiejszego kościoła parafialnego pod wezwaniem św. św. Stanisława i Wacława. W miejscu tym wzniesiono zresztą już wówczas pierwszy, później zniszczony kościół, który występuje w źródłach jako parafialny już w 1239 r. Ta przedlo-

kacyjna osada została następnie wchłonięta przez miasto lokacyjne, założone w 2 poł. XIII r., wyznaczające kształt dzisiejszej zabudowy staromiejskiej. O tym, że centrum przedlokacyjnej osady nie było identyczne z centrum późniejszego miasta świadczy m. in. fakt, że kościół i klasztor franciszkanów, ufundowany ok. r. 1220, zlokalizowany w bezpośrednim sąsiedztwie obecnego Rynku, zwany podówczas „... w lesie".

Miasto polokacyjne prezentuje układ urbanistyczny typowy dla Śląska. Rynek, pierwotnie wydłużony na osi wschód-zachód, później skrócony, regularny układ ulic, zakłócony jednak od strony wschodniej przez wchłoniętą osadę przedlokacyjną, obwarowania — dają obraz typowy dla średniowiecznych miast śląskich. Poza obrębem nowego miasta pozostał teren najwcześniejszej osady, na którym, z czasem, powstało tzw. Nowe Miasto, tworzące wraz z Przedmieściem Piotrowym (na pn. od miasta) i Przedmieściem Strzegomskim (pn.-zach.) najznaczniejsze kompleksy zabudowy poza murami.

Widać więc wyraźnie, że Świdnica, w miarę przekształcania się w ośrodek rzemieślniczo-handlowy, odsuwała się stopniowo od rzeki, przemieszczając się wzdłuż głównego traktu handlowego w kierunku północno-zachodnim.

Niejasne jest pochodzenie nazwy miasta. W najstarszych dokumentach występuje jako: Zuidnitza, Svidnica, Suidnica, Swidnicz, a później, w wersji niemieckiej — Schweidnitz. Nie ulega wątpliwości, że geneza nazwy Świdnica jest taka sama jak nazwy typu Świdnik, Świdwin oraz nazwisko Świda. Wspólny ich człon podstawowy pochodzi zapewne od prasłowiańskiego rdzenia „swaid" — często występującego w nazwach związanych z wodą, a oznaczających wilgoć lub coś mokrego, bądź „świd", „świdny" — o znaczeniu wilgotny lub niedojrzały. Może też być brany pod uwagę wyraz „świdwa", oznaczający dereń, krzew o jadalnych owocach (cornus sanguinea ilex). Jednoznaczne określenie genezy możliwe nie jest. Niemiecka próba wyprowadzenia genezy nazwy od świni (dzika) jest zwykłym nieporozumieniem językowym. Dzik, występujący na pieczęci ławniczej miasta z r. 1335, a także w późniejszym herbie miasta, jest elementem najprawdopodobniej wtórnym, mającym uzasadnić powyższą interpretację nazwy.

Pierwotny, piastowski herb miasta to czerwony, kroczący gryf na srebrnym polu. Widnieje on na najstarszej znanej pieczęci miejskiej z r. 1284. W r. 1452 król czeski, Władysław Pogrobowiec, nadał miastu herb używany aż do r. 1966. Na czteropolowej tarczy widniały: w prawym górnym polu czerwony gryf na srebrnym tle, w lewym dolnym — czarny dzik również na tle srebrnym. Nato-

miast w lewym górnym i prawym dolnym znalazły się dwie identyczne korony na tle czarnym. W r. 1966, w okresie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, Miejska Rada Narodowa podjęła uchwałę o przywróceniu pierwotnego herbu piastowskiego.

Jak wyglądała średniowieczna Świdnica? Nie zachował się żaden wizerunek miasta sprzed w. XVII. Najstarszy plan rysunkowy pochodzi dopiero z r. 1623. Tym nie mniej ukazany na nim zarys miasta, rozmieszczenie głównych budowli, układ ulic są w zasadzie takie same, jak w poprzednich stuleciach.

Miasto obejmowało obszar znaczny jak na owe czasy, ograniczony dzisiejszymi ulicami: Niepodległości, Wrocławską (do ul. 1 Maja), Konopnickiej, Zamkową i Żeromskiego. Fakt ten stanie się zrozumiały, gdy zestawimy porównawczo liczbę ludności największych miast polskich w średniowieczu, stwierdzając, że Świdnica, licząca w w. XV—XVI szacunkowo ok. 16 tys. mieszkańców, ustępowała nieznacznie pod tym względem Wrocławiowi czy Krakowowi, a przewyższała znacznie takie ośrodki jak Poznań, Gdańsk, Lwów czy Lublin.

Centrum miasta stanowił rynek. Z jego czterech naroży wybiegały usytuowane do siebie pod kątem prostym ulice: z zachodniego Łucznicza (dziś Łukowa) i Kotlarska, z północnego Zamkowa (dziś Grodzka) i Szczytnicka (dziś Franciszkańska). z wschodniego Wysoka (dziś Pułaskiego) i Piotrowa (dziś Bohaterów Getta), z południowego Długa i Kraszewicka (dziś Trybunalska). W przypadku dwu ostatnich naroży nastąpiło zakłócenie regularności, wynikłe ze skrócenia dawnego rynku, skutkiem czego ulice Bohaterów Getta i Trybunalska wybiegają dziś nie z Rynku, ale z ul. Pułaskiego i Długiej i są połączone w jeden ciąg równoległą do wschodniej pierzei Rynku ulicą Środkową, dawniej nie istniejącą. Również zakłócony jest od strony wschodniej równoległy bieg ulic Pułaskiego i Długiej, wynikający stąd, że ulica Długa musiała ominąć wzmiankowane już centrum osady przedlokacyjnej wraz z kościołem parafialnym.

Poza tymi głównymi ulicami miasto posiada jeszcze 3 dodatkowe ciągi ulic na osi wschód—zachód. Były to w ciągu południowym ulice: Rzeźnicza (dziś Spółdzielcza) mm. placem przy kościele parafialnym a ul. Kraszewicką, Białych Mnichów (dziś Różana) — zwana tak od habitów dominikanów, których klasztor wznosił się na terenie obecnego więzienia i Żydowska (dziś Budowlana), zwana też Garncarską, między ulicą Łuczniczą i murami miejskimi w rejonie obecnej ul. Żeromskiego. Od strony północnej istniały dwa ciągi, z których bliższy Rynku i ul. Wysokiej był prawdopodobnie starszy i obejmował — idąc od wschodu — ulice: Tkaczy,

od r. 1390 zwaną Bednarską (dziś Teatralna) — od linii murów do ul. Piotrowej, i ul. Mniszek (dziś Siostrzana) — od ul. Piotrowej do Szczytnickiej. Drugi ciąg ulic, bliżej murów, obejmował: ul. Tkaczy (późniejszą), zwaną też Poszewników (dziś Przechodnia) — od ul. Mennickiej do Piotrowej i Rycerską (dziś Pańska), zwaną tak od mieszczących się tu rezydencji okolicznego rycerstwa — od ul. Piotrowej do Szczytnickiej. Przy tej ostatniej ulicy znajdowały się m.in.: dom opatów krzeszowskich a także stajnie miejskie, później przeniesione na ul. Żydowską. W kierunku południe-północ przebiegał tylko jeden dodatkowy ciąg ulic od placu przy kościele parafialnym do ul. Tkaczy. Do ul. Wysokiej nosił on nazwę ul. Kościelnej, dalej — Menniczej. Krótka uliczka równoległa do ul. Kościelnej (dziś od ul. Pułaskiego przegrodzona blokiem mieszkalnym), a łącząca tylko ul. Długą z Wysoką, nosiła nazwę Kościelnej Dalszej (dziś Daleka).

Środkową część placu rynkowego zajmował ratusz. Początkowo jego rolę spełniał tzw. dom kupiecki („theatrum mercatorum"), budynek handlowy i siedziba bogatego kupiectwa. Pierwsza wzmianka o tym domu pochodzi z r. 1291. W tymże roku Bolko I wydaje przywilej zezwalający na budowę 32 kramów kupieckich. Nieznana jest data budowy pierwszego, właściwego ratusza. Należy przyjąć, że powstał on, jako wyodrębniona siedziba władz miejskich w 1 poł. XIV w. Pierwotny ratusz był zapewne murowany, znajdowało się w nim, obok siedziby władz miejskich, także więzienie, podobnie jak w wieży Bramy Szczytnickiej. W podziemiach ratusza znajdowała się piwnica, w której obok słynnego piwa świdnickiego szynkowano także piwa: wrocławskie i strzegomskie. Z zachodnią fasadą ratusza sąsiadował budynek wagi miejskiej i pręgierz. Rynek stanowił centrum handlowe miasta. Tu mieli swe domy bogaci kupcy, tu wznoszono kramy, tu wreszcie odbywały się targi. Rzemieślnicy, którzy nie mogli równać się z kupieckim patrycjatem ani pod względem majątkowym ani prestiżowym, zostali wyparci na dalsze, boczne ulice.

Dom handlowy, ratusz i duże skupisko kramów wytworzyły spory blok śródrynkowy, który spowodował wydzielenie się po każdej stronie rynku niewielkiego placu targowego. Place te otrzymały z czasem nazwy związane ze swym przeznaczeniem. Były to: od strony północnej, między ul. Szczytnicką i Piotrową — „podcienia solne", od strony wschodniej, między ulicami Wysoką i Długą — „podcienia warzywne", od strony południowej, między ulicami Kraszewicką a Łuczniczą — „podcienia zbożowe", wreszcie od zachodu, między ulicami Kotlarską a Zamkową — „podcienia chmielowe". Ponieważ średniowieczna zabudowa Rynku, jak

zresztą prawie całe miasto, nie zachowała się, można dzięki tym nazwom stwierdzić, że domy w średniowiecznym Rynku miały podcienia tak charakterystyczne dla wielu miast śląskich, nie zrekonstruowane przy przebudowie barokowej.

W mieście średniowiecznym najbardziej reprezentatywnymi budowlami były kościoły. Świdnica posiadała ich kilka. Najznaczniejszy był kościół parafialny śś. Stanisława i Wacława, ufundowany przez ks. Bolka II wespół z bogatym mieszczaństwem. Wg. tradycji kamień węgielny pod jego budowę położył sam książę w roku 1330. Prace trwały prawie 200 lat — do r. 1525, dając w efekcie monumentalną budowlę sakralną w stylu gotyckim, jedną z najpotężniejszych na Śląsku. Jak wspomniano — na miejscu nowego kościoła istniał wcześniejszy, wzniesiony na początku w. XIII a może nawet w w. XII.

Prócz kościoła parafialnego istniały w mieście: przyklasztorny kościół Franciszkanów pod wezwaniem Panny Marii — między dzisiejszymi ulicami Franciszkańską i Konopnickiej (z jego fundacją wiąże się najstarsza zachowana wzmianka o mieście) oraz kościół dominikanów pod wezwaniem św. Krzyża — między obecnymi ulicami Różaną i Niepodległości, w miejscu późniejszego więzienia. Poza murami wznosiły się dwa dalsze kościoły: św. Mikołaja, prawdopodobnie cmentarny, w okolicy dzisiejszego pl. Wojska Polskiego oraz przyszpitalny, należący do krzyżowców z Czerwoną Gwiazdą, także pod wezwaniem św. Krzyża, za Bramą Dolną, przy dzisiejszej ul. Westerplatte. Tylko ten ostanti, obok farnego, dochował się do naszych czasów, zresztą w późniejszej, barokowej postaci. Pozostałe uległy zniszczeniu. Odrębne miejsce zajmuje gotycki kościółek św. Barbary, pierwotnie kaplica przybramna, zbudowany w w. XV a zamieniony w pocz. XIX w. na magazyn. Obecnie, wraz z przyległą basteją Bramy Strzegomskiej zaadaptowany został na klub NOT. Aktualnie istniejące kościoły: Pokoju, św. Józefa oraz św. Antoniego (obecnie zielonoświątkowy), pochodzą z okresu późniejszego. Na wzmiankę zasługuje też synagoga żydowska, zlokalizowana w środku bloku mieszkalnego, ograniczonego dzisiejszymi ulicami: Kotlarską, Zamkową, Grodzką i zachodnią pierzeją Rynku. Pierwszą wzmiankę o niej spotykamy w r. 1379. W wyniku ekscesów antyżydowskich, rozpalonych na Śląsku w połowie XV w. przez Jana Kapistrana, została ona w r. 1454 na mocy dokumentu, wystawionego przez króla Władysława Pogrobowca, skasowana i zamieniona na kościół Bożego Ciała, zniszczony w czasie wojny siedmioletniej.

Poza murami znajdował się zamek książęcy, związany z systemem fortyfikacyjnym miasta. Jego położenie wyznaczają obecne

ulice: Zamkowa, Komunardów, Muzealna i skwer od strony ulicy Żeromskiego. Nie zachował się jego wizerunek ani opis. Pierwsza wzmianka o zamku książęcym pochodzi z roku 1326. Był on najpierw rezydencją książąt, później królewskiego starosty. Na początku XVI w. przez krótki czas mieściła się w nim mennica. Zniszczony na skutek pożaru w r. 1528 popadł w ruinę. Częściowo odbudowany w tym samym stuleciu został ostatecznie zniszczony przez kolejny pożar w r. 1673. Na jego miejscu wzniesiono w następnym stuleciu kościół i klasztor kapucynów.

Trudno powiedzieć, jak wyglądała średniowieczna zabudowa typu mieszkalnego. Częste pożary i wojny zniszczyły ją całkowicie, obecna nie sięga poza wiek XVII. Należy sądzić, że nie różniła się od zabudowy innych miast śląskich. Do XIV w. była zapewne drewniana, dopiero od momentu upowszechnienia się domu szczytowego w kompleksie zwartej zabudowy — murowana. Wiemy np., że Bolko II wydał w r. 1362 polecenie budowy domów murowanych, przynajmniej w dolnej kondygnacji, w celu lepszego zabezpieczenia przed pożarami. Zabudowa w pełni murowana upowszechniła się jednak chyba nie wcześniej jak w XVI w.

Świdnica była miastem silnie obwarowanym. Już przedlokacyjna osada targowa była prawdopodobnie otoczona umocnieniami izbicowo-ziemnymi. Mury miejskie zaczęto wznosić przy końcu XIII w., kontynuowano ich budowę i rozbudowę przez cały w. XIV i XV. Podstawowym budulcem był łamany kamień spajany zaprawą wapienną. Plan miasta z r. 1623 ukazuje potrójną linię murów, wzmocnionych bastejami, otoczonych suchą fosą. Wjazd do miasta umożliwiały bramy: Dolna (u zbiegu ulic Wysokiej i Długiej, przy obecnym pl. Wolności), Piotrowa (przy wylocie dzisiejszej ul. Bohaterów Getta na ul. Konopnickiej), Szczytnicka (u wylotu dzisiejszej ul. Franciszkańskiej na ul. Konopnickiej przy pl. Małgorzaty), Strzegomska (u wylotu obecnej ul. Grodzkiej, obok zachowanej bastei), Łucznicza (przy wylocie dzisiejszej ul. Łukowej na pl. Grunwaldzki), Kraszewicka (u wylotu obecnej ul. Trybunalskiej na ul. Niepodległości). Prócz tego istniała tzw. Furta Szkolna, przeznaczona wyłącznie dla pieszych, umożliwiająca pozamiejskim uczniom dojście do szkoły parafialnej przy kościele farnym od strony zach. części Nowego Miasta. Każda brama była zwieńczona obronną basztą. Przy każdej też znajdowała się kaplica, poświęcona patronowi danej bramy. I tak: przy bramie Dolnej — św. Wawrzyńca, Piotrowej — św. Piotra, Szczytnickiej — św. Wolfganga, Strzegomskiej — św. Barbary, Łuczniczej — św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewagelisty, Kraszewickiej — św.

Małgorzaty. Przy Furcie Szkolnej zbudowano dopiero w r. 1501 kaplicę św. Anny.

II. Od monarchi pierwszych Piastów do przejścia pod panowanie habsburskie (1526 r.)

Pomimo że osadnictwo w rejonie dzisiejszej Świdnicy można uznać za bardzo dawne, z pierwszymi dokumentami zawierającymi jej nazwę spotykamy się stosunkowo późno. Pierwsza, znana wzmianka pochodzi z r. 1226 i wiąże się z nieco wcześniejszą fundacją klasztoru i kościoła franciszkanów, drugiego, obok już istniejącego parafialnego. Fundatorami byli: Stefan, komes z Wierzbnej i jego trzej synowie — Andrzej, Stefan i Franciszek. Do połowy ostatniego dziesięciolecia XIII w. Świdnica należała do księstwa wrocławskiego. Jej okolice były w tym czasie zaludnione gęsto, wsie noszą nazwy polskie, takie jak: Kleczków, Kraszewice, Wierzbna, Zebrzydów, Mysłaków, Ciernie, Wiry i in. Jak już wspomniano, spełniała w tym okresie funkcje przede wszystkim gospodarcze, o czym świadczy kilka przywilejów ekonomicznych, nadanych Świdnicy przez książąt wrocławskich, szczególnie Henryka IV (prawo szrotu — 1278, prawo mili — 1285). Nie odgrywała natomiast prawdopodobnie większej roli politycznej, chociaż była zapewne siedzibą kasztelanii, podobnie jak sąsiedni Strzegom czy Kromolin (dzisiejsza wieś Grodziszcze). Nie wiemy, kiedy Świdnica otrzymała przywilej lokacyjny. Stało się to ok. połowy XIII w. Rozwój miasta musiał być jednak szybki, skoro po podziale księstwa wrocławskiego, w wyniku bezpotomnej śmierci Henryka IV, tu właśnie zlokalizowano stolicę nowego księstwa, co spowodowało jeszcze szybszy wzrost miasta i jego polityczno-gospodarczego znaczenia.

Wyżej wzmiankowana śmierć księcia wrocławskiego, Henryka IV, zwanego Prawym (1290), przekreśliła ostatecznie koncepcję zjednoczenia ziem polskich w oparciu o Śląsk. Henryk głogowski, któremu, w wyniku zawartego wcześniej układu o przeżycie, Henryk IV przeznaczył księstwo wrocławskie, zaczął wprawdzie energicznie dochodzić swych praw, ale napotkał na zdecydowany opór mieszczaństwa wrocławskiego. Patrycjat wrocławski wezwał na tron Henryka V Grubego, księcia legnickiego, syna Bolesława Rogatki. Henryk V chcąc utrzymać się we Wrocławiu wezwał na pomoc swego brata, Bolka, księcia jaworskiego, odstępując mu w zamian południową część dotychczasowego księstwa wrocławskiego, od Strzegomia aż po Ziębice i Strzelin (1296) r.). W ten sposób powstało nowe księstwo świdnicko-jaworskie, które

odegrało w XIV stuleciu czołową rolę w życiu politycznym Śląska. Zasadniczo były to zresztą dwa odrębne księstwa, które na przestrzeni swego istnienia dwukrotnie łączyły się pod panowaniem jednego władcy.

Nie można mówić o losach tych księstw bez spojrzenia na sytuację polityczną Śląska a także dwu krajów ościennych — Polski i Czech. Królestwo czeskie osiąga na przełomie XIII i XIV w. szczyt swej potęgi pod rządami ostatnich Przemyślidów (do r. 1306) a następnie Luksemburgów. Stosunkowo wczesny rozwój gospodarki towarowej przyczynił się tu do zjednoczenia politycznego już w XIII w. Duża ekspansywność Wacława II (1278—1305) doprowadziła do przejściowego opanowania przez Przemyślidów tronu polskiego. Łokietek wprawdzie po śmierci Wacława III (1306) odzyskał Małopolskę z Krakowem, ale Śląska opanować już nie zdołał. Władcy czescy natomiast nadal rościli pretensje do tronu polskiego aż po ostateczne rozwiązanie tej kwestii w traktacie namysłowskim (1348). Ogólnie rzecz biorąc Polska w okresie powtórnego jednoczenia się była zbyt słaba, by z jednej strony nawiązać równorzędną walkę z potężną monarchią czeską, z drugiej — by skutecznie podporządkować sobie książąt i miejski patrycjat Śląska.

Na Śląsku po śmierci Henryka IV zaszły zmiany nieodwracalne. Jego testament, ustanawiający sukcesorami Henryka głogowskiego oraz Przemysława II nie miał szans realizacji, ponieważ nie uwzględniał wielu momentów ówczesnej sytuacji polityczno-gospodarczej, a szczególnie interesów zniemczonego mieszczaństwa Wrocławia i Krakowa. Stąd — zwrot patrycjatu wrocławskiego w kierunku Henryka V legnickiego, stąd usadowienie się w Krakowie, niechętnym Przemysławowi II, Wacława II. Rozdrobnienie Śląska, a co za tym idzie jego osłabienie polityczne, osiągnęło szczyt w 1 poł. XIV w. Równocześnie rosła potęga miast śląskich. Właśnie w oparciu o miasta prowadzili zresztą w tym okresie działalność zjednoczeniową władcy zachodni. Być może, że proces taki próbował zapoczątkować Henryk IV. Inni śląscy Piastowicze takiej inicjatywy podjąć nie potrafili. Jedynie nieliczni (m. in. właśnie świdnicko-jaworscy) potrafili pozyskać mieszczaństwo dla swej polityki. W interesie mieszczaństwa leżało przezwyciężenie wielu barier celnych poprzez stworzenie ponaddzielnicowego organizmu państwowego, ale dominujący patrycjat niemiecki oglądał się raczej na silne, bogate Czechy, bliższe mu pod wieloma względami.

Agresja luksemburska na Śląsk w latach dwudziestych i trzydziestych XIV w. była zapewne swoistą reakcją na odnowienie państwa polskiego. W życiu politycznym tej dzielnicy był to

okres braku stabilizacji sytuacji wewnętrznej oraz polityki zagranicznej, zmienności orientacji, narastania wewnętrznych konfliktów. Część książąt w latach 1327—1335 przyjmuje bez oporu zwierzchnictwo czeskie, część, np. linia głogowska, broni swej niezależności zarówno wobec korony czeskiej jak i polskiej, choć formalnie przyznaje się do związków z Polską. W najlepszym razie stanowisko większości książąt wobec Polski można określić jako wyczekujące. Jedynie linia świdnicko-jaworska prezentuje zdecydowaną politykę współdziałania z Łokietkiem a później Kazimierzem Wielkim aż do r. 1348. Łokietek z kolei był zbyt słaby, by angażować swe siły w walce z potężnym, zachodnim sąsiadem, tym bardziej, że od północy zagrażali stale jego ziemiom Krzyżacy. Toteż po przejściowych sukcesach w r. 1323 zrezygnował ze zbrojnego dochodzenia swych praw na Śląsku.

Na tle ówczesnych stosunków śląskich wyodrębnia się, jak wspomniano, linia polityczna książąt świdnicko-jaworskich. Okres rządów Bolka I (od r. 1278 w Jaworze, od r. 1296 w nowo powstałym księstwie świdnickim) to czasy szybkiego rozwoju terytorialnego i ekonomicznego, a także wzrostu prestiżu obydwu księstw. Po śmierci brata, Henryka V, Bolko I został opiekunem jego małoletnich synów, a tym samym zapewnił sobie władzę zwierzchnią nad Wrocławiem, Legnicą i Brzegiem, czyli prawie całym Dolnym i Środkowym Śląskiem, poza dzielnicą głogowską. Centra gospodarcze księstwa stanowią wówczas: Świdnica, Jelenia Góra, Strzegom, Ziębice, Ząbkowice. Bolko I oparł się na miastach, zapewnił poparcie mieszczaństwa dla swej polityki, poprzez liczne lokacje i przywileje przyczynił się do wzrostu potęgi ekonomicznej połączonych księstw. Nawet w sporach feudałów świeckich czy duchownych z miastami udzielał poparcia tym ostatnim. Z drugiej strony był władcą energicznym, stanowczym, nie pozwalał na uszczuplanie swoich praw zwierzchnich, potrafił nawet upokorzyć potężny Wrocław. Z miast ściągał wysokie podatki — do 75% dochodów miejskich. Dzięki tym środkom mógł otoczyć zachodnią granicę swego księstwa łańcuchem potężnych, obronnych zamków. Bolko I nie liczył się z potęgą Wacława II przeciwstawiając się jego próbom ingerencji w sprawy Śląska. Umierając w r. 1301 pozostawił trzech małoletnich synów: Bernarda świdnickiego, Henryka jaworskiego i Bolka ziębickiego. Do uzyskania pełnoletności przez Bernarda, opiekę nad nimi sprawowali: matka, księżna Beatrycze i jej brat, margrabia miśnieński Herman. Od r. 1307 Bernard przejął opiekę nad młodszymi braćmi. Położenie synów Bolka I nie było łatwe. Ich dzielnice nie graniczyły z ziemiami zjednoczonej przez Łokietka Polski, natomiast na całej długości od

strony zachodniej stykały się z luksemburskimi Czechami. Bernard świdnicki ani jego bracia nie mieli ambicji w zakresie odgrywania wybitnej roli w polityce śląskiej czy ponaddzielnicowej, ale też zdecydowanie stali na stanowisku pełnej suwerenności i samodzielności politycznej. Mimo podziału dziedzictwa po ojcu na trzy księstwa, (świdnickie, jaworskie, ziębickie) prowadzili zbliżoną politykę, choć niekiedy lawirującą między pretensjami czeskimi, brandenburskimi czy cesarskimi. Byli też, a szczególnie Bernard, wiernymi sprzymierzeńcami Władysława Łokietka. Bernard pojął za żonę jego córkę, Kunegundę, siostrę Kazimierza Wielkiego i Elżbiety, żony Karola Roberta węgierskiego. Henryk z kolei poślubił Agnieszkę, córkę Wacława II i Reiczki Przemysławówny, przeciwniczki Luksemburgów. Wszyscy trzej ponadto oświadczają, że ich ziemie leżą w granicach Polski.

Gdy w r. 1323 Łokietek wyprawił się na Śląsk interweniując w sporze pomiędzy Bolkiem legnickim a Konradem oleśnickim, Bernard i Henryk opowiedzieli się po jego stronie, choć nie wzięli bezpośredniego udziału w działaniach zbrojnych. W rok później Bernard angażuje się w antyluksemburskiej koalicji, do której mieli także wejść obok Łokietka m. in. Bolesław legnicki i Konrad głogowski. Śmierć Bernarda w r. 1326 ułatwiła Janowi Luksemburczykowi w poważnym stopniu dalsze kroki w kierunku opanowania Śląska.

Bernard pozostawił syna, Bolka II, który w chwili śmierci ojca był prawdopodobnie małoletni, objął wszakże władzę od razu, nie ma bowiem żadnych śladów sprawowania przez kogokolwiek rządów w jego zastępstwie. Młody książę kontynuował wraz ze stryjem, Henrykiem jaworskim, zdecydowaną politykę antyluksemburską, czego wyrazem był fakt, że obydwaj, wraz z Przemkiem głogowskim, nie przyłączyli się do zdecydowanej większości książąt śląskich, którzy w latach 1327—1329 uznali zwierzchnictwo luksemburskie. Już w r. 1329 Bolko II pośredniczył w rokowaniach pomiędzy Władysławem Łokietkiem a królem Ludwikiem Wittelsbachem w sprawie rozejmu, uwalniającego wszystkie siły króla polskiego do walki z zagrożeniem krzyżackim. W r. 1331 zmarł Przemko gołgowski. Sukcesją mieli podzielić się bracia zmarłego, Jan ścinawski i Henryk żagański. Sam Głogów i Bytom Odrzański stanowiły wszakże oprawę wdowy po Przemku, Konstancji, siostry Bolka II. Książę świdnicki obsadził te grody niezwłocznie swymi załogami, co spowodowało wmieszanie się do głogowskiej sukcesji króla Jana Luksemburczyka. Mimo że wcześniej zawarł sojusz z Krzyżakami, mający na celu wspólny napad na Wielkopolskę i szybkie pokonanie Łokietka, a w konsekwencji, być może,

rozbiór królestwa polskiego, zatrzymał się po drodze oblegając najpierw bronioną przez bolkową załogę warowną Niemczę, następnie Głogów. Ten ostatni udało mu się wprawdzie opanować, ale spóźnił się na punkt zborny w Kaliszu. Łokietek tymczasem pokonał Krzyżaków pod Płowcami (27.IX.1331) a następnie pod Poznaniem Jana, który w wyniku pierwszych niepowodzeń powrócił do Czech. Tak więc opór Bolka II mimo utraty Głogowa w dużym stopniu zadecydował o niepowodzeniu koalicji czesko-krzyżackiej w najeździe na Polskę.

W sierpniu 1335 r. został zawarty w Trenczynie układ między królestwami czeskim i polskim. Strona czeska zrzekła się praw do tronu polskiego, natomiast polska, obok spłacenia 20 tysięcy kóp groszy praskich, zobowiązywała się uznać prawa korony czeskiej do ziem uprzednio zhołdowanych, tj. większości księstw śląskich oraz księstwa płockiego. Traktaty wyszehradzkie z listopada 1335 r. potwierdzają natomiast w zasadzie ustalenia aktu trenczyńskiego, ale nie wspominają o rezygnacji Kazimierza Wielkiego z praw do ziem śląskich. Dopiero akt krakowski z lutego 1339 r. potwierdza ustalenia trenczyńskie odnośnie rezygnacji strony polskiej z praw do tej dzielnicy, z wyraźnym wszakże wyłączeniem Świdnicy i Jawora.

Księstwo ziębickie, które odłączyło się ostatecznie od świdnickiego i jaworskiego z chwilą uzyskania pełnoletności przez Bolka II ziębickiego (syna Bolka I), w r. 1322, zostało zmuszone do złożenia hołdu Janowi Luksemburczykowi w r. 1336. Po r. 1338 jedynymi niezależnymi księstwami na Śląsku pozostały zatem Świdnica i Jawor. Dalszy opór Bolka II świdnickiego i Henryka jaworskiego był obecnie możliwy w dużym stopniu dzięki antyluksemburskiej postawie mieszczaństwa obydwu księstw, popierającego, w przeciwieństwie do patrycjatu wrocławskiego, politykę swoich książąt.

W r. 1342 władzę w Czechach objął formalnie syn Jana, margrabia Karol, późniejszy Karol IV, król czeski i cesarz niemiecki. Mimo przejściowej poprawy stosunków polsko-czeskich w tym okresie dążył on usilnie do wzmocnienia wpływów czeskich na Śląsku. W r. 1344 Kazimierz Wielki, korzystając z pokojowego załatwienia sporu z Zakonem Krzyżackim, zwrócił się ponownie przeciw Luksemburgom. W r. 1345 zaangażował się w antyluksemburskiej koalicji po stronie cesarza Ludwika, do której weszli także Karol Robert węgierski i Bolko II świdnicki.

Księstwo świdnickie było w tym okresie jednym z najbardziej znaczących ośrodków polityczno-gospodarczych środkowej Europy. Opanowanie przez Kazimierza Wielkiego Rusi Czerwonej i nada-

nie przez tegoż króla świdnickim mieszczanom przywileju wolnego handlu ze Wschodem (1.I.1345 r.) przy równoczesnym zamknięciu szlaku na Ruś przez ziemie polskie dla mieszczan wrocławskich pozwoliło poddanym Bolka II skupić w swych rękach cały handel Śląska ze wschodnią Europą. Rosnąca siła oraz znaczenie księstwa skłoniły Bolka II do aktywnego uczestnictwa w polityce zarówno wewnątrzśląskiej jak i środkowoeuropejskiej. Jej motywem przewodnim w dalszym ciągu była polityka antyluksemburska. W r. 1338 poślubił Bolko II Agnieszkę, córkę Leopolda austriackiego z dynastii habsburskiej, niechętnej Luksemburgom. W r. 1345 był zamieszany w sprawę przejściowego uwięzienia przez Kazimierza Wielkiego wziętego niespodzianie do niewoli Karola Luksemburczyka. Ten incydent zapoczątkował wojnę polsko-czeską, która toczyła się z przerwami od r. 1345 aż do listopada 1348. W pierwszej fazie wojny Karol uderzył właśnie na Świdnicę, ale jej nie zdobył. Udało mu się opanować jedynie Kamienną Górę, następnie wojna przeniosał się na tereny Marchii i Łużyc, a w końcu na pogranicze Górnego Śląska. Tu Karol odepchnął siły polskie aż pod Kraków, ale następnie — pokonany — zgodził się na rozejm. Rozejm przedłużył się w związku ze śmiercią Jana Luksemburczyka na polach Crecy (1346 r.). W międzyczasie, na skutek bezpotomnej śmierci Henryka jaworskiego, Bolko II, w drodze sukcesji, przyłączył do swej ojcowizny księstwo jaworskie. W l. 1347 i 1348 toczyły się jedynie drobne walki, w których Bolko brał wprawdzie sporadyczny udział, odzyskując m. in. Kamienną Górę, ale już w lutym 1348 r. on właśnie zainicjował działania mające na celu zawarcie pokoju. Traktat pokojowy, zawarty w Namysłowie 22 XI 1348 r. przyjmował „status quo" zaistniały pomiędzy stronami, nie wspominając nic o przekazaniu koronie czeskiej ostatecznych praw do Śląska. Bolko II jest w nim nadal traktowany jako suwerenny władca, z zastrzeżeniem, że może być objęty warunkami pokoju, jeśli sporne sprawy z Karolem odda pod sąd szwagra, księcia austriackiego. Nie ma żadnego dowodu praktycznej realizacji tego warunku.

Po pokoju namysłowskim Bolko II, jako jedyny Piastowicz śląski, zachował pełną niezależność. Następca Jana na tronie czeskim, Karol Luksemburczyk, od r. 1346 także król niemiecki, a od r. 1355 cesarz rzymski, postanowił pozyskać sobie świdnicko-jaworskiego księcia na drodze pokojowej. W tym celu zawarł z nim rozejm w Legnicy 25 XI 1348, a następnie pokój w Świdnicy 16 VIII 1350 r. Jeden z warunków pokojowych stanowił, że Bolko nie będzie bez zgody Karola IV dysponował swymi ziemiami, inny natomiast układał małżeństwo bratanicy Bolka II, Anny, córki zmarłego

w r. 1346 Henryka świdnickiego, z małoletnim synem Karola, Wacławem. Małoletni pretendent do ręki świdnickiej księżniczki wkrótce jednak zmarł, a Bolko zdecydował się w r. 1353 na oddanie jej ręki samemu Karolowi, który w międzyczasie owdowiał. Układ ślubny przewidywał w razie bezpotomnej śmeirci Bolka II przejście księstwa, jako wiana Anny, w ręce Karola IV ewentualnie jego potomków, z zastrzeżeniem dożywocia dla księżny Agnieszki. W przypadku, gdyby Bolko pozostawił dziedzica, Anna miała otrzymać wiano w wysokości 10 tys. grzywien, tj. ok. 2340 kg srebra. Ugodę zawarto w Wiedniu 10 III 1353 r., natomiast akt sukcesyjny wystawiony został przez Bolka 3 VII tegoż roku.

Od tej chwili osamotniony po traktacie namysłowskim Bolko II zbliżył się do Karola. Dodatkowym czynnikiem, skłaniającym świdnickiego Piastowicza ku koronie czeskiej, był układ zawarty pomiędzy Kazimierzem Wielkim a Karolem IV w Pradze 1 V 1356 roku. Karol zrezygnował z praw do księstwa płockiego i zobowiązał się posiłkować Kazimierza w walce o odzyskanie dawnych granic na północy, Kazimierz z kolei — zrezygnował z praw do Byczyny, Kluczborka oraz Świdnicy i Jawora. Porozumienie to z jednej strony ostatecznie sankcjonowało przejście Śląska w ręce Luksemburgów, z drugiej — było aktem ostatecznej rezygnacji czeskiej dynastii z wszelkich praw do ziem polskich pozostających w rękach polskiego władcy.

Bolko II rozpoczął w oparciu o sojusz z Karolem szeroką ekspansję terytorialną. W r. 1353 zakupił od Przemka cieszyńskiego ziemię siewierską, a od Karola IV otrzymał Sobótkę. W r. 1356 zakupił Złoty Stok, uzyskał też w dożywocie Kluczbork i Byczynę. W r. 1358 zakupił od księcia Wacława połowę Oławy i Brzegu, w r. 1360 zajął Grodków, a w r. 1361 pod pretekstem dochodzenia praw po zmarłej siostrze Katarzynie, połowę księstwa głogowskiego i ścinawskiego. W r. 1364 otrzymał w zastaw Złotoryję, a także w dożywocie — od Karola — Marchię Łużycką. Mimo wzrostu zarówno terytorium poddanego władzy świdnickiego księcia jak i prestiżu międzynarodowego jego samego jako niezawisłego władcy, równego królom, księstwo świdnickie nie miało odegrać w dziejach Śląska już jakiejkolwiek roli. Po śmierci Bolka (1368 r.) rządziła nim jeszcze przez 24 lata wdowa, księżna Agnieszka. Po jej śmierci (1392) księstwo przeszło w ręce syna Karola i Anny, Wacałwa Luksemburczyka.

Słabość rządów Wacława IV, ciągłe antagonizmy między wielkimi feudałami, ucisk społeczny a także niechęć drobnego i średniego rycerstwa do niemieckich feudałów, widoczne zresztą

MUZEUM BIBLIOTEKA

i wśród mieszczaństwa, doprowadziły na początku XV w. do poważnych zaburzeń zarówno w Czechach jak i na Śląsku. Bunt mas ludowych przeciw feudałom świeckim i duchownym, przeciw niemieckiemu patrycjatowi w miastach — stawał się faktem.

Sam Śląsk na przełomie XIV i XV w. przeżywał okres politycznego chaosu i w dużym stopniu uniezależnił się od monarchii czeskiej. Ten stan rzeczy wynikał z anarchii, jaka zapanowała po śmierci Karola IV. Duża faktyczna niezawisłość książąt śląskich, a także głównych miast, Wrocławia i Świdnicy, odbiła się ujemnie na porządku i bezpieczeństwie kraju. Stąd w r. 1402 powstał ogólnopolski związek książąt, rycerstwa i miast, mający na celu tępienie rabusiów i opanowanie żywiołów anarchistycznych. Mimo prób nawiązania przez związek, bądź poszczególnych książąt porozumień z dworem krakowskim, stanowisko Polski wobec Śląska było w tym okresie raczej bierne. W rezultacie tzw. zjazdu wrocławskiego Wacława IV i Władysława Jagiełły w r. 1404 zarysowała się możliwość zwrotu Polsce Śląska w zamian za pomoc przeciw Zygmuntowi Luksemburczykowi, nie wykorzystana zresztą głównie z powodu braku zainteresowania strony polskiej. Nie wiemy jak do tych spraw ustosunkowała się Świdnica, która pod rządami królewskich starostów uzyskała teraz, podobnie jak Wrocław, dużą niezależność. Silny, niemiecki patrycjat, który podobnie jak we Wrocławiu skupił w swych rękach faktyczną władzę, nie był zapewne zainteresowany zbliżeniem z królestwem polskim, ani na przełomie stuleci, ani w momencie ożywienia na Śląsku propolskich nastrojów po zwycięstwie grunwaldzkim. Tymczasem w wirze społeczno-narodowościowych konfliktów narastał nowy ruch, który miał poważnie zaważyć na losach Śląska: husytyzm.

W l. 1418—1419 doszło w Czechach do pierwszych wystąpień o charakterze społeczno-religijnym i narodowościowym. Feudalny ucisk społeczny ze strony zniemczonych możnych świeckich i duchownych a także niemieckiego patrycjatu, doprowadził do radykalnych wystąpień mas ludowych na wsi i w miastach. Ruch ten poparło drobne a nawet często średnie rycerstwo. Zdradzieckie spalenie w Konstancji ideologa ruchu, Jana Husa, przejęcie władzy w Czechach po śmierci Wacława IV przez znienawidzonego Zygmunta Luksemburczyka — były czynnikami wzmacniającymi niewątpliwie radykalne nastroje. Powstanie ludowe rozpaliło się gwałtownie wciągając stopniowo w swą orbitę także Śląsk, o czym będzie mowa w dalszej części opracowania.

Wojny husyckie, obok aktywizacji mas ludowych, najczęściej jeszcze zapewne w tym okresie polskich, doprowadziły w ostatecznym rozrachunku do zwycięstwa systemu feudalnego, do

umocnienia się żywiołu niemieckiego w miastach, do jeszcze większego ucisku społecznego i narodowego. Proces ten miał się odtąd stale pogłębiać.

W roku 1437 zmarł nie pozostawiając męskiego potomstwa Zygmunt Luksemburczyk. Od tego momentu rozpoczyna się okres długotrwałej walki o tron praski, w którą to walkę uwikłany został także Śląsk. Równocześnie umocniła się tu samodzielność wielkich feudałów, nie tylko książąt, ale i właścicieli wielkich latyfundiów, np. biskupów wrocławskich. Poważnym czynnikiem polityczno-gospodarczym oraz militarnym stały się miasta, których patrycjat dąży do maksymalnej niezależności. Szczególną, niemal decydującą rolę na Śląsku, odgrywały w połowie XV w. Wrocław i Świdnica. Miasta te w dalszym ciągu zawierają związki obronne, w których odgrywają dominującą rolę. Zdominowane są przez niemiecki patrycjat, który liczne interesy i dążenia łączy z klasą feudałów. Zarówno władcy świeccy jak i feudałowie duchowni a także przedstawiciele wielkich rodów patrycjuszowskich nie byli zainteresowani w umacnianiu na Śląsku władzy królewskiej. Wykorzystywali dla własnych celów politycznych chaos, jaki spowodowała walka Habsburgów, Podiebradów, Macieja Korwina a później Jagiellonów o koronę czeską. Z tego chaosu nie potrafiła skorzystać jagiellońska Polska w celu rewindykacji Śląska. Z jednej strony zaważyła tu niechęć polskiego możnowładztwa, zainteresowanego polityką wschodnią, z drugiej — dynastyczna polityka Kazimierza Jagiellończyka a także brak oparcia dla koncepcji połączenia z Polską w kręgu feudałów i bogatego mieszczaństwa śląskiego. W r. 1453 i 1454 stany śląskie złożyły hołd Władysławowi Pogrobowcowi. Trzeba dodać, że najdłużej ociągały się w tej mierze: Wrocław, Świdnica i Namysłów. Był to jednak przede wszystkim odruch obronny w zakresie własnej niezależności.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej po śmierci Władysława Pogrobowca (1457). Mimo zgłoszenia roszczeń do tronu czeskiego przez kilku pretendentów z zewnątrz, stany czeskie obwołały królem Jerzego z Podiebradów. Jego husycka przeszłość i niechęć do katolicyzmu stały się podłożem konfliktu z kurią rzymską, który to konflikt przerodził się później w otwartą walkę aż do obłożenia króla klątwą włącznie. Książęta i miasta śląskie, za wyjątkiem Wrocławia, uznały nowego włodcę. Należy sądzić, że Świdnica sprzyjała nowemu królowi, skoro właśnie tu, 24 VIII 1458, złożyli mu hołd książęta śląscy. Nie wiadomo natomiast, jak patrycjat świdnicki patrzył na zabiegi Wrocławia, zmierzające do oddania korony czeskiej Kazimierzowi Jagiellończykowi, który zgła-

szał pretensje swej żony, Elżbiety, siostry Władysława Pogrobowca, do sukcesji czeskiej. Zresztą naciski na Kazimierza wywierała i kuria rzymska, warunkując objęciem tronu czeskiego zatwierdzenie pokoju toruńskiego. Wierność księstwa świdnickiego Podiebradom potwierdza zresztą niechęć, z jaką spotkał się tu po opanowaniu Śląska Maciej Korwin. Jego rządy w l. 1474—1490 nie cieszyły się zresztą szczególną aprobatą mieszkańców Śląska w ogóle. Władca ten znalazł oparcie w elementach skrajnie reakcyjnych, przede wszystkim w wyższym duchowieństwie i zaczął dążyć do wprowadzenia na Śląsku silnych, scentralizowanych rządów. Ustanowiony przezeń urząd nadstarosty, jako namiestnika królewskiego. sprawowali kolejno: Stefan Zapolya i Jerzy Stein. Obaj równocześnie piastowali urząd starosty w księstwie świdnicko-jaworskim. Mimo to opozycja przeciw nowemu władcy w Świdnicy nie wygasła, o czym świadczą represje stosowane wobec miejscowego społeczeństwa.

Po śmierci Macieja Korwina na Śląsku zaistniał ponownie chaos, władza królewska zaś osłabła. Władysław Jagiellończyk, król czeski od r. 1471, zdołał w r. 1490 pozyskać tron węgierski wraz z przyporządkowanym mu przez Macieja Śląskiem. Umocnił swe panowanie w tej dzielnicy, ale nie zdobył ani prestiżu ani decydującego wpływu na sprawy kraju. Stany śląskie wymogły na nim szereg przywilejów, między innymi tzw. „wielki przywilej" z roku 1498. Król zagwarantował w nim m. in. niepociąganie szlachty śląskiej do służby wojskowej poza granicami kraju, składanie hołdu królowi we Wrocławiu (za wyjątkiem księstwa świdnicko-jaworskiego, które zachowało prawo składania hołdu w Świdnicy), przywrócił ustanowiony wcześniej przez Macieja Korwina urząd nadstarosty, który również miał przewodniczyć śląskiemu sejmowi stanowemu. Funkcję tę objął w r. 1504 brat Władysława, Zygmunt, późniejszy król Zygmunt Stary (do r. 1506). Zarysowała się zatem na przełomie XV i XVI w. ponowna okazja przyłączenia Śląska do Polski, niestety zaprzepaszczona dzięki dynastycznej, krótkowzrocznej polityce Jagiellonów. Sytuacja nie ulega zmianie po śmierci Władysława (1516). Jego syn, Ludwik, dzięki małżeństwu z Marią habsburską, zawartym w wyniku układów wiedeńskich z r. 1515, ostatecznie otworzył drogę obcej dynastii do dziedzictwa czeskiego i węgierskiego. W r. 1522 rozstrzygnął też — dotychczas sporną — kwestię przynależności państwowej Śląska na rzecz Czech. Jego bezpotomna śmierć w bitwie pod Mohaczem (1526 r.) oddała Czechy wraz ze Śląskiem a także Węgry w ręce Habsburgów. Świdnica wraz ze Śląskiem na ponad czterysta następnych lat dostała się pod obce panowanie.

III. Ustrój miasta i jego przywileje

Do XIII w. Świdnica była prawdopodobnie siedzibą kasztelanii, osadą w pierwszym rzędzie targową, zorganizowaną na prawie polskim. Kiedy wystawiony został przywilej lokacyjny, przenoszący osadę na prawo niemieckie nie wiemy, ponieważ nie zachował się akt lokacyjny. Stało się to prawdopodobnie w połowie XIII w., a zapewne przed r. 1267, ponieważ w dokumencie dotyczącym Świdnicy z tegoż roku występują charakterystyczne dla nowego ustroju terminy: „advocatus" (wójt) i „cives" (obywatele).

Przechodzenie z prawa polskiego na niemieckie było na ogół procesem długim, nowe formy ustrojowe przyjmowały się stopniowo, toteż nic dziwnego, że pełne prawo magdeburskie nadał miastu dopiero Bolko II w r. 1363, a więc niemal sto lat po lokacji. Tym niemniej wykształcenie się podstawowych form nowego ustroju w Świdnicy musiało być stosunkowo szybkie, skoro już w r. 1293 wzorują się na niej przy wprowadzaniu nowego prawa Strzelin i Racibórz. Nowy system w swej początkowej fazie charakteryzował się w mieście władzą książęcą, której reprezentantem był dziedziczny wójt, oraz władzą administracyjną rady miejskiej. Relacje między tymi dwoma podstawowymi źródłami władzy były w poszczególnych miastach różne, ale ogólny proces rozwojowy szedł w kierunku ograniczenia władzy książęcej na rzecz samorządu miejskiego. Książę, wydając kolejne przywileje, przekazywał radzie bądź sądom miejskim swe uprawnienia lub też z nich rezygnował, co powodowało wzrost znaczenia miast. Już we wczesnej fazie rozwoju nowego ustroju zarysował się wyraźny podział społeczności miejskiej na trzy grupy: patrycjat, pospólstwo i plebs, czyli biedotę. Właśnie patrycjat skupił w swym ręku władzę administracyjną, a później i polityczną w miastach. Sytuacja w Świdnicy na przełomie XIII i XIV w. jest typową ilustracją tych procesów.

Nie zachował się dokument pozwalający stwierdzić, jakie było uposażenie a także szczegółowe uprawnienia i obowiązki świdnickiego wójta. Jego dochody musiały jednak być wysokie, skoro książę Bolko II w r. 1346 przekazał miastu na 10 lat dochody z wójtostwa tytułem spłaty poręczonego przez mieszczan długu, zaciągniętego u Żydów nyskich, w wysokości 150 grzywien groszy praskich. Zapewne akt ten stanowił nieformalny wykup wójtostwa przez mieszczan. Ostateczny wykup wójtostwa przez radę nastąpił bowiem dopiero za panowania ks. Agnieszki, w r. 1371. Mimo to Agnieszka uznała w r. 1391 wójtostwo za upadłe z powodu jego wadliwego sprawowania i zażądała za jego reaktywowanie

550 grzywien srebra. Wywołało to duże niezadowolenie mieszczaństwa, które zagroziło nawet buntem. Księżna zdołała jednak ukorzyć miasto przy pomocy posiłków z Jawora, Bolesławca i Lwówka, złożyła z urzędu aktualną radę miejską i powołała nową. Ostatecznie miasto uiściło sporną kwotę.

O dużych uprawnieniach świdnickiego wójta świadczył fakt, że na mocy dekretu książęcego z r. 1281 mógł powoływać przed sąd i karać nie tylko mieszczan, ale i mieszkańców sąsiednich wsi, w tym przedstawicieli stanu rycerskiego. Niezadowolenie rycerstwa spowodowało, że w r. 1285 ograniczono to prawo wyłącznie do przewinień popełnionych w samej Świdnicy. Wójtostwo było dziedziczone nie tylko w linii męskiej, ale i żeńskiej (córka, wdowa).

Rada miejska pojawiła się w dokumentach już w 2 poł. XIII w. Jej pozycja w mieście początkowo nie jest jednak chyba dość mocna, ani obwarowana odpowiednim prestiżem, skoro Bolko I wydaje specjalny dokument, w którym nawołuje mieszczan do posłuszeństwa wobec rady, bezwzględnego podporządkowania się jej zarządzeniom i grozi nieposłusznym karami. Na szczególną uwagę zasługuje data dokumentu: 16 X 1290. Henryk IV Probus, poprzedni pan Świdnicy, zmarł 23 VI tegoż roku. Sytuacja w mieście musiała zatem być napięta, skoro Bolko I, który formalnie jeszcze nie wziął Świdnicy w posiadanie, zmuszony był interweniować w celu radykalnego umocnienia stanowiska rady.

Na przełomie XIII i XIV w. w gestii rady znajdowały się: nadzór nad porządkiem publicznym wraz z prawem karania za wykroczenia, ustalanie miar i wag dla potrzeb handlu, obrona miasta, a szczególnie nadzór nad obwarowaniami, zatwierdzanie, poprzez sędziego i ławników, zmian własności gruntowej, także w okolicach miasta, regulacja cen piwa, zatwierdzanie, również po przez sędziego i ławników, nowej monety. Prócz tego rada sprawowała nadzór nad dochodami miejskimi i cechami, które także były zobowiązane do obrony miasta. Podległe sobie sprawy rada regulowała za pomocą zarządzeń, które w zasadzie zatwierdzał książę, wnosząc przy tym ewentualne poprawki. Zarządzenia te były później modyfikowane względnie rozszerzane przez tzw. wilkierze, którym znowu książę nadawał moc prawną. Ich ostateczne usankcjonowanie stanowiło wpisanie do ksiąg miejskich.

Rada liczyła początkowo pięciu, a od r. 1355 sześciu członków. Odbywała regularne posiedzenia, o których powiadamiał członków specjalny, zaprzysiężony posłaniec. Kadencja trwała rok. Interesująco przedstawiały się wybory. Początkowo wybierano radę na św. Michała, później na św. Marcina. Sześciu ustępujących radnych wybierało pięciu nowych. Ci z kolei — wybierali spośród

ustępujących powtórnie jednego i jemu, po szczegółowym zbadaniu rachunków, przekazywali kasę miejską. Nie mógł przy tym być brany pod uwagę kandydat, który miał już za sobą dwie kadencje. Wybierano z reguły przedstawicieli patrycjatu bądź najzamożniejszych majstrów cechowych, którzy dawali pełną gwarancję dbałości o interesy miejskiej arystokracji.

Z radą współdziałało stale po dwu mistrzów z każdego cechu przedstawiając jej wnioski i służąc radą. Mieli oni obowiązek przestrzegania ordunków cechowych i donoszenia radzie o każdej próbie ich łamania. Musieli akceptować każdą uchwałę dotyczącą cechów, gdyż inaczej nie niałaby ona sankcji wykonawczej.

Przez cały w. XIV toczyła się walka cechowego pospólstwa z patrycjuszami o uzyskanie miejsc w radzie dla cechowej starszyzny. Wrzenie osiągnęło punkt szczytowy na przełomie XIV i XV w. W tej sytuacji król Wacław IV wydał w dn. 29 VI 1407 r. ordynację, która w połowie roku odwoływała urzędującą radę i zalecał powołanie nowej przez królewskiego starostę. Od tego momentu przez cały wiek XV ustępująca rada zgłaszała staroście propozycje odnośnie składu osobowego nowej, co praktycznie przekreślało wolne wybory. Taki stan rzeczy doprowadził do powtórnego całkowitego zdominowania rady przez patrycjat, o czym dobitnie świadczą nazwiska burmistrzów, takie jak: Thommendorf, Ebersdorf, Menau, Reichzenbach, Kobersberg i in. Dopiero w roku 1500 Władysław Jagiellończyk zezwolił ponownie na wolne wybory rajców oraz ławników.

Na czele rady stał burmistrz. Zwoływał on posiedzenia, które na ogół odbywały się w godzinach porannych. Kto spóźnił się — płacił karę w wysokości 1 łuta (ok. 12 g.) srebra. W radzie stosowano podział kompetencji. Np. jeden z jej członków miał pieczę nad miejską kasą, drugi — nad budownictwem, trzeci nad — produkcją oraz sprzedażą piwa i wina itd.

Bolko II potwierdził dokumentem wydanym w r. 1328 wszystkie prawa i statuty nadane dotąd mieszczanom świdnickim oraz określił szczegółowo w 65 artykułach uprawnienia rady. Dokument ten stanowił też ordynację porządkową dla miasta. Określał więc zasady: wybierania rady, ławników i starszyzny cechowej, obrony miasta, karania za nocne burdy, zwłaszcza w pobliżu obwarowań miejskich, ustalania cen na wino i piwo, ustalania miar i wag, zbierania podatków na rzecz księcia i miasta, prowadzenia kasy i rachunków miejskich, wyszynku wina, a także karania tych, którzy je niewłaściwie odmierzają bądź fałszują wodą, uczestniczenia w zabawach przy piwie i winie, organizacji cechowej, handlu rybami, smarem do wozów, olejem i żelazem, utrzymywania czys-

tości ulic, pobierania czynszów od kramów i młynów, przyznawania uprawnień do warzenia piwa, wynagradzania grajków weselnych, ustalania obowiązków straży i urzędników miejskich oraz Żydów. Dokument potwierdzał ponadto prawo mili, ustalał zasady korzystania z pastwisk miejskich a także handlu złotem, srebrem, chmielem etc. Zwalniał też rajców na czas sprawowania urzędu, od podatku zarówno od gruntu jak i mienia ruchomego. Podatek od folwarków, młynów czy wozów musieli natomiast płacić na równi z innymi mieszczanami. W r. 1342 rajcy otrzymali ponadto prawo ograniczonego zaopatrywania się bezpłatnie w drzewo w lasach miejskich.

30 IX 1363 r. Bolko II nadał Świdnicy pełne prawo magdeburskie wraz z zezwoleniem na czerpanie wzorów wprost z Magdeburga. Akt nadania podkreślał, że mieszczanie świdniccy winni tego prawa bezwzględnie przestrzegać bez naruszania praw książęcych oraz też własnych. Prawo to, podobnie jak ordynację z roku 1328, rozciągnęto na inne miasta księstwa.

W okresie przedlokacyjnym ludność Świdnicy, jak i innych miast śląskich, podlegała sądownictwu książęcemu. Bezpośrednio po przeniesieniu miasta na prawo niemieckie sądy w imieniu księcia sprawował wójt. Już jednak na początku XIV w. wykształciła się nowa forma sądownictwa. Uprawnienia sądowe wójta uległy ograniczeniu na rzecz samorządu miejskiego. Prawo magdeburskie stanowiło bowiem, że sądy będzie wójt sprawował wraz z ławnikami w liczbie 5—11. W Świdnicy przyjęto liczbę siedmiu. Kandydat na ławnika musiał być uczciwy i legitymować się pochodzeniem z uczciwej rodziny, posiadać dobrą wymowę i być od urodzenia człowiekiem wolnym. Wójt przedstawionego kandydata zatwierdzał, zaprzysięgał go odnośnie przestrzegania prawa i jak najlepszego wykonywania obowiązków a następnie brał go za rękę i symbolicznie sadzał na ławie. Godność ławnika była początkowo dożywotnia, od r. 1389 powoływano ławników tylko na rok. Sąd ten, zwany miejskim, rozpatrywał sprawy nie tylko miejscowe, ale także z najbliższego okręgu. Początkowo podlegali jego kompetencjom tylko mieszczanie względnie chłopi z majątków ziemskich należących do miasta, później nawet przedstawiciele szlachty, o ile wykroczenie miało miejsce w mieście. Sąd ten miał prawo rozpatrywania spraw zarówno cywilnych jak i karnych, spadkowych, roszczeń z tytułu długów, zatwierdzania umów kupna i sprzedaży nieruchomości. Z czynności sądu sporządzano protokoły.

W XIV w. Świdnica stała się centrum sądowym księstwa. Tu więc miał swoją siedzibę sąd dworski, który rozstrzygał spory pomiędzy możnymi a ich lennikami a po wprowadzeniu prawa

niemieckiego także sprawy cywilne. Zadania powyższe wykonywał sędzia książęcy i tzw. ławnicy dworscy.

Funkcję instancji apelacyjnej pełnił powołany w r. 1330 „sąd sześciu". Obok dziedzicznego sędziego książęcego zasiadali w nim trzej zamieszkali w Świdnicy przedstawiciele stanu rycerskiego oraz dwaj mieszczanie. Pierwszych wybierał sędzia książęcy, drugich — rada. Rozpatrywano tu sprawy przychodzące w trybie odwoławczym z całego księstwa, zwłaszcza z Bolkowa, Strzegomia i Kamiennej Góry, przede wszystkim dotyczące sporów z tytułu spadków, umów sprzedaży — kupna itp.

W r. 1335 świdnicka rada nabyła od księcia odrębny do tej pory sąd miejski dla Sobótki wraz z okręgiem.

W r. 1396 król Wacław IV powołał w Świdnicy „sąd dwunastu", trybunał apelacyjny szczebla wyższego, będący namiastką sądu królewskiego, składający się z sześciu przedstawicieli mieszczaństwa i sześciu szlachty, pod przewodnictwem nadstarosty. Obradował on co kwartał w Świdnicy.

Prócz powyższych powstał przy końcu XIV w. jeszcze jeden sąd, zwany starościńskim, obradujący pod przewodnictwem starosty. Podlegały mu sprawy z tytułu: uszkodzenia ciała, zabójstwa, rozboju, kradzieży, grabieży kościołów, znęcania się, kacerstwa, czarów, wiarołomstwa małżeńskiego, nierządu, zdrady, krzywoprzysięstwa, podpaleń, buntów przeciw porządkowi publicznemu, zbezczeszczenia grobów, pojedynków, uwiedzenia, fałszowania monety, etc. Trudno jest uchwycić podział kompetencji między tym ostatnim sądem a miejskim, napewno był jednak instancją szczebla wyższego.

Na skutek wykupu starostwa przez miasto w r. 1434 sąd miejski uzyskał uprawnienia dworskie, częściowo też zapewne sądu starościńskiego, w całym dystrykcie. Wywołało to niezadowolenie okolicznej szlachty a nawet przypadki naruszania przez nią jurysdykcji miejskiej. Taki stan rzeczy utrzymywał się dość długo jako jeden z przejawów konfliktu pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem, tak charakterystycznego dla piętnastowiecznego Śląska. Dopiero król Władysław Jagiellończyk w r. 1504 potwierdził w całej rozciągłości uprawnienia sądownictwa miejskiego.

Na oddzielną wzmiankę zasługuje problem rozgraniczenia kompetencji sądów duchownych i świeckich. Spory na tym tle toczyły się na Śląsku przez cały w. XIV. Dopiero Wacław IV wydał edykt stanowiący, że osoba świecka nie może być postawiona przed sądem duchownym, lecz tylko takim, do jakiego przynależy. Z kolei Zygmunt Luksemburczyk ustanowił, że w obydwu księstwach sporów pomiędzy świeckimi a duchownymi nie tylko nie mogą

rozstrzygać sądy duchowne, ale tam, gdzie między stronami chodzi o sprawy świeckie, duchowny ma stawać przed sądami świeckimi.

Wyciągi z protokołów sądowych oraz orzeczenia sądu miejskiego wpisywano do ksiąg miejskich, in. ławniczych. Prowadzenie takowych dla podniesienia znaczenia orzecznictwa sądowego zalecił książę Bernard w r. 1321. Równocześnie książę zobowiązał radę do przestrzegania zawartych w niej postanowień i sentencji wyroków. Bolko II z kolei — w r. 1331 — polecił doręczać stronom tzw. „listy ławnicze", zawierające orzeczenia sądowe, spisane na pergaminie, opatrzone pieczęciami wójta i ławników.

Pieczęć miejską przechowywano wraz z księgą w specjalnej skrzyni o trzech zamkach. Klucz od każdego zamka miał inny rajca i w ten sposób do jej otwarcia potrzeba było obecności trzech osób.

Dwie najstarsze, znane dziś, pieczęcie miejskie zawierają herb miasta: kroczącego gryfa. Przy tym pierwsza — z r. 1284 — ma w otoku napis: „S. Buriensium de Swideniza" („pieczęć mieszczan ze Świdnicy"), druga natomiast, z r. 1315 — „S. Universitatis Civium De Swidnitz" (pieczęć powszechności obywateli ze Świdnicy"). Najstarsza znana pieczęć ławnicza pochodzi z r. 1335. Przedstawia dzika w otoczeniu gałązek zakończonych trójgraniastymi listkami. Napis w otoku brzmi: „S. Scarbinorum in Swidnicz" („Pieczęć ławników w Świdnicy"). Późniejsze pieczęcie powtarzają te motywy stale. Wcześniejszy gryf jest elementem dominującym i w okresie piastowskim, stanowi herb miasta. Dzik jest elementem wtórnym, nawiązującym prawdopodobnie do błędnej hipotezy o rzekomym pochodzeniu nazwy miasta (od dzika).

Znaczące miejsce w systemie prawno-ustrojowym średniowiecznych miast zajmowały cechy. Ich organizacja wiązała się ściśle z wprowadzeniem prawa niemieckiego, ale była zjawiskiem wtórnym, z reguły późniejszym niż samo wprowadzenie nowych zasad prawno-ustrojowych. Powstanie cechów wiązało się z potrzebą ujęcia procesu produkcyjnego w nowe ramy, ograniczania go w celu utrzymania cen, a wreszcie — wyeliminowania konkurencji i produktów niskiej jakości. Do cechu musieli należeć wszyscy majstrowie danej specjalności czy też kramarze w danym mieście, nikt poza cechem nie mógł zajmować się rzemiosłem. Były nieliczne specjalności nie zrzeszone w cechach, np. aptekarze, ale stanowiły tylko margines gospodarki miejskiej.

Trudno określić, kiedy powstały pierwsze cechy w Świdnicy. Stało się to na pewno już w w. XIII, ponieważ przy końcu tego stulecia spotykamy dość częste acz fragmentaryczne wzmianki na

ich temat. Co więcej, organizacja świdnickich cechów musiała być już wówczas rozwinięta, skoro w r. 1293 wzorują się na niej Racibórz i Strzelin. Początkowo liczba cechów w Świdnicy nie jest duża: w r. 1337 jest ich 11, a w r. 1374 — 16. Później liczba ta wzrasta, ale o ilości cechów piętnastowiecznych możemy wnioskować tylko pośrednio. Wiemy mianowicie ,że w 2 poł. XV w. działa w mieście 656 warsztatów rzemieślniczych różnych specjalności. Zważywszy, że niektóre, np. karczmarzy, piekarzy, rzeźników, gorzelników są — z jednej strony — bardzo liczne, natomiast z drugiej — niektóre, mniej liczne, o pokrewnych specjalnościach — mogły zrzeszać się w jednym cechu, możemy szacunkowo ustalić liczbę ówczesnych cechców na około 25. Jest to szacunek dziś ostrożny, ponieważ Wrocław, nieznacznie tylko przewyższający Świdnicę pod względem potencjału produkcyjnego, miał ich w tym czasie ponad 40.

Organizację cechów określały specjalne przepisy, tzw. statuty. Zawierały najczęściej: warunki przyjęcia do cechu, terminy przyjęć, wysokość opłat z tego tytułu, określały dopuszczalną liczbę osób zatrudnionych w warsztatach, większość produkcji, jej jakość, przepisy porządkowe określające m. in. czas pracy, a wreszcie zasady zakupu surowca i zbywania gotowych wyrobów. Ponieważ statuty z reguły nadawała rada miejska, reprezentująca interesy kupieckiego patrycjatu, ograniczenia w zakresie zbytu, mające zabezpieczyć udział kupców, były nieraz dla rzemieślników dotkliwe i stawały się przyczyną wielu konfliktów między cechami a radą.

W skali Śląska szczególnie liczne zbiory praw cechowych zachowały się dla Świdnicy. Są to w kolejności statuty: piekarzy z roku 1311, tkaczy z r. 1325, potwierdzone przez radę w r. 1364, rzeźników z r. 1335 i 1338, kramarzy z r. 1336, garbarzy, krawców i szewców z r. 1347, kuśnierzy z r. 1349 oraz ślusarzy i nożowników z r. 1369. Postanowienia cechowe obwarowane były surowymi karami. I tak np. tkaczom za produkowanie sukna dla księży, mnichów i mniszek bądź innych osób spoza miasta a także za jego farbowanie dla obcych, groziła kara trzech wiardunków (ok. 137 g.) srebra. Za pracę w dni świąteczne groziła kara w wysokości 1 łuta (ok. 13 g.) srebra, natomiast za pracę przy sztucznym świetle — co najmniej 1 grzywny (ok. 182,5 g.) srebra. Na uczty wolno było chodzić tylko majstrom cechowym, czeladnikom udziału w takowych zakazywano pod karą np. 0,5 wiardunka (ok. 140 g) srebra. W statutach dla kramarzy czytamy, że za swawole i awantury pomiędzy kramami grozi kara 1 grzywny, natomiast za używanie tamże nieobyczajnych bądź obelżywych słów — 1 wiardunka.

Na czele cechu stali dwaj, czasem trzej majstrowie, zwani starszymi, bądź przysięgłymi. Ta ostatnia nazwa pochodziła stąd, że zmieniając się co roku składali przysięgę na ręce rady miejskiej jako gwarancję właściwego wypełniania swych obowiązków. Ich zadaniem było przewodniczenie zebraniom cechu a także wprowadzanie w życie postanowień rady miejskiej. Na zebraniach cechowych, tzw. „rozmowach porannych", podejmowano wszelkie decyzje odnośnie cechu. Tutaj również uchwalano kary dla członków, którzy dopuścili się wykroczeń. Każdy, kto chciał zostać rzemieślnikiem, musiał najpierw odbyć w warsztacie naukę trwającą 2—4 lata, płacąc przy tym majstrowi ustaloną kwotę (najczęściej 1—2 grzywny za cały okres nauki). Uczeń otrzymywał w warsztacie wyżywienie i był traktowany jak członek rodziny, za swą pracę nie pobierał żadnego wynagrodzenia. Po ukończeniu nauki zostawał czeladnikiem, pracował jeszcze jakiś czas u swego majstra, a następnie ruszał na wędrówkę od miasta do miasta, w celu poszerzenia swych umiejętności. Następnie osiadał w wybranym warsztacie, często u innego majstra a nawet w innym mieście i tam przygotowywał tzw. „majstersztyk", pracę mającą być świadectwem jego umiejętności. Przyjęcie tej pracy przez starszyznę cechową dawało prawo wstąpienia do cechu. W obronie przed konkurencją starszyzna często utrudniała złożenie egzaminu mistrzowskiego przez postawienie bardzo wysokich wymagań. Samo wstąpienie do cechu wiązało się z uiszczeniem wysokiej opłaty (w Świdnicy najwyższa — 3 wiardunki, najniższa — 0,5 wiardunka), z której trzecią część otrzymywała rada. Pełną opłatę w Świdnicy w zasadzie uiszczali tylko przybysze z zewnątrz. Kto pobierał naukę w Świdnicy, był synem majstra, poślubił córkę majstra bądź wdowę po nim — płacił połowę. Ponadto przybysz z zewnątrz musiał dostarczyć świadectwo o dobrym prowadzeniu się w poprzednim miejscu zamieszkania, a także zobowiązać się, że nie opuści otwartego warsztatu przed upływem roku i jednego dnia.

Do cechu nie mógł należeć czeladnik a tym bardziej uczeń. Wynagrodzenie czeladników było niskie i z reguły ustalane przez cech. Wypłacanie wynagrodzenia wyższego od ustalonego maksimum było karane. Uczeń czy czeladnik, który bez zgody majstra opuścił warsztat, nie mógł starać się o przyjęcie do innego, należącego do tego samego cechu. Również majster pod karą 1 wiardunka nie mógł odstąpić czeladnika innemu członkowi cechu. W tej sytuacji wielu czeladników uzyskiwało uprawnienia mistrzowskie bardzo późno, wielu pozostawało czeladnikami do końca życia. Zresztą majster nie mógł na ogół zatrudniać więcej jak 2 uczniów i 1 czeladnika.

Statuty cechowe bardzo ściśle rozgraniczały specjalności. I tak np. ślusarze i kowale nie mogli wytwarzać noży, na które monopol mieli nożownicy. Szwc, tzw. łatacz, nie mógł produkować nowych butów. Przędzalnicy mogli produkować tylko przędzę, natomiast tkacze — tkać z niej tkaniny itp.

Po śmierci ks. Agnieszki w r. 1392 księstwo świdnicko jaworskie przeszło, jak już wspomniano, w drodze sukcesji w ręce królów czeskich. Świdnica i inne miasta księstwa stały się miastami królewskimi. Rządy w księstwie objął urzędujący w Świdnicy starosta, wykonujący władzę w imieniu króla. O randze Świdnicy świadczył fakt, że starostowie świdniccy w XV w. często zajmowali również stanowisko nadstarostów krajowych, będących namiestnikami królewskimi dla części Śląska podległej bezpośrednio koronie. Starostą przy tym mógł być tylko ten, kto urodził się w obrębie księstwa.

Proces zrastania się Śląska z koroną czeską był powolny, przez cały w. XV zachował się tu szereg odrębności prawno-ustrojowych wywodzących się z tradycji polskiej. XV w. to przy tym na Śląsku okres totalnej anarchii, walk wewnętrznych, rozprężenia. Na taki stan rzeczy złożyły się narastające konflikty społeczne, dążność wielkich feudałów do uzyskania politycznej suwerenności, walki pomiędzy poszczególnymi pretendentami do korony czeskiej. Na tym tle uwidaczniają się dążenia dużych ośrodków miejskich, w pierwszym rzędzie Wrocławia i Świdnicy, do usamodzielnienia się. Nastąpił znaczny wzrost znaczenia rady miejskiej, miasta uzyskały prawo posiadania własnych wojsk. Świdnica na przestrzeni XV w. parokrotnie przystępuje do związków obronnych książąt, szlachty i miast, np. w l. 1398 i 1427. Decentralizacja władzy na Śląsku sprzyjała nabywaniu nowych przywilejów i uprawnień. Np. Świdnica uzyskała w r. 1417 królewski mandat potwierdzający prawo mili a także ograniczający produkcję pozacechową na wsi.

W w. XV ujawniły się z całą ostrością konflikty między miastami a szlachtą. Z jednej strony nasilił się proces lokowania przez miasta i ich patrycjat kapitałów w ziemi, co często prowadziło do przechodzenia rodów patrycjuszowskich w szeregi szlachty (np. świdniccy Thommendorfowie), z drugiej — coraz silniej narastał między tymi stanami konflikt na tle uprawnień i przywilejów. Jednym ze źródeł konfliktów było właśnie częste nierespektowanie przez szlachtę prawa mili, rozwijanie na własną rękę produkcji wiejskiej, szczególnie piwowarstwa i tkactwa. Innym źródłem był problem ponoszenia przez miasta oraz ich poddanych czy lenników ciężarów państwowych na równi ze szlachtą. Długi zaciągnię-

te przez szlachtę w mieście, gwałty i napady, których się dopuszczało rycerstwo wobec mieszczan i poddanych, dodatkowo zaostrzały sytuację. Królowie potrzebowali od miast pieniędzy, toteż już Zygmunt Luksemburczyk w r. 1426 orzekł, że mieszczanie posiadający ziemię mają obowiązek pełnić służbę wojskową tylko z miastem a nie z rycerstwem. Sprawa ta powracała jednak na porządek dzienny przez cały wiek XV. Za panowania Macieja Korwina szlachta księstwa świdnicko-jaworskiego, wykorzystując niechętną postawę Świdnicy wobec tego władcy, usiłowała ograniczyć uprawnienia miast w księstwie, praktycznie bez większych rezultatów. Obydwu stron nie zdołał zresztą zadowolić ani „wielki przywilej" Władysława Jagiellończyka z r. 1498 ani specjalny sąd w Pradze w r. 1510. Dopiero centralistyczne rządy habsburskie położyły kres sporom przechylając szalę zdecydowanie na stronę szlachty.

Oddzielnym problemem była w średniowiecznym mieście kwestia żydowska. Z ludnością żydowską spotykamy się na Śląsku stosunkowo wcześnie, przy czym bogatsi Żydzi mogli już w XIII w. posiadać ziemię czy działki budowlane w mieście, z tym, że musieli płacić Kościołowi taką samą dziesięcinę jak chrześcijanie.

Z pierwszą wzmianką na temat Żydów w Świdnicy spotykamy się w r. 1285, kiedy to Henryk IV określił ich obowiązki wobec miasta, a także zasady opodatkowania należących do nich gruntów. Nałożył na nich obowiązek nocnego stróżowania, uczestnictwa w budowie obwarowań miejskich, z tym, że od pełnienia straży mogli się wykupić. Bolko I w r. 1295 wyłączył Żydów spod sądownictwa miejskiego i poddał sądowi dworskiemu. Bolko II z kolei w r. 1328 potwierdził wszystkie dotychczasowe prawa ludności żydowskiej i zobowiązał ją do takich samych świadczeń i danin na rzecz miasta, jakie obowiązywały innych mieszczan. Żydzi zajmowali się w średniowieczu przede wszystkim handlem i lichwą. Szczególnie ta ostatnia, zakazana chrześcijanom przez Kościół, przynosiła im olbrzymie zyski. Możni w tym okresie u Żydów zapożyczali się często uiszczając przy tym wysoką stopę pożyczkową (20—50%). Do takich dłużników zaliczał się i Bolko II, który w r. 1348 zastawił u świdnickiego Żyda , Izaaka, za 176 grzywien srebra miasto Lwówek. U Żydów świdnickich zapożyczali się zresztą inni książęta i możnowładcy śląscy, na co Bolko patrzył niechętnie. Nietrudno zatem zrozumieć, dlaczego Żydzi w księstwie świdnicko-jaworskim cieszyli się w tym czasie szczególną opieką. Księgi ławnicze wskazują, że drobniejsze pożyczki były też udzielane pod zastaw cennych przedmiotów: strojów, futer, złotych pierścieni, pasów, pancerzy a nawet miechów kowal-

skich czy koni. W razie nie wykupienia w ustalonym terminie zastawu — lichwiarz miał prawo jego sprzedaży.

W średniowiecznej Świdnicy ludność żydowska zamieszkiwała w getcie, które znajdowało się w rejonie ulicy Garncarskiej, nazwanej później Żydowską (dzisiejsza Budowlana). Później obszar ten powiększył się o część ul. Kotlarskiej, a w kwaterze pomiędzy ulicami Kotlarską, Zamkową i Rynkiem, na placu wykupionym przez Żyda, Lazara, zbudowano w l. 1377—1380 synagogę.

Taki stan rzeczy utrzymywał się do schyłku XIV w., kiedy to na Śląsk dotarła z zachodniej Europy fala antyżydowskich ekscesów. W odniesieniu do Świdnicy będzie o nich mowa nieco dalej.

Należy tu zasygnalizować, że cały w. XIV i XV to okres ścierania się na Śląsku różnorodnych interesów klasowych. Starcia te doprowadzały nierzadko do otwartych walk, to między patrycjatem a pospólstwem i biedotą miejską, to znów między mieszczaństwem a szlachtą czy chłopstwem a feudałami. Źródła ich należy upatrywać w nierówności ekonomicznej i prawnej. Masy — walczyły o poprawę egzystencji i równouprawnienie, patrycjat, bogaci rzemieślnicy czy szlachta i duchowni — o zachowanie i umocnienie swych uprzywilejowanych pozycji. Do tego dochodziły ruchy o charakterze także religijnym czy narodowościowym. Problemy te będą poruszane w oddzielnym rozdziale.

IV. Życie gospodarcze średniowiecznej Świdnicy

Średniowieczna Świdnica była obok Wrocławia najbardziej znaczącym ośrodkiem gospodarczym Śląska. To właśnie produkcji rzemieślniczej i handlowej zawdzięczało mieszczaństwo świdnickie swą potęgę w w. XIV—XV.

Już w okresie przedlokacyjnym Świdnica musiała być prężnym ośrodkiem rzemieślniczo-handlowym, o czym dowodnie świadczą choćby jej ówczesne rozmiary. Nie jesteśmy w stanie określić charakteru ani rozmiarów ówczesnej produkcji świdnickiego rzemiosła, ale należy sądzić, że była ona nastawiona raczej na zaspokajanie potrzeb lokalnych. Handel mógł rozwinąć się tu wcześnie i to nie tylko typowo lokalny, ponieważ osada leżała na skrzyżowaniu dwu szlaków handlowych: podsudeckiego — biegnącego od strony Bramy Morawskiej ku Łużycom i drugiego, raczej lokalnego, wiodącego z Wrocławia wzdłuż Bystrzycy ku Czechom.

Pierwsze wzmianki dokumentalne na temat życia gospodarczego miasta pochodzą z okresu polokacyjnego, z ostatniej ćwierci XIII wieku, ale ich charakter świadczy o dość już daleko posuniętym rozwoju. I tak np. już w r. 1278 miasto otrzymało od ks. Henryka

IV Probusa prawo szrotu (sprzedaży piwa i wina wyłącznie na beczki), a w r. 1285 prawo mili. W tym ostatnim dokumencie książę stwierdza, że „... żadna karczma, żaden szewc, krawiec, piekarz ani kowal..." nie mogą prowadzić swej działalności bliżej, jak na odległość mili od miasta. Stąd wniosek, że wymienione w dokumencie specjalności musiały być już w mieście dość dobrze rozwinięte, skoro obawiały się konkurencji z zewnątrz. Wszystkie karczmy, które znajdowały się w pobliżu miasta, miały być z rozkazu księcia zburzone. Prawo mili potwierdził później i rozszerzył w r. 1316 książę Bernard. Ten sam Henryk IV zakazał z kolei w tymże r. 1285 tkaczom i sukiennikom mieszkającym w mieście sprzedaży sukna na łokcie, a jedynie w całych postawach. Natomiast kroić i sprzedawać na łokcie mogli je wyłącznie kramarze, których interesy zabezpieczał książę w tym przypadku. Z luźnych wzmianek wiemy, że już w drugiej połowie XIII w. obok tkactwa cechowego rozwijało się w okolicach Świdnicy tkactwo wiejskie, tępione przez cechy. Zresztą problem produkcji rzemieślniczej wiejskiej, wykonywanej przez tzw. „partaczy", będzie źródłem wielu konfliktów aż do w. XVI.

Już w w. XIII mieszczanie świdniccy zakupują dobra ziemskie poza miastem. W w. XIV i XV jest to najczęstsza forma lokowania kapitału pochodzącego przede wszystkim z wielkich operacji handlowych. Prócz mieszczan — własne dobra ziemskie posiada samo miasto. Mają również miejsce darowizny gruntowe na rzecz miasta. Wspomniany wyżej Henryk IV darował miastu w r. 1276 las w pobliżu dzisiejszej wsi Witoszów a w r. 1282 wieś Słotwinę. Równocześnie zwolnił mieszczan, posiadaczy majątków ziemskich, od wszelkich danin i podatków nakładanych na każdy łan, pod warunkiem, że z tytułu posiadania gruntów będą ponosić ciężary na rzecz miasta. Zabronił też rycerstwu zabierania pod zastaw ziemi należącej do mieszczan. W XIV w. dobra należące do miasta stale rosły. Nie można ustalić, jakie były ich rozmiary, ale zachowało się sporo wzmianek o transakcjach gruntowych. Np. w r. 1351 miasto odkupiło od Jana Schwenckenfelda Złoty Las, w r. 1359 od Hansa von Seydlitz wieś Modliszów, w r. 1371 kamieniołom koło Niegoszowa a ponadto w l. 1331—1375 — częściami— wieś Pszenno.

Znajdujące się w posiadaniu miasta łąki, w jego bezpośrednim sąsiedztwie, służyły do wypasu bydła, które mieszczanie hodowali dość często. Na jednym łanie można było bez opłaty wypasać: 30 owiec, 18 świń, 2 krowy i 4 konie. Przekroczenie tej normy zobowiązywało do specjalnej opłaty. Korzystać z pastwisk mogły jedynie osoby zamieszkałe w mieście oraz właściciele folwarków na

przedmieściach, ci ostatni jednak tylko wówczas, gdy pomagali mieszczanom posiadającym grunty uprawne w czasie żniw. Sprawy szkód i nadużyć w dobrach miejskich regulowały zarządzenia. Kto np. sprzedawał kradzione siano lub drzewo z lasu musiał nie tylko zwrócić równą wartość, ale także zapłacić dodatkowo karę. Za każdą ściętą jodłę lub dąb płacono 1 grzywnę srebra.

XIV w. ożywioną działalność rolniczo-hodowlaną rozwinął świdnicki klasztor dominikanów, który skupywał od mieszczan grunty orne i łąki w celu uprawy roli, hodowli bydła i produkcji piwa w oparciu o własny surowiec.

Jako ciekawostkę można podać, że w XIII i XIV w. w okolicach Świdnicy dość rozpowszechniona była uprawa winnej latorośli. Część winnic należała również do mieszczan.

Najważniejszą rolę w średniowiecznej Świdnicy odgrywały jednak dwa typowo miejskie działy gospodarki: rzemiosło i handel. Produkcja rzemieślnicza od końca XIII w. systematycznie rośnie i znacznie przekracza rozmiarami potrzeby lokalne. Zjawisko to wiązało się ściśle z szerokim handlem, zarówno w skali Śląska jak i krajów ościennych, prowadzonym przez świdnickie kupiectwo. Niektóre produkty świdnickich rzemieślników, takie jak sukno, płótno, wyroby metalowe, szczególnie noże, a zwłaszcza piwo — mają ustaloną markę niemal w całej Europie. Produkcja, jak już wspomniano wyżej, skupiona była w cechach, które kontrolowały jej rozmiary, jakość i ceny zbytu a także prowadziły poprzez radę, walkę z „partaczami" pozacechowymi.

Jak już wspomniano, nie wiemy ile cechów działało w Świdnicy na przełomie XIII i XIV w. Wiemy natomiast, że w r. 1337 było ich 11, a w r. 1374 — 16. W pochodzących z tego okresu dokumentach ks. Agnieszki występują: kramarze, budowniczowie, tkacze, rzeźnicy, przędzalnicy, karczmarze, krawcy, poszewkarze, szewcy, kuśnierze, białoskórnicy, piekarze, nożownicy, ślusarze, rybacy, olejarze i producenci ozdobnych guzów. Być może, że ślusarze i nożownicy tworzyli jeden cech. Liczba warsztatów stale rośnie a w połowie XV w. osiąga już liczbę 656. Najwięcej było karczmarzy (trudniących się wyrobem słynnego piwa) — 113, następnie w kolejności: szewców — 64, piekarzy — 62, rzeźników — 61, gorzelników — 60, tkaczy — 34, krawców — 30, garbarzy — 24, sukienników — 17, stelmachów — 16, kowali — 16, ślusarzy — 12, słodowników — 13, złotników — 11, nożowników — 8, kramarzy — 19, przekupniów — 10. Mniej licznie występowały specjalności takie jak: rusznikarze, białoskórnicy, rękawicznicy, bednarze, tokarze, farbiarze, rymarze-paśnicy, kapelusznicy, cynerzy, straganiarze, kucharze, przęślarze, piernikarze, malarze, paśnicy, oleja-

rze, płatnerze, rymarze, kamieniarze, powroźnicy, stolarze, lutnicy, garncarze, kaletnicy, kołodzieje oraz producenci: mieczy, krzeseł, sit i luster. Jak widać, specjalizacja była bardzo rozdrobniona, toteż często dwie a nawet trzy pokrewne specjalności tworzyły jeden cech. Zakładając, że przeciętny zakład oprócz majstra zatrudniał 3 siły najemne (1 czeladnik, 2 uczniów) obliczymy bez trudu, że w ówczesnym rzemiośle na terenie miasta pracowało ok. 2250 osób. Takie rozmiary produkcji, szczególnie w niektórych specjalnościach, mogły istnieć tylko dzięki szerokiemu rynkowi zbytu poza granicami księstwa.

Produkcja jednak, jak wspomniano, ograniczona była szeregiem postanowień statutowych. Nie wolno było np. zatrudniać w warsztacie większej od ustalonej przepisami ilości osób. Tkaczom wolno było pracować tylko na dwu warsztatach, kuśnierze jednorazowo mogli nabyć ściśle określoną ilość skórek, nie wolno było w surowiec zaopatrywać się zbiorowo, tylko indywidualnie. Istniał surowy zakaz pracy w dni świąteczne i przy sztucznym świetle, stąd zimą dzień pracy był krótki a w lecie bardzo długi. Natomiast istniał zakaz świętowania w poniedziałek. Dużą wagę przykładano do jakości produkcji. Za wykonanie wyrobu złego, względnie z niewłaściwego materiału, nakładano wysokie kary a sam towar konfiskowano. Kontrolę nad jakością sprawował cech, natomiast kary nakładała rada. Dwie trzecie kary przypadały miastu, jedna trzecia cechowi.

Wilkierz z r. 1344 określał uprawnienia niektórych cechów, zwłaszcza w zakresie osiedlania się i sprzedaży wyrobów. Np. stelmachowie i kołodzieje mogli osiedlać się wyłącznie na przemieściach i tam pracować. Kotlarze — ponieważ ich narzędzia sprawiały hałas — mogli osiedlać się początkowo tylko przed bramą, później na oddzielnej ulicy zwanej Kotlarską. Podobnie na oddzielnej ulicy ks. Agnieszka poleciła osiedlić się bednarzom. Wilkierz ten kładł duży nacisk na przestrzeganie ścisłej specjalizacji. Np. garbarzom zabroniono pomagać szewcom w wyrobie butów.

Spory pomiędzy cechami powstawały właśnie najczęściej na tle przekraczania zakresu specjalizacji, zwłaszcza gdy w grę wchodził podobny surowiec. Np. wadzili się ze sobą na tym tle krawcy i kuśnierze, kowale i nożownicy etc. Zresztą ingerencja jednego cechu w sprawy i uprawnienia drugiego była surowo zakazana w ogóle.

Za niegodne szanującego się rzemieślnika uważano zdobywanie klienteli przy pomocy specjalnych zabiegów. Np. kuśnierzom zabroniono pod surową karą noszenia towaru od domu do domu i oferowania go w ten sposób potencjalnemu klientowi.

Bardzo poważną rolę w życiu średniowiecznej Świdnicy odgrywał handel. Jego przedmiotem były nie tylko produkty miejscowego rzemiosła, ponieważ świdnickie kupiectwo wyspecjalizowało się także w wielkim handlu międzynarodowym, tranzytowym, pomiędzy wschodnią a zachodnią Europą.

Tradycje świdnickiego handlu wywodziły się z cotygodniowych targów, później nieco i jarmarków, które miały tu miejsce jeszcze w okresie przedlokacyjnym. Miały one charakter lokalny, ich celem była wymiana produktów rolniczych i hodowlanych na towary produkowane w mieście bądź sprowadzane z innych stron. Jarmarki miały miejsce parę razy do roku, w ściśle ustalone dni. Na ogół każdy jarmark miał swój określony charakter (np. na wełnę, na bydło), był okazją do zawierania transakcji handlowych m/m. kupcami przybyłymi nieraz z dalekich stron. Najstarszy jarmark świdnicki przypadał w dniu św. Galla (16 X). Handlowano na nim wołami zakupywanymi na ziemiach polskich. Jarmark ten ściągał kupców z Pragi, Drezna, Norymbergii i Lipska. Od w. XVI słyszymy też o jarmarkach w pierwszą niedzielę wielkiego postu, na św. Urbana (25 V) i św. Dominika (5 VIII). Ciekawe są niektóre ustalenia odnośnie targów i jarmarków. Rzemieślnicy z zewnątrz mogli np. sprzedawać swe wyroby tylko na jarmarkach, w kramach, w podcieniach rynkowych czy na ławach. Natomiast nie wolno było obcym rzemieślnikom wystawiać towarów na targach ani w niedzielę, gdy ściągało do miasta sporo ludzi z okolicy. Tu należy dodać, że niedziela była normalnym dniem handlowym, a transakcje przerywano tylko na czas sumy. Sprzedawcy spoza Świdnicy wnosili w czasie jarmarku specjalną opłatę, „postojowe". Często miała ona przeznaczenie specjalne (np. pokrycie szkód pożarowych).

Kupcy byli w średniowiecznym mieście grupą liczną, ale zróżnicowaną zarówno ze względu na stopień zamożności jak i wpływy. Podstawową grupę stanowili kramarze, kupcy detaliczni, którzy w Świdnicy posiadali stałe kramy w Rynku, bądź tzw. Domu Kupieckim, zajmującym środkową część placu rynkowego i początkowo spełniającego obok funkcji handlowej także rolę siedziby władz miejskich. Pierwsza wzmianka o Domu Kupieckim pochodzi z r. 1291. Zawarta jest w dokumencie książęcym, który zezwala na ustawienie, właśnie obok Domu Kupieckiego, 32 kramów stałych za opłatą 1/2 grzywny dobrego srebra rocznie, ze zwolnieniem od tej opłaty w okresie pierwszych dwu lat. Kramy te zlokalizowano po północnej stronie Domu Kupieckiego. W XIV w. liczba kramów stale wzrastała. Tworzyły one w samym Domu Kupieckim bądź w różnych częściach Rynku ciągi specjalizujące się

w handlu identycznymi bądź podobnymi towarami. Kramarze zajmujący się sprzedażą sukna oraz cenniejszych towarów mieli swe kramy w Domu Kupieckim, pozostali, handlujący drobnymi artykułami użytku codziennego, wyrobami galanteryjnymi etc. na zewnątrz.

Swoje ławki czy kramy mieli też rzemieślnicy zbywający swe wyroby. Mogli oni sprzedawać tylko wyroby własne, a za uzyskanie miejsca na kram czy ławkę musieli uiszczać opłatę. Opłata ta była zróżnicowana w zależności od sprzedawanych artykułów. Rzeźnik np. płacił 12 grzywien, piekarz 3—2 grzywny, szewc — 1 grzywnę itd. Opłaty początkowo przypadały księciu, później radzie miejskiej. Książę z kolei zobowiązywał się chronić kramy przed pożarem i złodziejami. W r. 1369 ks. Agnieszka zezwala na ustawienie kramów śledziowych. W r. 1379 rada zezwoliła wznosić przy kramach nawet izby mieszkalne, byleby kram był murowany i kryty dachówką. Lokalizacja poszczególnych ciągów na ówczesnym Rynku jest dziś, poza fragmentarycznymi wzmiankami, niemożliwa. Wiemy np., że w r. 1330 na północnej stronie Rynku znajdowały się kramy z artykułami mieszanymi, że w 2 poł. XIV wieku szewców przeniesiono z Rynku na ul. Długą a ławki garncarzy na plac przy Bramie Kraszewickiej.

Kramarze zrzeszeni byli od r. 1336 we własnym cechu, który cieszył się dużym poważaniem i miał poważne wpływy na sprawy miasta. Dla zabezpieczenia interesów kramarzy często rzemieślnikom nie wolno było zbywać swej produkcji inaczej niż w systemie hurtowym, natomiast sprzedaż detaliczną prowadzili kramarze. Na przykład sukiennicy mogli zbywać swe wyroby tylko w całych postawach (ok. 15 m), natomiast kroić sukna i sprzedawać na łokcie mogli wyłącznie kramarze. Powodowało to wiele zadrażnień i otwartych konfliktów.

W r. 1336 wybuchł spór m/m. kupcami a władzami miejskimi o miejsce w Domu Kupieckim. Kupcy pragnęli swe kantory ulokować na I piętrze Domu Kupieckiego, gdzie prócz władz miejskich miały swą siedzibę sądy: miejski i żydowski. Spór ciągnął się dość długo i zakończył się, po wkroczeniu rady i starszyzny cechowej, utrzymaniem wszystkich kantorów w parterowej części budynku. Problem rozwiązała ostatecznie dopiero budowa oddzielnego ratusza.

Konkurencję dla kramarzy stanowili tzw. przekupnie, którzy kramów nie mieli, ale handlowali różnorodnymi drobnymi artykułami, które najczęściej rozkładali wprost na ziemi, na bocznych ulicach, przed kościołami czy w bramach miejskich. Celem wyeliminowania konkurencji wprowadzono i w stosunku do nich

szereg dotkliwych ograniczeń. Ograniczenia obowiązywały zresztą w całym handlu, a kto ich nie przestrzegał — płacił dotkliwe kary.

W rękach kramarzy spoczywał zatem drobny handel detaliczny, ale nie oni decydowali o obliczu średniowiecznego handlu świdnickiego. Elitę stanowili tu wielcy kupcy, hurtownicy, zajmujący się handlem międzynarodowym, którzy jednak nie gardzili także obrotem detalicznym. Oni to mieli wyłączny przywilej sprzedaży sukna na łokcie.

Handel świdnicki znalazł się w XIV w. w sytuacji wyjątkowo korzystnej w związku z polityką miejscowych Piastów. Mianowicie Kazimierz Wielki, w uznaniu dla antyluksemburskiej polityki Bolka II, nadał kupcom z księstwa świdnicko-jaworskiego w dniu 1 I 1345 r. przywilej wolnego handlu ze Wschodem, bez uiszczania opłaty na polskich komorach celnych. Ponieważ cła pobierane w monarchii kazimierzowskiej były bardzo wysokie, kupcy świdniccy, nie płacąc ich, mogli prowadzić handel z Polską, Litwą czy Rusią w relacjach znacznie bardziej opłacalnych od potencjalnych konkurentów z innych ośrodków. Wywożono na Wschód piwo, tkaniny lniane, sukno, garbowane skóry, wyroby metalowe, artykuły luksusowe, przywożono — różnorodne towary wschodnie. Nieco później, w r. 1355, podobny przywilej, tym razem na wolny handel z Pragą, a ponadto w r. 1363 — z Wrocławiem, wydał dla kupców świdnickich Karol IV. Olbrzymie dochody z bezcłowego handlu doprowadziły do wczesnego nagromadzenia w rękach świdnickiego patrycjatu dużych zasobów pieniężnych, które m. in. już w XIV w. dały początek lichwie uprawianej na dużą skalę, zwłaszcza przez Żydów. Jak wielkie były kapitały lichwiarskie może świadczyć fakt, że Bolko II w r. 1348 zastawił u Żyda Izaaka miasto Lwówek. Zresztą w omawianym okresie zjawisko korzystania przez władców z kapitału handlowego w formie pożyczek jest zjawiskiem powszechnym.

Świdnica była zatem w w. XIV—XV wielkim centrum gospodarczym, skupiającym handel Śląska ze Wschodem. Na tym polu musiał jej ustąpić pierwszeństwa nawet potężny Wrocław. Dopiero w w. XVI, na skutek zmiany szlaków handlowych w wyniku wielkich odkryć geograficznych rola Świdnicy w handlu międzynarodowym osłabnie. Wtedy jednak Świdnica, od dwu stuleci oderwana od Korony Polskiej, przejmie handel Śląska z ziemiami polskimi.

Pomyślna sytuacja ekonomiczna średniowiecznego miasta nie obejmowała wszystkich jego obywateli. Biedota miejska, pozbawiona własnych środków produkcji oraz jakichkolwiek kapitałów,

wyzyskwiana przez kupiectwo i rzemieślników jako siła najemna, bądź tworząca tzw. margines społeczny, cierpiała dotkliwie na skutek ustawicznego wzrostu cen na artykuły pierwszej potrzeby. Wzrost ten był z jednej strony efektem spadku realnej wartości pieniądza, z drugiej — polityki cenowej cechów zainteresowanych w maksymalnych zyskach. W r. 1377 np. korzec pszenicy kosztował 4,5 grosza (ok. 17 g srebra), korzec żyta — 3,5 grosza (ok. 13,5 g srebra), jęczmienia — 2,5 grosza (ok. 9,5 g srebra), owsa — 1,5 grosza (ok. 6 g srebra), cielę — 5 groszy (ok. 19 g srebra), świnia — 8 gr (ok. 30,5 g srebra), koń — 7 grzywien (ok. 1277,5 g srebra), wół — 1 grzywnę (182,5 g srebra), kwarta (ok. 0,5 l.) piwa 1 wiardunek (ok. 45,5 g srebra!!). Ten stan rzeczy doprowadzał wielokrotnie do wybuchów niezadowolenia ze strony biedoty. Przy rosnących bowiem stale cenach zarobki pracowników najemnych i tak bardzo niskie, wzrastały minimalnie. Aby zapobiec wrzeniom, rada miejska uchwaliła w r. 1311 maksymalne ceny na chleb. Przeciw tej decyzji zbuntowali się piekarze i demonstracyjnie opuścili miasto. Książę Bernard wraz z radą obłożył cech karą 200 groszy srebrnych oraz w celu przełamania monopolu cechowego ustanowił wolny targ na chleb raz w tygodniu, w niedzielę. W dniu tym każdy mógł przywieźć spoza miasta własny chleb (tylko żytni, okrągły) w celu sprzedaży. Chleb ten musiał być sprzedany do południa. Nie sprzedany przechodził na własność rady i był rozdzielany szpitalom, przytułkom etc. Nie wolno więc było niesprzedanego chleba zabierać z powrotem ani odsprzedawać go piekarzom w mieście. Przywilej wolnego targu na chleb potwierdził Bolko II w r. 1337. Później, w r. 1344, Bolko II ustanowił w czwartki i soboty wolny targ na sól, natomiast Agnieszka w r. 1374 wolny targ na mięso. W r. 1378 księżna ustanowiła ponadto drugi dzień wolnego targu na chleb — czwartek.

Odrębne zagadnienie stanowiło tzw. rzemiosło i handel o charakterze wiejskim. Stanowiły one poważną konkurencję dla handlu i rzemiosła miejskiego, toteż były zwalczane przez cechy i radę w sposób bardzo energiczny. Poczynania te często były w dużym stopniu bezowocne, ponieważ rzemieślnicy pozacechowi, tzw. „partacze" lub też wiejscy karczmarze czy przekupnie bądź nie podlegali jurysdykcji miejskiej bądź też pracowali na zlecenie i pod ochroną okolicznej szlachty. Na tym tle dochodziło w XV w. do poważnych zatargów między radą a okoliczną szlachtą. Przed tego typu konkurencją miasta średniowieczne broniły się najczęściej specjalnymi przywilejami, uzyskiwanymi od władców. Prawo mili, jak już wspomniano, nadał Świdnicy Henryk IV Probus już w r. 1285. Odnowił je i rozszerzył Bolko II w r. 1347. Odnoś-

ny dokument stwierdza, że w odległości 1 mili od miasta nie może mieszkać żaden rzemieślnik, nie mogą się odbywać bez specjalnego zezwolenia książęcego żadne jarmarki, nikt też nie może wyrabiać słodu ani warzyć piwa o ile nie otrzymał na to zezwolenia od cechu karczmarzy. W r. 1326 natomiast zabronił książę handlu wiejskiego, szczególnie zaś sprzedaży sukna w domach i przed kościołem. Za przestrzeganie powyższego zakazu uczynił odpowiedzialnymi wiejskich sołtysów.

Zarówno rzemiosło pozacechowe jak i handel wiejski zniszczone jednak nie zostały. Przetrwały średniowiecze, aby ze zdwojoną siłą ujawnić się w następnym okresie.

Mieszczaństwo świdnickie broniąc się przed konkurencją z zewnątrz samo nie miało podobnych obiekcji w stosunku do innych ośrodków miejskich. A konkurencja ze strony Świdnicy była duża, ponieważ zarówno wysoka jakość świdnickich wyrobów rzemieślniczych, szczególnie piwa, jak i bezcłowy przywóz towarów z krajów ościennych, zwłaszcza w XIV w. ze Wschodu, stwarzały poważne zagrożenie nawet dla Wrocławia. Zwłaszcza piwo świdnickie było bardzo wysoko cenione w całej środkowej Europie i w wielu wypadkach zagrażało produkcji miejscowej mimo swej wysokiej ceny. O rozmiarach jego eksportu świadczy fakt, że w roku 1474 roczna produkcja wyniosła 1300 warów (blisko 1 mln litrów). Produkcję piwa regulował specjalny „urbiarz piwny", jego producentami byli karczmarze, a współpracowały z nimi cechy słodowników i bednarzy.

Najwyższym uznaniem cieszyły się piwa: „marcowe", „mocne" zwane inaczej „skop" oraz „czeskie" i „gorzkie". Wyszynki tego piwa, droższego często od wina, prowadziły specjalne piwnice w wielu miastach europejskich, m. in. Wrocławiu, Krakowie, Pradze, Heidelbergu czy Pizie. O dotkliwości konkurencji świdnickiego napoju dla produkcji wałsnej wielu miast świadczą zakazy przywozu świdnickiego piwa wydawane w licznych miastach. Np. w Brzegu ks. Bolesław III zakazał w r. 1342 i w r. 1344 przywozu i spożywania piwa ze Świdnicy. Takie same zakazy pojawiły się w XIV w. w Środzie Śląskiej, Oleśnicy, Wrocałwiu. Na tym tle dochodziło do poważnych konfliktów i zatargów. Najsłynniejszy miał miejsce we Wrocławiu w r. 1380. Nie bacząc na zakazy tamtejszej rady Ruprecht, książę legnicki, przysłał w charakterze noworocznego upominku wóz wyładowany beczkami ze świdnickim nektarem swemu bratu, Henrykowi, dziekanowi kapituły katedralnej. Straże miejskie skonfiskowały na polecenie rady przy wjeździe do miasta cały ładunek, a woźnicę wtrąciły do lochu. Kapituła zażądała zadośćuczynienia i zagroziła, że w razie odmowy

obłoży miasto interdyktem. Ponieważ rada ostrzeżenie zlekceważyła, zakazano odprawiania w całym mieście nabożeństw, udzielania sakramentów, zamknięto kościoły a kapituła przeniosła się do biskupiej Nysy. Nie pomogły próby wymuszania posług religijnych na duchowieństwie zakonnym ani nawet osobista interwencja króla czeskiego, Wacława. Spór ciągnął się do maja 1382 i został zakończony kapitulacją rady. Piwo świdnickie wróciło na wrocławskie stoły, a wrocławianie mogli powrócić do praktyk religijnych. Incydent ten otrzymał w historii nazwę „wojny piwnej" lub „kleszej". Podobnych incydentów było więcej. Zresztą odwrotne sytuacje zdarzały się w samej Świdnicy. Mieszczanie świdniccy chętnie pili piwo wrocławskie, strzegomskie czy lubańskie, ze względu na bardzo wysokie ceny rodzimego. Piwowarzy świdniccy zapewnili sobie zatem przywilej, który wystawił Maciej Korwin w r. 1489, na mocy którego w Świdnicy mogło być szynkowane tylko piwo miejscowe. Przywilej ten stał się źródłem sporów, które ciągnęły się ponad 130 lat.

Warto też wspomnieć o dochodach samego miasta. Były one różnorodne. Pierwszą grupę stanowiły dochody przysługujące początkowo wyłącznie księciu (tzw. „regale"), które książęta stopniowo odstępowali bądź wydzierżawiali za wysokimi opłatami miastu. Jest rzeczą znaną, że władcy feudalni stale potrzebowali pieniędzy i często zapożyczali się u mieszczan, szczególnie Żydów, bądź odsprzedawali im przysługujące sobie uprawnienia. Piastowie świdniccy nie stanowili tu wyjątku, szczególnie Bolko II, który przepychem swego dworu pragnął dorównać monarchom. Niektórzy kronikarze twierdzili również, że księcia sporo kosztowały uciechy miłosne, którym ponoć lubił się oddawać. Znany jest w każdym razie zapis księcia z r. 1351 na rzecz jego kochanki, Elzy Haberkorn, w wysokości 10 grzywien srebra rocznie. I tak np. w r. 1345 Bolko II odstąpił mieszczanom wszystkie cła, szczególnie solne, za jednorazową opłatą 220 grzywien groszy polskich. W r. 1531 za 200 takowych grzywien odstąpił miastu dochody z targu solnego, wcześniej jeszcze, w r. 1346 odstąpił miastu na 10 lat dochody z wójtostwa za poręczenie długu u nyskich Żydów w wysokości 150 grzywien groszy polskich etc. Kolejną grupę dochodów stanowiły różnorodne czynsze pobierane przez miasto. Były to więc czynsze od parcel miejskich i majątków ziemskich w wysokości 12 grzywien od każdego łana, czynsze od kramów i ławek kupieckich oraz młynów miejskich w liczbie dziewięciu w granicach od 20 do 44 grzywien rocznie. Trzecią grupę stanowiły opłaty cechowe, sądowe, z tytułu osiedlania się w mieście, kar itp. Trudno ustalić bodaj szacunkowo wysokość dochodów miejskich w jakiej-

kolwiek skali czasowej, ale musiały być znaczne, skoro wystarczały nie tylko na zaspokojenie bieżących potrzeb miasta ale i na wznoszenie reprezentacyjnych budowli (ratusz, kościół św. św. Stanisława i Wacława) oraz zakup dóbr ziemskich.

Zbieranie wszelkiego rodzaju dochodów i ich rozliczanie powierzono specjalnym urzędnikom, których pracę nadzorował jeden z radnych piastujący funkcję skarbnika. Kasa miejska, podobnie jak księgi i pieczęcie, mieściła się w specjalnej skrzyni zamykanej na 3 zamki, do których klucze mieli oddzielnie trzej radni. W kasie przechowywano pieniądze i rachunki, na każdy wydatek musiała wyrazić zgodę większość rady.

Świdnica, podobnie jak kilka innych miast w księstwie, posiadała prawo bicia własnej monety. Mennica należała do księcia. Trudno dziś ustalić, kiedy powstała i gdzie była zlokalizowana. W każdym razie istniała już w r. 1280, ponieważ w dokumencie z tegoż roku wymieniony jest, jako świadek, mincerz Petzmann. Znane są również dwustronne monety Bolka I i Bernarda. W roku 1341 Bolko II odstąpił za 20 grzywien mieszczanom świdnickim prawo bicia halerzy (12 halerzy = 1 grosz srebrny) na ten rok. W r. 1351 sprzedał z kolei mieszczanom za 300 grzywien groszy praskich na 10 lat prawo bicia złotych florenów oraz monet srebrnych. Przywilej ten, za analogiczną opłatą odnowiony został przez księcia na następne 10 lat w r. 1361 a następnie z niewielkimi zmianami, przez księżnę Agnieszkę w r. 1371 i 1382. Mennica świdnicka produkowała raczej monetę drobną. Z jednej grzywny bito podówczas na Śląsku 3 złote floreny, bądź 24 srebrne skrojce lub 48 srebrnych groszy. Bito również półgroszki czyli kwartniki (96 z grzywny) a wreszcie denary zwane później halerzami lub fenigami (z grzywny 576). System rachunkowo-pieniężny na Śląsku w w. XIV przedstawiał się zatem następująco: 1 grzywna (182,5—189 g kruszcu = 24 skrojce = 48 groszy = 96 kwartników = 576 halerzy (in. fenigów).

Nadmienić należy, że grzywna wagowo nie była jednostką ustabilizowaną, stąd odchylenia, nieraz dość poważne w różnych ośrodkach. Prócz powyższego był w użyciu również system praski, nie różniący się zbytnio od śląskiego.

Podstawowa relacja monetarna, ustalona przez Bolka II w roku 1352, wynosiła 1 grosz = 12 halerzy = 24 kwartniki. Halerze i kwartniki produkowano wówczas ze stopu zawierającego ok. 85% srebra i 15 % miedzi. Później następuje systematyczne pogarszanie się świdnickiej monety, przede wszystkim z powodu zmniejszania zawartości czystego srebra. Pociąga to za sobą systematyczny spa-

dek jej wartości. Już np. w 2 poł. XIV w. halerze i półgrosze bito ze stopu zawierającego 1/3 srebra i 2/3 miedzi.

Po śmierci ks. Agnieszki w r. 1392 mennica pozostawała w rękach mieszczan. W r. 1430 dokument królewski przedłużył prawo posiadania przez miasto mennicy „aż do odwołania". Odwołanie nastąpiło szybko, bo już w r. 1437 Zygmunt Luksemburczyk sprzedał prawo bicia monety ówczesnemu nadstaroście świdnickiemu za 1600 kóp groszy praskich. Po licznych staraniach udało się radzie miejskiej prawo to ponownie odkupić za tę samą kwotę w r. 1446.

O ile w. XIV był na Śląsku okresem względnej stabilizacji pieniądza, o tyle w. XV przyniósł ogromny chaos monetarny a przede wszystkim gwałtowne pogorszenie jakości pieniądza. Mimo iż 9 czynnych mennic na Śląsku w tym 3 na terenie księstwa świdnicko-jaworskiego: w Świdnicy, Lwówku i Strzegomiu biło niemal wyłącznie halerze, jakość tych monet obniżała się ustawicznie. Stąd próby reform monetarnych, które miały na celu uzdrowienie sytuacji i stabilizację pieniądza. Już w roku 1450 doszło do porozumienia stanów odnośnie bicia jednakowej monety przez wszystkie mennice śląskie. Zła moneta miała być wycofana za wyjątkiem groszy wrocławskich, świdnickich, nyskich i brzeskich. W r. 1455 z kolei Jerzy z Podiebradu uzgodnił z biskupem wrocławskim oraz stanami księstw: wrocławskiego i świdnicko-jaworskiego a także książętami cieszyńskimi bicie jednolitej monety opartej na guldenie reńskim, któremu odpowiadałoby 28 groszy czeskich, a każdemu groszowi — 17 halerzy śląskich. W r. 1470 Maciej Korwin próbował wprowadzić jeszcze inny stosunek kursów: guldenowi miało odpowiadać 30 groszy praskich, a każdemu groszowi 14 halerzy. Przy tym przez dwa lata miała bić monetę wyłącznie mennica wrocławska, a dopiero po ich upływie jeszcze świdnicka i namysłowska. Wszystkie te próby kończyły się fiaskiem, a wymiana starej monety na nową, z reguły gorszą, powodowała niezadowolenie społeczeństwa. W r. 1511 zapoczątkował kolejną reformę Władysław Jagiellończyk. Ustalała ona, że groszowi śląskiemu odpowiada 12 halerzy, natomiast czeskiemu — 14. Prawo bicia monety otrzymał tylko Wrocław. Postanowienie króla Władysława wywołało w Świdnicy burzę, gdyż naraziło handel świdnicki na poważne straty. Rzecz sprowadzała się do tego, że polscy kupcy, którzy przywozili do Świdnicy sól a wywozili do Polski piwo, odmawiali przyjmowania nowej monety, jako całkowicie im nieznanej. Zresztą przyjmowania tej monety na terenie Polski zabronił w r. 1518 Zygmunt Stary.

W r. 1517 w Świdnicy zaczęto po raz pierwszy fałszować polską monetę, obficie podówczas krążącą w miejscowym obiegu. Były to tzw. ciężkie grosze polskie, których wypuszczono zapewne sporo, skoro afera zyskała rozgłos w skali międzynarodowej. Sytuacja pieniądza przyczyniła się do zaognienia konfliktów społecznych, a tym samym do wybuchu powstania ludowego w latach 1520—24.

Monety w średniowiecznych mennicach mogli wybijać wyłącznie zawodowi mincerze. Cieszyli się oni w Świdnicy licznymi uprawnieniami. M. in. byli zwolnieni z podatku od nieruchomości, a opłaty na rzecz księcia czy miasta uiszczali tylko w przypadku, gdy wykonywali jeszcze inny fach, np. warzyli piwo lub przygowywali słód. Płacili również podatek od otrzymanego spadku. Każdy przybysz, przywożący ze sobą złoto lub srebro, w pierwszym rzędzie miał obowiązek odsprzedaży tych kruszców mincerzowi. Dopiero gdy ten ostatni odmówił — mógł je odsprzedać każdemu chętnemu. Po wybiciu nowych halerzy mincerz miał obowiązek przedstawienia radzie jednej monety tytułem próby. Przy tym — zwyczajowo — obdarzał każdego radnego jednym skrojcem.

— — —

Powyższa praca stanowi pierwszą część rozdziału poświęconego średniowiecznej Świdnicy, przygotowanego do nie wydanej z braku środków monografii historycznej miasta.

Część druga, obejmująca problematykę społeczną i narodowościową, kulturę oraz życie religijne — ukaże się w kolejnej edycji Rocznika.

Ryszard Len

TWÓRCY NAJSTARSZEGO PLANU ŚWIDNICY

Wyrazem prestiżu znaczniejszych miast nowożytnej Europy były ich przedstawienia wedutowe. Nieliczne miasta uwiecznione zostały aż na kilku monumentalnych widokach z lotu ptaka. Należy do nich Świdnica, której minionej świetności dowodzi również sam wizerunek utrwalony w tych prospektach.

Najstarszy widok perspektywiczny Świdnicy to plan z roku 1623[1]. Ukazuje on obraz miasta w momencie rozkwitu, a tuż przed największą tragedią — wydarzeniami wojny trzydziestoletniej, po których stolica najpotężniejszego księstwa śląskiego, nie odzyskała dawnego znaczenia.

Pendant do tej weduty stanowi o sto lat późniejszy widok perspektywiczny miasta narysowany przez Friedricha Bernharda Wernera[2]. I tu obraz Świdnicy odwzorowany został w momencie przełomowym. Był to pierwszy wizerunek miasta podźwigniętego z gruzów i zgliszcz, a niedługo przed przeistoczeniem go w pruską twierdzę.

Pominięto tu oczywiście powstały w międzyczasie, tj. przed 1650 rokiem, widok Świdnicy pochodzący z dzieła największego weducisty — Matthäusa Meriana[3]. W tym wypadku jednak nie ma wątpliwości, że plan Meriana jest tylko repliką widoku z 1623 r., z nieznacznymi bądź przypadkowymi „aktualizacjami". Wyprowadzony z typową dla Meriana dyscypliną linearnego duktu, predylekcją do kubizowania form i zwartością sektorów urbanistycznych, w równym stopniu zdradza dowolność interpretacji brył i elementów architektonicznych, co dowodzi, że twórca sztychu nie znał miasta z autopsji[4].

W warstwie topograficznej widok z r. 1623 i widok Wernera, stanowią dwa podstawowe źródła ikonograficzne, przy czym ten pierwszy należy uznać za najcenniejszą wedutę świdnicką. Widać na niej miasto jeszcze nie tknięte przez Szwedów, a więc niemal średniowieczne. Wiele obiektów architektury znamy wyłącznie z tego widoku. Dotyczy to choćby kościoła św. Mikołaja, czy też

najstarszej znanej kaplicy ratuszowej[5]. Ikonograficzną wartość planu docenił jako pierwszy największy dziejopis świdnicki Julius Schmidt w monografii z 1862 r.[6]

Jakkolwiek plan Świdnicy z 1623 r. pomógł piszącemu te słowa przybliżyć genezę kaplicy ratuszowej, przekazał potomnym wizerunek kościoła św. Mikołaja i innych budowli, jego utylitarny charakter dla restauracji zabytków miasta nie został jeszcze odkryty. W tej materii częściej korzysta się z prospektu Wernera.

Studium niniejsze nie traktuje o warstwie topograficznej widoku. Jest próbą ustalenia jego genezy i autorstwa. Począwszy od pracy Schmidta, aż po artykuły z ostatnich lat, zagadnienia te pomijano, unikano bądź ignorowano. Przyczyną tego stanu rzeczy i wątpliwym usprawiedliwieniem dawnych i współczesnych badaczy jest, zdaje się nie mająca precedensu zagadka, dezorientująca nieobeznanych w grafice autorów, zawarta w aparacie napisowo-sygnaturowym ryciny. Aparat ów tworzą:

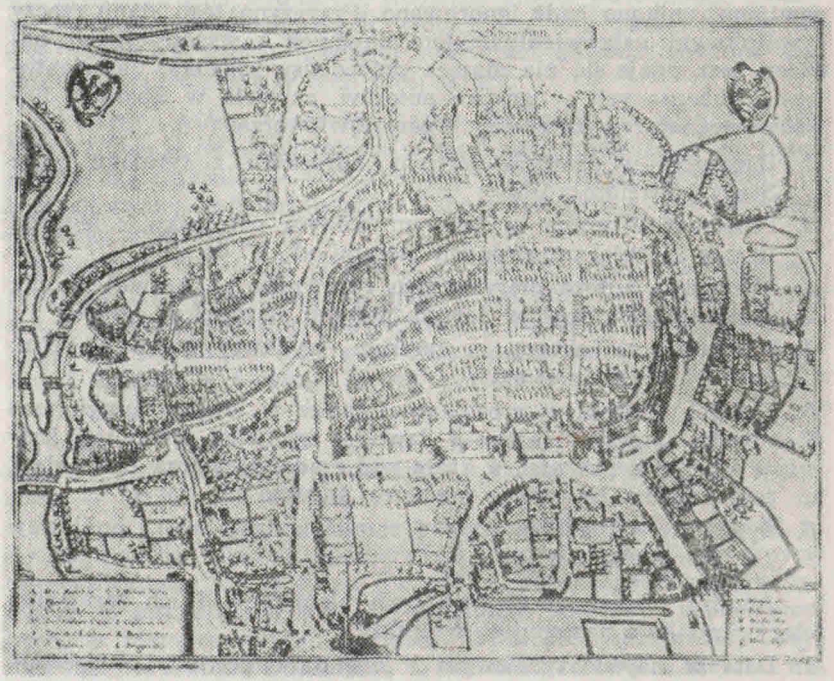
1. Banderola w prawym górnym narożniku z tytułem: „Die Stadt Schweidnitz 1623";
2. Prostokątna ramka w prawym dolnym narożniku z legendą liczącą 18 haseł oznaczonych literami od „A" do „S";
3. Monogram autora pierwowzoru rysownika po prawej stronie prostokątnej ramki w lewym dolnym narożniku: „E/C-B";
4. Monogram sztycharza, a zarazem wydawcy poniżej: effin: /„S·H· /sculp et ex.";
5. Dystych łaciński w prostokątnej ramce w lewym dolnym narożniku, przypominający o dawnym rozkwicie Świdnicy, którą zniszczyli Szwedzi, a która pod rządami cesarza Leopolda I podniosła się, zmierzając ku nowej świetności[7];
6. Sygnatura sztycharza (!) pod ramką z dystychem, po lewej: „G. Linzner sc: An 1690".

Analiza formalno-treściowa tych elementów i ich wzajemne relacje implikują następujące wnioski:

1. Data w napisie tytułowym i legenda odpowiadają wizerunkowi zgodnemu ze stanem miasta w 1623;
2. Dystych odnosi się do roku 1690 i wraz z sygnaturą G. Linznera z 1690, jest obcy graficznej treści widoku i dacie w tytule.
3. Antykwa napisu tytułowego, legendy oraz obu monogramów, zgodna ze stylem ok. 1623, odcina się od kursywy dystychu i sygnatury G. Linznera odpowiadających stylowi ok. 1690.

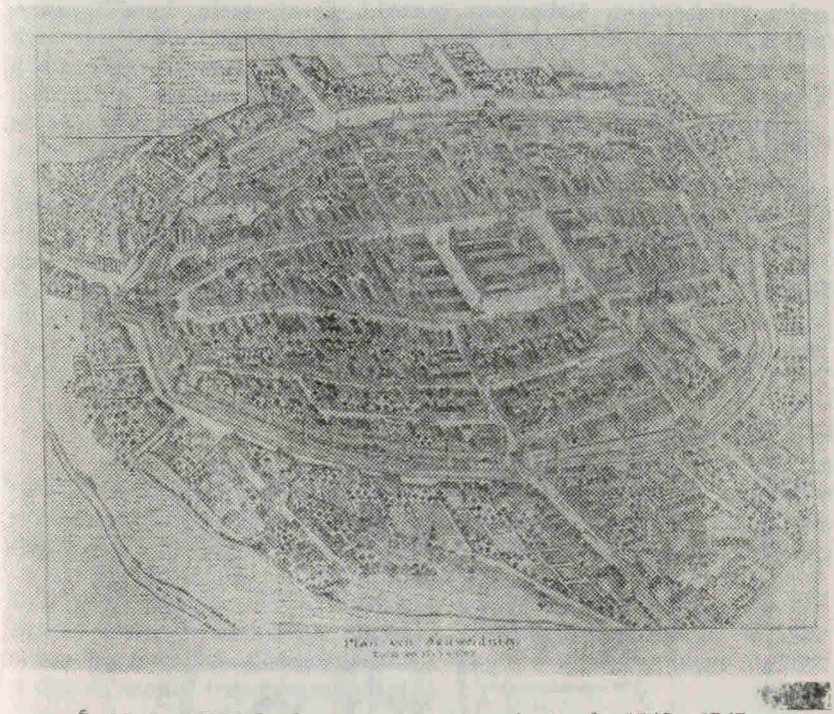
Stan badań

Jak informuje Schmidt, płyta miedziorytnicza z widokiem znajdowała się za jego czasów w świdnickim archiwum ratuszowym, a wykonaną z niej wówczas odbitkę dołączono do monografii[8]. Jego zdaniem, powodem wykonania płyty według rys. z 1623 r., było ukazanie minionej potęgi miasta i zachęcenie potomnych i ojców Świdnicy do naśladownictwa i doprowadzenia do ponownego rozkwitu. Wykonanie płyty miało nastąpić nie w roku 1623, lecz kilkadziesiąt lat po zakończeniu wojny trzydziestoletniej, tj. w 1690. Dodał lakonicznie, że nazwiska tych, którzy plan zdjęli i rytowali, „znajdują się na dole, po lewej" [9].



Świdnica. Widok aksonometryczny miasta przed 1650 r. Wg M. Merian, o. c.

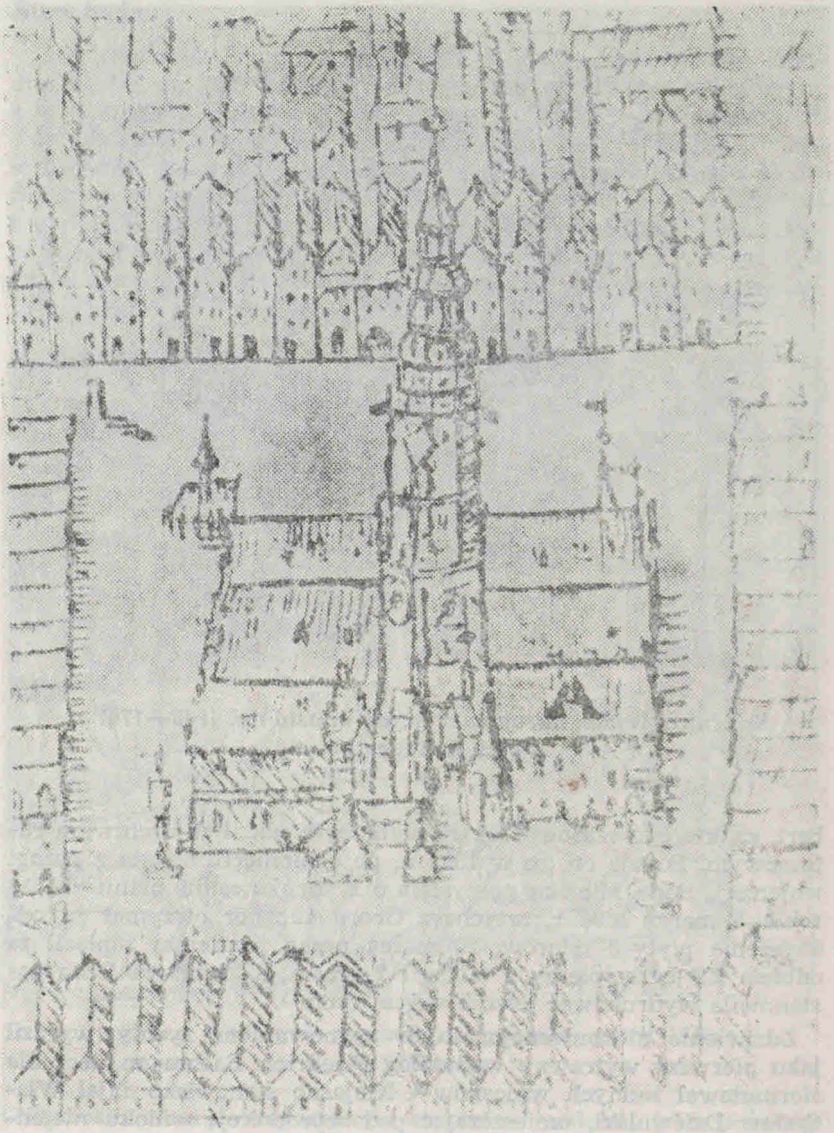
Profesjonalnie do zagadnienia autorstwa widoku, jako pierwszy odniósł się Alvin Schultz, nazywając G. Linznera miedziorytnikiem, który wykonał „Nachstich" prospektu Świdnicy z 1623 r.[10]. Informację tę rozwinął drugi monografista Świdnicy Heinrich Schu-



Świdnica. Widok aksonometryczny miasta ok. 1743—1747 r. Wg H. Schubert, o. c.

bert, za którego czasów 1911 r. płyta była nadal w archiwum ratuszowym. Podaje on, że w 1690 r., po ochłonięciu miasta z pożogi wojennej, Rada Miejska pomyślała o wydrukowaniu planu z 1623 roku. 8 marca 1690 r. sztycharz Georg Linzner otrzymał za odświeżenie płyty 8 talarów, 20 marca urząd rentierski zapłacił za odbicie 225 egzemplarzy 2 talary i 2 grosze, a 29 marca Rada postanowiła wydrukować jeszcze więcej rycin[11].

Zdziwienie niekonwencjonalnym sygnowaniem ryciny wyraził jako pierwszy wytrawny wedutolog Friedrich Bachmann, lecz nie sformułował żadnych wniosków[12]. Niejasne stanowisko zajął Władysław Dziewulski, umieszczając pod reprodukcją widoku niejednoznaczny podpis: „Ryc. 3. Świdnica. Plan miasta i przedmieść z 1690 r. G. Littzenra", a w przypisie określił go: „Widok miasta i przedmieść z lotu ptaka w r. 1623, miedzioryt kopia z r. 1690"[13].



Świdnica. Blok śródrynkowy z widoczną wieżyczką kapliczną Ratusza. Fragment widoku z 1623 r.

Adam Więcek pisze, że G. Linzner sporządzić miał jakoby miedzioryt z panoramą Świdnicy[14]. Alois Fauser wymienia sztych z sygnaturą Linznera z 1690 r. jako późniejszą odbitkę, pomijając zupełnie oba monogramy[15]. Werner Bein, jako pierwszy z młodszej generacji badaczy, streścił informacje podane przez Schuberta, twierdząc, że widok naszkicowany przez monogramistę „ECB" i rytowany na płycie przez „HS", został w 1690 r. przepracowany przez Georga Linznera[16]. W tekście artykułu, jako jedyny autor, uściśla Bein owe przepracowanie płyty do jej oczyszczenia, jednak w haśle katalogu Linzner figuruje jako twórca sztychu[17]. W tejże samej pracy zbiorowej, w artykule o świdnickich wedutach F.B. Wernera, Angelika Marsch, jakby lekceważąc informacje Beina, nazywa Linznera sztycharzem widoku Świdnicy z 1623 (!)[18].

— — —

O miedziorytniku Georgu Linznerze nie wiemy nic więcej poza tym co tu powiedziano. Znany jest jedynie z tej pracy, którą badacze określili jako odświeżenie, przepracowanie, czy też oczyszczenie płyty z 1623. Nie trudno wywnioskować, że istotą tej pracy była w gruncie rzeczy aktualizacja dystychu, sprowadzona do typowej w owym czasie na Śląsku gloryfikacji Leopolda I. W tym wypadku była ona równoznaczna z likwidacją pierwotnego napisu z okresu wojny trzydziestoletniej.

O tym, że Linzner był sprawcą unicestwienia pierwotnej sentencji przekonuje niezwykła odbitka naszego planu, zamieszczona w XVIII-wiecznym rękopisie „Annales et Res Svidnicenses", sygn. Akc. 1950/1055 w Oddziale Rękopisów Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu. Nie ma na niej ani sygnatury Linznera, ani dystychu. W pustej ramce dostrzec można poziome rysy po ścieraniu. Nie jest to jedyna odbitka bez uzupełnień matrycy z 1690 r. Oto na wystawie „Świdnica poprzez wieki" w Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy, wystawiono kolorową wersję planu, przy czym tu puste pole ograniczone ramką wypełniono odręczną notą inkaustem, upamiętniającą pożar miasta 12 września 1716[19]. Związek treściowy noty z wcześniejszym o cały wiek planem jest tu bardzo ogólny.

Nietrudno zrozumieć zainteresowanie w 1690 r., wybitnym artystycznie, lecz nieaktualnym już planem Świdnicy z 1623 r. Szczęśliwie zachowała się płyta z jednym dostępnym wówczas wizerunkiem miasta, pozwalająca na jego powielenie. Nie znamy z 1690 roku sztycharza świdnickiego, zdolnego sprostać zadaniu na

miarę „cesarską", jakie spełniła finezyjna weduta z 1623 r. Zresztą grafika nie należała do artystycznych atutów Świdnicy. Nazywany miedziorytnikiem Georg Linzner, znany jedynie z tej skromnej grawerskiej roboty, mógł być twórcą kilku nieznanych dziś sztychów religijnych, o których wspomina Herman Hoffmann w monografii świdnickich jezuitów[20]. Wydaje się, że sam Linzner, uznany bałamutnie przez kilku autorów za twórcę ryciny, nie starał się stworzyć takiego pozoru. Wprawdzie, na polecenie Rady, zlikwidował pierwotną zawartość ramki, ale uszanował prawowitego twórcę ukrytego pod inicjałami „H·S·". Sygnatura Linznera pod ramką z dystychem odnosi się wyłącznie do niej, w czym utwierdza kursywa, jakby świadomie zastosowana dla odróżnienia od antykwy napisów pierwotnych.

Kim był monogramista „H·S·"? Monumentalizm weduty i biegłość warsztatu, każe szukać sztycharza w kręgu augsbursko-norymberskim — wiodącym w produkcji tego typu skomplikowanych prospektów. W leksykonach monogramistów, wśród grupy miedziorytników używających inicjałów „HS", w prostej oraz mniej lub bardziej skomplikowanych wersjach, nie znajdziemy autora świdnickiego widoku. Nieoceniony Alvin Schultz wiąże autorstwo naszej płyty z Hansem Schmidtem, wytrawiaczem — synem murarza z Augsburga[21]. Miał on 16 listopada 1573 r. pojąć za żonę Elzbietę, córkę Simona Hertela z Wąsosza, z którą miał dwóch synów — Johanna ochrzczonego 21 marca 1575 r. i ponownie Johanna ochrzczonego 18 stycznia 1582 r. 25 września 1585 r. jeden z synów zmarł, a zaraz potem — 4 października żona Lena. W 1586 r. Hans Schmidt ożenił się po raz trzeci[22].

Wprawdzie artystyczna proweniencja widoku i pochodzenie Hansa Schmidta odpowiadającego monogramowi „H·S·", są zbliżone, to odległość czasowa między ostatnią znaną datą biograficzną — 1586, a wydaniem weduty — 1623, każe wnioskować, że jej twórca miał ponad 70 lat. O ile znalezienie się płyty wykonanej zapewne we Wrocławiu, w świdnickim ratuszu, jest zrozumiałe, o tyle brak odbitki z pierwotną sentencją stanowi zagadkę. Możliwe, że wykupiona przez Radę Miejską w tragicznych latach wojny trzydziestoletniej, nie mogła być powielona, a rychłe zrujnowanie Świdnicy sprawiło, że graficzny wizerunek miasta stał się nieaktualny.

Jakkolwiek w kompozycji, sposobie ujęcia i przekazu substancji architektoniczno-urbanistycznej i aparacie napisowo-sygnaturowym widok Świdnicy nie wyróżnia się spośród licznych w owym czasie europejskich prospektów i panoram, to w kategoriach artystyczno-manualnych wyróżnia go niekonwencjonalna lekkość i fine-

zja szkicowej kreski, typowej raczej dla malarza niż poddanego rylcom i i ruletkom rzemieślnika warsztatu graficznego.Nie przypadkowo zatem określił Schutz Hansa Schmidta jako „Etzmalera", czyli wytrawiacza. W tym miejsc uwypada uściślić, a raczej sprostować, że plan Świdnicy z 1623 r., określany przez badaczy miedziorytem, wykonany został techniką szlachetniejszą, przy użyciu kwasu, a więc jest akwafortą.

Wbrew pozorom, łatwiejsze wydaje się określenie autora pierwowzoru rysunkowego, bez którego piękny sztych nie powstałby. Tak dokładny i szczegółowy plan stolicy najpotężniejszego księstwa śląskiego, nie mógł być dziełem przeciętnego i anonimowego rysownika. Wyłączając tytana pracy F.B. Wernera, który zazwyczaj radził sobie sam, realizacji tak skomplikowanego organizacyjnie i technicznie zadania, które dziś wykonuje się z pomocą samolotu, nie podołałby jeden człowiek. Musiał to być zgrany zespół, znający doskonale topografię miasta, mający dostęp na wieżę najwyższego na Śląsku kościoła śś.Stanisława i Wacława, wieżę ratuszową i baszty w murach miejskich. Musieli to być artyści miejscowi, co w przypadku sztycharza, nie miało żadnego znaczenia.

Wróćmy do niekonwencjonalnego monogramu, którego również nie znajdziemy w leksykonach. Klamra sugeruje jednaznacznie, że inicjały tworzą nie jeden, lecz dwa monogramy rysunków o jednym nazwisku, a zatem członków strzechy rodzinnej. Zdaje się, że transformacja oryginalnego zapisu z klamrą na „ECB", zastosowana przez Machmanna, a ostatnio przez Beina, utrudniła jego odczytanie.

Przyjmując powyższe uwarunkowania powstania rynku oraz istotę podwójnego monogramu, należy stwierdzić, że twórcami pierwowzoru planu Świdnicy z 1623 r. byli członkowie najsłynniejszej świdnickiej rodziny malarzy Cyriak i Eustachy Beuchelowie[23], przy czym, w przypadku tego drugiego chodzi o juniora. Podobne przypuszczenia, bez uściślenia, o którego Eustachego Beuchela chodzi, wysunął już w roku 1929 inny monografista Świdnicy Georg Schönaich[24], lecz jak w przypadku noty biograficznej Hansa Schmidta, autorstwa Alvina Schultza, zignorowali je następni badacze.

PRZYPISY

1 Poza reprodukcją w: H. Schubert, Die Bilder aus der Geschichte der Stadt Schweidnitz, Schweidnitz 1911, większości badaczy znana jest oryginalna odbitka (28,8×35,5 cm) w stanie (wersji) załączonym do: F.J. Schmidt, Bemerkungen zu dem Plane der Stadt Schweidnitz aus dem Jahre 1623, Schweidnitz 1862;

2 Reprodukcja w: Schubert, o.c. Datowany na lata 1743—1747. O ile Werner nie pominął niewidocznej na rysunku figury św. Floriana w narożniku ratusza, powstałej w 1720, to wedutę należałoby datować na czas tuż przed tym faktem;

3 Niesygnowany miedzioryt (27,8×23,2 cm) w: M. Merian, Topographia Bohemiae, Moraviae et Silesiae, Frankfurt/M. 1650, po s. 176;

4 Widać to m.in. w partii wieży ratuszowej o wydumanych proporcjach poszczególnych kondygnacji i naiwnie potraktowanej strefie balustrady;

5 R. Len, Topografia kaplicy ratuszowej w Świdnicy w świetle nieznanych źródeł ikonograficznych w Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu, Wrocław 1991, mnps (w przygotowaniu do druku), s. 13;
— L. Radler, Die Präzentorie zu St. Nikolaus in Schweidnitz, Breslau 1936, s. 14—15 i wizerunek na okładce;

6 Por. przyp. 1;

7 „Sic ego florueram, sed flos fuit ille caducus,
Sic olim imbelli, sed pede nixa steti.
Scilicet hostili Mars suecicus ingruit ictu
Prostravitque meum sanguinis imbre decus.
At nunc praeterium Leopoldi gratia florem
Irradiante duplo Sole levare facit.";

8 Schmidt, o.c., s. 6;

9 Tamże;

10 A. Schultz, Untersuchungen zur Geschichte der schlesischen Maler 1500—1800, Breslau 1882, s. 102. Nachstich — sztych „wznowiony";

11 Schubert, o.c., s. 21;

12 F. Bachmann, Die alten Städtebilder. Ein Verzeichnis der graphischen Ortsansichten von Schedel bis Merian, Leipzig 1939, s. 339;

13 W. Dziewulski, Świdnica. W: Studia z historii budowy miast polskich, Warszawa 1957, s. 258 i 277, przyp. 1 b;

14 A. Więcek, Grafika Śląska XVII i XVIII w., Opole 1961, s. 14;

15 A. Fauser, Repertorium älterer Topographie. Druckgraphik von 1486 bis 1750, Wiesbaden 1478, t. II, s. 721, nr 12820;

16 W. Bein, Schweidnitz in Ansichten, Karten und Plänen aus fünf Jahrhunderten. W: Scheidnitz im Wandel der Zeiten. Bearbeitet von Werner Bein und Ulrich Schmilewski, Würzburg 1990, s. 33;

17 Tamże, s. 19 i 33;

18 A. Marsch, Friedrich Bernhard Werner und seine Ansichten von Schweidnitz. W: Schweidnitz im Wandel der Zeiten..., s. 58;

19 Odbitka ze zbiorów prywatnych w Niemczech;

20 H. Hoffmann, Die Jesuiten ich Schweidnitz, Schweidnitz 1930, s. 188 (w 1669 Madonna Ratuszowa została utrwalona na miedziorycie, a liczne odbitki rozdane; w 1673 rozdano odbitki tegoż miedziorytu na rynku świdnickim z okazji święta Wniebowzięcia Marii, s. 204 (umieszczony w 1703 w kaplicy Chrzcielnej świdnickiej fary obraz przedstawiający prześladowania Żydów w Świdnicy w 1453, został z inicjatywy Bractwa Bożego Ciała wyrytowany na miedzi i w postaci powielonych odbitek rozdany), s. 219 (miedzioryt z obrazem Marii Wspomożycielki z kościoła w Witoszowie);

21 Schultz, o.c., s. 136—137, na podstawie ksiąg metrykalnych chrztów i ślubow kościoła św. Marii Magdaleny we Wrocławiu. 6 kwietnia 1584 Hans Schmidt pobrał ok. 8 talarów za wytrawienie i pozłocenie zbroi tułowiowej (tamże);

22 Tamże; — Por.: Tenże, Die Breslauer Maler des 16. Jahrhunderts, W: Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens, VIII, H. 2, 1874, s. 376—377;

23 Cyriacus Beuchel, syn Pantaleona pomalował w 1607 chrzcielnicę w kościele św. Stanisława i Wacława w Świdnicy (później przemalowaną przez jezuitów). Eustachius Beuchel (także Acacius) został majstrem w 1546, 16 lutego 1547 uzyskał prawa miejskie (Wrocławia), a 4 września 1559 ożenił się z Heleną córką doktora Borcka. Zmarł 12 kwietnia 1567. Wdowa po nim i dzieci Ludmiła, Anna i Eustachius, objęte zostały przed sądem kuratelą malarza Andreasa Ruhla. Córka Anna wyszła za mąż za złotnika Marcellusa Heinchena w 1577. O skali przedsięwzięć artystycznych rodziny Beuchel świadczy renowacja ołtarza Zaśnięcia Panny Marii w kośc. św. Stanisława i Wacława w Świdnicy przez Pantaleona w 1578 oraz pomalowanie wieży ratuszowej w 1548 przez braci Eustachiusa i Pantaleona Beuchel. Skąpe wiadomości dot. biografii i działalności rodziny Beuchel, wraz z podaniem źródeł publikują: Kallinich [radny w Świdnicy], Bemerkungen über den Rathsthurm der Stadt Schweidnitz, nach Zeitgeschichten und Urkunden bei der Abnahme und Wiederaufsetzung des Knops auf denselben am 14 ten November 1822, Schweidnitz 1822, s. 7; — E. Wernicke, Schweidnitzer Maler von 1377 an. W: Schlesiens Vorzeit, II, 1875, s. 190 i 265; — A. Schultz, Die Breslauer Maler..., s. 369; — A. Schimmelpfennig, AT, Schönborn, Schweidnitzer Chronisten des XVI. Jahrhunderts. W: Scriptores Rerum Silesiarum, XI, 1878, s. 94; — A. Schultz, Untersuchungen..., s. 23—24; — J. Meyer, Allgemeines Künstler-Lexikon, III, Leipsig 1885, s. 769; — U. Thieme, F. Becker, Allgemeines Lexikon der bildenden Künstler von der Antike bis zur Gegenwart, III, Leipzig 1909, s. 549; — D. Hanulanka, Świdnica, wyd. II popr. i uzup., Wrocław 1973, s. 27, 75, 81, 150;

24 G. Schönaich, Bildpläne und Städtebau in Schlesien, W: Zeitschrift des Verenis für Geschichte und Alterthum Schlesiens, 63, 1929, s. 301. Znamienne jest pominięcie przez Schönaicha sygnatury Linznera, a na s. 293 tegoż artykułu, opuszczenie dwóch ostatnich wersów (dot. Leopolda I) w cytowanym dystychu (!).

Fotografie wykonali:

Pracownia reprograficzna Uniwersytetu Wrocławskiego: 1—3, 5;
Pracownia Fotograficzna Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu: 4

Zdzisław Lec

SIOSTRY ELŻBIETANKI W ŚWIDNICY I OKOLICY

Wobec 150-tej rocznicy istnienia Zgromadzenia Sióstr św. Elżbiety (1842—1992) trzeba powiedzieć, że Siostry Elżbietanki zaznaczyły szczególnie na Śląsku swoją obecność w terenowej pielęgnacji chorych, sanitarnej służbie podczas działań wojennych, w opiece nad opuszczonymi, prowadzeniu szkół i przedszkoli i wszędzie tam, gdzie mogły wspierać potrzebujących[1].

Ich działalność znalazła miejsce także w Świdnicy i jej okolicy. Terminem „okolica" określono obszar, który wyznaczają miasta: Świebodzice, Sobótka, Dzierżoniów i Jedlina Zdrój. W rejonie tym naliczono dziesięć miejscowości gdzie elżbietanki pojawiły się na dłuższy okres czasu.

Oto placówki w alfabetycznej kolejności:

DZIERŻONIÓW. Dom św. Józefa

Placówka istnieje od 1864 roku. Należy do wrocławskiej prowincji zakonnej. Założył ją sędzia George i kilku jego przyjaciół, którzy także później poprzez ofiary zapewnili dalsze utrzymanie wspólnoty.

Dnia 5 I 1864 roku ks. proboszcz Adolf Rinke witał pierwsze siostry: matkę Agnes Lindner, Pię Klein i Klementię Stenzel. Zamieszkały one w domu czynszowym, skąd prowadziły ambulatoryjną opiekę chorych.

W 1870 roku otrzymały własny dom. Za proboszcza Floriana Hoheisela († 10 V 1908), radca sądowy George podarował siostrom swój dom z zabudowaniami, znajdujący się przy ul. Bielawskiej. W tych zabudowaniach urządzono szpital. W pobliskim majątku otwarto ochronkę dla dzieci.

W 1896 roku dobudowano piętro, a w 1898 roku wykonano większą kaplicę z zakrystią. W 1988 roku urządzono park dla chorych. Myślały też siostry o nowym, większym szpitalu. Dlatego Dom Macierzysty zakupił odpowiedni plac pod budowę. Za długoletniej przełożonej, matki Pacyfiki Hohmann, w 1910 roku powstały zabudowania gospodarcze, w 1911 roku wybudowano mury obwodowe i w marcu 1912 roku rozpoczęto budowę szpitala,

W okresie I wojny światowej pielęgnowano rannych, a szpital był lazaretem. W końcu 1918 roku opiekowano się chorymi ogarniętymi epidemią grypy. Z biegiem lat konwent powiększał się i w 1935 roku liczył osiemnaście sióstr. Wtedy pielęgnowały one w szpitalu 1279 chorych w 21 504 dniach opieki i 1095 czuwaniach nocnych, a w ambulatoryjnej opiece 251 chorych w 2363 dniach opieki i 81 czuwaniach nocnych.

W okresie II wojny światowej, od dnia 1 IX 1939 roku do końca stycznia 1945 roku szpital był znowu lazaretem. Do dyspozycji rannych było 60 łóżek. Po wojnie, do 1955 roku placówką kierowały matki: Nemezja Szymczak i Hildegarda Chorzelewska. Przebywało tam dwanaście sióstr, które pracowały w szpitalu. Później ich liczba zmniejszała się i w 1970 roku wyniosła dziewięć sióstr. W szpitalu chorzy mieli wtedy do dyspozycji 95 łóżek. W ambulatoryjnej pielęgnacji opiekowano się 1050 chorymi.

W 1974 roku przełożoną była matka Franciszka Spaleniak, a w 1978 roku matka Innocenta Daca. W 1987 roku placówka liczyła jedenaście sióstr. Wtedy w szpitalu było 100 łóżek, pracowało tam dziewięć sióstr. Ubogim rozdano 400 porcji żywności. W 1989 roku matka Monika Kudełko współpracowała z dziesięcioma siostrami.[2]

Placówka istnieje do dzisiaj. Jej adres: 58-200 Dzierżoniów ul. Słowiańska 3.

DZIERŻONIÓW. Sierociniec

Placówka istniała w latach 1909—1930. Należała do wrocławskiej prowincji zakonnej. W 1910 roku były tutaj cztery siostry: matka Digna Kluge, Adelina Bänsch, Guisberta Wlodarczyk i Lojola Hahn. Siorsty prowadziły sierociniec i dwie ochronki dziecięce. Placówka ta została zamknięta dnia 7 VI 1930 roku.[3]

JEDLINA ZDRÓJ

Placówka istniała w latach 1908—1954. Na prośbę proboszcza Hermana Fiedlera z Jedliny Zdroju wysłała tam matka generalna Lamberta Fleischer dnia 12 VII 1908 roku trzy siostry. Na początku zamieszkały w budynku wynajętym od Matyldy Ruhe. W 1912 roku przeniosły się do własnego domu, który poświęciły św. Antoniemu. W czasie I wojny światowej siostra Maurycja Lüdke pracowała w lazarecie. Dom jako sanatorium odwiedzały chętnie zakonnice i inni goście.

Klasztor przetrwał działania wojenne. Jednak 13 VII 1945 roku siostry musiały odejść z tego domu. Nieco później pojawiły się tam znowu i w 1949 roku prowadziły tam ambulatoryjną opiekę cho-

rych. Placówka istniała do dnia 3 VIII 1954 roku, kiedy to władze państwowe zlikwidowały 46 domów zakonnych w całej prowincji wrocławskiej.[4]

MYSŁAKÓW

Placówka istniała w latach 1898—1954. Założył ją proboszcz Artur Olbrich († 16 X 1928) z pomocą Ojczyźnianego Związku Kobiet. Dnia 6 X 1898 roku przybyły dwie siostry. Zamieszkały najpierw w miejscowej szkole. Później dwa razy zmieniały mieszkanie. Pielęgnowały chorych w Mysłakowie i dwóch sąsiednich wioskach. Wkrótce doszło jeszcze prowadzenie przedszkola. W czasie I wojny światowej jedna z sióstr pracowała w lazarecie. Po wojnie podjęto również pracę w miejscowej szkole gdzie uczono robót ręcznych.

Siostry pozostały w domu do końca wojny, chociaż dnia 17 II 1945 roku ewakuowano ludność przed nacierającym frontem. Po II wojnie światowej do dnia 3 VIII 1945 roku prowadzono tutaj ambulatoryjną pielęgnację chorych.[5]

SOBÓTKA. Dom św. Elżbiety

Placówka istniała w latach 1892—1947. Należała do wrocławskiej prowincji zakonnej. Proboszcz Augustyn Seipoltz z Sobótki prosił generalną przełożoną, matkę Melchiorę Klammt o siostry do prowadzenia ambulatoryjnej opieki chorych dzieci. On też z własnych środków kupił od pani Pauliny Knop za 10 500 marek dom z przeznaczeniem na klasztor dla sióstr. Urządził także jego wnętrze.

Dnia 18 I 1892 roku przybyły pierwsze elżbietanki do Sobótki: Auxentia Laube i Metella (nazwisko?). Jako pierwsza przełożona, przybyła kilka dni później matka Rosina Lamer. Pełniła ona swój urząd tylko do dnia 30 VII 1892 roku przekazując go swojej następczyni, matce Eligii Juppe.

Przedszkole urządzono w 1907 roku dzięki radcy duchownemu Konstantynowi Dziatzko. W latach 1914—1918 Nikodema Fischer usługiwała przy rannych. W 1925 roku zakonnice podjęły pracę w założonej przez proboszcza dra Pawła Bauschke († 10 VIII 1936) szkole robót ręcznych. W tym samym roku dobudowano do budynku klasztornego pralnię, werandę i pomieszczenie na drewno i węgiel.

W 1935 roku siedem sióstr pielęgnowało 152 chorych w ich mieszkaniach w 55 nocnych czuwaniach i 17 dniach opieki. Ich przedszkole odwiedzało 45 dzieci. W szkole robót ręcznych uczyło się 41 dziewcząt.

Placówka przetrwała trudny okres II wojny światowej. Istniała do sierpnia 1947 roku. Została zlikwidowana w związku z ewakuacją sióstr na Zachód.[6]

SOBÓTKA. Szpital Miejski

Placówka istniała w latach 1912—1949. Należała do wrocławskiej prowincji zakonnej.

Zarząd miasta Sobótki wybudował w 1910 roku szpital, do którego od 1912 roku przyjmowano chorych. Ziemianin Paweł v. Kulmitz zapisał dla sióstr pielęgniarek 10 300 marek. Na prośbę zarządu miasta, generalna przełożona, matka Lamberta Fleischer wysłała do pielęgnacji chorych dwie siostry. Dnia 30 X 1912 roku radca duchowny Konstantyn Dziatzko poświęcił szpital i przekazał pielęgnację chorych przełożonej, matce Paschalis Thimm.

Później przybyła trzecia, zaś w 1921 roku czwarta siostra. Od października 1935 rok ubyło tam pięć zakonnic. Wtedy pielęgnowały one 272 chorych w 4158 dniach opieki i 395 nocnych czuwaniach. W okresie II wojny światowej szpital przemianowano na lazaret. Ranni mieli do dyspozycji 30 łóżek. Placówka istniała do dnia 30 IV 1949 roku.[7]

SOBÓTKA. Dom Najświętszego Serca Pana Jezusa

Placówka istnieje od 1922 roku. Należy do wrocławskiej prowincji zakonnej.

Mistrz kamieniarski Edward Joppich zapisał w testamencie swój dom elżbietankom. Chciał aby siostry założyły w Sobótce wspólnotę do ambulatoryjnej opieki chorych. Szczególnie troszczył się o robotników pracujących w tamtejszym kamieniołomie. Proboszcz Aleksander Lissek z Sobótki Górki prosił generalną przełożoną, matkę Mercedes Rother o siostry. Dnia 12 X 1922 roku przybyły: matka Fabia Müller, Marianna Czommer i Renildis Jelinska.

Odziedziczony dom był czynszowy, w którym oprócz sióstr mieszkało wielu innych lokatorów. Na nabożeństwa zakonnice musiały chodzić do oddalonego o 2 km kościoła w Sobótce Górce. Proboszcz Konstantyn Fuhrmann kazał w lecie 1931 roku przebudować mieszkanie na dom starców. Urządzono tam także przedszkole. Wtedy liczba sióstr wzrosła do czterech.

W 1935 roku pielęgnowano 365 chorych w 720 dniach opieki i 98 czuwaniach nocnych. Przy tym w domu starców było 8 osób. Po II wojnie światowej, matka Renildis Jelinska z czterema siostrami zajmowała się ambulatoryjną pielęgnacją chorych. W 1953 roku przełożoną była matka Idesbalda Gackowska. Dnia 3 VIII 1954 roku placówka została zamknięta. Siostry przybyły tutaj znowu dnia 31 XII 1956 roku. Wtedy przełożona, matka Leona Lepsza miała do dyspozycji dwie siostry.

W 1960 roku trzy siostry pielęgnowały 792 chorych. W 1965 roku w domu było sześć sióstr. W 1970 roku pięć sióstr pracowało w Ośrodku Zdrowia, w tym jedna siostra — Sapientia Stach pełniła tam funkcję lekarza dentysty. Zakonnice katechizowały wtedy 32 dzieci. W latach 1974—80 przełożoną była matka Sapientia Stach. Współpracowały z nią cztery siostry.

W latach 1983—89 na stanowisku przełożonej widzimy matkę Auxilię Bartnicką. W klasztorze były jeszcze cztery siostry. Placówka zajmowała się lecznictwem stomatologicznym, pracą ambulatoryjną wśród chorych i katechizacją.[8]

Adres: 55-060 Sobótka, ul. Polna 9.

STRZELCE ŚWIDNICKIE

Placówka istniała w latach 1898—1947. Należała do wrocławskiej prowincji zakonnej.

Proboszcz, ks. dr Edward Pescheke († 20 VII 1912) i Ojczyźniany Związek Kobiet są założycielami tej placówki sióstr, która miała zajmować się ambulatoryjną pielęgnacją chorych.

Przybycie dwóch sióstr, których nazwisk nie znamy, nastąpiło w 1898 roku. Zamieszkały w domu czynszowym. W 1900 przeprowadziły się do własnego domu. W 1910 roku były już trzy siostry: matka Eufrazja Penther, Avatia Neugebauer i Komelia Owczowska, które dnia 1 VII 1911 roku powitały nowego proboszcza, profesora uniwersytetu, ks. dra Kurta Ziesche. Okazał się on podporą zakonnej wspólnoty. Właściciel majątku Opitz okazał się także pełnym wyrozumiałej dobroci dla małego klasztoru.

W 1935 roku trzy siostry pielęgnowały 344 chorych przy 1337 odwiedzinach, 32 czuwaniach nocnych i 20 dniach opieki.

Placówka istniała do października 1947 roku. Jej likwidacja była związana z ewakuacją sióstr na Zachód.[9]

ŚMIAŁOWICE

Placówka istniała w latach 1900—1954. Należała do wrocławskiej prowincji zakonnej.

Proboszcz Augustyn Hanke († 24 IX 1920) wprowadził siostry do Śmiałowic dnia 15 XI 1900 roku. Placówkę ufundowali, major dr Wiktor Barchewitz i Ojczyźniany Związek Kobiet. We wspomnianym dniu przybyły siostry: matka Macaria Viecens i Amata März. Zamieszkały w przeznaczonym dla nich domu.

W 1935 roku trzy siostry peilęgnowały 344 chorych przy 1337 odwiedzinach i 38 czuwaniach nocnych. Oprócz tego 122 razy odwiedziły starszych ludzi. Po II wojnie światowej matka Adolfina Relichowska wraz z dwoma siostrami organizowała ambulatoryjną pielęgnację chorych.

Placówka istniała d odnia 3 VIII 1954 roku.[10]

ŚWIDNICA. Dom św. Elżbiety

Placówka istnieje od 1859 roku. Należy do wrocławskiej prowincji zakonnej.

Założycielem tej wspólnoty jest dbający o życie religijne miasta, syndyk i drugi burmistrz Walentyn Joppich († 6 II 1866). Nakłonił on ks. kanonika Graupe, proboszcza Świdnicy, aby porozmawiał w tej sprawie z matką Marią Merkert.

Siostry przybyły dnia 16 V 1859 roku. Były to: matka Mechtylda Scholz, Euphemia Pohl i Paula v. Schimonska. Joppich udostępnił im część swojego mieszkania przy ul. Długiej 251. Już w pierwszym roku działalności przy wielu chorych musiały przybyć kolejne siostry. Miasto wdzięczne za ich działalność w pierwszych latach przeznaczyło 25 talarów na utrzymanie zakonnic oprócz tego 12 ton węgla, 4 kopy chrustu i bezpłatnie lekarstwa. Do roku 1864 musiano zwiększyć liczbę sióstr do ośmiu.

W 1865 roku kanonik Graupe sprzedał siostrom dom za 3000 talarów. Przy tym 1000 talarów podarowali dobrzy ludzie, a 2000 w tej transakcji zapłaciło miasto. Następca ks. Graupe, proboszcz Hugo Simon już od 1865 roku umożliwił siostrom pracę w sierocińcu. W wojnie 1866 roku chodziły siostry do lazaretu gdzie przez dziewięć tygodni pielęgnowały rannych. Wtedy przybyły dalsze dwie zakonnice.

Później władze miejskie podwyższyły kwotę na utrzymanie, wypłacając rocznie 100 talarów. W wojnie 1870 roku dwie siostry pielęgnowały rannych we Francji, a za przełożonej, matki Lucji Pohl w 1877 roku zlikwidowano sierociniec.

Dnia 6 V 1895 roku rozpoczęto budowę szpitala. Nową lecznicę poświęcił ks. kanonik Simon. W czasie I wojny światowej szpital był lazaretem. Siostry myślały jednak o budowie nowoczesnego, dużego szpitala, ponieważ dotychczasowy nie odpowiadał tym wy-

maganiom. Już w 1914 roku przełożona, matka Procula Kösling kupiła w tym celu odpowiedni plac. Jednak wykonanie zamiaru odwlekało się. Dopiero dnia 27 X 1927 roku położono kamień węgielny pod szpital p.w. św. Elżbiety. Zakończenie budowy nastąpiło w 1929 roku. Dnia 5 III 1929 roku ks. dr Schmidt poświęcił lecznicę, umieszczając w kaplicy Najświętszy Sakrament. Szpital posiadał 140 łóżek.

W 1935 roku dwadzieścia osiem sióstr pielęgnowało w szpitalu 1904 chorych w 31 710 dniach opieki i 334 czuwaniach nocnych. W ambulatoryjnej opiece 163 chorych w 6664 dniach opieki i 121 czuwaniach nocnych. Biednym wydano 3650 porcji żywności.

W okresie II wojny światowej szpital był lazaretem. Do dyspozycji rannych żołnierzy było 100 łóżek. Pielęgnację prowadziły siostry zakonne.

Również po wojnie głównym zajęciem elżbietanek w Świdnicy była praca w szpitalu. W 1949 roku matka Rabana Zaradna miała do dyspozycji trzydzieści osiem sióstr. W 1953 roku przełożoną była matka Fortunata Młyńska. W 1955 roku w domu były trzydzieści trzy siostry a w 1965 roku dwadzieścia sióstr.

W 1970 roku ambulatoryjnie pielęgnowano 80 chorych. Wykonano 320 zastrzyków i 40 opatrunków. W szpitalu do dyspozycji chorych było 300 łóżek. W tym roku siostry otrzymały wypowiedzenie z mieszkań szpitalnych. Przeniosły się do małego domu przy szpitalu. W 1989 roku na placówce przebywało dwanaście sióstr. Ich przełożoną była matka Benedykta Kamińska.[11]

Adres: 58-100 Świdnica, ul. Westerplatte 26.

ŚWIEBODZICE

Placówka istniała w latach 1866—1954. Ks. Augustyn Wolff dnia 11 XII 1865 roku prosił generalną przełożoną Marię Merkert o siostry. Dnia 3 I 1866 roku przybyły tam trzy elżbietanki, które zamieszkały w wynajętym mieszkaniu przy ul. Rynek 110. Zajęły się ambulatoryjną pielęgnacją chorych. Dnia 2 VII 1866 roku podjęły pracę w lazarecie.

Z wielką ofiarnością opiekowały się chorymi na cholerę, a także w 1871 roku chorymi na czarną ospę. W 1886 roku wprowadziły się do własnego budynku klasztornego, który poświęciły św. Elżbiecie. W 1911 roku w ogrodzie klasztornym urządzono wielką grotę Matki Bożej z Lourde. W latach 1914—18 siostra Ernestyna Nicklaus pracowała w lazarecie. Później zmodernizowano przedszkole. Także kaplica klasztorna została odnowiona i od 1921 roku służyła bardzo często jako miejsce ćwiczeń duchownych, rekolekcji i dni wspólnotowych.

Dom przetrwał trudny okres II wojny światowej. Był miejscem schronienia dla ludności cywilnej, która w 1945 roku szukała tutaj azylu przed uciążliwościami wojny. Placówka została zlikwidowana dnia 3 VIII 1954 roku.[12]

WIERZBNA

Placówka istniała w latach 1903—1947. Należała do wrocławskiej prowincji zakonnej.

Proboszcz Alfred Fiebiger założył tę placówkę dla dobra chorych i małych dzieci. Dnia 21 II 1903 roku wprowadził do parafii siostry: matkę Licerię Kalinowską i Bonę Wieczorek. Miały one najpierw mieszkanie czynszowe. Wspierał je Ojczyźniany Związek Kobiet.

Elżbietanki nabyły dom od pani Münch i wprowadziły się tam dnia 1 IV 1905 roku. W 1913 roku otworzyły przedszkole. Wkrótce przybyła do Wierzbna trzecia, a później czwarta siostra.

W czasie I wojny światowej Alexiana Müller pracowała w lazarecie w Strzegomiu. Trudny i pracowity był ostatni okres wojny i czas inflacji. Mimo to proboszcz Józef Bleisch dążąc do rozwoju klasztoru urządził w 1926 roku przy elżbietankach szwalnię dla dziewcząt i kobiet.

W 1928 roku elżbietanki zmodernizowały swoje przedszkole. W 1935 roku pielęgnowano 264 chorych w 108 dniach opieki i 32 nocnych czuwaniach. W przedszkolu było 59 dzieci. W miejscowej szkole 82 dziewczęta uczyły się robót ręcznych, a w klasztorze 30 uczennic pobierało naukę szycia.

Placówka istniała do października 1947 roku. Jej likwidacja była związana z ewakuacją sióstr na Zachód.[13]

WIRY

Placówka istniała w latach 1903—1947. Jej założycielem był ks. proboszcz Paweł Schlosser. Dnia 4 III 1903 roku przybyły do Wir dwie siostry, a wkrótce trzecia. Zamieszkały w domu czynszowym i zajęły się ambulatoryjną opieką chorych i prowadzeniem przedszkola. W 1908 roku wprowadziły się do własnego domu, który poświęciły św. Józefowi. W 1912 roku zmodernizowały i powiększyły swój budynek. W czasie I wojny światowej dwie zakonnice pracowały w lazarecie. W 1935 roku prowadziły tutaj działalność trzy siostry. Do października 1947 roku elżbietanki

przebywały na tej placówce. Musiały ją opuścić w ramach ogólnej ewakuacji ludności i zmian politycznych na Śląsku.[14]

Podsumowując to opracowanie trzeba powiedzieć, że na omawianym terenie elżbietanki założyły trzynaście placówek, z których do dnia dzisiejszego owocną działalność prowadzą trzy: w Świdnicy, Dzierżoniowie i Sobótce. Zgromadzenie sióstr św. Elżbiety cieszy się w tych miejscowościach zaufaniem ludności i wnosi bogaty wkład w dziedzictwo Ziemi Śląskiej.

PRZYPISY

1 Zob. Z. Lec, Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety na Śląsku. 150 lat istnienia. Wrocław 1992, s. 12. (Mps powielany. Znajduje się w Bibliotece Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu).
2 Archiwum Elżbietanek Prowincji Wrocławskiej .dalej skrót AEPW). Sprawozdania z działalności Zgromadzenia.
3 Schematismus der Congregation der Grauen Schwestern von der heiligen Elisabeth im Jahre 1927. Breslau 1927.
4 T. Zipzer, Ambulatoryjna pielęgnacja chorych i pomoc ubogim Sióstr św. Elżbiety w Polsce w latach 1914—1978. Nasza Przeszłość. T. 55: 1981, s. 285—338.
5 AEPW. Akcja wywłaszczeniowa. 1954—1958.
6 AEPW. Domy zlikwidowane; Wykazy strat. 1945—64. Sygn. AEW IV. 1—9.
7 E. Podolska, Opieka Sióstr św. Elżbiety nad chorymi. Zakłady opieki zdrowotnej zamkniętej. Nasza Przeszłość. T. 55: 1981, s. 246.
8 Z. Lec, Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety..., s. 271—272.
9 J. Schweter, Geschichte der Kongregation der Grauen Schwestern von der heiligen Elisabeth. Band II: Die einzelnen Niederlassungen nach den Ordensprovinzen. Breslau 1937, s. 126—127.
10 Tamże, s. 115—116.
11 J. Pater, Zarys dziejów Zgromadzenia Sióstr św. Elżbiety. Nasza Przeszłość. T. 55: 1981, s. 66.
12 Z. Lec, Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety..., s. 296—297.
13 AEPW. Domy zlikwidowane; Wykazy strat. 1945—64. Sygn. AEW IV. 1—9.
14 J. Schweter, t. II, s. 43—44.

Zdzisław Lec

ZARYS ŻYCIA KLASZTORNEGO W ŚWIDNICY

W bogatej historii naszego miasta zaznaczyły swoją obecność różne wspólnoty zakonne, dodając jego dziejom blasku i niewątpliwych wartości. Wśród nich należy wyróżnić franciszkanów, dominikanów i dominikanki, jezuitów, kapucynów, urszulanki i elżbietanki. W niniejszym szkicu historycznym pragnę przedstawić je w kolejności.

Franciszkanie (minoryci)

Klasztor tej wspólnoty należy do najstarszych fundacji kościelnych w Świdnicy. Został założony w 1214 roku przez hrabiego Stefana z Wierzbnej i jego trzech synów Andrzeja, Stefana i Franciszka. Dnia 8 IX 1220 roku biskup wrocławski Wawrzyniec poświęcił budowlę, którą następnie przekazano mnichom.

Ci chcieli mieć własny kościół. Dlatego papież Innocenty IV bullą z 13 VI 1249 roku udzielił 40-dniowego odpustu wszystkim tym, którzy wspierali budowę świątyni. Podobnie biskup Tomasz II w 1285 roku udzielał odpustu tym, którzy w wyznaczone święta nawiedzali kościół minorytów, a także wszystkim dobroczyńcom zakonu.

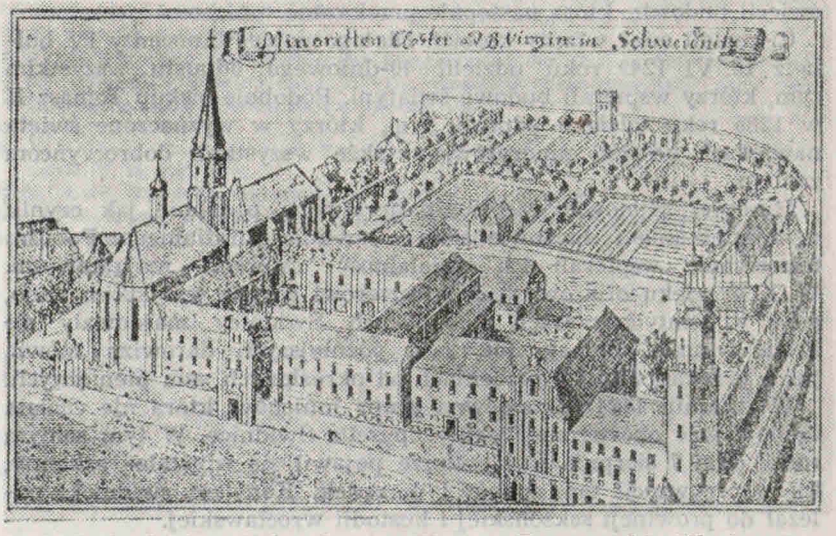
Minoryci zajmowali się duszpasterstwem, podobnie jak czynili to dominikanie i duchowieństwo z kościoła parafialnego. Pobożni mieszczanie wspierali ich działalność zapisami majątkowymi. W XIV wieku ofiarowywano klasztorowi przede wszystkim wino, gdyż w tamtych czasach w okolicach Świdnicy znajdowały się liczne winnice. Relacje dotyczące późniejszych darowizn mówią już o przekazywanych procentach od określonych sum pieniężnych.

W styczniu 1484 roku pewna grupa mnichów, która nie chciała zachowywać obostrzonej reguły opuściła Świdnicę. W tym samym roku, dnia 7 sierpnia w klasztorze pojawił się wizytator zakonny, który przywrócił tam spokój i porządek. Konwent świdnicki należał do prowincji saksońskiej i kustodii wrocławskiej.

Dnia 29 X 1518 roku zgromadziło się w Świdnicy ponad 200 przedstawicieli z wszystkich klasztorów minoryckich całej prowin-

cji saksońskiej, aby wybrać nowego asystenta generała zakonu w Rzymie. Dnia 30 X zorganizowano uroczystą procesję z Najświętszym Sakramentem do kościoła parafialnego, a 5 listopada na wspomniany urząd wyznaczono o. Benedykta.

Rozwijająca się reformacja Lutra wpłynęła na działalność klasztoru. Im bardziej mieszkańcy przychylali się do nowej nauki, tym mniej wspierali zakonników. Ich placówka składała się zwykle z gwardiana i siedmiu innych członków wspólnoty. Słynnym gwardianem i jednocześnie w latach 1535—41 kaznodzieją był tutaj o. Michał Hillebrant pochodzący ze Świdnicy. W 1547 roku w klasztorze było już tylko czterech zakonników, mianowicie gwardian Jan Skulteti i trzej bracia zakonni Tomasz Resener, Mikołaj Scheibler i Krzysztof Berger. Dnia 1 V tegoż roku zawarli oni z radą miasta umowę, według której, budynek klasztorny jeśli nie będzie zamieszkiwany przez zakonników, może być przekazany do dyspozycji rady i gminy. Dopiero jednak dnia 10 I 1566 roku rada miejska weszła w posiadanie budynku klasztornego, kościoła i zabudowań gospodarczych z inwentarzem. Pierwsze ewangelickie nabożeństwo w kościele minorytów odprawiono dnia 25 XII 1566 roku. Również budynek klasztorny wykorzystywano do ewangelickich celów, m. in. na mieszkanie dla duchownego.



Budynki franciszkanów wg: Werner, Topographia Silesiae (1758—1765)

Przez kilkadziesiąt lat w kościele franciszkanów odprawiano innowiercze nabożeństwa. Dopiero dnia 21 VI 1628 roku przekazano im znowu klucze od klasztoru i kościoła. Wiązało się to z prowadzeniem kontrreformacji na Śląsku przez cesarza Ferdynanda II.

Gdy wojska szwedzko-saksońskie zbliżyły się do Świdnicy, dnia 13 IX. 1632 roku zakonnicy opuścili swój klasztor, który znowu przejęli ewangelicy. Franciszkanie mogli powrócić do swojej własności dopiero w 1635 roku. W 1668 roku na koszt hrabiego Jerzego Stefana z Wierzbnej przeprowadzono renowację budynków.

Z ostatniego okresu dziejów klasztoru pozostało niewiele wiadomości. Dnia 16 VI 1691 roku rada miejska przyznała gwardianowi 6 guldenów na wykonanie nowego zegara i odnowienie herbów miejskich. W latach 1707, 1710 i 1712 przeprowadzono prace renowacyjne, a w 1727 roku naprawę organów i w 1738 roku prace budowlane przy kościele. Dnia 4 III 1740 roku zakonnicy prosili radę miejską, aby ich wspomogła w budowie tylnej części klasztoru, gdzie miano zamiar przenieść bibliotekę. Dnia 14 VII 1748 roku w ich świątyni zawalił się chór szewców, raniąc około 30 osób, w tym wielu żołnierzy. W latach 1748, 1751 i 1753 prowadzono wklasztorze i kościele niewielkie prace budowlano-malarskie.

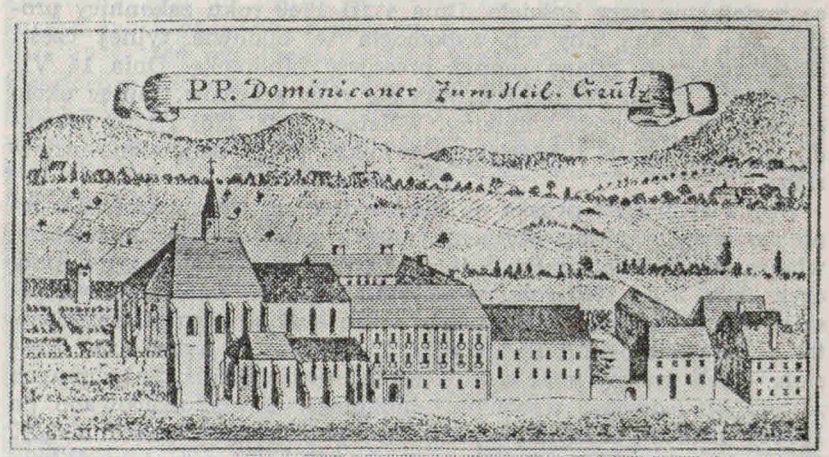
Wojna austriacko-pruska na Śląsku dała się franciszkanom mocno we znaki. Podczas oblężenia miasta przez wojska austriackie, władze pruskie zamieniły kościół i klasztor na magazyny, przy czym dnia 7 XI 1757 roku w związku z ostrzeliwaniem artyleryjskim płonęła część miasta, w tym także kościół, jego wieża, klasztor i wszystkie okoliczne budynki. Zachowała się tylko część kościoła. Wiele tysięcy miar owsa i wiele mąki spłonęło. Zniszczonych zostało 6000 tomów wspaniałej biblioteki. Straty oszacowano na 100 000 talarów. Budynki wprawdzie odbudowano i już dnia 3 X 1766 roku nowe dzwony przywoływały do wieczornej modlitwy, ale konwent nie odrodził się aż do sekularyzacji w 1810 roku.

Przy likwidacji placówki na miejscu przebywali gwardian, ojciec i brat zakonny. Nic nie wiadomo o wartościowych przedmiotach. Biblioteka znajdowała się w małym brudnym pomieszczeniu obok organów. Książki nie były uporządkowane. Budynki klasztorne nie miały wielkiej wartości i były zdewastowane.

Po 1813 roku klasztor przemianowano na budynek sądu, a kościół częściowo zburzono. Pozostałą część świątyni użytkowano jako magazyn soli. Dnia 4 V 1849 roku władze miejskie nabyły całą parcelę za 6000 talarów. Polecono zburzyć wszystkie budynki i wybudowano tam w latach 1852—54 nowe gimnazjum ewangelickie.

Dominikanie i dominikanki

Prawdopodobnie dominikanów do Świdnicy wprowadził książę Bolko I dnia 24 VII 1291 roku. Początkowo klasztor znajdował się poza miastem, a mianowicie na miejscu między bramami Kraszowicką i Witoszowską, gdzie później znajdował się ich folwark. Epfraim Ignacy Naso, którego informacje należy zaliczyć do niepewnych, donosi, że w obręb miasta wprowadził ich książę Bernard w 1309 roku, polecając obok kościoła p.w. św. Krzyża (nie mylić ze świątynią krzyżowców z czerwoną gwiazdą, którą wystawiono przed bramą Dolną) wybudować ich klasztor. Według niego w powstaniu kościoła klasztornego św. Krzyża mieli zasłużyć się szczególnie dwaj mieszczanie świdniccy Andrzej Vogel i Andrzej Gencz.



Kościół i klasztor dominikanów wg: Topographia Silesiae (1758—1765) Wernera

Aby stworzyć zakonnikom korzystne połączenie z rynkiem i mieszczanom z kościołem św. Krzyża, Konrad Stangrune za zgodą księcia Bernarda kupił kawał ziemi szerokości 6 łokci między domami mieszczan Gerlacha i Jana z Polsnitza i zamienił go w ulicę. Dnia 7 VII 1315 roku zapisał ją w testamencie zakonnikom.

Nauka waldensów, albigensów i innych prup religijnych wcisnęła się także na Śląsk. W 1315 roku dawały się one tak mocno we znaki, że dominikanie na polecenie biskupa Henryka I z Wierzbnej rozpoczęli likwidację celem wyniszczenia herezji. W tę dzia-

łalność zaangażowani byli także dominikanie ze Świdnicy. Potwierdzają to wiadomości z 1318 i 1321 roku.

Z kolei inną główną przyczyną niepokojów na tle religijnym były beginki lub inaczej mówiąc, pobożne kobiety, które mieszkały wspólnie z kierownictwem przełożonej, ale bez klasztornych reguł. W Świdnicy zajmowały wiele domów przy ulicy Zakonnej (dawniej Nonnenstrasse, następnie Siostrzana), która od nich nosi tę nazwę. Utrzymywały się częściowo z prac ręcznych, a częściowo z pobożnych fundacji, prowadząc równocześnie pielęgnację chorych i wychowanie dzieci. Na początku beginki odznaczały się wielką pobożnością, gdy jednak papież Klamens V zniósł ich stowarzyszenie, występowały z inwektywami przeciwko władzy Kościoła i stąd podpadły pod działalność inkwitzytorów. W związku z tym, przeciwko beginkom w dniach 7 do 12 IX 1332 roku toczył się proces w klasztorze dominikanów w Świdnicy prowadzony przez o. Jana z Schwenkenfeld.

Około 150 lat później u miejscowych beginek zamiast pobożności występowały przypadki rozwiązłego życia. Dlatego rada miasta prosiła o zgodę biskupa Jana IV Rotha, aby ich domy przekazać na mieszkania dla sierot i w ten sposób powiększyć hospicjum św. Michała, które znajdowało się w kompetencjach magistratu. Biskup dnia 22 I 1499 roku udzielił zgody, wobec czego rada zakupiła wspomniane domy i umieściła tam starsze kobiety, samotne pobożne niewiasty i niepełnoletnie sieroty.

W 1484 roku z niewiadomych względów usunięto dominikanów z ich klasztoru. Trudno powiedzieć dokładnie, kiedy powrócili. Już jednak z 1501 roku mamy informację, która mówi o ich korespondencji z radą miasta w sprawach budowlanych.

Gdy rozpoczęła się reformacja ich kłopoty były tak duże, że ciągle musieli pożyczać pieniądze i sprzedawać rolę aby się utrzymać. W następnych latach klasztorowi i kościołowi przydarzyły się dwa nieszczęśliwe wypadki. Dnia 11 IX 1584 roku kucharz klasztorny, nie zachowując ostrożności wpadł do studni i utopił się, a dnia 6 X 1589 roku w chórze kościoła powstał pożar, wzniecony przez pozostawione świece. Na szczęście ogień w porę ugaszono.

Gdy książę elektor Fryderyk V von Pfalz w 1619 roku obejmował w posiadanie Czechy i Śląsk, ówczesny przełożony konwentu dominikańskiego w Świdnicy o. Albert Pontanus odmówił złożenia przysięgi na wierność nowemu protestanckiemu władcy i opuścił miasto. W klasztorze pozostał tylko o. Zachariasz Gentrowski, który również nieco później, w listopadzie 1619 roku opuścił klasztor.

Kościół św. Krzyża przejęto na nabożeństwa ewangelickie, a budynek klasztorny i folwark kupiła rada miasta za 3500 talarów. Ponieważ całość zabudowań wymagała naprawy, magistrat polecił uczynić to natychmiast. Dnia 12 I 1620 roku archidiakon Jan Flaschner z kościoła parafialnego odprawił pierwsze protestanckie nabożeństwo w świątyni p.w. św. Krzyża, a 26 stycznia ogłosił z ambony, że w przyszłości w każdy wtorek o godz. 7.00 rano, będą tutaj na przemian głosili kazania pastorzy z miasta i okolicznych wiosek.

Gdy wkrótce Fryderyk V w bitwie pod Białą Górą koło Pragi w 1620 roku ustracił koronę i prawo do Czech i Śląska, a przejął je Ferdynand II, w Świdnicy pojawił się przeor Albert Pontanus i dnia 28 IV 1621 roku zarządał oddania kościoła i klasztoru. Przetargi przeciągały się jednak dość długo i dopiero w końcu 1624 roku mnisi przejęli klasztor.

Dnia 1 IX 1632 roku dominikanie uciekli do Opola przed podążającymi na Świdnicę wojskami saksońskimi i brandenburskimi. Dnia 3 VIII 1634 roku nad ranem runęła część dachu kościoła św. Krzyża, nie powodując jednak dalszych szkód. Zakonnicy wrócili do Świdnicy w 1635 roku.

W 1642 roku w czasie okupacji miasta przez Szwedów, ich dowódca podpułkownik Winter rozkazał urządzić wolną drogę przy murze miejskim z tyłu klasztoru między bramami Kraszewicką a Witoszowską celem lepszej obrony. Zaś na chórze kościoła św. Krzyża umieścił jedną armatę. Po odejściu Szwedów w 1644 roku dominikanie wrócili do swojej własności, ale nie mogli się już rozwinąć mimo wsparcia ówczesnej katolickiej rady miejskiej. Stan kościoła św. Krzyża, który naprawiano w latach 1688, 1690, 1713 i 1726 tak bardzo się pogorszył, że wreszcie nie można tam było odprawiać nabożeństw.

Przejście pod pruskie panowanie nie polepszyło istniejącej sytuacji. Znowu ucierpiały budynki w związku z trwającą wojną siedmioletnią. Gdy w 1776 roku zamknięto kolegium jezuickie, do dominikanów przeniesiono szkołę łacińską, którą w ich klasztorze otwarto dnia 1 V 1777 roku.

Likwidacja klasztorów wypowiedziana dnia 30 X 1810 roku dotknęła również dominikanów, których w tym czasie w Świdnicy reprezentowało sześciu zakonników. Kościół będący częściowo w ruinie, sprzedano Żydowi do rozbiórki; budynek zakonny przemianowano na urząd książęcy. Już jednak w 1879 roku rozebrano go aby wybudować na tym miejscu sąd i więzienie. Budowla powstała dnia 15 X 1885 roku. Na głównej ścianie nosiła herby miast przynależących do sądu regionalnego: Boguszowa, Dzierżoniowa, Miero-

szowa, Niemczy, Sobótki, Strzegomia, Świdnicy, Świebodzic i Wałbrzycha.

Obok wspomnianych zakonników w dziejach Świdnicy spotykamy także siostry dominikanki, które podlegały pieczy przeora tego zakonu. Gdy ich liczba znacznie się zwiększyła, rada miejska w porozumieniu z przełożonym dominikanów zarządziła w 1505 roku, że będzie utrzymywać tylko sześć sióstr. Gdy reformacja rozszerzyła się w Świdnicy, dominikanki odeszły stąd w drugiej połowie XVI wieku.

Jezuici (Zob. mój artykuł w Roczniku Świdnickim 1990/91)

Do historii Świdnicy jezuici weszli od 1629 roku, jako zakon, który wprowadził katolicyzm do prawie całkowicie protestanckiego miasta.

Ich działalność obejmowała pracę misyjno-duszpasterską w Świdnicy i okolicznych miejscowościach oraz działalność wychowawczo-dydaktyczną młodzieży, prowadzoną w otwartym w 1637 roku gimnazjum.

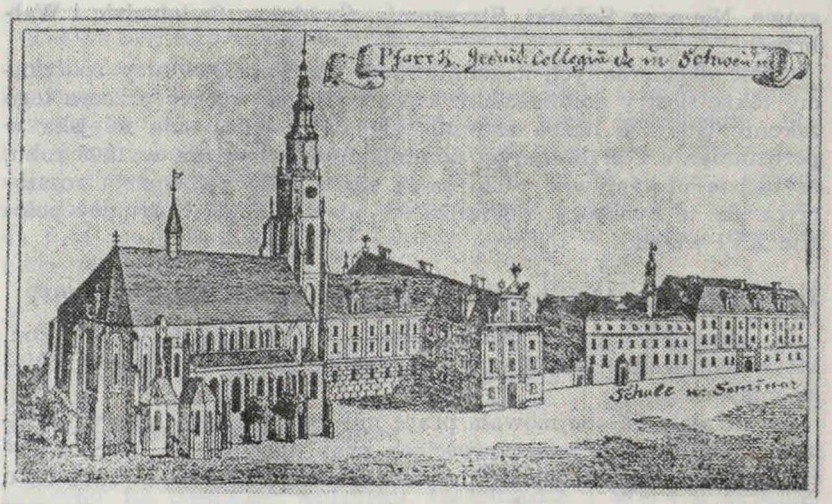
Zapisy testamentalne pobożnych ludzi spowodowały zamianowanie w 1656 roku rezydencji w kolegium oraz do otwarcia 20 lat później seminarium (internatu) dla biednych chłopców.

Tajemnicą powodzenia akcji jezuickiej, także w Świdnicy, była ich umiejętność organizowania stowarzyszeń życia religijnego dla najaktywniejszej i najpobożniejszej młodzieży i byłych wychowanków. Dawali też możliwość grupowania się w nich jak najszerszego ogółu katolików.

Nauka w szkole jezuickiej była bezpłatna, a nowy budynek gimnazjum oddany do użytku w 1691 roku był doskonale przygotowany do potrzeb szkolnych.

Obraz osiągnięć Towarzystwa Jezusowego w Świdnicy byłby niepewny, gdybyśmy nie wspomnieli o ich działalności budowlanej. Budynek kolegium istniejącego do dziś powstał w latach 1664—68. Zaś w ostatnim dziesięcioleciu XVIII w. i w pierwszych trzech dekadach wieku XVIII jezuici przeprowadzili barokizację, podziwianego do dziś kościoła parafialnego p.w. św. Stanisława i św. Wacława. Trzeba tutaj szczególnie podkreślić działalność rzeźbiarsko-snycerską Jana Riedla i Jerzego Leonarda Webera. Również i te osiągnięcia miały sprzyjać ugruntowaniu i okrzepnięciu katolicyzmu w Świdnicy.

Niestety także i miejscowych jezuitów dotknęły różne klęski. Jedną z nich było rozwiązanie kolegium w 1776 roku. Ich majątek ziemski sprzedała komisja rządowa. A dnia 26 VIII 1800 roku kościół, kolegium i seminarium przeszły na własność miasta.



Jezuici. Ich kościół, kolegium, szkoła i internat. Wg Topographia Silesiae (1758—1765) Wernera

Potem jezuici w Świdnicy pojawili się dopiero w 1866 roku, kiedy to powołano ich do obsługiwania lazaretów w mieście i okolicy. Dnia 29 IX 1868 roku kościół p.w. św. Krzyża należący wcześniej do krzyżowców z czerwoną gwiazdą stał się ich kościołem rezydencjalnym.

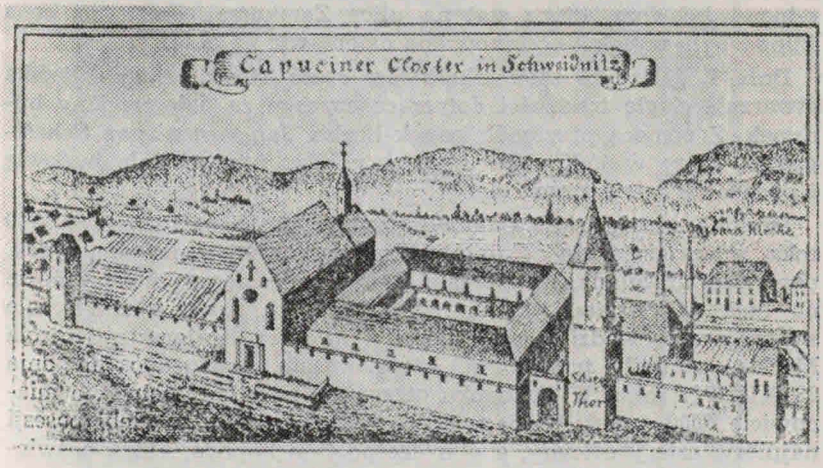
Jednak już od 1870 roku rozpoczęto akcję przeciwko świdnickiej wspólnocie zakonnej, która nie pozwoliła zapuścić korzeni w mieście. Dlatego dnia 21 VII 1872 roku odbyło się ich ostatnie nabożeństwo i kazanie. Natomiast dnia 19 III 1873 roku ostatni jezuita o. Merkel opuścił Świdnicę.

Kapucyni

Hrabia Krzysztof Wacław von Nostitz postanowił przyjąć kapucynów do Świdnicy. Na mieszkanie dlal nich przeznaczył stary zamek książęcy, który odziedziczył po swoim ojcu, baronie Ottonie, naczelniku Księstw Świdnickiego i Jaworskiego w latach 1651—65. Dnia 5 IX 1676 roku zakonnicy wprowadzili się do zamku, a dnia 9 października tegoż roku biskup Fryderyk Landgraf Hessen polecił radzie miejskiej udostępnić im kościół p.w. św. Barbary.

Ponieważ stara budowla książęca nie nadawała się zbytnio do celów zakonnych, kapucyni wystawili już w 1680 roku na dotychczasowej parceli budynek klasztorny, a w latach 1682—88 budowali kościół, który poświęcił biskup sufragan wrocławski Karol Franciszek Neander.

W latach 1688—91 dzięki życzliwości rady miejskiej mogli powiększyć swoją parcelę. Gdy w końcu 1709 roku zaraza pojawiła się w Świdnicy, zakonnicy prosili magistrat o odstąpienie im na mieszkanie starej prochowni, w której chcieli odosobnić niektórych swoich współbraci sprawujących posługę wśród chorej ludności. Jednak zgodę otrzymano dopiero w 1716 roku.



Klasztor kopucynów wg Topographia Silesiae (1758—1765) Wernera

Klasztor był miejscem azylu dla ściganych przez prawo. Jak pokazuje jego historia, skorzystało z tego wielu przestępców. W okresie rządów pruskich, a szczególnie w czasie wojny siedmioletniej, oskarżono zakonników o współpracę z austriakami. Dlatego dnia 28 VI 1760 roku siedmiu mnichów razem z gwardianem osadzono w więzieniu. Lecz już po sześciu dniach zostali zwolnieni.

Przy likwidacji klasztoru przez władze rządowe w 1810 roku, znajdowało się tam oprócz gwardiana, trzech kapłanów i dwóch braci. Decyzją z 1812 roku budynek klasztorny wraz z kościołem

przekazano magistratowi. Pomieszczenia zakonne zamieniono na szpital dla ubogich, a świątynia stała się ewangelickim kościołem garnizonowym.

Siostry urszulanki

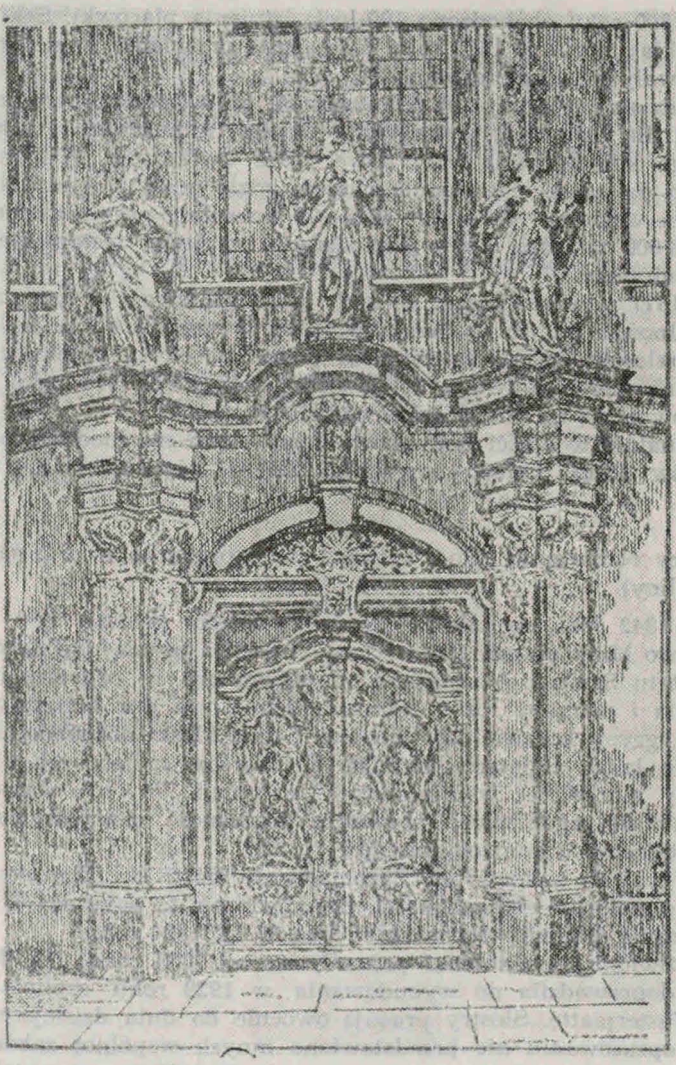
Fundatorami placówki urszulanek w Świdnicy byli baron Leopold Henryk von Garnier z małżonką, którzy na ten cel w 1689 roku zapisali w testamencie odpowiednią kwotę pieniędzy. Gdy rząd cesarski w 1699 roku zgodził się na fundację, do Świdnicy dnia 16 I 1700 roku przybyła przełożona wrocławskiego klasztoru urszulanek Maria Józefa Nadasny aby od rady miejskiej nabyć odpowiedni dom, który stał na ulicy Zamkowej. Ponieważ cena kupna była wysoka, postanowiono dzierżawić go czasowo.

Dnia 1 VIII 1700 zamieszkało tam sześć sióstr. Rada miejska stwarzała ciągłe trudności dotyczące czynszu za dzierżawiony budynek. Z pomocą przyszedł jednak hrabia Jan Antoni von Schaffgotsch, który w 1705 roku kupił w pobliżu odpowiednią budowlę i podarował ją siostrom.

Hrabina Althan, siostra Jana Antoniego von Schaffgtosch w 1710 roku zobowiązała się odkupić od zakonnic wspomniany budynek, ponieważ urszulanki zamierzały nabyć inne domy mieszczańskie na budowę klasztoru. Magistrat początkowo sprzeciwiał się, ale siostry przeprowadziły swój zamiar i na ulicy Kotlarskiej (Karola Marksa) zakupiły trzy domy, które miasto przekazało im dnia 23 XII 1711 roku. W 1712 roku otrzymały od władz pomoc, a mianowicie 6000 cegieł. W ciągu tegoż roku powstały w głębi posesji najpierw cztery oficyny, a wkrótce po tym kaplica, którą poświęcono dnia 20 V 1719 roku.

W 1715 roku siostry zakupiły czwarty sąsiedni dom od Baltazara Ertela celem urządzenia szkoły dla dziewcząt. Przy wielkim pożarze miasta w dniu 12 IX 1716 roku, tylko dzięki niezwykłemu poświęceniu mieszczan udało się uchronić budynek klasztorny od znacznych skutków nieszczęścia. Jeszcze w 1739 roku urszulanki nabyły piąty sąsiedni dom.

Teraz przystąpiono do budowy kościoła klasztornego. W październiku 1754 roku położono kamień węgielny. W trakcie budowy wybuchła wojna siedmioletnia. Wnętrze kościoła i szkoły przejęły władze na magazyny. Oblężenie i ostrzał artyleryjski w latach 1757—58 i 1761—62 przysporzyły wiele szkód. Dopiero w lipcu 1772 roku kończące się prace doprowadziły do poświęcenia i oddania do użytku zabudowań zakonnych i kościoła.



Portal kościoła klasztornego urszulanek

W 1800 roku obchodzono 100-lecie istnienia placówki. Sekularyzacja klasztorów w 1810 roku oszczędziła urszulanki ponieważ one zajmowały się szkolnictwem.

Do działającej przy urszulankach od 1729 roku szkoły elementarnej dla dziewcząt, dołączyło z czasem gimnazjum i internat. Dlatego koniecznością były nowe prace budowlane. W tym celu nabyto dalsze dwie sąsiednie parcele gdzie w 1851 roku położono kamień węgielny. W latach 1840—75 na całość prac klasztor wydał 43 000 talarów, które pochodziły z zapisów testamentalnych i innych ofiar.

W 1877 roku urszulanki musiały przerwać swoją dotychczasową działalność i odejść ze Świdnicy. Wróciły w 1888 roku. Ich dziewięcioklasowa szkoła średnia dla dziewcząt od 1902 roku została poddana kierownictwu państwowemu. Od około 1910 roku przemianowano ją na szkołę dziesięcioklasową.

Aktualnie w części budynków klasztornych ma siedzibę parafia p.w. św. Józefa i siostry prezentki. Kościół użytkują księża diececjalni.

Siostry elżbietanki (Por. artykuł o Elżbietankach w Świdnicy i okolicy)

Od 1842 roku szpitale prywatne na Śląsku przeszły pod kierownictwo Ministerstwa Powszechnej Opieki, a później Opiekuńczego Komitetu Szpitali. Niezależnie od tej zmiany w organizacji, ich zadania i potrzeby rosły. Różne epidemie, jak dur brzuszny, plamisty, grypa, bolnica, ospa, cholera i inne klęski doświadczały poważnie ludzi, zwłaszcza najniższych warstw społecznych i przerastały możliwości wspomnianych instytucji. W tych warunkach musiała się organizować prywatna działalność charytatywna, ale pozostająca pod kontrolą urzędów.

Na tym tle wyłoniło się Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety, zwanych popularnie elżbietankami. Zgromadzenie to powstało w Nysie, na terenie diecezji wrocławskiej dnia 27 IX 1824 roku.

W Świdnicy elżbietanki pojawiły się od 1859 roku. Ich działalność doprowadziła do wybudowania w 1929 roku szpitala przy ul. Westerplatte. Siostry pracują owocnie do dnia dzisiejszego.

W opracowaniu nie przedstawiono innych wspólnot zakonnych, jak np. krzyżowców z czerwoną gwiazdą, sióstr prezentek czy prób wprowadzenia klarysek do Świdnicy. Myślę, że sprzyjające okoliczności pozwolą w przyszłości ukazać całość życia klasztornego.

Powyższy szkic ukazuje bogactwo i różnorodność duchowości zakonnej i świadczy o ogromnej roli i znaczeniu jakie klasztory spełniły w historii Świdnicy.

LITERATURA

Helbing A., Kurzgefasste populäre Chronik von Schweidnitz. Schweidnitz 1869.
Hoffmann H., Die Jesuiten in Schweidnitz. Schweidnitz 1930.
Langer J., Die katolische Pfarrkirche zu Schweidnitz. Schweidnitz 1909.
Lec Z., Biblioteka kolegium oo. jezuitów w Świdnicy w latach 1629—1776. Wrocław 1987. Maszynopis powielany. Biblioteka Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu.
Lec Z., Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety na Śląsku. 150 lat istnieniaż Wrocław 1992. Maszynopis powielany. Biblioteka Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu.
Pater J., Zarys dziejów Zgromadzenia Sióstr św. Elżbiety. Nasza Przeszłość. T. 55: 1981, s. 45—83.
Schmidt F. J., Geschichte der Stadt Schweidnitz. Schweidnitz 1848.
Schubert H., Bilder aus der Stadt Schweidnitz. Schweidnitz 1911.
Schweter J., Geschichte der Kongregation der Grauen Schwestern von der heiligen Elisabeth. Band I: Gesamtgeschichte. Band II: Die einzelnen Niederlassungen nach den Ordensprovinzen. Breslau 1937.

Marcin Wodziński

ŚREDNIOWIECZNE MACEWY ZE ŚWIDNICY

Obecność Żydów w Świdnicy poświadczona jest już w XIII w.[1] Z archiwaliów wynika nawet, że pod koniec tego stulecia istniała w mieście spora ich grupa. Pierwsze dokumenty wystawione dla świdnickich Żydów (niekiedy określane niesłusznie jako przywileje) wychodzą z kancelarii Henryka IV Probusa z roku 1285. Pierwszy prawdziwy przywilej w dziesięć lat później wystawia Bolko I świdnicki, a potwierdza i nieco modyfikuje go w 1328 r. Bolko II Mały. Dokument z 1295 roku nie zachował się, a o jego istnieniu wiadomo nam jedynie dzięki wzmiance w przywileju z 1328 roku. Oba wspomniane akty wzorowały się na przywilejach czeskiego Ottokara II (z roku 1254), Bolesława Pobożnego (1264), a przede wszystkim Henryka IV Probusa (przed 1290).

Gmina żydowska w Świdnicy dysponowała w roku 1379 (lub 1380) synagogą, z roku 1382 pochodzą dokumenty potwierdzające posiadanie cmentarza, a w 1379 gmina miała na pewno szkołę talmudyczną.

U świdnickich Żydów zapożyczała się większość książąt śląskich, np. Bolko II zastawił u nich Świdnicę i Lwówek, Bolesław III Brzeski — Niemczę. Społeczność starozakonnych rozwijała się dynamicznie aż do 1453 r., kiedy to w wyniku działalności Jana Kapistrana doszło do likwidacji gminy, spalenia 10 mężczyzn i 7 kobiet, wygnania wszystkich pozostałych i przejęcia ich mienia. Między rokiem 1453 a 1799 nie osiedlił się w Świdnicy ani jeden Żyd; gmina przestała istnieć na przeciąg trzech i pół wieku.

Wraz z likwidacją świdnickiego kahału, doszło też do likwidacji jego nekropolii — 7 marca 1454 został przejęty przez króla wraz z synagogą i całym mieniem pożydowskim. Bliższe losy cmentarza nie są znane. Wiadomo tylko, że znajdował się w okolicach szosy strzegomskiej, a po likwidacji ślad po nim zaginął. Odnalezienie niektórych steli nagrobnych w chodnikach miejskich pozwala przypuszczać, że po 1454 roku (a może i wcześniej?) używano macew jako materiału budowlanego. Wypadki takie znane są w całej średniowiecznej Europie, np. we Francji czy na Węgrzech, a najlepiej opisany jest przypadek wrocławski, gdzie król Jan Luksem-

burski zezwolił w roku 1345 władzom miejskim na konfiskatę wszystkich żydowskich kamieni nagrobnych — pomimo przywilejów gwarantujących nietykalność cmentarza. Być może podobny los spotkał nagrobki ze Świdnicy.

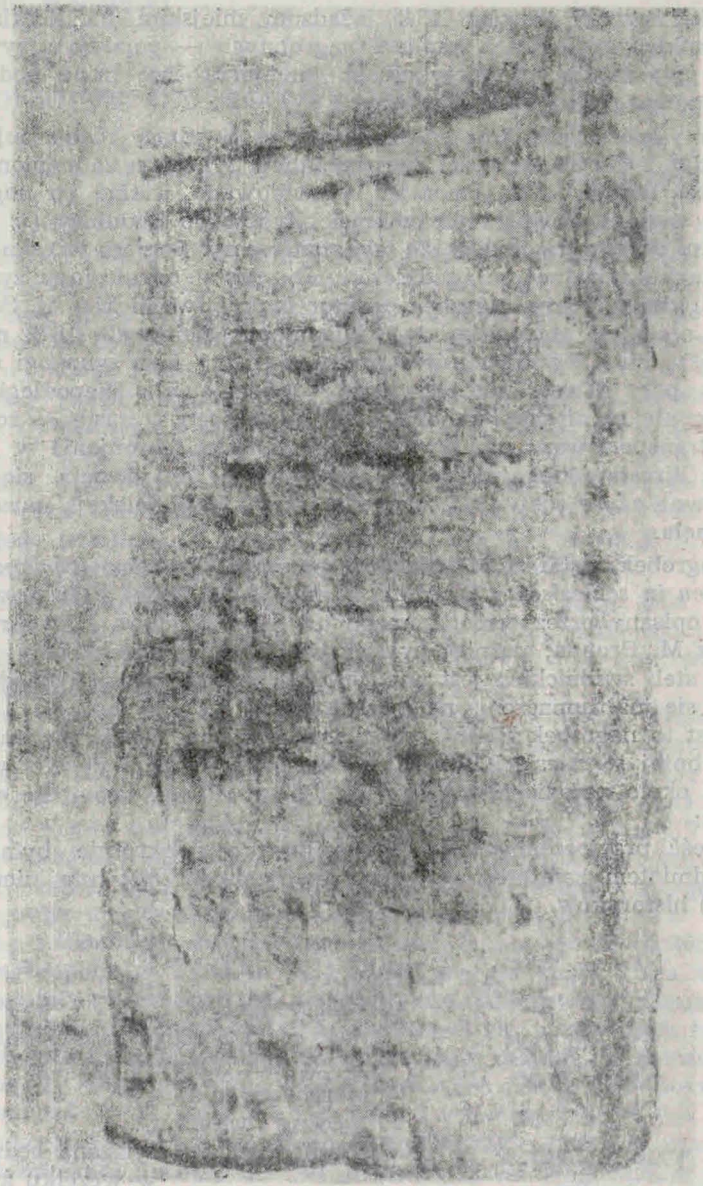
Na wiele dziesiątków lat zniknęły ze Świdnicy ślady bujnego niegdyś życia społeczności starozakonnej. Synagogę zamieniono na kościół Bożego Ciała, cmentarz zlikwidowano, a ślad po nagrobkach zaginął. Również po powrocie Żydów do Świdnicy (w XIX wieku) długo utrzymywał się taki stan rzeczy. Dopiero w roku 1872 w chodniku jednej ze świdnickich ulic został odnaleziony żydowski średniowieczny nagrobek. Kantor gminy świdnickiej M. Schindler opisał to znalezisko w „Allgemeine Zeitung" (1872 nr 28 s. 562). Stela została wkrótce przeniesiona na mur synagogi miejskiej przy Kaiser-Wilhelm-Strasse (obecnie al. Niepodległości). Następnie w nieznanych bliżej okolicznościach i czasie — została przetransportowana do Wrocławia i znalazła schronienie w zbiorach Wrocławskiego Muzeum Żydowskiego. Znajdowała się tam zapewne aż do roku 1945, kiedy to wraz z całą kolekcją muzealną zaginęła.

Nagrobek został sfotografowany przez A. Grotte'go (*Synagogenspuren in schlesischen Kirchen*, Breslau 1937 Taffel VII), a wcześniej opisany przez wspomnianego już M. Schindlera i dwukrotnie przez M. Branna; później był też wielokrotnie wspominany. Spośród steli świdnickich jest ona najlepiej znana, jako jedyna doczekała się już tłumaczenia na język polski.

Jest to nagrobek Hanny, córki Izaaka, która zmarła najprawdopodobniej w miesiącu Marcheszwan roku 5050 ery żydowskiej czyli około października-listopada 1289 roku n.e. Oto treść epitafium:

Treść przytoczonego powyżej epigrafu wielokrotnie była już przedmiotem zainteresowania przedwojennych (głównie niemieckich) historyków.

ציון	Grób
אשה מנרת . . . [	niewiasty pani
חנה בת מור	Hanny, córki naszego nauczyciela
יצחק שנפטר . . .	pana Izaaka, która zmarła ...
במרחשון . . .	w Marcheszwanie
נ לפרט לאולך . .	50 według rachunku ...
תנצבה . . .	... Niech dusza jej związana będzie w węzełku życia.



Nagrobek Hanny córki Izaaka, zmarłej w październiku—listopadzie 1289 r. Fot. A. Grotte (1937).

Warto zwrócić uwagę na słowa „nasz nauczyciel". W inskrypcji hebrajskiej wyrażone są one przez abrewiaturę „Mor' " — skrót od słowa „Morenu" — „nasz nauczyciel". Sądzono niegdyś, że jest to tytuł przysługujący jedynie uczonym żydowskim. Pogląd taki głosił np. Marcus Brann. Wysuwano stąd wniosek, że Izaak, ojciec Hanny jest pierwszym na Śląsku znanym z imienia uczonym żydowskim. Rozumowanie to uznać należy za błędne. P. Fijałkowski[2] słusznie podważa tezę Branna, jakoby miałby być to tytuł uczonego, dowodząc dużej popularności czysto „ornamentacyjnego" użycia tego tytułu na nagrobkach osób, o których wiemy, że nie były uczonymi (por. też częste użycie tytułu w Nadrenii już w XI i XII w.).

Należy też zwrócić uwagę na ostatni wers interesującej nas inskrypcji. Owe hebrajskie litery („TNCBH") to skrót od słów: „Niech dusza jego związana będzie w węzełku życia". Jest to cytat z biblijnej I Księgi Samuela (25,29), spopularyzowany wśród Żydów przez liturgię pogrzebową (modlitwy „Jizkor" oraz „El male rachamim") a następnie bardzo często spotykany na żydowskich nagrobkach. Pojawia się już w starożytności, a potem na najwcześniejszych macewach średniowiecznych. Z czasem występuje coraz liczniej.[3] Na Śląsku w średniowieczu zwrot ten spotykany był albo jako skrót, albo w pełnej formie i wydaje się, że cieszył się tu dość dużą popularnością. Wśród macew świdnickich spotykamy go trzykrotnie (macewy Hanny córki Izaaka, Druchny córki Sabataja i Izaaka syna Sabataja — por. niżej).

Również druga stela odnaleziona została jeszcze w XIX w., jednak okoliczności jej odnalezienia nie są bliżej znane, wiadomo jedynie, że znajdowała się razem z nagrobkiem Hanny, córki Izaaka, na murze świdnickiej synagogi. Tam też zapewne została zniszczona podczas Nocy Kryształowej z 9/10 listopada 1938 roku. Nagrobek nie został sfotografowany, znany jest jedynie z odpisu M. Branna opublikowanego w 1896 r. w pracy o historii Żydów na Śląsku i nigdzie potem nie był przytaczany. Epitafium nie zostało tłumaczone na język polski ani niemiecki.

Jest to kamien nagrobny Salomona, zmarłego w 1372 roku. Oto treść inskrypcji:

נפה נ[טמן	Tu pogrzebany
נהח"ר] שלמה	uczony pan Salomon.
נ[נפטר] קלב לפרט	Zmarł w 132 według rachunku
נ[לאלף] ה[ששית]	dla szóstego tysiąclecia.
אאא	Amen. Amen. Amen.
ססס	Sela. Sela. Sela.

W powyżej zaprezentowanym epigrafie zwróćmy uwagę na tytuł „he-chawer rabi", co przetłumaczyć można jako „uczony pan" albo „uczony rabi". Skrót ów nie należy do najczęściej spotykanych w średniowieczu, rzadko też używa się samego terminu „chawer". Tym dziwniejsza wydaje się jego popularność na Śląsku: udokumentowane jest trzykrotne wystąpienie owego słowa we Wrocławiu, jednokrotne w Brzegu i dwukrotne w Świdnicy (macewy Salomona i Druchny córki Sabataja). Również w wiekach następnych skrót ten był na Śląsku wyjątkowo często używany. Ostatnie tego ślady odnaleźć można jeszcze w XX wieku — abrewiatura występuje niemal we wszystkich hebrajskojęzycznych lub hebrajsko-niemieckich inskrypcjach. Fakt, że tytuł ten występuje już na interesujących nas macewach średniowiecznych jest godny podkreślenia.

Zauważyliśmy, że w omawianym epigrafie rok został określony „według rachunku dla szóstego tysiąclecia". Jest to najpopularniejszy na średniowiecznych macewach sposób określania daty śmierci (później wyparty przez skrót „LPK" — „według małego rachunku" tzn. z pominięciem tysiącleci). Czasami skrócony do formy: „w szóstym tysiącleciu", występuje na śląskich stelach średniowiecznych aż 18 razy, w tym trzy razy w Świdnicy (macewy Salomona, Druchny i Izaaka). Ten sposób określania daty bierze się stąd, że kalendarz żydowski liczy lata „od początku świata", który zgodnie z obliczeniami opartymi o genealogie biblijne miał przypaść 3760 lat przed naszą erą. Stąd rok śmierci Salomona jest 132 rokiem „szóstego tysiąclecia" (=5132) według kalendarza żydowskiego i rokiem 1372 według kalendarza juliańsko-gregoriańskiego.

W omawianym epitafium ciekawe są również dwa ostatnie wersy. Owe abrewiatury to różne konfiguracje słów „Amen" („niech się wypełni") i „Sela" (znaczenie słowa niejasne). Oba wyrazy występują już w Biblii. Pierwszy z nich używany był jako wyraz wzmacniający twierdzenie lub obietnicę (np. Lb 5,22; 1 Krl 1,36; Jer 28,6; Neh 5,13 i in.), potem spopularyzowany przez liturgię. Drugi, występujący aż 73 razy w 39 Psalmach (np. Ps 3,3; 3,5; 3,9; 4,3; 4,5; 7,6 itd.) był prawdopodobnie terminem technicznym, informującym może o zmianie tonacji. Z czasem zyskał znaczenie podobne do słowa Amen, tak tłumaczyli go już Akwila i św. Hieronim — tak też jest używany na średniowiecznych nagrobkach. Zwyczaj wielokrotnego zestawiania pierwszych liter wyrazów *Amen* i *Sela* (najczęściej w formie „AAA SSS") widzimy już w magiczno-mistycznych pismach Żydów babilońskich u schyłku starożytności, a w średniowieczu pojawia się w inskrypcjach na-

grobnych, pełniąc może podobne role. Na śląskich macewach średniowiecznych spotykamy te skróty czterokrotnie: raz we Wrocławiu i aż trzy razy w Świdnicy (macewy Salomona, Druchny i Izaaka).

Oba omówione powyżej nagrobki zaginęły. Znamy je jedynie z fotografii i przedwojennych odpisów. Jednak — jakby dla zrekompensowania straty — w ostatnich latach odnaleziono w Świdnicy kolejne dwie średniowieczne stele żydowskie.

Pierwsza z nich — granitowa macewa prostokątna o wysokości 139 cm, szerokości 77 cm i grubości 12 cm — została odnaleziona w połowie lat 70. podczas prac ziemnych na skarpie przy ul. Wrocławskiej (informacja uzyskana od pani K. Juszkiewicz)[4] Prawdopodobnie jest to teren starośredniowiecznej Bramy Dolnej. Po odnalezieniu stela została umieszczona w Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy, gdzie znajduje się do dziś. Fotografia nagrobka dotychczas nigdzie nie była publikowana, epitafium nie zostało przetłumaczone ani opublikowane.

Jest to macewa Druchny, córki Sabataja, która zmarła 12 Elul 5122 tj. 2 września 1362 roku.

אוי לי ואקונן על	Biada mi i płaczę nad
פטיר אשת ימר'	śmiercią pani...
דרוחנא בת הח"ר	Druchny, córki uczonego pana
שבתי כיבא יומ'	Sabataja. Zgasło jej światło
לנוח בשבועה	dla spoczynku, bo w ciągu tygodnia
ארבע ילדיה	czterech synów swych
לידה י'ב' אלול	urodziła, 12 Elul
ק'כ'ב' לפר לאל	122 według rachunku dla tysiąclecia
השני יהי מנחת	szóstego. Niech będzie zmarłej
כבוד ת'נ'צ'ב'ה' אמ	cześć. Niech dusza jej związana
	będzie w węzełku życia.
	Amen. Sela.

W powyższym epitafium zwróćmy uwagę na imię zmarłej (błędnie odczytane przez P. Fijałkowskiego): „Druchna" — to imię o etymologii słowiańskiej. Również na średniowiecznych macewach z Wrocławia pojawiają się imiona (żeńskie!) o pochodzeniu słowiańskim, jedno nawet bardzo podobne — „Druszna" albo „Draszna". W ogóle kultura żydowska wykazywała dużą skłonność do asymilowania obcych wyrazów jako imion żeńskich. W wiekach późniejszych popularne wśród kobiet żydowskich było np. imię

„Czarna". Wszystko to zadaje kłam obiegowemu sądowi o silnej izolacji społeczności żydowskiej wobec kultury ją otaczającej. Argumentem może być również nasza „Druchna".

Zupełnie inaczej rzecz się ma z imieniem jej ojca. „Sabataj" to imię o proweniencji biblijnej (Ezd 10,15; Neh 8,7; 11,16). Warto zauważyć, że było ono słabo rozpowszechnione wśród Żydów aszkenazyjskich, np. wśród macew węgierskich pojawia się tylko raz, nie ma go wcale na stelach z Nadrenii itd. Również wśród średniowiecznych nagrobków ze Śląska nie pojawia się nigdzie poza Świdnicą. Wziąwszy to pod uwagę oraz zauważywszy szacunkowo niewielką liczebność Żydów w XIV-wiecznej Polsce, jedno jedyne archiwalne poświadczenie tego imienia w Świdnicy (co nie może świadczyć o miejscowej popularności), zbieżność dat śmierci omawianej właśnie Druchny i Izaaka syna Sabataja (o nim za chwilę) — można wysunąć (obłożoną zastrzeżeniami) hipotezę, że Druchna córka Sabataja zmarła w 1362 r. i Izaak syn Sabataja zmarły w 1392 r. byli rodzeństwem. Należy jednak podkreślić, że jest to tylko słabo udokumentowana hipoteza.

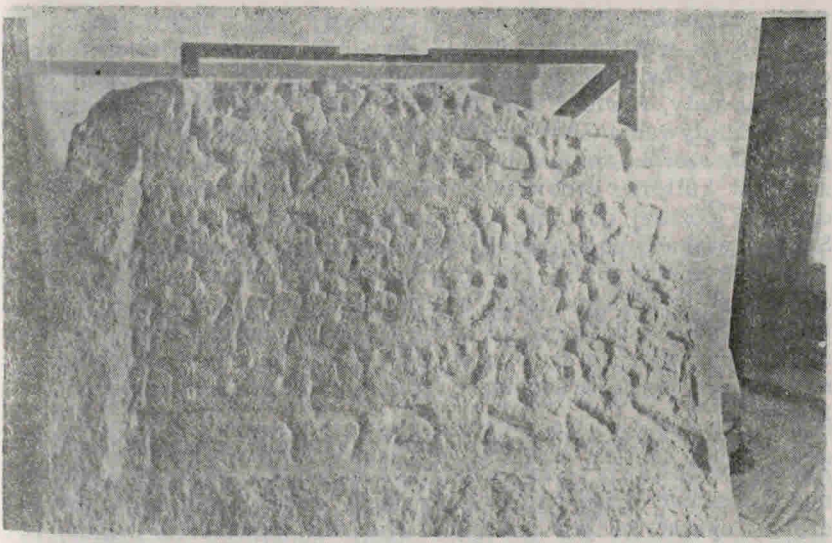
„Niech będzie zmarłej cześć". Zwrot ten występuje już na najstarszych macewach z Nadrenii. Wydaje się, że pełnił tam funkcję końcowej formuły życzeniowej zanim niepodzielnie przejął to zadanie skrót „TNCBH". Wskazywałoby to na jego archaiczność. Na macewach z Nadrenii występuje zamiast końcowej abrewiatury, natomiast na nagrobku ze Świdnicy — obok nej, co jest może wynikiem kontaminacji dwóch różnych formularzy i świadczy o przejściowym charakterze owej inskrypcji. Z jednej strony widać jeszcze zależność od wzorców zachodnioniemieckich (skąd najprawdopodobniej — przez Czechy — przyszli Żydzi do Polski), a z drugiej — powolną ewolucję ku formom rodzimym.

Ostatni z odnalezionych nagrobków nie zachował się w całości, jego górna część została odtrącona. Ocalała część dolna jest prostokątna o wysokości 87 cm, szerokości 102 cm i grubości 7,5 cm. Kamień odnaleziony został w maju 1988 r. obok fontanny na rogu Rynku i ul. Pułaskiego, prawdopodobnie użyty był podczas budowy fundamentu pręgierza. Obecnie macewa znajduje się w hallu Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy.

O steli napisano dotychczas tylko raz, w 1989 r., wspominając o jej odnalezieniu. Fotografii, tekstu ani tłumaczenia nigdzie nie publikowano.

Był to nagrobek Izaaka, syna Sabataja, zmarłego 16 Elul 5151 roku wg kalendarza żydowskiego tj. 17 sierpnia 1391.

Kwestię ewentualnego pokrewieństwa owego Izaaka syna Sabataja z Druchną już omówiliśmy. Wobec tego najciekawszym ele-



Nagrobek Izaaka syna Sabataja, zmarłego 17 sierpnia 1391 r.

mentem zaprezentowanej powyżej inskrypcji jest niewątpliwie chronogram.

Jak tworzy się chronogram?

. . .	. . .
נ ז א מ ן ר' יצחק	wierny pan Izaak
בר' שבתי שהלך ל	syn pana Sabataja; który odszedł
לעולמו ביום ד' ביו'	do wieczności w środę 16
אלול ע'ם כ'ביו'לה' לבר'	Elul „Więzami złączony" (151)
באלף הששי ת'נ'צ'ב'ה'	w szóstym tysiącleciu. Niech
א א א שלה	dusza jego związana będzie
	w węzełku życia.
	Amen. Amen. Amen. Sela.

Jak wiemy, każda litera hebrajska ma pewną wartość liczbową, przy pomocy której zapisuje się również daty śmierci. Jeżeli zamiast normalnie zapisanej daty rocznej zapisuje się jakieś zdanie, w którym zaznacza się wybrane (lub nawet wszystkie) litery w ten sposób, by suma ich wartości dawała liczbę równą rocznej dacie śmierci, to właśnie to jest chronogram. W naszej inskrypcji chronogramem jest formułka: „więzami złączony". Suma war-

tości zaznaczonych tu liter wynosi 151, byłby więc to rok 151 „w szóstym tysiącleciu" czyli 1391 r. n.e.. Niestety słaba czytelność tekstu pozostawia wątpliwości co do poprawności odczytania daty, również sens formuły budzi wątpliwości. Sam zwyczaj odczytywania słów przez ich wartość liczbową jest szeroko gematrii, szeroko propagowanymi m.in. przez niemiecki chasyznany w kulturze żydowskiej, związany z ezoterycznymi naukami dyzm, a później popularnymi również wśród chasydów polskich. Stąd w wiekach późniejszych chronogram jest zjawiskiem częstym.

Trudno rozstrzygnąć, czy chronogram na interesującej nas macewie jest wynikiem takich właśnie wpływów ezoterycznych, czy tylko wynika z dążności do niezwykłego, „eleganckiego" zapisania daty. Niezależnie od odpowiedzi — jest to jedyny chronogram na odnalezionych średniowiecznych macewach żydowskich ze Śląska.

Omówione powyżej cztery stele nagrobne średniowiecznych Żydów świdnickich to zapewne tylko niewielka część ich zagubionego śląskiego dziedzictwa. A historia owych macew to tylko drobny epizod dziejów Świdnicy. Niemniej powiedzieć trzeba, że odnalezione nagrobki to materiał niezwykle cenny, a opis ich historii i analiza mogą być owocne, nie tylko dla poznania kultury Żydów śląskich w wiekach średnich czy poznawania historii miasta, lecz przede wszystkim dla pogłębienia wiedzy o różnicach i podobieństwach naszych dwu kultur.

A poza tym są one wymownym znakiem zaginionego świata. I o owym świecie powinny nam przypominać.

1 O historii Żydów świdnickich w średniowieczu przeczytać można w: M. Brann, **Geschichte der Juden in Schlesien**, Breslau 1896—1917; A. Grotte, **Synagogenspuren in schlesischen Kirchen**, Breslau 1937 s. 26—35; F. Rosenthal, **Najstarsze osiedla żydowskie na Śląsku**, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego w Polsce" 1960 nr 34, s. 15—16; B. Brilling, **Die jüdische Gemeinden Mittelschlesiens. Entstehung und Geschichte**, Stuttgart 1972 s. 166—172; a także: J. Fr. Thomas, **De Fatis Judaeorum Suidnicii**, 1724 (pozycja nie znana mi osobiście); H. Schubert, **Bilder aus der Geschichte der Stadt Schweidntiz**, Schweidnitz 1911 s. 331—335; T. J. Mann, **Geschichte der Stadt Schweidnitz**, Reutlingen 1985 s. 93—97; A. Weiser, **Die jüdische Gemeinde in Schweidnitz**, [w:] **Schweidnitz im Wandel der Zeiten**, Würzburg 1990 s. 284—286. Poniższy akapit na podstawie tych źródeł.

2 Najstarsze zabytki żydowskiej sztuki nagrobnej w Polsce, „**Studia historyczne**" 1989 nr 1 s. 12.

3 Por. historię tej abrewiatury pióra L. Zunza, **Zur Geschichte und Literatur**, t. I Berlin 1845 s. 351 i nn. oraz artykuł M. Vogelmanna w: „Sinai" 1961 nr 9 s. 176—80).

4 Tę i wiele innych informacji zawdzięczam dyrektorowi świdnickiego Muzeum Dawnego Kupiectwa, panu W. Rośkowiczowi.

Ks. prałat Stanisław Marchewka

WSPOMNIENIA Z POBYTU W ŚWIDNICY I W WIĘZIENIU W LATACH 1946—1952

Wstęp

Ks. Stanisław Marchewka urodził się 27 kwietnia 1883 r. w Koziejgłówce pow. Miechów na Kielecczyźnie, jako syn Michała i Marcjanny z domu Olesiak. 22 listopada 1908 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Był kanonikiem gremialnym. Przed drugą wojną światową był proboszczem w parafii pod wezwaniem bł. Wincentego Kadłubka w Jędrzejowie w województwie kieleckim.

Już podczas pierwszej wojny światowej został aresztowany przez Niemców i groziło mu rozstrzelanie. Podczas drugiej wojny światowej był aż trzy razy więziony i potem przez ponad trzy lata musiał ukrywać się pod przybranym nazwiskiem.

Za radą ks. kardynała Hlonda udał się na Ziemie Zachodnie, gdzie od 5 stycznia 1946 r. sprawował funkcję administratora parafii św. Stanisława i św. Wacława w Świdnicy. Był tutaj także dziekanem.

Od 17 lipca 1947 r. do 25 maja 1948 r. więziono go w podziemiach gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a potem w więzieniu przy ul. Mokotowskiej w Warszawie jako oskarżonego o działalność antypaństwową, m. in. o popieranie WiN. Po uwolnieniu, schorowany i prześladowany znów sprawował funkcję proboszcza i dziekana w Świdnicy. W roku 1952 wrocławska władza duchowna mianowała administratorem parafii świdnickiej kapłana wyświęconego w r. 1937 we Lwowie, który 12 marca 1952 roku objął parafię.

Ksiądz prałat Marchewka mieszkał na plebanii jeszcze do 4 grudnia 1952 r. Potem prawdopodobnie udał się do swego brata ks. dra Antoniego Marchewki, proboszcza w Janinie pow. Busko-Zdrój, a następnie (zdaje się) mieszkał w Częstochowie i prawdopodobnie tu zmarł przed wrześniem 1973 r.

Maszynopisy wspomnień ks. Stanisława Marchewki zostały przesłane w r. 1973 do Archiwum Parafialnego kościoła św. Stanisława i św. Wacława w Świdnicy. Niedawno odnalazł je ks. dziekan Ludwik Sosnowski i zezwolił na ich druk. Starania o wydrukowanie ich w „Roczniku Świdnickim 1992" podjął niżej podpisany. Opracowania wspomnień do druku dokonała dr Janina Kocemba.

Edmund Nawrocki

I W Świdnicy 1946—1947

1. Parafia w 1946 r.

Wysłany przez Prymasa Polski, Kardynała Hlonda na Ziemie Odzyskane w roku 1945, rozpocząłem pracę duszpasterską w jednym z większych miast powiatowych na Dolnym Śląsku, w Świdnicy. A była to praca z jednej strony bardzo ciężka i wyczerpująca, bo „żniwo było tam wielkie, a robotników mało", z drugiej jednak strony praca ta była niesłychanie miła, owocna i wdzięczna.

Gdy obejmowałem tę placówkę duszpasterską w dniu 6 stycznia 1946 roku, było już w tym mieście kilka tysięcy Polaków. Byli to w większości przesiedleńcy z Wileńszczyzny i zza Bugu, z województwa lwowskiego oraz osiedleńcy z całej niemal Polski, którzy tu przyszli szukać lepszych warunków życia. Największy procent osiedleńców był z Krakowskiego, głównie z powiatów bocheńskiego i wadowickiego. Ludzie ci tak byli zajęci sprawami doczesnymi, tj. zajmowaniem domów, gospodarstw, sklepów i innych warsztatów pracy, iż mało myśleli o duszy i o rzeczach duchowych. Toteż nie bardzo się kwapili do kościoła ani do sakramentów św. Pochodziło to nie z braku wiary, ale po prostu z tego, że nie mieli czasu.

Polskie życie katolickie nie było jeszcze na Ziemiach Odzyskanych zorganizowane. Stolica Apostolska stworzyła tu dopiero Administracje Apostolskie. Miasto, do którego mnie ks. Administrator Apostolski dr Karol Milik z Wrocławia przeznaczył na administratora i duszpasterza jedynej tu dotąd parafii, nie miało jeszcze ustalonego duszpasterza. Przy kościele parafialnym, gdzie byli jeszcze niemieccy księża, osiadł tymczasowo jeden z księży [Franciszek Łojek] z centralnej Polski, który był dobrym kapłanem, ale bardziej się nadawał na wieś, aniżeli do dużego miasta. Toteż mało się zajmował miejscową ludnością, a częściej wyjeżdżał do okolicznych wiosek, gdzie odprawiał nabożeństwa, głosił słowo Boże i udzielał Sakramentów św.

Był w mieście i drugi jeszcze ksiądz [Józef Rzeczkowski], pochodzący z lwowskiej archidiecezji, który osiadł przy kościele Sióstr Urszulanek i uczył religii w szkołach.

W kościele parafialnym w niedziele i święta odprawiała się tylko jedna Msza św. z kazaniem o godzinie 11.

Przy tym kościele gospodarowali jeszcze całkowicie niemieccy księża, proboszcz [ks. Erich Puzik] i dwóch jego wikariuszy, albowiem w mieście było jeszcze ok. 10.000 Niemców, wielu z nich katolików. Mimo, że dla Polaków była tylko jedna Msza św. w niedziele

i święta, frekwencja wiernych na nabożeństwach była bardzo słaba, co mnie smuciło. Ażeby pociągnąć ludzi do Kościoła, zaprowadziłem więc od razu dwie Msze św. w niedziele i święta, pierwsza o godzinie 8 rano, druga o godzinie 11.

Bardzo słaba była również frekwencja wiernych do Sakramentów św. Do spowiedzi i Komunii św. przychodzili tylko ci, którzy zawierali związki małżeńskie. Żeby zachęcić wiernych do Sakramentów św., zacząłem głosić gorliwie kazania misyjne i oczekiwałem codziennie na penitentów w konfesjonale od godziny 6 rano. Cieszyłem się bardzo, gdy po upływie miesiąca widziałem już w niedzielę około 50 osób u Komunii św.

Plebanię zajmowali jeszcze księża niemieccy, ja zaś musiałem się zatrzymać chwilowo w szpitalu Sióstr Elżbietanek, zajmując tam tylko jeden maleńki pokoik. Dopiero po 6 tygodniach, gdy odrestaurowałem sobie na probostwie 3 zniszczone przez bomby pokoiki na drugim piętrze, przeprowadziłem się na plebanię.

Kościół parafialny, jeden z największych i najpiękniejszych kościołów na Dolnym Śląsku, choć ocalał szczęśliwie podczas działań wojennych, mocno był podniszczony i bardzo opuszczony. Prawie wszystkie witraże w oknach potłuczone, ołtarze zaniedbane i zakurzone, ani jednego sztandaru i chorągwi do procesji.

W opłakanym również stanie był niewielki park przy plebanii, cały bowiem był rozkopany i zawalony gruzami. Doprowadziwszy do względnego porządku kościół, zakrystię i plebanię, zająłem się przede wszystkim pracą nad odbudową żywego Kościoła, pracą nad duszami. A była to praca bardzo ciężka.

Parafia moja była duża i stale się powiększała, ja zaś tu byłem prawie sam, nie miałem żadnej pomocy. Musiałem się więc nieraz dwoić i troić, by podołać obowiązkom. Polski ksiądz, którego tu zastałem, gdy się dowiedział, że nie będzie proboszczem, wyjechał zaraz na Pomorze, by tam sobie szukać odpowiedniej placówki. Ponieważ w całej okolicy było jeszcze bardzo mało księży polskich, musiałem przeto obsługiwać kilka okolicznych parafii, dojeżdżając tam od czasu do czasu by ludziom odprawiać Mszę św., wygłosić słowo Boże i udzielić Sakramentów św. Czyniłem to przeważnie w niedzielę po południu.

Ks. Administrator Apostolski obdarzył mnie władzą jakoby wikariusza generalnego na cały powiat, iż mogłem obsadzać wakujące parafie w okolicy zgłaszającymi się do mnie księżmi polskimi. Obsadziłem więc kilka najważniejszych placówek. Najtrudniej zaś było mi zdobyć sobie na miejscu pomocnika, gdyż wszyscy zgłaszający się księża chcieli mieć samodzielne placówki, a żaden nie chciał być wikarym. Dopiero po upływie 8 miesięcy otrzyma-

łem stałego pomocnika, który jednak mało mi pomagał w kościele, ponieważ był prefektem szkół. Byłem więc bardzo przeciążony pracą.

2. Wielkie rekolekcje wielkopostne

Ażeby ożywić wśród parafian wiarę i pobudzić ich do życia religijnego, urządziłem zaraz w pierwszym roku swego pasterzowania, w 1946 r. wielkie rekolekcje w poście. Rekolekcje te prowadziłem sam przez całe dwa tygodnie. Każdego dnia wygłaszałem wieczorami po dwa kazania (jedno ogólne dla wszystkich, a drugie stanowe: po 2 dla mężów i ojców, po 2 dla mężatek i matek i po 2 dla młodzieńców i dziewcząt). Dla każdego stanu urządziłem osobną spowiedź i Komunię św. Frekwencja na wszystkich kazaniach, tak ogólnych jak i stanowych, była nadzwyczajna, duża również była frekwencja wiernych przy spowiedzi i Komunii św. Ogromną trudność miałem tylko w zdobywaniu spowiedników, gdyż księży polskich w całej okolicy było zaledwie kilku. Podczas tych rekolekcji było dużo wprost cudownych nawróceń. Do spowiedzi przyszli tacy, którzy długie lata nie przystępowali do Sakramentów św. i żyli z dala od Boga. Rekolekcje te wlały nowego ducha w moich parafian, skutki ich były nadzwyczajne. Wzrosła ogromnie frekwencja wiernych na nabożeństwach i do Sakramentów św. Konfesjonały odtąd były stale oblężone, zwłaszcza w sobotę wieczorem i w niedzielę rano. Niestety, za mało było księży.

Już od Wielkanocy wprowadziłem w każdą niedzielę i święto po 3 Msze św. z kazaniami. Aby pociągać ludzi do kościoła, urządziłem uroczyste nabożeństwa. W Wielkim Tygodniu bardzo uroczyście odprawiałem ceremonie: Grób Pański udekorował artystycznie miejscowy Teatr Miejski. Wspaniale wypadła pierwsza Rezurekcja polska o godzinie 6 rano w Wielkanoc, w której wzięło udział kilka tysięcy ludzi. Lud polski przesiąknięty głęboko tradycją katolicką, garnął się coraz bardziej do Boga i do Kościoła i otaczał wielką czcią i miłością swoich kapłanów.

Nabożeństwo majowe i czerwcowe uważałem za dalszy ciąg pracy misyjnej, wygłaszając na nich codziennie krótkie, ale treściwe kazanie, toteż frekwencja wiernych na tych nabożeństwach była bardzo duża. Ponieważ współpatronem kościoła parafialnego i całego miasta jest św. Stanisław, Biskup i Męczennik, urządziłem więc wspaniale pierwszy odpust polski w parafii, na który zaprosiłem J. E. Ks. Administratora Apostolskiego z Wrocławia. Ludność polska zgotowała mu owacyjne przyjęcie. Ks. Administrator celebrował pontyfikalną sumę i wygłosił piękne kazanie.

Wspaniale urządziliśmy pierwszą procesję Bożego Ciała, w której wzięło udział wiele tysięcy ludzi, przybyłych tu z całej okolicy. Pierwszy ołtarz w mieście urządzili harcerze, drugi — zakonnice, trzeci — Zarząd Miejski, czwarty — Teatr Miejski, a piąty — Sodalicja Mariańska. Na Rynku, z balkonu gmachu teatralnego wygłosiłem przez megafony kazanie do niezliczonych tłumów wiernych. Celebransa prowadzili: prezydent miasta, starosta, przedstawiciele kupiectwa, robotników i wszystkich stanów. Przygrywały dwie orkiestry, całość wypadła imponująco. Życie katolickie na Dolnym Śląsku rosło, krzepło i rozwijało się coraz piękniej.

3. Współżycie z Niemcami. Nabożeństwa niemieckie

Ponad rok, aż do wysiedlenia Niemców z Dolnego Śląska, ludność polska zmuszona była żyć razem z Niemcami, których było tu jeszcze dużo. Niemcy z nienawiścią patrzyli na osiedlających się coraz liczniej na Ziemiach Odzyskanych Polaków, ale zachowywali się spokojnie.

W kościele odprawiały się na przemian nabożeństwa polskie i niemieckie. Niemcy mieli swoje Msze św. z kazaniami o godz. 6, 8 i 10 rano. Polacy zaś o godzinie 7, 9 i 11. W dni powszednie Polacy o godzinie 7.30 i o 8, Niemcy o godzinie 6, 6.30 i 8.30.

Rzecz jasna, że było to bardzo niewygodne dla nas Polaków, gdyż trzeba było się spieszyć, by ludzie mogli się w kościele wymienić. Frekwencja Niemców na ich nabożeństwach zarówno w niedziele, jak i w inne dni powszednie była bardzo duża, bez porównania większa niż Polaków, co mnie bardzo smuciło. Również daleko większa była frekwencja Niemców do Komunii św., aniżeli Polaków.

Kiedy zwracałem moim parafianom uwagę z ambony, dlaczego nie naśladują pod tym względem Niemców, wielu z nich tak mi na to odpowiedziało: „Niemcy chodzą często do Komunii św., a tak mordowali Polaków w obozach, gorzej niż poganie. Cóż więc ich pobożność warta?"

Nabożeństwa niemieckie były zimne, sztywne, bez żadnego namaszczenia. Bardzo skromnie odprawiały się niemieckie majowe nabożeństwa. Ksiądz ubrany tylko w komżę i stułę, odczytywał litanię do Matki Boskiej, poczem udzielał prywatnie błogosławieństwa Najśw. Sakramentem i nic więcej. W niedzielę tylko odprawiało się to nabożeństwo nieco uroczyściej, bo chór śpiewał litanię na głosy, a lud tylko słuchał, co wyglądało bardziej na koncert niż na nabożeństwo. We wszystkich nabożeństwach niemieckich widać

było wielki wpływ protestantyzmu. Cała pobożność była dziwnie zimna, sztywna — jakby tylko „na rozkaz", a nie widać w niej było ani tej żarliwości, ani namaszczenia, jakie przebija się w naszych nabożeństwach. Bardzo sztywnie i oficjalnie wyglądały również niemieckie procesje eucharystyczne, asysta bardzo uboga, celebrans z Najśw. Sakramentem szedł zbyt szybko, lud siedział w ławkach, mało ludzi szło za Najśw. Sakramentem.

Kościółki wiejskie były przeważnie bardzo ubożuchne i zaniedbane. Dookoła kościoła cmentarze grzebalne, groby jeden przy drugim tak gęsto, że nie było nawet alejki, którą by mogła iść procesja. Z tego było widać, że w parafiach wiejskich nigdy procesji wkoło kościoła nie urządzano. Księża niemieccy w parafiach wiejskich bardziej zajmowali się gospodarstwem aniżeli pracą duszpasterską. Zresztą bardzo mało mieli parafian, bo niekiedy po 200 lub 300 dusz. Wszędzie bowiem sporo było protestantów.

Księża niemieccy odnosili się do mnie z wielkim szacunkiem. Kiedy jako dziekan wizytowałem parafie, wychodzili na moje spotkanie razem z księżmi polskimi i wygłaszali mowy powitalne po łacinie. Z miejscowymi księżmi niemieckimi, aż do ich wysiedlenia, żyłem w najlepszej harmonii i zgodzie, co się wszystkim bardzo podobało i budowało tak Polaków, jak i Niemców. Toteż nic dziwnego, że kiedy nastąpiło wysiedlenie Niemców z Dolnego Śląska, księża niemieccy żegnali mnie pięknymi przemówieniami i ofiarowali na pamiątkę piękne obrazy. Zaś niemiecka ludność cywilna klęczała na placu kościelnym, prosząc mnie o błogosławieństwo. Błogosławiłem jej z całego serca i życzyłem w duchu, by już więcej nie wracała na nasze ziemie polskie. Po wysiedleniu księży niemieckich z parafii w moim dekanacie miałem niemało kłopotu, by uratować mienie kościelne i plebanijne przed rabunkiem i szabrowaniem, zanim te parafie nie zostały obsadzone przez księży polskich. Nie mając żadnego środka lokomocji, objeżdżałem wszystkie parafie na motocyklu pewnego poczciwego milicjanta, który sam mnie obwoził po całym powiecie. Bogu Najwyższemu dzięki, udawało mi się prawie we wszystkich parafiach zabezpieczyć mienie kościelne i plebanijne. W innych powiatach wiele kielichów, monstrancji, a nawet obrazów wycinanych z ołtarzy, zrabowali żołnierze sowieccy.

4. Poświęcenie parafii Niepokalanemu Sercu Maryi

W roku 1946 Episkopat Polski wydał zbiorowy list pasterski, w którym polecił, by w dniu 7 lipca tego roku odbyło się w całej Polsce poświęcenie wszystkich parafii Niepokalanemu Sercu Ma-

ryi. Stosownie do tego polecenia, miały być urządzane w każdej parafii specjalne przygotowania do tego uroczystego aktu. Urządziłem więc w swojej parafii uroczyste „Triduum" ze specjalnymi kazaniami. W niedzielę 7 lipca przystąpiło do Komunii św. około 1500 osób. Po uroczystej sumie został odczytany Akt Poświęcenia Parafii Niepokalanemu Sercu Maryi i odbyła się procesja z Najświętszym Sakramentem. Przy tym poświęceniu poddałem moim parafianom myśl sprawienia do naszego kościoła parafialnego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, jako pamiątki tego poświęcenia. Parafianie podjęli z radością ten projekt i od razu zaczęły wpływać na ten cel ofiary. W dniu poświęcenia parafii Niepokalanemu Sercu Maryi urządziliśmy w naszym mieście w Domu Kultury piękną akademię ku czci Matki Boskiej, w której wzięło udział kilka tysięcy wiernych.

Szczęśliwe to były czasy, kiedy wolno było jeszcze urządzać takie akademie publicznie.

5. Poświęcenie poszczególnych instytucji w parafii Niepokalanemu Sercu Najśw. Maryi Panny

Po poświęceniu parafii zachęcałem swoich parafian z ambony, by budowali swoje życie katolickie na Ziemiach Odzyskanych z Bogiem i oddawali wszystko pod opiekę Matki Boskiej. Stosując się do tych wskazań, parafianie moi prosili o poświęcenie prawie każdej rodziny, każdego domu, każdego sklepu, szkół, fabryk i instytucji Niepokalanemu Sercu Maryi.

Pierwszą instytucją w mieście, która ofiarowała się Niepokalanemu Sercu Maryi, był Sąd Okręgowy i Grodzki oraz całe sądownictwo. Poprosił o to Prezes Sądu Okręgowego w imieniu całego sądownictwa. Nastąpiło to już w pierwszą niedzielę po ofiarowaniu całej parafii, tj. 14 lipca. Wzruszający i niesłychanie budujący był widok, gdy podczas uroczystej sumy wszyscy sędziowie, prokuratorzy i urzędnicy sądowi zasiedli w prezbiterium i większość z nich przystąpiła podczas Mszy św. do Komunii św. Po sumie odbył się akt poświęcenia gmachu sądowego i ofiarowanie całego sądownictwa Niepokalanemu Sercu Maryi. Największe sale sądowe były pięknie udekorowane; wśród zieleni i kwiatów stała figura Matki Boskiej. Po akcie ofiarowania odbyła się ceremonia poświęcenia kilkudziesięciu krzyży i zawieszenia ich we wszystkich salach i we wszystkich biurach gmachu sądowego.

Mój Boże, czy wówczas pomyślał kto o tym, iż wkrótce te krzyże będą stamtąd wyrzucone?

Po zawieszeniu krzyży odbyła się w głównej sali sądowej uroczysta akademia, na której wygłosiłem pierwsze przemówienie. Następnie przemawiał prezes Sądu Okręgowego i inni mówcy, dzieci zaś deklamowały wierszyki o treści religijnej. Cała ta uroczystość wypadła bardzo pięknie i zrobiła na wszystkich niesłychanie silne i budujące wrażenie.

W niedzielę 28 lipca miało odbyć się poświęcenie dworca kolejowego. W dniu tym zebrali się w kościele na sumę bardzo liczni kolejarze. Wysłuchali Mszy św., a wielu z nich przystąpiło do Komunii św. i zaofiarowali się Niepokalanemu Sercu Maryi. Po sumie miało się odbyć poświęcenie gmachu dworca kolejowego. Niestety, w ostatniej chwili nadeszła depesza z dyrekcji kolejowej z Wrocławia zakazująca tego poświęcenia. Poczciwi kolejarze udali się sami zaraz po nabożeństwie na dworzec kolejowy i tam w głównej sali zawiesili krzyż i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Zakaz z dyrekcji kolejowej był smutnym zwiastunem rychłego prześladowania Kościoła w Polsce.

W niedzielę 4 sierpnia odbyło się poświęcenie i ofiarowanie Niepokalanemu Sercu Maryi największej w mieście fabryki liczników elektrycznych. I znowu prawie wszyscy pracownicy tej fabryki wraz z całym zarządem zebrali się w kościele na Mszy św., dyrektor fabryki i wielu pracowników przystąpiło do Komunii św. Po sumie odbyło się poświęcenie fabryki. Na każdej hali fabrycznej były piękne ołtarzyki, przy których odbywało się poświęcenie. Robotnicy polscy z wielkim entuzjazmem witali swego proboszcza i z przejęciem oddawali się pod opiekę Matki Najświętszej. W podobny sposób odbywało się poświęcenie innych fabryk w całym mieście. Wszędzie zarówno zarząd, jak i robotnicy entuzjastycznie witali kapłana i poświęcali się Niepokalanemu Sercu Maryi.

Nawet drużyny sportowe zapragnęły się ofiarować Niepokalanemu Sercu Maryi i prosiły o poświęcenie sztandaru sportowego. Po uroczystej Mszy św. w kościele udali się wszyscy sportowcy na stadion i tu nastąpiło poświęcenie stadionu, po którym odbył się mecz piłki nożnej. W poświęceniu tym brało udział kilka tysięcy ludzi.

W niedzielę 22 września 1946 r. odbyło się poświęcenie sztandaru kupców polskich i ofiarowanie się całego kupiectwa Niepokalanemu Sercu Maryi. Kupcy z całego miasta wzięli najpierw udział we Mszy św., podczas której wielu z nich przystąpiło do Komunii św. W podobny sposób odbywało się poświęcenie poszczególnych cechów: piekarskiego, rzeźnickiego, stolarskiego, szewskiego i innych. Nie było w tym mieście instytucji, sklepu, restaura-

cji i innych warsztatów pracy, które by nie prosiły o to poświęcenie. Uroczyście były poświęcane prawie wszystkie szkoły, tak podstawowe, jak średnie i zawodowe.

Po tych poświęceniach i ofiarowaniach się Niepokalanemu Sercu Maryi prawie wszystkich instytucji, fabryk, lokali, szkół i zakładów, nastąpiła w całym mieście cudowna zmiana na lepsze. Ludzie garnęli się coraz liczniej do kościoła i do Sakramentów św. Ustało znacznie pijaństwo, wygasły powoli inne nadużycia i zakwitła pobożność i cnota. Niepokalane Serce Maryi dokonywało cudów przemieniając najbardziej zaniedbanych grzeszników w ludzi religijnych i dobrych i zapalając w sercach ludzkich coraz większą miłość Boga i Ojczyzny.

6. Organizowanie bractw i stowarzyszeń religijnych

Pojmując dobrze znaczenie i użyteczność bractw i organizacji religijnych w parafii, już od samego początku mej pracy duszpasterskiej w Świdnicy, przystąpiłem do ich organizowania w swej parafii. Wielu moich parafian należało już od dawna do bractw i stowarzyszeń katolickich, należało ich tylko skupić tutaj, na nowym miejscu ich pobytu. Zorganizowałem przeto najpierw Arcybractwo Różańcowe i kilkanaście Kółek Różańcowych. Arcybractwo Różańcowe liczyło około 300 członków i członkiń. Nabożeństwa różańcowe i zebrania odbywały się w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. Następnie przystąpiłem do organizowania Sodalicji Mariańskiej wśród wszystkich stanów. Od razu zgłosiło się około 150 kandydatów i kandydatek, w tym około 25 mężów, 60 niewiast, 40 panien i około 30 młodzieńców.

Dorośli członkowie i członkinie Sodalicji Mariańskiej rekrutowali się przeważnie spośród miejscowej inteligencji, a młodzież ze szkół średnich.

Nabożeństwa sodalicyjne i zebrania odbywały się również w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. Rano była Msza św. i Komunia św., po południu o godzinie 17 krótkie nabożeństwo sodalicyjne a po nim zaraz zebranie ogólne w Domu Katolickim. Trzecim Stowarzyszeniem było Apostolstwo Modlitwy dla Starszych i Krucjata Eucharystyczna dla dzieci. Apostolstwo Modlitwy i Krucjata Eucharystyczna miały swoje nabożeństwo również w pierwszą niedzielę miesiąca z procesją z Najśw. Sakramentem po wieczornej Mszy św. oraz zebranie.

Zorganizowałem również i chór kościelny, tak zwany chór „Cecyliański", do którego należało około 50 osób.

Spośród stowarzyszeń społecznych zorganizowałem najpierw Towarzystwo Dobroczynności „C a r i t a s" — do tego stowarzyszenia

należały przeważnie panie z inteligencji i kilkunastu panów. Towarzystwo to rozwijało się bardzo pięknie i robiło wiele dobrego w parafii, niosąc pomoc materialną ludziom biednym i opuszczonym. A prowadzone było tak wzorowo, że gdy później czynniki państwowe chcąc odebrać tę instytucję Kościołowi, robiły we wszystkich oddziałach „Caritasu" ścisłe rewizje i znalazły w nich rzekomo wiele nadużyć, w naszym oddziale nie znalazły najmniejszych nawet niedociągnięć.

Równocześnie więc z życiem religijnym rozwijało się w parafii i rosło życie organizacyjne i społeczne. Parafianie moi interesowali się żywo jednym i drugim, praktykowali życie religijne, należeli do organizacji społecznych i wspierali je finansowo. W szczególniejszy zaś sposób rozwijała się akcja charytatywna. Ludzie zamożniejsi, zwłaszcza kupcy i restauratorzy, wspierali „Caritas" nie tylko pieniężnie, ale i datkami w naturze. Piekarnie dostarczały chleba, rzeźnie mięsa, kupcy przynosili odzież, bieliznę, buty itp. ofiary.

Około 100 rodzin otrzymywało zapomogi stałe. Na Boże Narodzenie „Caritas" urządzało „wilię" dla 100 rodzin najbiedniejszych w mieście oraz „Gwiazdkę" dla biednych dzieci. Na Wielkanoc znowu „święcone" najmniej dla 100 rodzin oraz dzieci chorych.

„Caritas" kształciło kilku biednych młodzieńców w seminarium duchownym. „Caritas" opiekowało się chorymi w parafii i więźniami, posyłając im paczki żywnościowe, a chorym dawało opiekę lekarską.

7. Uroczystości i nabożeństwa kościelne

By zachęcić parafian do uczęszczania do kościoła i do częstej Komunii św., urządzałem jak najwspanialej większe uroczystości kościelne, na które zapraszałem najlepszych kaznodziei — misjonarzy. Urządzałem „Triduum" przed większymi świętami, wygłaszałem co niedzielę nauki stanowe dla poszczególnych stanów. Przyjąłem zdolnego organistę, który prowadził pięknie chór kościelny i uczył ludzi śpiewu. Dla nowożeńców urządzałem specjalne nauki przedślubne, które odbywały się w każdą niedzielę wieczorem.

Organizowałem piękne procesje, pielgrzymki do Częstochowy i innych miejsc świętych. Dekorowałem pięknie ołtarze w kościele. Urządzałem artystycznie Grób Pański i Żłobek Bożego Narodzenia. W okresie kolędowym urządzałem każdego roku koncerty kolędowe. Robiłem wszystko, by zachęcić i pociągnąć para-

fian do życia religijnego. Toteż nic dziwnego, że kościół parafialny, aczkolwiek należał do największych kościołów na Dolnym Śląsku, zawsze był przepełniony.

8. Poświęcenie i wprowadzenie do kościoła parafialnego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej

Na pamiątkę ofiarowania parafii Niepokalanemu Sercu Maryi z dobrowolnych ofiar parafian sprawiłem piękny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który wykonał jeden z lepszych malarzy polskich, Rutkowski w Częstochowie. Jest to wierna kopia Cudownego Obrazu Matki Boskiej na Jasnej Górze.

Obraz ten podtrzymuje dwóch aniołów, a u dołu obrazu namalowany jest wielki orzeł polski w koronie. Pod skrzydłami orła widać klasztor jasnogórski, kościół świdnicki i katedry w Krakowie, Warszawie, Gnieźnie, Lwowie i Wilnie. Obraz ten stał się później „kamieniem obrazy" dla komunistycznych czynników rządowych. W roku 1952 na rozkaz jednego z kurialistów wrocławskich miał być nawet z kościoła wyrzucony. Na szczęście skończyło się tym, że był przez blisko 3 lata zamknięty, jakoby „uwięziony" i dopiero na usilne starania parafian został odsłonięty, ale bez białego orła. Uroczystość poświęcenia tego obrazu odbyła się w dniu 3 maja 1947 r. w święto Matki Boskiej Królowej Polski. Już od godziny 3 po południu zaczęły napływać do naszego miasta niezliczone tłumy ludzi, które wypełniły olbrzymi kościół i przylegające doń place.

Na poświęcenie zaprosiłem ks. Administratora Apostolskiego, który niestety nie mógł przybyć, gdyż zajęty był wizytacją pasterską. Uprosił jednak 2 księży biskupów z centralnej Polski, którzy mieli go w tym zastąpić. Niestety, dziwnym trafem okoliczności nie mogli i oni przybyć w porę wskutek defektu samochodowego w drodze i przybyli na zakończenie tej uroczystości.

O godzinie 6 wieczorem przed majowym nabożeństwem, w asystencji okolicznych księży dokonałem poświęcenia obrazu i wygłosiłem okolicznościowe kazanie.

W akcie poświęcenia brały udział władze państwowe na czele z Prezydentem Miasta i Starostą Powiatowym. Na drugi dzień, w niedzielę po sumie odbyła się wielka procesja z tym obrazem po mieście, w której wzięły udział niezliczone tłumy ze Starostą na czele. Obraz niosły na zmianę wszystkie stany. Po procesji udzieliłem wiernym błogosławieństwa obrazem. Zaraz po procesji nadjechali owi księża biskupi, z których jeden wygłosił w kościele przemówienie. Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej został umie-

szczony w bocznej, północnej kaplicy w ołtarzu. Parafianie otoczyli ten obraz bardzo wielką czcią, zawsze widać było przed nim tłumy modlących się ludzi. W maju zaś po każdym majowym nabożeństwie celebrans wraz z ludźmi odmawiał przed obrazem modlitwę za Ojczyznę.

9. Reakcja piekła

Bardzo pięknie rozwijało siię życie katolickie i polskie w mojej parafii na Zachodzie. Praca księży była tu, jak wspomniałem wyżej, z jednej strony bardzo ciężka, bo „żniwo było wielkie, a robotników mało", z drugiej jednak strony praca ta była niesłychanie owocna i wdzięczna. Ludność polska, przywiązana zawsze do Kościoła i swego duchowieństwa, otaczała swoich księży, którzy przyszli z nią na Ziemie Odzyskane, szczególną miłością. Ksiądz polski na Ziemiach Odzyskanych był specjalnie umiłowany przez swoje owieczki, a było tych księży mało.

Proboszcz w Świdnicy, gdzie miałem szczęście pasterzować, cieszył się tak wielkim poważaniem i autorytetem, że był — można powiedzieć — „alfą i omegą". Liczyli się z nim wszyscy, nie tylko ludzie prości, ale i inteligencja i władze świeckie. Można było powiedzieć, że nic się tu bez udziału księdza nie działo. Ksiądz poświęcał wszystkie instytucje, fabryki, warsztaty pracy, sklepy, domy itd. Ksiądz musiał brać udział w pracy społecznej i być na każdym zebraniu. Jakim zaufaniem i jaką powagą cieszył się tutaj proboszcz dość wspomnieć, że sam „szef" milicji obywatelskiej obwoził mnie po wszystkich posterunkach milicji, abym wygłaszał kazania dla milicjantów i ułatwił im spowiedź wielkanocną.

Starosta Powiatowy użyczał mi często auta, bym mógł wizytować parafie w moim dekanacie, dojeżdżać tam z nabożeństwami, gdzie nie było jeszcze polskich księży.

Jako dziekan i komisarz biskupi objeżdżałem wszystkie parafie i kościoły w całym dekanacie i powiecie i zabezpieczałem mienie kościelne i plebanijne przed wyszabrowaniem.

Pięknie naprawdę szła ta praca religijno-społeczna, przy czynnym popraciu i współpracy władz państwowych.

Nie spały czynniki wrogie Kościołowi i knuły spiski przeciwko zbawiennej akcji Kościoła. Bezbożny komunizm ukrywał się jeszcze, lękając się mocnego sprzeciwu katolickiego społeczeństwa. Ale nie spał, lecz obmyślał środki, jakby mógł najskuteczniej zwalczać wszystko, co było katolickie i Boże! Powoli, ale systematycznie i nieubłaganie zbliżało się prześladowanie Kościoła w Polsce. Nie przypuszczałem nawet, że będę miał szczęście należeć do

pierwszych ofiar tego prześladowania. Wrogowie Kościoła obserwowali pilnie duchowieństwo katolickie. Z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie szły bezustannie tajne i poufne instrukcje, jak Urzędy Bezpieczeństwa mają śledzić biskupów i księży. Najbardziej zaś dla bezbożnego komunizmu niebezpiecznymi byli księża gorliwi, którzy mieli wielki wpływ na ludzi.

II W więzieniu 1947—1948

1. Aresztowanie

Było to w środę 16 lipca 1947 r., w uroczystość Matki Boskiej Skaplerznej. W dniu tym odprawiłem Mszę św. uroczyściej niż zwykle, w kaplicy Matki Boskiej nie przypuszczając wcale, że będzie to moja ostatnia Msza św. w tym roku. Znużony całodzienną pracą udałem się o godzinie 10 wieczorem na spoczynek. Zaledwie jednak zasnąłem, gdy około godziny 11 w nocy zbudzony zostałem przez służbę, która mi oznajmiła, że jacyś panowie chcą się ze mną widzieć. W tej chwili weszło do mej sypialni trzech panów, jeden z nich był w cywilnym ubraniu, a dwóch w mundurach wojskowych. Byli to „panowie" z Urzędu Bezpieczeństwa. Dwóch z nich było z Ministerstwa Bezpieczeństwa z Warszawy, a jeden z miejscowego Urzędu.

Ja jednak nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego jakich to „gości" miałem w swoim domu i nie wiedziałem co to są za panowie. Pan w cywilnym ubraniu zbliżył się do mnie, kiedy leżałem jeszcze w łóżku i pokazał mi jakiś nieduży świstek papieru, którego nawet nie przeczytałem i oświadczył mi, że ma rozkaz przeprowadzić w moim mieszkaniu rewizję. Jak się później dowiedziałem, ten pan w cywilnym ubraniu był szefem jakiegoś wydziału w Ministerstwie Bezpieczeństwa w Warszawie, i przyjechał w towarzystwie drugiego oficera również z tego Ministerstwa.

Obydwaj ci panowie z Warszawy wyglądali bardzo niesympatycznie, zwłaszcza ten w cywilnym ubraniu, który uśmiechał się po judaszowsku i podobny był raczej do błazna, bo robił miny błazeńskie.

Wstałem z łóżka i natychmiast w mojej obecności rozpoczęła się rewizja, najpierw w moim gabinecie, następnie w sypialni i w mojej osobistej kancelarii. „Proszę szukać i zabierać wszystkie pisma i książki, traktujące o komunizmie, socjalizmie i Żydach!" — wyrzekł półgłosem ów pan w cywilnym ubraniu, zwany przez towarzyszy „panem naczelnikiem".

Przerzucono wszystko w szafach bibliotecznych, w szafach, w biurku, w szafie na ubrania i wszędzie. Zaglądano do każdej książki, oglądano i odczytywano każdy najmniejszy nawet papierek. Rewizja trwała całą noc, aż do rana. Rano pan naczelnik zapytał mnie: „Gdzie są pieniądze kościelne?" „W kasie" — odpowiedziałem. „Proszę mi otworzyć kasę". Otworzyłem i pokazałem mu wszystkie pieniądze znajdujące się w kasie. Pan naczelnik zdziwił się bardzo, gdy znalazł w niej niecałe 1000 zł. „A gdzie macie resztę pieniędzy?" — pyta dalej naczelnik. „Nie mamy więcej, bo wszystkie pieniądze idą na potrzeby kościoła" — odpowiedziałem. „To jest niemożliwe" — krzyknął naczelnik. „Ile macie dolarów?" „Ani jednego" — odpowiedziałem. „A ile ksiądz ma własnych pieniędzy?" — pyta dalej. „Niecałe tysiąc złotych" — odpowiedziałem. „A gdzie są skarby kościelne, kielichy, monstrancje itp." — pyta się naczelnik. „Chodźmy do kościoła" — mówi do mnie. Poszliśmy więc wszyscy do kościoła, weszliśmy do zakrystii, ale im skarbca nie otworzyłem oświadczając, że nie mają prawa do żadnych skarbów kościoła. Obejrzeli cały kościół, weszli potem do krypty znajdującej się pod prezbiterium i zaczęli opukiwać ściany. Pan naczelnik kazał sobie przynieść siekierę i młotek i sam zaczął wybijać w ścianie otwory, spodziewając się, że może uda mu się znaleźć jakieś zamurowane skarby. Podczas tych poszukiwań, przeczuwając że będę aresztowany, udałem się do zakrystii, by dać odpowiednie instrukcje zakrystianowi na wypadek mego aresztowania. Zakrystianin rozpłakał się, otworzył boczne drzwi prowadzące do ogrodu i prosił abym uciekał przez ogród do miasta. Lecz ja nie miałem wcale zamiaru uciekać czując się całkiem niewinnym. Zdałem się całkowicie na Wolę Bożą i wróciłem do owych panów, którzy robili jeszcze poszukiwania w krypcie kościoła. Po próżnych poszukiwaniach wróciliśmy wszyscy na plebanię. Tu rozpoczęła się bardzo ciekawa rozmowa pana naczelnika ze mną.

„Ile ksiądz ma naprawdę pieniędzy?" — pyta mnie po raz drugi ów pan. Wyjąłem wszystkie moje pieniądze z prywatnej kasy, przeliczyłem i mówię. „Oto wszystko, co posiadam, niecałe 1000 zł". „A ile ksiądz ma dolarów?" „Jednego, którego dostałem na mszę św." — odpowiadam. „To jest niemożliwe" — odpowiedział mocno rozgniewany naczelnik. „Mam tylko złoty pierścień kanonicki" — odpowiedziałem.

Po tej rozmowie wszyscy trzej panowie poszli do drugiego pokoju na jakąś poufną konferencję. Po tej konferencji wraca do mnie naczelnik i tak się odzywa: „Mam rozkaz księdza aresztować, ale nie chciałem tego robić, może byśmy to załatwili jakoś polu-

bownie?" „Nie rozumiem wcale, o co panu chodzi" — mówię do niego. Wówczas naczelnik wziął mnie na stronę i tak się odzywa do mnie po cichu: „Ile naprawdę ksiądz ma pieniędzy?" „Nie mam nic więcej, prócz tego co panu pokazałem" — odrzekłem. „Ksiądz ma, tylko nie chce się przyznać" — wyrzekł rozgniewany.

„A po co tu do księdza przyjeżdża ks. dr Antoni Marchewka?"

„Przyjeżdża do mnie, aby mnie odwiedzać, bo jest moim bratem".

„A do jakiej podziemnej organizacji należy ten brat księdza?"

„Wiem tylko tyle, że nie należy do żadnej organizacji, bo on się takimi sprawami nie zajmuje" — odrzekłem.

„Ksiądz wie dobrze, ale nam tego nie chce powiedzieć" — mówi dalej naczelnik.

„A po co tu przyjeżdża pan NN i drugi pan NN?

„Przyjeżdżają z bratem, aby mnie odwiedzić, gdyż są to moi znajomi i chcą zobaczyć Ziemie Odzyskane" — tłumaczę mu dalej.

„A ksiądz do jakiej tajnej organizacji należy?"

„Do żadnej" — odpowiedziałem, ja się tym nie zajmowałem nigdy i nie zajmuję".

„Ksiądz kłamie" — wrzasnął p. naczelnik, my dobrze wiemy, że księża należą do tajnej organizacji WiN".

„Ja nawet nie wiem, co to za słowo „WiN", co oznacza — odpowiedziałem.

„Wy wszyscy o tym dobrze wiecie, wy tu prowadzicie podziemną robotę, tu urządzacie różne zjazdy, zebrania, a macie tu doskonale zamaskowany zakątek" — wrzeszczał dalej naczelnik.

Po długiej rozmowie i usilnym indagowaniu mnie, bym się przyznał, ile mam dolarów, do jakiej należę organizacji, jak również i mój brat, bym wydał wszystkich członków tej organizacji, kiedy na wszystkie te pytania mogłem tylko odpowiedzieć: „Nie wiem", bo faktycznie nic nie wiedziałem i nie mogłem się przyznać do tego, do czego się wcale nie poczuwałem — naczelnik tak się do mnie odezwał:

„Ponieważ ksiądz nie chce mówić prawdy, zmuszeni jesteśmy zabrać księdza ze sobą. Niech się ksiądz ubiera w drogę".

Teraz już wiedziałem na pewno, że jestem aresztowany. Z zupełnym spokojem ubrałem się tylko w jesionkę, zabrałem ze sobą wszystkie 4 części brewiarza, różaniec i nic więcej, jakby przeczuwając, że nieprędko powrócę do domu. Pożegnałem się ze służbą i ze starszym moim bratem, który mieszkał przy mnie, udałem się na chwilę do kościoła, by pożegnać się z Panem Jezusem w Najśw. Sakramencie i polecić się opiece Matki Najśw., a potem panowie ci wsadzili mnie do auta i odwieźli do miejscowego Urzędu Bez-

pieczeństwa. Tu dowiedziałem się od owych panów, że przyjechali oni z Warszawy po mego brata ks. Antoniego, który bawił wtedy na kuracji w Solicach Zdroju [obecnie Szczawno Zdrój].

Zostawili mnie w Urzędzie Bezpieczeństwa, sami zaś pojechali po mego brata do Solic Zdroju. Wtedy zrozumiałem, że jestem aresztowany w związku z jakąś sprawą mego brata i to mnie trochę uspokoiło.

W Urzędzie Bezpieczeństwa umieszczono mnie w pokoiku, gdzie dyżurował jakiś strażnik UB. Obchodził się ze mną bardzo delikatnie i dziwił się bardzo, skąd się tu wziąłem. Okazywał mi politowanie i pocieszał, że będę uwolniony. Tu przesiedziałem cały dzień i całą noc. W piątek 18 lipca około godziny 8 rano kazano mi wsiąść do krytego auta ciężarowego, w którym strzeżony przez oficera UB, zostałem wywieziony do Wrocławia.

Opuszczając swą ukochaną parafię, z wielkim bólem serca patrzyłem z samochodu na wieżę mego kościoła i myślałem sobie: „Czy też jeszcze kiedy wrócę do moich ukochanych owieczek i do tego pięknego kościoła?

W drodze do Wrocławia zauważyłem w jadącym za nami aucie osobowym odkrytym mego brata ks. Antoniego, którego wiozło owych dwóch panów z Warszawy.

We Wrocławiu zatrzymano mnie w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa. Gdy siedziałem w jednym pokoju, usłyszałem pokasływanie mego brata, który znajdował się w następnym pokoju, ale go nie mogłem zobaczyć. Byłem więc pewny, że obaj jesteśmy aresztowani i wywożeni, ale na razie nie wiedziałem dokąd. We Wrocławiu znowu byłem badany i znów stawiano mi te same pytania. „Do jakiej tajnej organizacji z bratem należę". Badania te były już utrwalane protokolarnie na piśmie przez urzędnika UB z Warszawy. Po tych badaniach urzędnik UB oświadczył mi co następuje: „Miałem chęć wypuścić księdza na wolność, ale ponieważ ksiądz nie chce mówić prawdy, zmuszony jestem zabrać księdza do Warszawy".

Wieczorem odwieziono nas autami, każdego z osobna, na dworzec kolejowy. Gdy wysiedliśmy z auta, panowie, którzy mnie przywieźli i pilnowali, na dworcu nagle znikli mi z oczu, tak iż zostałem sam w tłumie ludzi, nie wiedząc co mam ze sobą zrobić. Dopiero po kilku minutach zjawili się koło mnie i zaprosili do pociągu. W pociągu umieścili mnie w wagonie III klasy, a mego brata w sąsiednim wagonie. Obydwu nas strzegli oficerowie UB. W drodze traktowali nas dosyć uprzejmie i grzecznie. Około godziny 7 rano stanęliśmy w Warszawie. Tu znowu ujrzałem mego brata, ale już po raz ostatni, gdy go prowadzili przede mną i wsa-

dzili do taksówki. Mnie wsadzili do drugiej i w towarzystwie owych opiekunów z UB odwieziono nas do gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa przy ulicy Koszykowej. Tu zawieziono mnie windą aż na 4 piętro do biura jednego z urzędników UB, gdzie znowu rozpoczęto przesłuchanie. Badał mnie w dalszym ciągu ów pan naczelnik, który był po mnie na Zachodzie.

Ciekawy to był typek: posiadał moc wiadomości o różnych biskupach i księżach, wiedział nawet o moich sprawach w Jędrzejowie, wiedział o tym, jak zostałem wyrzucony z Jędrzejowa. Opowiadał mi również wiele rzeczy o różnych księżach z Częstochowy itd.

Przy badaniu stawiał wiele pytań dotyczących biskupa kieleckiego ks. Kaczmarka. Dalej pytał mnie, co mnie łączy z biskupem Adamskim z Katowic, z Prymasem Polski i o wielu innych księży. Naturalnie, na wszystkie zapytania mogłem odpowiedzieć tylko jedno: „Nic nie wiem". Pokazywał mi fotografie różnych już uwięzionych księży i pytał się, co mnie z nimi łączyło. I na to odpowiedziałem krótko — „Nic"

Badany tak przez cały dzień nie mogłem wywnioskować, za co zostałem aresztowany i jakie są główne zarzuty. Łudziłem się wciąż jeszcze, że będę zwolniony. Dopiero po trzech miesiącach, po ukończonym pierwszym śledztwie, które wykazało moją niewinność w tym, o co mnie posądzano, dowiedziałem się, za co byłem zatrzymany w więzieniu, a następnie za co byłem później sądzony.

Przyjechano do mnie faktycznie tylko po to, by się czegoś dowiedzieć ode mnie o moim bracie ks. Antonim, który był podejrzany o to, że prowadzi jakąś podziemną robotę. Ponieważ przyjeżdżał do mnie co pewien czas na Zachód, przypuszczano, że i ja jestem w to wszystko wtajemniczony.

Przy rewizji u mnie nie znaleziono nic, co by mogło obciążać mnie w tej sprawie. Przypadkowo jednak znaleziono u mnie coś innego, kilka podejrzanych i głupich naprawdę notatek, napisanych na świstkach papieru, do których ja nie przywiązywałem żadnej wagi.

Między innymi znaleziono „tajny i poufny dokument wysłany z Ministerstwa do wszystkich Urzędów Bezpieczeństwa na prowincji", zawierający instrukcje, jak te urzędy mają śledzić katolickich księży. Dokument ten, jak sobie przypomniałem, przyniósł do mnie przed kilkoma miesiącami jeden z urzędników miejscowego UB, sam nie wiem po co i w jakim celu. Przeczytał mi go wtedy i nawet nie zauważyłem, że go zostawił na moim biurku. Czy to zrobił naumyślnie, celowo, czy też zapomniał go z sobą zabrać,

nie wiem, być może, że mi go po prostu podrzucili. Leżał ten dokument między innymi papierami na samym wierzchu mojego biurka i nie zwracałem na niego uwagi.

I to był właśnie *corpus delicti*, który narobił mi najwięcej kłopotu i za który miałem odpowiadać.

Drugi papierek *bardzo niebezpieczny* zawierał krótkie uwagi o miejscowej Milicji Obywatelskiej. Kiedy w kwietniu tego roku miałem zamiar urządzić rekolekcje dla Milicji Obywatelskiej, informowałem się u jednego zaufanego milicjanta, do kogo mam się udać o zezwolenie i ilu będzie milicjantów na tych rekolekcjach. Zapisałem więc sobie dla pamięci nazwisko komendanta Milicji, dwóch jego pomocników oraz liczbę milicjantów. Te dwa papierki były najbardziej obciążające. Pozostałe trzy to różne adresy prywatnych osób. Te pięć świstków papieru stanowiły więc główny „corpus delicti", za które uznany byłem za „szpiega" i jako szpieg sądzony.

Ale nie byłem przecież aresztowany za te 5 papierków, które znaleziono w moim mieszkaniu podczas rewizji. Nie po to przecież zostali tu wysłani owi „panowie" aż z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, bo już mieli z góry nakaz aresztowania mnie, zanim jeszcze znaleźli u mnie te papierki. Była więc inna przyczyna i jak można przypuszczać, byłem aresztowany i zabrany tylko w charakterze świadka, czy nie zeznam czegoś na niekorzyść mego brata, po którego byli wysłani na Zachód.

Przyjechali po niego do Częstochowy, lecz go tam nie zastali i dowiedzieli się, że jest na Zachodzie. Zjawili się więc w Świdnicy.

Przy rewizji zabrano mi również maszynopis „Konferencje i kazania misyjne" wydanie drugie i 4 tomy rękopisu „Rozmyślanie dla kapłanów" (była to praca 10 lat) oraz maszynę do pisania.

Nie byłem jednak wcale sądzony za te rękopisy, ani nawet nie pytano o to podczas badań. Przy zwolnieniu mnie z więzienia oddano mi cały rękopis kazań misyjnych. „Rozmyślania dla kapłanów" były tak porozrzucane, że trudno je było złożyć w całość. Na szczęście miałem jeszcze jeden egzemplarz zapasowy, który nie został zabrany podczas rewizji i ten ocalał. Czułem się całkiem niewinny, toteż łudziłem się ciągle, że mnie potrzymają tylko kilka dni, przesłuchają i wypuszczą na wolność. Niestety, stało się inaczej.

2. W piekle ziemskim

19 lipca 1947 r. przed wieczorem, kiedy po całodziennym badaniu nic się ode mnie nie dowiedziano, kazano mi oddać wszystko, co miałem przy sobie, a więc portfel z dokumentami i pieniędzmi,

zegarek i inne drobiazgi. Pozostawiono mi tylko na razie brewiarz i różaniec. Teraz już wiedziałem na pewno, że nie pójdę na wolność jak się dotąd łudziłem, ale do celi więziennej.

Dziwny jakiś ból ściskał me serce, a w oczach miałem łzy. Przy zjeżdżaniu windą do podziemi gmachu Ministerstwa UB miałem bardzo ciekawy incydent. Towarzyszący mi oficer UB, jeden z tych, którzy byli po mnie na Zachodzie, o śniadej twarzy i na oko bardzo niesympatyczny, gdy się znalazł sam na sam ze mną, tak się do mnie odezwał: „Może ksiądz życzy sobie, abym powiadomił rodzinę księdza, co się z księdzem stało i gdzie się ksiądz znajduje, bo ksiądz idzie do więzienia, z którego nie wiadomo, kiedy się wydostanie. W każdym razie potrwa to długo i nikt nie będzie wiedział, gdzie się ksiądz znajduje". Słowa te, jakby jakiś ostry miecz, przeszyły moje serce. Ale sam nie wiem dlaczego, taką dałem temu oficerowi odpowiedź: „Widzę, że pan jest dobrym człowiekiem i bardzo szlachetne ma serce, ale dziękuję bardzo, nie skorzystam z jego łaski". Gdy wyrzekłem te słowa, zauważyłem, że ów oficer miał łzy w oczach i z wielką czcią ucałował mi rękę. Za chwilę znalazłem się w jakimś podziemnym labiryncie krętych i długich korytarzy. Panowały tu ciemności, słabo tylko oświetlone żarówkami.

Oficer zaprowadził mnie najpierw do jakiejś celi, w której urzędował strażnik więzienny. Ten kazał mi się rozebrać, rewidował mnie starannie i odebrał mi resztę drobiazgów, jakie miałem jeszcze przy sobie, a więc szelki, brewiarz, różaniec a nawet medalik na szyi.

Prosiłem go bardzo, by mi pozwolił chociaż wziąć ze sobą brewiarz i różaniec, lecz on nie zgodził się na to. Odprowadzono mnie potem krętymi korytarzami i wtrącono do jakiegoś ciemnego zupełnie lochu i tam zamknięto. Nie wiedziałem, gdzie się znajduję, bo nic absolutnie dookoła siebie nie widziałem i bałem się nawet poruszać. Ogarnęły mnie czarne myśli, co też dalej ze mną będzie i jak długo pozostanę w tym ciemnym lochu?

Po pewnym czasie wyprowadzono mnie z tego lochu i zaprowadzono do celi oznaczonej liczbą 6, otwarto drzwi i kazano wejść do środka. Celka ta również pozbawiona była dziennego światła i znajdowała się głęboko pod ziemią, oświetlona była tylko małą żarówką. Miała około 3 metry długości, 2 metry szerokości i była tak niziutka, że człowiek wyższego wzrostu dotykał głową sufitu. Była to więc zwykła piwnica, przeznaczona może na węgiel. Nie było w niej żadnej ławki ani pryczy, jedynym jej umeblowaniem był „kibel", nakryty jakąś szmatą, stał w rogu tej celi. W tej celi, a raczej w lochu, zastałem czterech

mężczyzn. Jeden starszy, mający około 40 lat, trzej inn młodsi, mający od 25 do 30 lat.

Pochwaliłem Pana Boga i zaczęliśmy z sobą rozmawiać. Rozmowa nasza na początku była bardzo lakoniczna, nie wiedziałem bowiem, kim są ci moi towarzysze niedoli, należało więc zachować wielką ostrożność.

Dopiero po kilku dniach, kiedy zapoznaliśmy się z sobą bliżej, rozmowa nasza była śmielsza. Najstarszy więzień, jak się okazało, był niegdyś sędzią w Lubelskiem. Został aresztowany i pokutował tu już od 8 miesięcy bez żadnego śledztwa za to, że w swoim czasie miał skazać na więzienie jakiegoś komunistę.

Drugi, poważny i miły pan, to nauczyciel, który służył w armii Andersa za granicą. Przyjechał do Polski by się zobaczyć z matką staruszką mieszkającą w Bobrownikach koło Sosnowca, ale zamiast do matki, trafił do więzienia.

Trzeci to jakiś robotnik, człowiek bardzo zagadkowy, nie mówił nic o sobie i niechętnie odpowiadał na wszelkie pytania.

Czwarty, około 30 lat, Żyd, opowiadał, że był w Szwecji na studiach, przyjechał do rodziny w Polsce i gdy wracał do Szwecji, został aresztowany na granicy i przywieziony do Warszawy. Był to bardzo ciekawy typ, niesłychanie gadatliwy, rzutki, zarozumiały i bardzo nerwowy. To gadał, to śpiewał, to gwizdał bez ustanku i tak zachowywał się arogancko, że trudno było z nim wytrzymać.

W takim to towarzystwie musiałem przebywać blisko pięć tygodni.

Celka ciemna, ciasna, duszna, ani tu na czym usiąść, (chodzić nie było można), ani się na czym położyć, bo panowała tu straszna ciasnota.

Siedzieliśmy więc na ziemi po turecku, oparci o ścianę. Najgorsza zaś była noc. Nie było tu bowiem żadnej pryczy ani nawet siennika; były tylko trzy jakieś stare, niesłychanie brudne worki, w których było trochę sieczki.

Przed udaniem się na spoczynek trzeba było zdjąć z siebie całe ubranie, ułożyć i wynieść na korytarz. Ne ciele pozostawała tylko sama bielizna. Na noc dawano nam tylko cienki koc, którym więzień się okręcał i kładł prawie na gołym betonie.

Najgorszym zaś było to, że nie mieliśmy co podłożyć pod głowę. Leżeliśmy więc w nocy na gołym, wilgotnym betonie. Było nam więc i twardo, i zimno. Ach, jakże ciężko było kłaść stare, wypracowane kości na goły prawie beton! Nie był to wypoczynek, ale prawdziwa męczarnia.

Porządek dnia był następujący: rano o godzinie 6 pobudka, wstanie, ubranie się, umycie na korytarzu przy jakimś wspólnym brudnym korytku. Nie mieliśmy ręczników, wycieraliśmy się chusteczką i koszulą. A wszystko to trzeba było robić bardzo szybko. Potem odmawialiśmy sobie prywatnie, po cichu pacierz. Po pacierzu oczekiwanie około godziny na śniadanie. Każdy więzień dostawał blaszaną miskę i łyżkę.

Po ubraniu się rano, jeden z więźniów, tak zwany dyżurny, musiał zamieść celkę, wytrzeć posadzkę mokrą ścierką, wynieść kibel i oczyścić go na korytarzu.

Około godziny siódmej otwierały się drzwi celi, przynoszono w kotle czarną kawę bez cukru. Każdy więzień musiał podejść do progu i otrzymywał pół litra tej niby kawy na swoją miskę i ćwiartkę chleba. Chleb ten musiał starczyć więźniom na cały dzień. Nie można było go krajać, bo nie wolno było mieć w celi noża ani żadnego ostrego przedmiotu; można go było tylko łamać.

Po śniadaniu znowu bezczynność i oczekiwanie na obiad. Około południa przynoszono nam coś w rodzaju obiadu. Była to jakaś nieokreślona zupa, najczęściej na wpół surowa kapusta lub brukiew. Każdy więzień musiał znowu podstawić swą miskę, na którą wlewano mu litr tej zupy.

Nie wiem dlaczego nie dano mi łyżki, żeby więc skonsumować swoją zupę, musiałem poczekać, aż moi towarzysze zjedli swoje porcje i dopiero jeden z nich pożyczał mi swojej łyżki, ale wcale nie umytej, bo w celi nie było wody. Wbrew wszelkiej higienie musiałem jeść łyżką nie umytą. Po tym niby to obiedzie znowu bezczynność i oczekiwanie na kolację i odpoczynek nocny.

Chodzenie po celi było niemożliwe, bo była zbyt mała i ciasna, najczęściej więc zmuszeni byliśmy siedzieć na betonie, oparci o ścianę.

Około godziny szóstej wieczorem podawano nam pół litra jakiejś zupki, a o godzinie siódmej wieczorem — apel, rozbieranie się i spoczynek. Najokropniejsze męczarnie w więzieniu to bezczynność. Jak w piekle najokropniejszą męczarnią dla potępionych jest tęsknota za Bogiem, tak znowu najokropniejszą męczarnią dla gorliwego kapłana w więzieniu jest pozbawienie go pracy dla Boga i dla zbawienia dusz.

Mój Boże! W parafii tyle było pracy, tylu penitentów oczekiwało codziennie na spowiedź, tylu interesantów przychodziło codziennie do kancelarii parafialnej, tyle było spraw do załatwienia każdego dnia, że prawie nie było czasu nawet na posiłek ani wytchnienie.

A ja tak kochałem tę pracę. Zdawało mi się, że bez niej nie mógłbym żyć. A tu teraz siedź człowieku calutki dzień całkiem bezczynnie.

Zabrano mi brewiarz, który w ciągu całego swego kapłaństwa, z wyjątkiem ciężkiej choroby na tyfus plamisty, nigdy nie opuściłem. Zabrano mi nawet różaniec. Nie ma w tej celi żadnej książki, która była dla mnie zawsze najmilszym przyjacielem i rozrywką. Nie ma tu żadnej gazety, ba, nie ma najmniejszego skrawka papieru.

Modliłem się więc tylko na pamięć, rozmyślałem i płakałem... Po bliższym dopiero zapoznaniu się z towarzyszami niedoli zaczęły się między nami długie rozmowy, opowiadanie, zasięganie różnych rad, wiadomości itd.

Najczęściej rozmawiałem z sędzią i nauczycielem, gdyż, jak się przekonałem, byli to ludzie wierzący, religijni i poważni. Po pewnym czasie dowiedziałem się od nich, że jest nad więźniami jakiś oficer, do którego można się zwracać z różnymi prośbami. Zameldowałem się więc u strażnika więziennego, że chcę się widzieć z tym oficerem. Po dwóch dniach dostałem się przed jego oblicze.

Oficerem tym był Żyd.

„Czego sobie życzycie?" — zapytał mnie, siedząc za stołem w swoim gabinecie.

„Chciałem prosić o niektóre moje drobiazgi, które mi zabrano, kiedy mnie przywieziono do więzienia" — odpowiedziałem.

Oficer zadzwonił po strażnika, który mi odebrał te drobiazgi i kazał mu, aby je przyniósł do biura. Gdy ten przyniósł, oficer tak się do mnie odezwał:

„No, co chcecie sobie z tych rzeczy wybrać?

„Jeżeli można, proszę o brewiarz, różaniec i medalik na szyję."

„Zabierajcie sobie co chcecie" — odpowiedział oficer.

Zabrałem więc natychmiast brewiarz, różaniec i medalik, podziękowałem pięknie oficerowi, poczem zostałem odprowadzony do celi. Ach, z jakąż radością ucałowałem te drogie dla mnie przedmioty.

Może jeszcze nigdy w życiu nie odmawiałem tak pobożnie brewiarza jak teraz w więzieniu! Ileż pociechy czerpałem z tej modlitwy, jak rozważałem każde słowo psalmów, hymnów i modlitw. Ucieszyli się bardzo wszyscy moi współtowarzysze, że mieli przynajmniej sposobność oglądać tę św. książkę i zawarte w niej obrazki. Różaniec odmawialiśmy wspólnie codziennie wieczorem.

3. Nowe przesłuchania

Prawie co drugi dzień byłem wzywany do „pana naczelnika", który mnie aresztował, na różne przesłuchania i badania. Tych badań lękali się bardzo wszyscy więźniowie, gdyż podczas nich byli niemiłosiernie bici i katowani do tego stopnia, że niejednego więźnia przynoszono na pół umarłego do celi.

Mnie, dzięki Bogu, oszczędzono pod tym względem, być może z powodu mego podeszłego wieku lub też dlatego, że nie mieli mi nic poważnego do zarzucenia. W każdym jednak razie badania te były niesłychanie męczące, gdyż trwały nieraz po kilka i kilkanaście godzin. Bez ustanku żądano ode mnie, bym się przyznał do tego, do czego się wcale nie poczuwałem. Obiecywano mi uroczyście, że będę natychmiast zwolniony jeśli się przyznam do jakiej należę tajnej organizacji i wydam swoich wspólników. Grożono mi wielkimi karami i długim więzieniem, jeśli nie wyznam prawdy.

Pytano mnie o wielu biskupów, najczęściej zaś o biskupa Kaczmarka z Kielc, biskupa Adamskiego z Katowic i innych.

Rzecz jasna, iż na wszystkie te pytania miałem tylko jedną odpowiedź: „Nic nie wiem".

Zamknięto mnie w osobnej celi, zupełnie ciemnej, oświetlonej tylko maleńką żarówką. Tam trzymano mnie calutki dzień bez pokarmu, dano mi pióro, atrament i kilka arkuszy papieru i kazano mi opisać szczegółowo całe moje życie, a zwłaszcza moją działalność w ostatnich czasach, już za komunistycznego reżimu. Pewnego razu badano mnie przez cały dzień tylko w sprawie biskupa Kaczmarka. Ów naczelnik, który mnie badał, miał już przygotowane na maszynie pytania, na które miałem dawać odpowiedzi. Wszystkie moje odpowiedzi były prawie jednakowe: „Nie wiem". Bo faktycznie nic o rzekomych przestępstwach biskupa Kaczmarka nie wiedziałem. Miejsca wolne, nie wypełnione dłuższą odpowiedzią, należało w protokole zakreślić atramentem, o czym ja nie wiedziałem i nie zakreśliłem ich przy podpisaniu protokołu.

Przy następnym badaniu zauważyłem, że ów naczelnik dopisał tam, na tych wolnych linijkach kilka zdań, których ja przy badaniu wcale nie powiedziałem, a które były dla biskupa obciążające.

Zaprotestowałem więc natychmiast przeciwko temu i zażądałem kategorycznie skreślenia tych zdań. Lecz pan naczelnik nie chciał tego uczynić i dopiero na usilne i stanowcze moje żądanie

zdania te skreślił. Tak więc przy każdym prawie badaniu oskarżonych czy świadków posługiwano się podstępem i kłamstwem.

Badając mnie powtarzano mi ciągle, że brat mój już przyznał się do wszystkiego i że zeznał wiele rzeczy bardzo mnie obciążających, co oczywiście było wierutnym kłamstwem mającym na celu zmuszenie mnie do przyznania się do tego, do czego się wcale nie poczuwałem.

Przy tych badaniach pokazywano mi również kilka moich prywatnych listów jakie pisałem do brata, a które znaleziono u niego podczas rewizji. W niektórych z nich były zdania mocno mnie kompromitujące, bo krytykowałem w nich obecny reżim i wyrażałem się niepochlebnie o komunizmie. Tłumaczyłem się tym, iż była to korespondencja prywatna i ściśle poufna, za którą się nie odpowiada. Choć te listy nie zostały włączone do moich akt sądowych, jednak narobiły mi wiele kłopotu i zmartwienia.

4. Moja choroba

Po 4 tygodniach pobytu w lochu więziennym w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, wskutek niesłychanych udręk wewnętrznych, strasznych niewygód i bardzo złego odżywienia (bo wciąż karmiono nas tylko zgniłą i cuchnącą kapustą), zachorowałem najpierw na żołądek, a następnie osłabłem do tego stopnia, że nie mogłem nawet ustać na nogach. Od leżenia zaś na gołym, zimnym betonie czułem okropny ból w kościach i w całym ciele. Zażądałem więc lekarza. Dopiero po kilku dniach zaprowadzono mnie do jakiejś celki, gdzie lekarz badał chorych.

Lekarz ten był Żydem, potraktował mnie bardzo delikatnie, przepisał jakieś lekarstwa i kazał mi leżeć. Ponieważ nie mogłem już leżeć na gołej ziemi w celi, poprosiłem, aby mi kazał przynieść do celi chociaż ze dwie deski, na których bym się mógł położyć. Lekarz polecił wstawić do małej celki żelazne łóżko, na którym nie było żadnego siennika, tylko cztery deski.

Ponieważ celka nasza była bardzo mała, po wstawieniu do niej łóżka, reszta więźniów nie miała na noc miejsca by się położyć na ziemi. Jeden z więźniów musiał koniecznie spać razem ze mną chorym i leżeć na owych gołych deskach, co było dla nas obu bardzo niewygodne, bo łóżko było zbyt wąskie i nie mogło nas obu pomieścić. Zamiast więc jakiej takiej wygody, miałem jeszcze większe udręczenie. Tymczasem stan mego zdrowia pogarszał się coraz bardziej. Zacząłem opadać z ciała i wyglądałem po prostu jak szkielet. Wówczas lekarz więzienny skierował mnie

do szpitala. Nie wiedziałem, gdzie się ten szpital znajduje. Sądziłem, że mnie odstawią do jednego ze szpitali miejskich, ale omyliłem się grubo.

Na drugi dzień kazano mi zabrać ze sobą moje drobiazgi, opuścić dotychczasową celkę. Wyprowadzono mnie na podwórze, gdzie już oczekiwała na mnie karetka więzienna.

Pod nadzorem kilku strażników więziennych wieziono mnie przez miasto w kierunku Mokotowa. Przez szpary karetki widziałem, iż przejeżdżamy przez plac Unii Lubelskiej, właśnie w kierunku Mokotowa. Domyśliłem się więc, że wiozą mnie do tamtejszego więzienia, o którym słyszałem już wiele jako o najcięższym więzieniu w Polsce.

5. W więzieniu mokotowskim

Karetka minęła pierwszą i drugą bramę, strzeżone mocno przez strażników i wjechała na dość obszerny, ale bardzo ponury plac więzienny. Tu kazano mi wyjść z karetki. Gdy wysiadłem, czułem się tak bardzo osłabiony, że ledwo trzymałem się na nogach. Najpierw zaprowadzono mnie do kancelarii więziennej, gdzie załatwiono różne formalności. Potem strażnik zaprowadził mnie do osobnego pawilonu, który stał na środku placu więziennego. Trzy bramy żelazne prowadziły do jego wnętrza. Był to osławiony „X pawilon", przeznaczony tylko dla więźniów politycznych.

Strażnik prowadził mnie po żelaznych schodach aż na 3 piętro. Szedłem za nim tak wolno, iż zaczął się bardzo niecierpliwić. Mnie się zdawało, że lada chwila upadnę z wielkiego osłabienia. Nareszcie wprowadził mnie do bardzo małej celki. Miała ona najwyżej trzy metry długości i półtora szerokości. Jedynym jej umeblowaniem była prycza do leżenia i mała ławeczka do siedzenia. Okienko w niej było małe, ale nie wysoko, tak, że można było przez nie widzieć plac więzienny.

Wchodząc do tej celki przeżegnałem się i poleciłem opiece Boskiej i Matki Najświętszej. Przypuszczałem, że będę tu siedział długo.

A więc znalazłem się w osławionym więzieniu mokotowskim, w X pawilonie, przeznaczonym tylko dla więźniów politycznych. Dreszcz trwogi wstrząsnął całym moim jestestwem. Celka moja była dość miła, bo było w niej widno, było nawet na czym siedzieć i na czym się położyć. Było tu całkiem inaczej niż w tej podziemnej norze, w której dotąd przebywałem w gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Ale jestem tu sam, bez żadnego towarzystwa. Usiadłem i zacząłem rozmyślać: jak też długo będę tu musiał siedzieć,co dalej ze mną będzie? Czułem się jednak tak bardzo osłabiony, iż nie mogłem nawet siedzieć na ławce. Położyłem się więc na twardej pryczy. Ale zaledwie się położyłem, słyszę głos strażnika, który mnie obserwował przez małe okienko zwane „judaszkiem". Wołał: „Wstać z pryczy, tu nie wolno leżeć". Podniosłem się i usiadłem znowu na ławce. Wyjrzałem przez okienko na podwórze. Co za ponury widok. Dookoła zabudowania więzienne (szare ceglane budynki), obok nich chodzą ludzie ubrani w jednakowe szare kurtki więzienne. Byli to więźniowie wykonujący różne prace.

„Nie wolno wyglądać przez okno" — krzyczy znowu strażnik. Oddaliłem się więc od okna i zacząłem chodzić wzdłuż celki, ale celka tak wąska, krótka i ciasna, że absolutnie nie można było zrobić w niej nawet kilku kroków. Zrobiło mi się znowu słabo, bałem się jednak położyć na pryczy, położyłem się więc na ziemi.

„Nie wolno leżeć w celi" — krzyczy znowu strażnik.

Byłem już jednak tak strasznie osłabiony, że absolutnie nie mogłem się podnieść. Za chwilę otwierają się drzwi celi, wchodzi strażnik i pyta: „Dlaczego leżycie? Czyż wam nie mówiłem, że w celi nie wolno leżeć"?

„Leżę, bo jestem chory i słaby" — odpowiedziałem.

„Jeśli chcecie leżeć, to musicie mieć na to pozwolenie od naczelnika" — krzyczy nade mną strażnik. Tak to litowali się strażnicy więzienni nad więźniami, byli oni często najgorszymi katami dla więźniów. Nie miał on litości, nawet nad starym i chorym kapłanem. Nie odezwałem się już na to nic, tylko leżałem dalej bezwładny na ziemi.

Około południa przyniesiono mi posiłek. Była to jakaś nieokreślona zupa, ale bez żadnego smaku. Posiliłem się trochę, by całkowicie nie utracić sił, położyłem się nadal na ziemi z myślą, co też dalej ze mną będzie.

6. W szpitalu więziennym

Około godziny 5 po południu wszedł do mojej celki jakiś inny strażnik. Kazał mi zdjąć z siebie sutannę i ubrać się w jakąś szarą kurtkę więzienną. Zasmuciłem się bardzo, że muszę się rozstać ze swoją sukienką duchowną, z którą się nigdy w swoim życiu kapałńskim nie rozstawałem i prosiłem bardzo owego strażnika, by mi tej sukni nie zabierał. Strażnik zaczął mnie uspokajać i tak do mnie mówi: „Ja wam tej sukni nie zabiorę, zabierzcie ją z sobą sami i pójdźcie ze mną".

Wyprowadził mnie na podwórze więzienne. Okrążyliśmy X pawilon i idziemy do jakiegoś dużego piętrowego budynku, który stał osobno wśród innych zabudowań więziennych, ale na terenie więzienia. Nad drzwiami tego budynku była tablica „Szpital więzienny". Weszliśmy do wnętrza. Strażnik, który mnie tu przyprowadził, oddał mnie pod nadzór innemu strażnikowi i odszedł. Ten kazał mi usiąść na ławce dużego i szerokiego korytarza i czekać. Po tym korytarzu chodziło kilku panów w cywilnych ubraniach, byli to lekarze więzienni. Kręciło się tu też kilka pielęgniarek, które czuwały nad chorymi. Sądziłem, że są to osoby z miasta. Zbliżyłem się do dwu starszych pielęgniarek i zapytuję ich. „Do którego uczęszczają kościoła w Warszawie?" Miałem nadzieję, że przez nie nawiążę jakiś kontakt ze światem zewnętrznym, ale omyliłem się grubo. Pielęgniarki spojrzały na mnie ze zdziwieniem, nie chciały ze mną wcale rozmawiać. Jak się dopiero później dowiedziałem, one również były więźniami. Poznały jednak, że jestem księdzem i okazywały mi dużo współczucia. Jedna z nich podała mi jakieś suchary posmarowane masłem. Po raz pierwszy po sześciu tygodniach skosztowałem masła. Suchary zaś były tak stare i stęchłe, że nie można ich było wcale jeść.

Po chwili zbliżył się do mnie jakiś inteligentny pan. Przedstawił mi się, że jest lekarzem i prosił mnie, abym poczekał chwilę aż przygotuje dla mnie miejsce w szpitalu. Jak się później dowiedziałem, był to zastępca naczelnego lekarza szpitala, również więzień, który odsiadywał karę za rzekomą współpracę z Niemcami. Pochodził z Pomorza, nazywał się Gurtowski, był bardzo dobrym człowiekiem i w szpitalu okazywał mi dużo serca.

Po upływie jakiejś godziny przyszedł do mnie ów lekarz i zaprowadził mnie na I piętro do dużego pokoju. Widzę tu 10 łóżek żelaznych z materacami i grubymi kocami, jest i stolik i kilka krzeseł. Duże dwa okna, ale mocno zakratowane, z nich widok na podwórze więzienne i na cały prawie gmach więzienny. Na placu widać duży skwer, na którym zamiast kwiatów rosły pomidory. Jakże tu poczułem się inaczej! Przez 6 tygodni nie widziałem wcale świata ani słońca ani prawie ludzi, tu czuję się jakby w innym świecie. Przypomniały mi się czasy wolności. Przerażały mnie tylko te grube kraty w oknach, dalej to ponure otoczenie, ta dziwna atmosfera. To wszystko mówiło do mnie: „jesteś w więzieniu!" Dlaczego jednak nie umieszczono mnie na sali z innymi chorymi? Dlaczego pozostawiono mnie samego w tym dużym pokoju? Na razie nie umiałem sobie tego wytłumaczyć. Dopiero później dowiedziałem się od posługacza, też więźnia, że jestem w tak zwanej separatce, że mi nie wolno stykać się z ludźmi i nikomu z otocze-

nia nie wolno ze mną rozmawiać, dopóki nie skończy się prowadzone w mojej sprawie śledztwo. Nie wiedziałem bowiem jeszcze, że jestem „więźniem politycznym", podejrzanym o szpiegostwo!

Kazano mi się rozebrać i położyć do łóżka. Sutannę zabrano do magazynu. Po raz pierwszy po sześciu tygodniach leżałem na miękkim łóżku. Nie było na nim poduszki pod głowę, ale to bagatela. Dość, że jestem w dużym, czystym pokoju, a nie w jakiejś ciemnej, wilgotnej piwnicy. Trzy razy dziennie przychodził do mnie posługacz, mężczyzna około lat trzydziestu, również więzień, który sprzątał, zamiatał celę, przynosił mi wodę do mycia i posiłek. Ale wcale się do mnie nie odzywał, bo mu to było surowo wzbronione. Prowadziłem więc całkiem samotne życie. Byłem na prawdziwych rekolekcjach zamkniętych. Na drugi dzień przyszło do mnie kilku lekarzy, zbadali mnie i rozpoczęła się moja kuracja. Polegała ona na tym, że dwa razy na dzień dawano mi różne zastrzyki domięśniowe i dożylne. Jakie to były zastrzyki, nie wiem.

Pożywienie jednak dawane w szpitalu wcale nie różniło się od tego, jakie dawano wszystkim więźniom. Ta sama kawa bez cukru, te same zupki, przeważnie ze zgniłej kapusty, ten sam gruby chleb, a często nawet zamiast chleba dawano nam stare, stęchłe suchary, których nikt z chorych nie jadł!

Pan dr Gurtowski przynosił mi czasem kawałek chleba z masłem. Już po upływie tygodnia poczułem się nieco lepiej fizycznie. Zacząłem wstawać z łóżka i chodzić trochę po pokoju, ale mi tego zabroniono.

7. Straszne udręki wewnętrzne

O ile czułem się lepiej fizycznie, o tyle jednak psychicznie czułem się źle i z każdym dniem gorzej. Opanowała mnie dziwna jakaś melancholia. Duszę moją zaczęła opanowywać i targać rozpacz. Izolowano mnie całkiem od ludzi, a ta samotność była dla mnie straszna. Uderzały we mnie straszne pokusy, dręczyły mnie okropne myśli, że mnie Bóg opuścił. Ciągle szeptało mi coś do ucha: „Już stąd nigdy nie wyjdziesz!" To znowu zdawało mi się, że niedługo umrę.

Nie wiem sam, dlaczego straciłem prawie wolę, byłem gotów przyznać się do wszystkiego, czego nigdy nie popełniłem. Czyżby tak działały na mnie te zastrzyki, które pakowano we mnie bez ustanku?

W tym czasie przychodził do mnie sędzia śledczy, oficer UB, który prowadził moją sprawę. Z nim przychodziło jeszcze dwóch oficerów z Ministerstwa. Zaczęły się nowe przesłuchania.

Sędzia śledczy, który mnie badał, był zdaje się człowiekiem dobrym i dla mnie życzliwym. Obchodził się ze mną bowiem bardzo delikatnie i do niczego mnie nie zmuszał. Gdy był sam na sam ze mną, okazywał mi nawet dużo współczucia i z całego jego zachowania było widać, że chciał mnie bronić. Najbardziej obciążał mnie ten tajny i poufny dokument z Ministerstwa Bezpieczeństwa znaleziony u mnie podczas rewizji, który mi przyniósł jeden z urzędników UB. Sędzia śledczy, pokazując mi ten dokument, mówił do mnie jakby z pewnym wyrzutem — „I po coście to trzymali u siebie?"

Gdy zaś postawił pytanie, czy ten dokument pokazywałem i czytałem innym, odpowiedziałem „Tak, pokazywałem księżom", choć tego wcale nie robiłem. Nie wiem sam dlaczego przyznałem się nawet do tego, czego nigdy nie uczyniłem. Jest to dla mnie do dnia dzisiejszego niezbadaną zagadką i tajemnicą. Przy tych jednak pytaniach na tyle byłem przytomny i ostrożny, iż nigdy nie powiedziałem nic niekorzystnego lub szkodliwego dla drugich osób. Ja tylko przyznawałem się do swoich, często nie popełnionych czynów. Trafiłem jednak, Bogu dzięki, na uczciwego sędziego, który nie brał na serio tych moich odpowiedzi i nie pisał tego w protokole.

Gdy mnie zapytał, czy pokazywałem i czytałem ten tajny dokument, a ja mu odpowiedziałem, że „tak", on się odezwał: „Jeśli ja napiszę w protokole tak jak wy zeznajecie, to dostaniecie wielką karę". Mówił do mnie poufnie, gdy byliśmy sami. Jak się później przekonałem czytając swoje zeznania i podpisując je, sędzia nie wpisał do protokołu mego „przyznania" się do winy, ale napisał, że ten dokument był mi przez kogoś podrzucony i że tego dokumentu nikomu nie pokazywałem ani nie czytałem.

Z tego poznałem, że ten sędzia był naprawdę uczciwym człowiekiem, a dla mnie bardzo życzliwym. Dążył on całą siłą do tego, aby mnie jak najprędzej zwolnić z więzienia.

Po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu, mój stan psychiczny o tyle się pogorszył, iż uderzały we mnie jeszcze większe pokusy. Ogarnęła mnie czarna melancholia, coś mi szeptało do ucha: „Widzisz, jaki Pan Bóg jest niemiłosierny, cierpisz niewinnie, modlisz się, a On ci nie pomaga!"

Modliłem się bardzo, dzień i noc i bardzo często płakałem. Najgorsze dla mnie były noce. Zrywałem się często z łóżka, padałem krzyżem na ziemię, jęczałem i płakałem głośno. Usłyszał to strażnik więzienny, starszy już mężczyzna mający około 45 lat, kulawy, nazywał się Królek.

Już od samego początku mego pobytu w szpitalu okazywał mi dużo serca i starał się ulżyć mej niedoli. Kiedy więc tak jęczałem w nocy, wszedł po cichutku do mojej celi, ukląkł przy moim łóżku i mówi: „Księżuniu, nie płacz, nie rozpaczaj, niedługo pójdziesz na wolność. Mój ojciec był przełożonym w różańcu, ja też jestem wierzącym i do kościoła chodzę!"

Na drugi dzień przyniósł mi z domu bułkę, kilka pomidorów i jabłek. Widziałem więc, że to jest dobry i poczciwy człowiek, nabrałem do niego zaufania.

Po kilku dniach przedstawiłem mu taką prośbę: „Widzę, że pan jest dobrym człowiekiem, może mi pan da papieru i kopertę, chcę napisać do moich przyjaciół list, żeby wiedzieli, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, bo dotąd o mnie nikt nie wie. Ja panu to sowicie wynagrodzę, niech tylko pan zabierze ten list i wyśle go pocztą.

„A czy ksiądz wie, co by mnie spotkało za to, gdyby się to wykryło? Dostałbym 15 lat więzienia!"

„Ależ przecież pan wie, że ja jestem księdzem katolickim i nigdy pana nie zdrodzę".

Namyślił się jakiś czas, poczem przyniósł mi papier i kopertę, pióro i atrament. Napisałem listy do moich znajomych i zaufanych osób, ale tak dyskretnie, że nikt by się nie domyślił, kto te listy pisał. Jedynie mogły się domyślić tylko osoby, do których je pisałem.

Strażnik ów zabrał listy i wysłał pocztą do moich zaufanych osób. Z tych listów dowiedzieli się moi najbliżsi po raz pierwszy od mego aresztowania, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Od czterech bowiem miesięcy nic o mnie nie wiedzieli. Odtąd rodzina moja i osoby zaufane zaczęły mi przysyłać paczki żywnościowe.

Po upływie miesiąca oznajmiono mi, że śledztwo w stosunku do mnie zostało już ukończone. Skończyła się więc moja samotność w owej separatce. Przeniesiono mnie na wspólną salę, gdzie było 10 łóżek i leżało tu 10 chorych. Na tej sali o tyle było mi milej, że miałem już jakie takie towarzystwo. Dziwne to było towarzystwo. Tuż obok mnie leżał stary Niemiec, któremu rak toczył całą twarz, przedstawiał więc okropny widok. Z drugiej strony leżał jakiś robotnik, partyjny komunista, który za jakieś awantury i pobicie „ubeka" dostał się do więzienia. Był to człowiek po prostu straszny. Szydził z religii, wygadywał różne głupstwa i zachowywał się tak bezwstydnie, że trzeba było często nie tylko zakrywać uszy, ale i oczy. Do mnie odnosił się z pogardą i dokuczał mi strasznie, bo całą duszą nienawidził kleru.

Dalej leżał jakiś dyrektor z Ministerstwa Handlu, który dostał się do więzienia za jakieś ogromne nadużycia i kradzieże. Blisko mnie leżał kelner, ewangelik z Warszawy, człowiek bardzo poczciwy, z którym jedynie można było rozmawiać poważnie. Odsiadywał on karę za podpisanie „volkslisty". Rozmawialiśmy z sobą często o rzeczach religijnych. Pouczałem go o religii katolickiej, do której miał wielką sympatię i przyrzekł mi, że skoro opuści więzienie, przyjmie wiarę katolicką. Pozostali więźniowie byli to ludzie prości, mało inteligentni, ale dość spokojni.

Do obsługi chorych i do utrzymywania porządku na sali było dwóch młodych więźniów. Jeden z nich należał do policji granatowej za czasów sanacyjnych, drugi — jakiś robotnik. Obydwaj zachowywali się bardzo arogancko, pletli różne głupstwa i wyjadali nam lepsze rzeczy z paczek przysyłanych przez rodziny i przyjaciół. Ja jako ksiądz doznawałem dużo przykrości od niektórych chorych, zwłaszcza od tego komunisty, który w niesłychany sposób szykanował duchowieństwo katolickie i wyśmiewał wszystkie świętości. Zwracałem mu delikatnie uwagę, a gdy to nie pomogło, zgromiłem go kilka razy dość ostro i to jedynie poskutkowało.

Jeden z tak zwanych „celowych" chcąc mi dokuczyć za to, że mu nie oddawałem całych moich paczek jakie do mnie przysyłano raz na dwa tygodnie, kazał mi się przenieść na inną salę i umieścił mnie pomiędzy chorymi na weneryczne choroby. Czułem się na tej sali wprost okropnie, tym bardziej że okno tej sali wychodziło na plac, na którym tracono skazanych na śmierć i wyroki wykonywano w nocy. Słychać było doskonale kroki skazanych na rozstrzelanie i strzały do nich wymierzane. Wywierało to na mnie tak straszne wrażenie iż pewnej nocy dostałem szoku nerwowego i długo sie mogłem się uspokoić.

Po kilku dniach przeniesiono mnie na trzecią salę, na której leżało około 15 chorych. Pomiędzy nimi był jeden lekarz, psychiatra ze Lwowa, chory na gruźlicę kości leżał cały w gipsie. Miałem w nim miłego towarzysza niedoli i pocieszyciela.

Leżał tu również bardzo inteligentny pan z Krakowa, liczący już blisko 80 lat. Takich to ludzi ciężko chorych i stojących nad grobem trzymali komuniści w swoich więzieniach. Nie liczyły się u nich ani lata, ani nawet nieuleczalne choroby i ciężkie kalectwa. Znęcali się nad wszystkimi, bez żadnej litości.

Znajdując się w takim otoczeniu, popadłem w jakiś dziwny stan melancholii. Miałem wrażenie, że i ja jestem ciężko chory i już niedługo umrę. Poprosiłem księdza, który by mnie wyspowiadał i dysponował na śmierć, lecz mi tego stanowczo odmówiono. Prosiłem o papier, atrament i pióro, abym mógł napisać

testament. Na to mi pozwolono. Testament napisałem, ale mi go odebrano, czym byłem jeszcze więcej przygnębiony. Ach, jakże straszne jest więzienie dla każdego, a tym bardziej dla starszego i wyczerpanego już człowieka!

Lepiej by było, gdyby człowieka, który skończył już 50 lat, skazywano od razu na śmierć, aniżeli miano się znęcać nad nim w więzieniu w tak strasznych warunkach, jakie były za komunistów.

8. Jutrzenka wolności

Bóg dobry nie opuszcza nigdy człowieka, zwłaszcza, gdy tenże cierpi. By go więc podnieść na duchu, pokrzepić na siłach, zsyła mu pociechy. Taką pociechę zesłał i mnie na początku mego osamotnienia w więzieniu.

W tym czasie, kiedy przebywałem w szpitalu, zakończone zostało pierwsze śledztwo. Trwało ono przeszło 3 miesiące. Sędzia śledczy, który prowadził moją sprawę, przyszedł do mnie i oświadczył, że śledztwo moje zostało już ukończone i dał mi do podpisania odpowiedni protokół. Widząc jego życzliwe ustosunkowanie się do mnie, zapytałem się go, co mam dalej robić. Czy mam wziąć adwokata w swej obronie, gdyż czuję się całkiem niewinny. Na to ów sędzie tak mi odpowiedział „Nie potrzebujecie nic robić, gdyż śledztwo wykazało całkowitą waszą niewinność. Ja podałem już wniosek o wasze uwolnienie. Żeby jednak przyspieszyć wasze uwolnienie, musicie napisać prośbę do głównego prokuratora!" I podał mi jego adres. Napisałem więc natychmiast tę prośbę, a on zabrał ją ze sobą. Była to pierwsza jutrzenka mego uwolnienia, ucieszyłem się z tego bardzo i gorąco prosiłem Pana Boga o tę łaskę.

Niedługo potem przyszedł do mnie ów życzliwy strażnik więzienny i szepnął mi do ucha: „Idziecie na wolność. Podsłuchałem rozmowę sędziego z naczelnikiem więzienia. Ale musicie jeszcze poczekać ze dwa tygodnie, zanim zostaną załatwione w tej sprawie wszystkie formalności".

Trudno opisać z jakim utęsknieniem wyglądałem chwili uwolnienia.

9. Przykry zawód

Tymczasem po upływie 2 tygodni zamiast na wolność, przeniesiono mnie ze szpitala z powrotem do X pawilonu. Tu umieszczono mnie w celi, w której siedział wysoki, 40-letni mężczyzna, o wyglądzie wprost strasznym. Miał surowy wyraz twarzy, włosy już

szpakowate i rozczochrane. Spojrzał na mnie swym okropnym wzrokiem i wyrzekł na moje przywitanie te słowa: „A dobrze, jeszcze tu powinni przysłać papieża, prymasa Hlonda, wszystkich biskupów i księży". Mnie, zdaje się, wziął za jakiegoś biskupa. Patrzył na mnie wzrokiem tak strasznym, iż przeraziłem się. Zdawało mi się, że rzuci się na mnie i rozszarpie w kawałki. No — pomyślałem sobie — ładne ja tutaj będę miał towarzystwo.

Jak się później dowiedziałem, był to jakiś skoczek ze Lwowa, który przyleciał z zagranicy, by tu prowadzić podziemną robotę, ale go przyłapano i wsadzono do więzienia. Wytoczono mu proces o szpiegostwo i został skazany na karę śmierci. Prezydent go ułaskawił i zamienił mu tę karę na 15 lat więzienia.

Nie był to człowiek całkiem niewierzący ani nawet zły, ale bardzo uprzedzony do Kościoła katolickiego, a ściśle mówiąc do duchowieństwa. Specjalnie zaś nienawidził księży.

Z początku dokuczał mi bardzo, szydził ze mnie, a kiedy się modliłem, przeszkadzał mi w tym bardzo i wygadywał niestworzone rzeczy na papieży, biskupów i księży. Był niesłychanie zarozumiały i nie pozwolił sobie nic wytłumaczyć. On zawsze miał rację, choćby to było zaprzeczeniem prawdy.

Razem z nim siedział młody, lat może 30 mający Ukrainiec, podejrzany o zabójstwo generała Świerczewskiego. Był to prosty parobek wiejski, bez żadnej kultury, obdarty, bosy, wyglądał prawie na bandytę. W takim to znalazłem się towarzystwie, w celi X Pawilonu.

10. Znamienne oświadczenie naczelnika X pawilonu

Na drugi dzień zostałem wezwany do naczelnika X pawilonu majora Serkowskiego, który był sowietem i należał do NKWD. Ten, patrząc na mnie szyderczo, tak się do mnie odezwał: „Mieliście iść na wolność, ale znowu napisali taki list pasterski, za który należałoby tu posadzić wszystkich biskupów".

„Ja nie jestem biskupem" — odpowiedziałem mu, ani nie wiem o żadnym liście pasterskim, wszak jestem już w „więzieniu od 4 miesięcy."

„Wy wszyscy jedno wiecie" — odpowiedział mi — „dlatego będziecie siedzieć dalej, na postrach innym".

Jak się dowiedziałem już po moim wyjściu z więzienia, akurat w tym czasie Episkopat polski wydał list pasterski do wiernych w sprawie wychowania religijnego młodzieży, o którym ja, będąc w więzieniu, nie mogłem nawet słyszeć. Tak więc zostałem skazany na dalsze więzienie za list pasterski Episkopatu polskiego, o którym nawet nie wiedziałem.

Z jednej strony było mi bardzo przykro, że muszę cierpieć dalej i to niewinnie. Ale z drugiej strony byłem dumny, że cierpię niewinnie za sprawę Bożą.

Za kilka dni wezwano mnie na nowe badanie. Jak się okazało, śledztwo przeciwko mnie zostało wznowione. Sprawa moja została oddana innemu sędziemu, który się podpisywał na protokołach Andrejew. Był to zdaje się Rosjanin. Obchodził się ze mną bardzo surowo i arogancko i od razu zarzucił mi szpiegostwo.

11. Drugie śledztwo

Tak więc zamiast iść na wolność, jak mi to wróżył pierwszy sędzia śledczy, poszedłem na X pawilon, gdzie wszczęto względem mnie drugie śledztwo. Prysły więc wszystkie moje nadzieje. Rozpoczęły się nowe badania, nowe przesłuchania i inne jeszcze nowe udręki. Nowy sędzia śledczy Andrejew zarzucił mi, że ten tajny dokument, który mi przyniósł urzędnik z U.B., wyłudziłem od niego za grube pieniądze, że uprawiałem szpiegostwo na rzecz obcego państwa, że należę do tajnej organizacji itp. Nowe śledztwo ciągnęło się znowu przez całe 3 miesiące, a ja w ciągu tego czasu musiałem znowu znosić poczwórne, straszne udręki.

1. Udręka ciągłych przesłuchań.
2. Udręka w celi więziennej, w towarzystwie wroga Kościoła i Ukraińca.
3. Udręka wskutek okropnych i zabójczych warunków więziennych.
4. Udręka — nowe, okropne rozterki duchowe.

Cela do której zostałem teraz wtrącony, była narożną celą gmachu więziennego, bardzo wilgotną i niesłychanie zimną. Po ścianach lała się woda, zamiast podłogi był w niej czarny beton, okienko małe, wysoko umieszczone, gęsto zakratowane, przez które nie było absolutnie nic widać. Tuż naprzeciw tej celi była kuźnia, w której od rana do wieczora bito młotami i przeraźliwy huk nie dawał nigdy spokoju. Cela ta była przeznaczona dla jednego więźnia, tymczasem było nas tu aż trzech. Było tak ciasno, że trudno się było poruszać. Stała w niej tylko jedna ławeczka do siedzenia, którą prawie zawsze zajmował ten „bezbożnik", ja zaś z Ukraińcem musieliśmy siedzieć na gołej ziemi.

Była tu prycza do spania, którą mnie jako najstarszemu ów bezbożnik odstąpił. Ale nie było na niej siennika, był tylko jakiś stary podarty worek. Musiałem więc leżeć na grubej, żelaznej niby sito siatce, która była bardzo rzadka i druty jej wrzynały się głęboko w moje ciało, co sprawiało mi duże męki.

Podczas zimy było w tej celi tak strasznie zimno, że trudno było wytrzymać. Do okrycia każdy z nas miał tylko jeden cienki koc. Toteż dygotałem nieraz przez całą noc i nie mogłem oka zmrużyć.

Ukrainiec przez długi czas chodził boso, dopiero w grudniu dano mu drewniaki. Kiedy w nich chodził po celi, tak strasznie stukał po betonie, że aż uszy bolały słuchać ciągle tego stukania.

Klozety w celach były skanalizowane. W wielu jednak celach, a między innymi w naszej, klozet był zepsuty. Wody nie można było spuszczać, ale sama sączyła się powoli, wskutek czego nie spłukiwała odchodów ludzkich. Odchody te trzeba było za pomocą ręki usuwać do rury, bo innego przedmiotu do tego nie było. Nie było też w celi żadnego naczynia z wodą. Podawano ją więźniom tylko rano do umycia się. Ręce więc, łyżki i kubki zmuszeni byli więźniowie obmywać w muszli klozetowej. Taka to higiena panowała w komunistycznych więzieniach. Są to rzeczy naprawdę trudne do uwierzenia, ale niestety prawdziwe.

Wikt więzienny był wprost okropny. Rano pół litra niby to kawy bez mleka i cukru, piętka chleba. Na obiad bardzo rzadka zupka podobna raczej do pomyj. Najczęściej karmiono nas zgniłą, śmierdzącą kapustą. Jeżeli w takiej zupie znalazł się kiedyś kartofel, był to nie lada przysmak dla więźnia, ale te przysmaki trafiały się bardzo rzadko. Często zupy były gotowane na jakichś śmierdzących rybach, śledziach. Ponieważ nie znoszę zapachu ryb i śledzi, nie mogłem absolutnie tych zup jadać. Często więc jedynym moim posiłkiem w więzieniu był chleb, który drobiłem sobie do wody, bo nie mając zębów, nie mogłem suchego chleba ugryźć.

Strażnicy pilnujący naszej celi byli po prostu katami. Dokuczali nam bardzo, a specjalnie mnie jako księdzu. Najgorszym katem był strażnik sadysta zwyrodniały, nazwiskiem Szymański.

Bogu dzięki, że chociaż raz, dwa lub trzy razy na trzy tygodnie otrzymywałem paczki żywnościowe, przysyłane mi z domu, w których było troszkę chleba, okruszyna masła, cukru, kilka cebulek, a czasem kawałeczek jakiegoś mięsa. Paczki te przychodziły zazwyczaj z wielkim opóźnieniem, wskutek czego zawartość ich była bardzo zeschnięta, masło zaś i mięso już zepsute. Podtrzymywała nas tylko cebula i cukier. Najgorzej było z przetrzymywaniem tych artykułów w celi więziennej, bo nie było ani szafki ani żadnej półki. Nie wolno też było mieć w celi żadnego naczynia ani nawet kawałeczka papieru. Chleb zatem, masło i inne produkty trzeba było kłaść na goły beton pod pryczą.

Gmach X pawilonu tak był otoczony ze wszystkich stron różnymi budynkami więziennymi, że nie dochodziły tu żadne odgłosy ani dzwonów kościelnych, ani syren fabrycznych, ani przejeżdżają-

cych tramwajów. Więźniowie tego pawilonu znajdowali się już za życia jak w jakimś grobowcu. Zamknięci w celach, nie wychodzili nigdzie, jedynie tylko na przesłuchanie i badanie do innych cel, znajdujących się w tym samym pawilonie.

Przez szereg miesięcy nie wiedział człowiek prawie nic o Bożym świecie ani nie widział nigdy promyka słońca.

12. Udręki wewnętrzne

Strasznym jest pobyt w więzieniu dla każdego, zwłaszcza dla starszego człowieka, któremu dokuczają już różne dolegliwości fizyczne, a ja miałem przecież już 65 lat życia. Już przedtem od dłuższego czasu cierpiałem na reumatyzm, ischias i inne dolegliwości. Byłem nadto bardzo wyczerpany pracą i wątłego zdrowia. Ale prócz tych cierpień fizycznych, dopuszczał Pan Bóg na mnie bardzo ciężkie i nieopisane wprost udręki duchowe, wewnętrzne.

O ile do ukończenia pierwszego śledztwa żyłem jeszcze nadzieją wyjścia na wolność i ta nadzieja podtrzymywała mnie na duchu i dodawała otuchy i męstwa, o tyle teraz ta nadzieja została mi całkiem odjęta.

Byłem przekonany, że już nie opuszczę więzienia do śmierci. To zaś przekonanie nie wypływało bynajmniej z tego, bym się poczuwał do jakiejkolwiek winy, lecz z tego nastawienia, jakie widziałem u tych którzy nas oskarżali i dręczyli. Słowa naczelnika X pawilonu — „Będziecie siedzieć na postrach innym" — mówiły o tym wymownie. Z tego więc powodu byłem tak strasznie przygnębiony i po prostu złamany, iż nie raz zdawało się, że sam Bóg mnie całkiem opuścił. Znikąd nie miał tu człowiek ani słóweczka pociechy, bo i któż miał mnie pocieszyć, skoro znalazłem się w tak okropnym otoczeniu w celi. O ileż szczęśliwszymi są ludzie, nawet ciężko chorzy, ale znajdujący się na wolności. Choćby bowiem byli kiedyś bardzo opuszczeni, zawsze usłyszą od dobrych ludzi jakieś słówko pociechy. Tu zaś nie słyszał człowiek nic, tylko różne pogróżki i szykany badających nas katów komunistycznych i wymyślań od strażników więziennych. Jedyną pociechę znajdowałem tu w modlitwie. Pomny na słowa św. Jakuba Apostoła: „Jeśli kto z was smutny, niechaj się modli", modliłem się bezustannie — modliłem się w dzień i w nocy.

W dzień odmawiałem pacierze kapłańskie, brewiarz, dodając do tego różne psalmy, modlitwy, rozmyślania nad życiem Pana Jezusa, zwłaszcza Jego męką. Wieczorami zaś odmawiałem różaniec i inne

modlitwy. Z różańcem nie rozstawałem się nigdy, miałem go zawsze przy sobie, z nim kładłem się na spoczynek.

Gdy mi w nocy dokuczało zimno, nie mogłem oka zmrużyć, modliłem się na różańcu i kładłem go sobie pod głowę. I ta modlitwa podtrzymywała mnie na duchu. Gdyby nie modlitwa, byłbym popadł w czarną melancholię.

Socjusz mój ów bezbożnik nie przestawał mi dokuczać. Buntował przy tym i Ukraińca, który razem z nami siedział i pobudzał go do tego, aby i on mi dokuczał. Lecz ten prosty chłopak wiejski, choć innej narodowości, miał więcej szlachetności i uczuć ludzkich, niż ten niby to inteligentny człowiek. Odnosił się do mnie z szacunkiem. Powoli nawiązałem z nim kontakt i doszliśmy do porozumienia.

Był to chłopak wiejski, bez żadnego wykształcenia, kompletny prostak. Przyznał się do tego, że jest wierzącym greko-katolikiem, ale o religii miał bardzo słabe pojęcie. Zacząłem więc mówić z nim o Bogu i uczyć go katechizmu. Ale podsłuchał to ów bezbożnik i zaczął sobie drwić z nas obu. Tak mówił do tego chłopaka: „Nie wierz temu, co ci ksiądz mówi, to wszystko bujda."

Ukrainiec jednak z coraz większą ciekawością słuchał moich nauk i powoli zaczął się modlić. Codziennie klękał do pacierza rano i wieczorem. Miałem więc z nim pewne zajęcie, a nawet miłą rozrozrywkę. Obydwaj palili papierosy najgorszego gatunku, toteż w celi było nieraz tyle dymu, że trudno było oddychać.

13. Pierwsza wiadomość o moim bracie

Od chwili mego aresztowania, kiedy po raz pierwszy widziałem mego brata ks. Antoniego Marchewkę na dworcu w Warszawie, nic o nim nie wiedziałem. Rano tylko podczas badania śledczy Andrejew wspomniał o nim mówiąc, że podczas rewizji w jego mieszkaniu znaleziono taki sam tajny dokument z UB, za jaki ja obecnie odpowiadam. Nadmienił jeszcze przy tym i to, że znaleziono w jego mieszkaniu większą sumę dolarów. Z tego wnioskowałem, że i brat mój musi przebywać w więzieniu, ale nie wiedziałem gdzie.

Dopiero teraz gdy się dostałem do tej celi, usłyszałem charakterystyczne pokasływanie mego brata. Skąd jednak dochodziły do mnie te odgłosy, nie mogłem się zorientować. Zdawało mi się, że w sąsiedniej celi. Tymczasem jak się później okazało, brat siedział pod moją celą.

Trudno wyrazić jak odgłos kaszlu mego brata — więźnia — ranił moje serce. A więc siedzieliśmy obaj w jednym pawilonie, w pawilonie najgorszym, dziesiątym!

Odtąd czułem się jeszcze bardziej przygnębiony. Jak strasznie cierpiałem psychicznie, tego nie da się w żaden sposób opisać.

Pewnego razu przy pomocy mego towarzysza niedoli udało mi się podnieść tak wysoko, że mogłem po raz pierwszy, po kilku tygodniach wyjrzeć przez okienko więzienne na świat Boży. Ujrzałem na placu więziennym wóz, a na nim trumnę, w której wywożono zmarłego więźnia.

Ach, czemuż nie ja leżę w tej trumnie — pomyślałem sobie

Prosiłem Boga o śmierć, by już jak najprędzej skończyły się moje nieopisane cierpienia, tak mi tu bowiem ciężko było żyć.

Nadeszła zima. Więzienie ogrzewano tylko tyle, by więźniowie nie zmarzli na śmierć. Maleńkie kaloryferki ledwo były ciepłe, w celach panowało przeraźliwe zimno. Skulony siedziałem w kąciku celi oparty o ścianę i dygotałem z zmina.

14. Wigilia bez opłatka — Boże Narodzenie we łzach

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia: wigilia, pasterka!

Serce krajało mi się z bólu, że nie będę mógł brać udziału w wigilii i pięknych nabożeństwach kościelnych.

Zarząd więzienny, by nam jeszcze więcej dokuczyć, nie przyjmował żadnych paczek, jakie krewni i przyjaciele wysyłali więźniom. Nie otrzymaliśmy więc żadnych paczek. Nie mieliśmy nawet kawałeczka opłatka wigilijnego. O, jakże smutnie spędziłem ten dzień! W wigilię połamałem się z Ukraińcem kawałkiem czarnego chleba więziennego, zaśpiewałem po cichu kolędę i zalałem się gorzkimi łzami.

Nie wiedziałem nic, że w tym dniu umarła mi siostra cioteczna w Będzinie, która mi dużo pomagała gdy byłem w Seminarium Duchownym.

By wyprosić sobie i wszystkim więźniom miłosierdzie Boże, postanowiłem surowo pościć nie tylko w wigilię, ale i przez całe święta. Nie jadłem więc nic prócz chleba i piłem tylko trochę czarnej kawy bez cukru.

Smutna była dla mnie ta wilia, ale jeszcze smutniejsze Boże Narodzenie. Mój Boże, ani kościoła, ani Mszy św., ani żadnego nabożeństwa! Przeniosłem się duchem do swego parafialnego kościoła, wyobrażałem sobie, że jestem na pasterce, potem na sumie. Zdawało mi się, że słyszę słowa przecudnych naszych kolęd, oglądałem w duchu pięknie przybrany żłobek. Modliłem się i płakałem przez cały dzień jak dziecko. Żeby chociaż można było w tym dniu wysłuchać Mszy św. i przyjąć Komunię św. Niestety, reżim

komunistyczny zniósł kaplice we wszystkich więzieniach i zamienił je na magazyny, a tysiące więźniów pozbawił tej jedynej i największej pociechy religijnej.

15. Przygotowanie do rozprawy sądowej

Niedługo po Bożym Narodzeniu dowiedziałem się od swego adwokata pani Więckowskiej, z którą miałem pierwsze od czasu mego aresztowania widzenie, że zbliża się moja rozprawa sądowa. Było to moje pierwsze zetknięcie się ze światem zewnętrznym od 6 miesięcy. Adwokata tego zamówili mi przyjaciele ze Świdnicy.

Czytamy w Dziejach Apostolskich: „Strzeżono więc Piotra w więzieniu, a Kościół modlił się za niego nieustannie do Boga".

Coś podobnego działo się w Świdnicy. Poczciwi moi parafianie płakali i modlili się za mnie bez ustanku. Ofiarowali za mnie prawie w każdym tygodniu Msze św., Komunie św., Drogi Krzyżowe i inne dobre uczynki. I te modlitwy, Msze św, i dobre uczynki nie pozostały bez skutku. One to podtrzymywały mnie na duchu, one dodawały mi siły i męstwa do znoszenia wszystkich cierpień, one wreszcie wyjednały miłosierdzie Boże i wybawienie.

...

III Znów w Świdnicy (1948—1952)

1. Uwolnienie

Parafią św. Stanisława i Wacława w Świdnicy zarządzał przez kilka miesięcy proboszcz parafii św. Józefa [ks. Rzeczkowski]. Od lutego zaś do 1 lipca — ks. Teofil Jabłoński. Urząd dziekański przez cały rok sprawował sam Administrator Apostolski dr. Milik, który czynił wszystko, by mnie uwolnić ze szponów szatana. Po Bogu, jemu najwięcej zawdzięczam swoje uwolnienie.

Od chwili aresztowania mnie upłynął blisko rok. Przez ten czas byłem z dala od swej owczarni. Sercem jednak i duchem byłem zawsze z nią... Było to moje pasterzowanie poprzez cierpienie.

W dniu 25 maja 1948 roku, w dzień św. Grzegorza VII papieża, który również za sprawiedliwość i prawdę więziony był przez Henryka IV cesarza niemieckiego, we wtorek poświęcony czci św. Antoniego zostałem wypuszczony na wolność.

Pierwsze moje kroki po uwolnieniu z więzienia skierowałem do kaplicy OO. Jezuitów, w której spoczywa ciało św. Andrzeja Boboli, wielkiego męczennika Polski.

Nazajutrz 26 maja, z nieopisanym wzruszeniem i ze łzami w oczach odprawiłem Mszę św. przy relikwiach św. Andrzeja, pod-

czas której dziękowałem gorąco Bogu za łaskę uwolnienia. Po Mszy św. złożyłem wizytę J. Em. ks. Kardynałowi A. Hlondowi, Prymasowi Polski. Ks. Prymas witał mnie z nieopisaną wprost radością. Cieszył się bardzo — jak to powtarzał kilka razy — że widzi mnie na wolności.

Gdy go zapytałem: „Eminencjo, co mam teraz ze sobą robić?" ks. Prymas bez namysłu odpowiedział: „Niech ksiądz prałat wraca do Świdnicy, tam czekają na niego z wielkim utęsknieniem jego owieczki."

O godzinie 3 po południu leciałem już samolotem do Świdnicy. We Wrocławiu stawiłem się najpierw u ks. Administratora Apostolskiego dr. Milika. Ks. Administrator przywitał mnie bardzo serdecznie słowami: „Księże Prałacie! Witam Cię całym sercem! Świdnica oczekuje Księdza Prałata!"

Ponieważ byłem zardzo osłabiony, ks. Administrator zatrzymał mnie u siebie przez dwa dni, bym trochę wypoczął. We czwartek, w uroczystość Bożego Ciała o godzinie 4 po południu wróciłem autem do Świdnicy.

2. Wśród swoich owieczek

Świdniczanie wiedzieli już o moim uwolnieniu z depeszy, jaką wysłałem z Warszawy do Świdnicy i spodziewali się mnie zobaczyć w Bożę Ciało na procesji. Toteż na tę procesję przyszły niezliczone tłumy nie tylko z miasta, ale i z całej okolicy. Tłumy te oczekiwały na moje przybycie do godziny 6 wieczorem.

Gdy stanąłem na Placu Kościelnym, witali mnie wszyscy ze łzami w oczach. Dzieci wręczyły mi bukiet białych i czerwonych róż, parafianie wygłosili kilka pięknych przemówień i procesjonalnie wprowadzili mnie do kościoła. Tu chór odśpiewał kantatę „Gaude Mater Polonia" i „Te Deum" na głosy. Upadłem krzyżem przed wielkim ołtarzem, dziękując gorąco Bogu za szczęśliwy powrót.

Gdy wychodziłem z kościoła, ludzie padali mi do nóg, całowali mi ręce i mówili: „Witaj nasz Ukochany Pasterzu, Męczenniku!"

Na drugi dzień, gdy już po całym mieście rozeszły się wieści o moim powrocie, wieczorem na nieszpory zgromadziły się takie tłumy, że obszerny kościół nie mógł wszystkich pomieścić.

Wszyscy chcieli zobaczyć swego proboszcza i zbliżyć się do niego, by mu ucałować ręce. Wszystko to świadczyło o gorącym przywiązaniu parafian do swego pasterza. Choć byłem bardzo osłabiony, celebrowałem nieszpory i prowadziłem procesję z Najśw. Sakramentem. Takie same tłumy napełniły kościół w niedzielę i wszyscy cieszyli się bardzo z mego powrotu.

Ponieważ byłem bardzo wycieńczony, więc z polecenia ks. Administratora Milika wyjechałem na miesięczny wypoczynek i kurację do Polanicy Zdroju.

Przez ten czas poczciwi moi parafianie odwiedzali mnie często w Polanicy, przywozili mi pieniądze na kurację i z wielkim utęsknieniem wyglądali mego powrotu do Świdnicy.

3. Dalsza moja praca duszpasterska w Świdnicy

Po miesiącu wypoczynku w Polanicy powróciłem do Świdnicy by rozpocząć dalszą moją pracę duszpasterską. Lecz zaraz na wstępie doznałem wielkiej przykrości od jednego z urzędników Kurii, który przyjechał do parafii po to, by mi przekazać agendy parafialne. Prałat ten spojrzał na mnie surowo i na moje powitanie wyrzekł: „Po co tu ksiądz prałat wrócił?... Ksiądz nie powinien był już tu wracać!..."

„Wróciłem, bo tak mi kazał ks. Prymas i ks. Administrator Apostolski" — odpowiedziałem. Jeśli zaś jestem tu już niepotrzebny i ksiądz prałat ma władzę stąd mnie zabrać, to jestem do dyspozycji". Stanęły mi łzy w oczach. Zniosłem jednak cierpliwie takie powitanie i rozpocząłem moją pracę duszpasterską. A czekała mnie tu praca bardzo ciężka i nowe, bardzo bolesne krzyże.

Na te cierpienia i krzyże lepiej rzucić zasłonę i o nich nie wspominać. Tyle tylko muszę wspomnieć, że te cierpienia i krzyże nie pochodziły bynajmniej od moich ukochanych parafian, którzy okazywali mi jeszcze więcej serca jak przedtem, ale od kogoś innego... od „swoich" konfratrów!

4. Rok Pański 1949

Rok ten rozpoczęliśmy jak zwykle adoracją Najśw. Sakramentu i błogosławieństwem o północy. Najważniejszą sprawą, jaką postanowiłem przeprowadzić w tym roku w parafii, były Wielkie Misje Święte. Misje te były przewidziane na początek maja.

W uroczystość Nowego Roku oznajmiłem po raz pierwszy moim parafianom o tych misjach i rozpoczęliśmy do nich przygotowania.

Poznałem już bliżej stan religijno-moralny moich parafian: życie katolickie zostało już zmontowane, należało teraz przystąpić do ugruntowania w wierze ludzi dobrych i praktykujących katolików, do rozpalenia większej pobożności w duszach oziębłych i obojętnych, do pociągnięcia do Boga i do Kościoła ludzi niewierzących lub zachwianych w wierze i do nawracania wielkich i zaniedbanych grzeszników.

Poznałem też największe wady i bolączki tutejszego społeczeństwa, a były nimi: straszne pijaństwo i wielka liczba tak zwanych „dzikich małżeństw".

Tych dzikich małżeństw było na Ziemiach Zachodnich, przeważnie zaś w miastach, tak dużo iż prawie co piąte małżeństwo żyło bez ślubu kościelnego.

5. Wielkie Misje

Przed samymi Misjami odprawiliśmy nowennę do Ducha Świętego o błogosławieństwo Boże dla Misji św.

Przed kościołem już od kilku tygodni wisiały wielkie afisze z zaproszeniem na Misje i z podaniem szczegółowego programu. Nadto do każdej rodziny w całej parafii rozesłane były specjalne ulotki drukowane z zaproszeniem i z programem Misji św.

Uroczyste rozpoczęcie Misji św. odbyło się 23 kwietnia w sobotę przed Niedzielą Przewodnią, o godzinie 6 wieczorem. Misje prowadzili OO. Redemptoryści z Wrocławia pod kierownictwem wytrawnego misjonarza o. Mariana Pirożyńskiego. Trzech ojców głosiło kazanie, a czwarty słuchał spowiedzi. Misje trwały całe dwa tygodnie. Kazania misyjne były głoszone dwa razy dziennie: o 6 rano i o godz. 7 wieczorem. Oprócz kazań ogólnych głoszone były i kazania stanowe. Frekwencja wiernych na kazaniach i naukach była nadzwyczajna. Każdy stan miał osobną spowiedź i generalną Komunię św. Zakończenie Misji było w dniu 8 maja, w odpust św. Stanisława.

Poświęcenie krzyża misyjnego odbyło się z sobotę o godzinie 6 wieczorem. Procesja z krzyżem odbyła się po mieście przy udziale tysięcy ludzi.

W niedzielę 8 maja przybył na zakończenie Misji J. E. ks. Administrator Apostolski dr Milik, witany owacyjnie przez ludność i wygłosił bardzo piękne kazanie. Misje te udały się wspaniale. Skutki ich były nadzwyczajne. W ciągu całych Misji spowiadało codziennie po kilkunastu księży. Wypowiadało się około 10 tysięcy ludzi, Komunii św. wydano 25 tysięcy. Podczas Misji było dużo nawróceń. Wiele dzikich małżeństw połączyło się ślubem kościelnym. Odnowiło się katolickie oblicze Świdnicy.

Konfesjonały, zwłaszcza w soboty i w niedziele były stale oblężone. Brak było tylko, niestety, spowiedników. Było nas bowiem przy parafii tylko trzech księży, a pracy było na dziesięciu.

By sprawdzić, ile było ludzi u spowiedzi, każdy penitent otrzymywał na pamiątkę obrazek misyjny. Obrazków tych wydano penitentom około 10 tysięcy.

6. Troska o budynek kościelny

Bogu Najwyższemu dzięki, kościół nie uległ, jak tyle innych kościołów na Dolnym Śląsku, zniszczeniu ani nawet poważniejszym uszkodzeniom. Od wybuchu bomby, która padła na gmach dawnego kolegium jezuickiego, wyleciało kilka witraży.

Księża niemieccy, obawiając się zniszczenia kościoła, wywieźli z niego do sąsiednich kościołów w powiecie: poliptyk do Witoszowa, dwie wielkie statuy z wielkiego ołtarza do Wierzbnej, 2 inne statuy do Pastuchowa. Wszystkie te statuy i poliptyk sprowadziłem z powrotem do Świdnicy. Wszystkie kielichy i monstarancje zamurowano w krypcie, pod wielkim ołtarzem.

Kiedy objąłem probostwo w Świdnicy, niemiecki proboszcz świdnicki [ks. Erich Puzik], z którym starałem się żyć jak najlepiej, wydał mi wszystkie monstrancje i kielichy, które umieściłem w ogniotrwałym skarbcu kościelnym.

Kościół świdnicki posiada bardzo piękną i cenną monstrancję srebrną, barokową, ręcznej roboty z XVII wieku. Oprócz niej ma jeszcze dwie mniejsze monstrancje: jedna barokowa, druga gotycka i 15 bardzo pięknych kielichów, kilka puszek i innych naczyń liturgicznych. Wszystkie te monstrancje, kielichy, puszki zapisane są w książce inwentarza kościelnego.

Oprócz tego kościół ma dwa wielkie lichtarze i 6 mniejszych srebrnych, pięknie oprawne w srebro kanony na wielki ołtarz i krzyż gotycki ołtarzowy.

Przy pomocy inżyniera Edwarda Chrostka, kierownika Biura Odbudowy przy miejscowym Starostwie, pozwoziłem wszystkie wywiezione rzeczy z kościoła świdnickiego, jak poliptyk i figury i umieściliśmy to na swoich miejscachw kościele.

Przy pomocy władz państwowych naprawiłem poważnie podziurawiony dach nad kościołem. W roku 1946 zmieniłem całą instalację elektryczną w kościele, gdyż stare przewody były już całkiem przegniłe. Zmontowałem i zawiesiłem w kościele dwa duże żyrandole elektryczne. W kaplicy na górze, gdzie mieści się poliptyk, zastałem bardzo dużo lichtarzy, starych żyrandoli i innych drobiazgów, zwiezionych tu widocznie na przechowanie z całego powiatu. Na wielu lichtarzach były nawet tabliczki z napisem z jakiego kościoła pochodzą. Wszystkie te lichtarze i inne przedmioty kazałem przenieść na chór, do miejsca ukrytego, by je zabezpieczyć przed kradzieżą. Po moim odejściu ze Świdnicy, wszystkie te przedmioty wywiezione zostały do Kurii we Wrocławiu.

W bocznej kaplicy, gdzie znajduje się poliptyk, umieściłem dwunastogłosowe nowe organy, które znalazłem w fabryce orga-

nów w Świdnicy. Właściciel tej fabryki Niemiec, mówił mi przed swoim wysiedleniem, że te organy należą do sióstr Elżbietanek i miały być zabrane do kaplicy w Kraszewicach, ale nie zdążono tego zrobić. Organy te były już zmontowane. Kupiłem do nich motor elektryczny i używane były do nabożeństw w dni powszednie.

Ponieważ wielkie organy były już bardzo rozstrojone i brak w nich było wielu piszczałek, przeto pod koniec tego roku organy te zostały wyreperowane i nastrojone. Wszystkie te prace pochłonęły poważne sumy pieniędzy i pokryte zostały z ofiar składanych na tackę kościelną.

7. Odnowienie i naprawa zniszczonych witraży

W roku 1947 i 1948 naprawiliśmy potłuczone witraże w kościele świdnickim. Nowe witraże i naprawę potłuczonych wykonała znana w Polsce firma Braci Żeleńskich w Krakowie. Całkiem nowe witraże wprawiono w kaplicy Matki Boskiej Świdnickiej, w kaplicy św. Józefa, na Chórze Mieszczan.

Naprawione zostały witraże za wielkim ołtarzem i w bocznej nawie nad ołtarzem Serca Pana Jezusa. Prace nad wykonaniem nowych i naprawą potłuczonych witraży trwały dwa lata i pochłonęły poważne sumy pieniędzy.

Wszystkie te prace zostały wykonane z dobrowolnych ofiar parafian, składanych na tacę w kościele. Jeden tylko witraż w kaplicy św. Józefa sprawili miejscowi kolejarze.

8. Rok Pański 1950

Rok ten rozpoczęliśmy jak zwykle błogosławieństwem Najśw. Sakramentu o 12 w nocy.

W okresie Bożego Narodzenia odbył się jak zwykle w kościele piękny koncert kolędowy.

W Wielkim Poście rekolekcje parafialne prowadzili OO. Pijarzy z Krakowa. Frekwencja na tych rekolekcjach była bardzo duża. Do Komunii św. wielkanocnej przystąpiło około 25 tysięcy osób, z czego wynikało, że około 90% parafian było u spowiedzi i Komunii wielkanocnej.

Frekwencja wiernych do Sakramentów św. wzmogła się do tego stopnia, że w samej tylko bazylice świdnickiej rozdano w tym roku przeszło sto tysięcy Komunii św. nie licząc wydanych w kościele szkolnym Św. Krzyża, w kaplicy szpitalnej sióstr Elżbietanek i w kaplicy publicznej w Kraszewicach.

Życie katolickie w parafii św. Stanisława i Wacława rozwijało się więc coraz bardziej i wydawało piękne owoce.

9. Złowrogie znaki

Coraz wyraźniej objawiało się w Polsce i na Ziemiach Odzyskanych prześladowanie Kościoła. Usuwano systematycznie religię ze szkół. Usuwano krzyże z klas szkolnych i z biur. Utrudniano młodzieży chodzenie do kościoła na Mszę św. w niedziele i spełnianie praktyk religijnych. Władzom państwowym zakazano brać udział w nabożeństwach kościelnych. Nie pozwalano na procesję Bożego Ciała po mieście. Robiono coraz większe trudności księżom w wykonywaniu obowiązków kapłańskich. Dla Kościoła w Polsce zbliżały się ciężkie czasy.

Poważniejszych inwestycji w kościele w tym roku nie prowadziliśmy. Uruchomiłem tylko centralne ogrzewanie kościoła. Wyreperowałem ornaty, kapy, bieliznę kościelną, która była poważnie zniszczona. Główny nacisk położyłem na budowę i umocnienie żywego Kościoła, nad którym wisiała groźba ciężkiego prześladowania.

10. Katechizacja dzieci w kościele

Ponieważ w większości szkół została usunięta nauka religii, zmuszeni byliśmy uczyć dzieci i młodzież szkół średnich religii w kościele. Nie szło to z początku łatwo, gdyż nie wszyscy rodzice poczuwali się do obowiązku posyłania dzieci na naukę religii do kościoła. Powoli jednak zdołaliśmy większość rodziców przekonać już to przez nauki stanowe, już to przez kazania ogólne i coraz więcej dzieci zaczęło przychodzić na nauki do kościoła.

Oprócz tego lekcje nauki religii odbywały się w dwóch salach w Domu Katolickim, ale i to zostało nam wkrótce zabronione, tak że mogliśmy te lekcje prowadzić tylko w kościele. Frekwencja dzieci i młodzieży na tych lekcjach coraz bardziej wzrastała.

11. Troska o chorych

Wielka troską winien otaczać proboszcz chorych w swojej parafii. W Świdnicy większość chorych odwożono do szpitali. Dopóki władze komunistyczne nie zabrały szpitala zakonnicom, odwiedzałem wszystkich chorych w szpitalu w każdy piątek po południu.

Choć w szpitalu był stale ksiądz kapelan, który zaopatrywał chorych, jednak wizyta proboszcza działała niezmiernie zbawiennie na

chorych i ich rodziny. Iluż to bowiem przy tej wizytacji udało mi się nakłonić do przyjęcia Sakramentów św! Wielu chorych przy tej sposobności może kapłan podnieść na duchu i nakłonić do cierpliwego znoszenia swych dolegliwości.

W „Miłosierdziu Chrześcijańskim" miałem kilka pań, które wyszukiwały mi zawsze chorych. Odwiedzałem więc ich, zaopatrywałem Sakramentami św., a „Miłosierdzie Chrześcijańskie" niosło im pomoc materialną.

Co roku urządzaliśmy „Dzień chorych". Dla chorych było specjalne nabożeństwo połączone ze spowiedzią i Komunią św. Po tym nabożeństwie chorzy i kalecy otrzymywali śniadanie w Domu Katolickim.

12. Troska o dorastającą młodzież

Obserwując jak bezbożny komunizm deprawuje coraz bardziej młodzież, odrywa ją od Boga i Kościoła, dokładałem wszelkich starań, by tę młodzież uchronić od zepsucia i utrzymać ją przy wierze świętej i Kościele.

Choć wszystkie stowarzyszenia katolickie zostały już przez rząd zlikwidowane i zakazane, urządzałem co miesiąc specjalne nabożeństwa dla Czcicieli Serca Jezusowego, dla Czcicieli Matki Boskiej, tak bowiem nazywali się teraz Sodaliści i Sodalistki i na tych nabożeństwach wygłaszałem specjalne „konferencje" dla młodzieży.

Nadto przed uroczystościami św. Stanisława Kostki i Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny urządzałem „Tridua", które były jakoby rekolekcjami dla młodzieży. Zachęcałem też dzieci i młodzieńców do usługiwania do Mszy św. i do asysty na procesjach. Miałem około 50 ministrantów młodszych i około 20 starszych. Z tych kilku wstąpiło do seminarium duchownego. Trzymał się również mocno chór kościelny składający się z 50 członków.

13. Misteria religijne w kościele

Ponieważ zabronione zostały wszelkie zebrania, akademie i przedstawienia amatorskie w stowarzyszeniach katolickich, więc aby utrzymać młodzież przy kościele, urządzałem akademie ściśle religijne podczas uroczystości św. Stanisława Kostki, Chrystusa Króla, Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny i w inne święta.

W okresie Bożego Narodzenia urządzałem każdego roku coś w rodzaju jasełek, a było to właściwie misterium religijne pod nazwą „Hołd Polski dla Dzieciątka Jezus".

W wysoko podniesionym prezbiterium kościoła urządzana była „żywa szopka". Żłóbek z Dzieciątkiem Jezus, obok żłóbka żywa Matka Boska, św. Józef oraz 12 aniołów.

Cały ten żłóbek wspaniale był ubrany i rzęsiście oświetlony reflektorami. Z bocznych naw, z prawej i lewej strony za balustradą szli chłopcy pięknie przebrani za pastuszków i ze śpiewem kolęd zbliżali się powoli do żłóbka, deklamując piękne wierszyki składali Bożemu Dzieciątku swe dary.

Po pastuszkach szli Trzej królowie, z których jeden przedstawiał Kazimierza Wielkiego, drugi Władysława Jagiełłę, a trzeci Jana Sobieskiego. Każdy miał swoją świtę i każdy recytował piękne wiersze i składali dary. Po królach szli rycerze polscy, powstańcy i wszystkie stany w przepięknych regionalnych strojach ze śpiewem i każdy wygłaszał odpowiednie przemówienie. To wszystko było przeplatane śpiewem chóralnym kolęd i muzyką. Całe to misterium trwało około 2 godzin. Brało w nim udział prawie sto osób. Robiło to wrażenie na wszystkich, toteż kościół nie mógł pomieścić ludzi. Wstęp do kościoła był wolny dla wszystkich. Zbierano tylko dobrowolne ofiary na tackę. Kostiumy wypożyczaliśmy z Teatru Miejskiego. Misteria te były wystawiane 3 razy w okresie Bożego Narodzenia.

Może ktoś gotów nazwać to teatralnością, lecz nie było w tym nic niepoważnego. Były to w ścisłym tego słowa znaczeniu misteria religijne składające się z pieśni i wierszy o treści religijnej. To wszystko ściągało tłumy starszych, młodzieży i dzieci do kościoła, odrywając ich tym samym od światowych i często grzesznych zabaw. Było przy tym zawsze i odpowiednie przemówienie o treści religijnej.

W ten sposób udawało mi się bardzo dużo dzieci i młodzieży utrzymać przy Kościele. Ludzie tak byli tymi misteriami zachwyceni, że przyjeżdżali nieraz z daleka by je oglądać.

W okresie Bożego Narodzenia urządziłem również „Gwiazdkę" dla biednych dzieci.

14. Rok Pański 1951

Rok ten rozpoczęliśmy jak poprzednie lata błogosławieństwem Najśw. Sakramentem o 12 w nocy w kościele. Co rok przychodziło więcej ludzi na tę nocną adorację. Ten rok zapowiadał się bardzo ciężko. Coraz bardziej dawało się zauważyć zbliżające się prześladowanie Kościoła. Ludzie coraz głośniej narzekali na ciężkie czasy. Księża, zwłaszcza parafialni, mieli coraz więcej kłopo-

tów i zmartwień z podatkami, domiarami i innymi represjami ze strony rządu. Raz po raz odbywały się różne procesy „pokazowe" skazujące już to biskupów, już to księży na długoletnie więzienie.

Wśród duchowieństwa i wiernych panowało coraz większe przygnębienie. Jedynie religia podtrzymywała ludzi na duchu. Robotnik polski, mimo coraz większych przeszkód i utrudnień, jakie mu robiono przy wykonywaniu praktyk religijnych, trzymał się mocno wiary i szukał pociechy w Kościele. Dlatego też frekwencja wiernych na Mszy św. i do Sakramentów św. wzrastała coraz bardziej.

W okresie Bożego Narodzenia wizytowaliśmy dalej parafian niosąc im błogosławieństwo Boże i pociechę duchową. W tym roku urządziłem 3 razy misterium religijne pt. „Hołd Polski dla Dzieciątka Jezus".

Rekolekcje wielkopostne prowadzili OO. Cystersi ze Szczyrzyca i Jędrzejowa. Frekwencja na tych rekolekcjach, jak zawsze, była duża. Do spowiedzi przystąpiło około 15 tysięcy osób.

Procesja Bożego Ciała była w tym roku skromna, bo władze nie pozwoliły urządzić jej po mieście. Musiała się więc odbywać na szczupłym placu Kościelnym.

15. Pożar plebanii

Na początku 1951 roku spalił się dach nad plebanią. Plebania w Świdnicy mieści się w części gmachu dawnego kolegium jezuickiego. Dwie części tego gmachu należały do państwa. W tej części umieszczono bursę dla młodzieży męskiej szkół zawodowych. Młodzież tę trzymano w tej bursie jakby w więzieniu, nie pozwalając jej chodzić do kościoła ani odmawiać pacierza. Nic więc dziwnego, że wśród tej młodzieży szerzyła się bardzo obojętność religijna i chuligaństwo. Młodzież ta urządzała w swej świetlicy często zabawy taneczne.

Pewnej nocy, gdy w bursie robiono przygotowania do takiej zabawy, prawdopodobnie przez nieostrożność zaprószono ogień na strychu, który wkrótce się rozprzestrzenił i zniszczył najpierw część dachu nad bursą, a następnie przerzucił się na dach nad plebanią. Dzięki natychmiastowej i bohaterskiej wprost obronie Zawodowej Straży Pożarnej ogień został opanowany i ugaszony. Nad plebanią spaliła się połowa dachu.

Dziwna rzecz, iż szkoła bynajmniej nie troszczyła się o naprawę tego dachu nawet nad częścią budynku należącego do państwa. Nie robiono też żadnego dochodzenia co było przyczyną pożaru.

By więc zabezpieczyć budynek przed dalszym zniszczeniem, musiałem sam zająć się naprawą dachu. Ale skąd wziąć na to materiał: drewno, dachówkę?

Ponieważ żyłem zawsze w najlepszej zgodzie z władzami państwowymi i z Zarządem miasta, przeto Zarząd ten przyszedł mi chętnie z pomocą. Dostarczył materiały: drzewo, wapno, dachówki i dał nawet swoich robotników. Kościół płacił tylko za robociznę. Kosztem więc 12 tysięcy złotych dach został naprawiony.

W tymże roku przy pomocy Magistratu został naprawiony duży wiadukt prowadzący do cmentarza grzebalnego.

Mimo coraz wiekszego ucisku i przeszkód ze strony władz, życie religijne w parafii nie słabło ale rosło i rozwijało się coraz piękniej.

Rodzice zrozumieli potrzebv nauki religii dla dzieci i posyłali je chętnie na te nauki do kościoła. Jednak na skutek wychowania bezbożnego w szkołach i walki z religią, łamały się słabe charaktery wśród młodzieży i w całej Polsce zaczęło się szerzyć chuligaństwo. Na to chuligaństwo zaczęło narzekać nie tylko społeczeństwo katolickie, ale nawet komunistyczne czynniki rządowe, które poruszały tę przykrą sprawę w swoich komunistycznych pismach.

16. Rok Pański 1952

Z bojaźnią i trwogą rozpoczynaliśmy rok 1952, toteż podczas błogosławieństwa Najśw. Sakramentem o północy błagaliśmy gorąco Boga o przetrwanie tych ciężkich czasów. A był to rok naprawdę smutny i ciężki dla Kościoła, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych.

Na Kościół zaczęły się walić coraz większe ciosy. Po usunięciu i wywiezieniu księdza Administratora Apostolskiego dra Karola Milika z Wrocławia i wszystkich Administratorów Apostolskich z Ziem Odzyskanych, rządy w Administracjach Apostolskich objęli księża narzuceni przez władze państwowe. Najgorzej zaś pod tym względem było we Wrocławiu. Do głosu doszli księża ze związku „Bojowników o Wolność i Demokrację" zwani inaczej „księżmi patriotami". Oni też obejmowali wszystkie większe i ważniejsze urzędy kurii i placówki duszpasterskie.

Ponieważ ja nie byłem inkardynowany do Administracji Apostolskiej wrocławskiej, nie mogłem być proboszczem w Świdnicy. „Ordynariusz" ks. Kazimierz Lagosz zażądał ode mnie, żebym albo się inkardynował, albo opuścił Administrację Apostolską.

Ponieważ ks. Prymas życzył sobie, abym nadal pracował w Świdnicy, napisał w tej sprawie do ks. Lagosza list, aby mnie po-

zostawił w Świdnicy. Ks. Lagosz zgodził się na to, ale pod warunkiem, że naznaczy do Świdnicy proboszcza, jednego z urzędników kurialnych, który przejmie kasę kościelną, a ja będę tylko wikariuszem.

Było to dla mnie wysoce ubliżające. Jednak na prośbę ks. Prymasa Kardynała Wyszyńskiego, który (jak się wyraził) dla dobra dusz kazał mi pozostać w Świdnicy i pracować jako wikariusz, pozostałem na tym stanowisku nadal.

Ale odtąd rozpoczęło się dla mnie jakoby nowe męczeństwo. Nie upadając jednak na duchu, robiłem wszystko, co tylko było w mojej mocy, by utrzymać ludzi przy wierze i przy Kościele świętym.

Prowadziłem pracę duszpasterską z jeszcze większą gorliwością, zaparciem się siebie i bezinteresownością.

Rekolekcje wielkopostne prowadził w tym roku zakonnik salwatorianin. Ludzie garnęli się jak zawsze, do kościoła i do Sakramentów św. Nikt nie wiedział, że już od 19.6.1951 r. nie jestem proboszczem. Wszyscy otaczali mnie nadal wielką czcią, miłością i darzyli swoim zaufaniem. Jako wikariusz otrzymywałem tylko pensję miesięczną 1200 zł nie mając prawa do akcydensów.

Proboszcz mój, ks. Józef Kubica pracujący w Kurii, na tyle był delikatnym, że się wcale nie wtrącał do moich zarządzeń w parafii, a nawet do Świdnicy nigdy nie przyjeżdżał.

Praca moja jednak stawała się tu coraz cięższa. Księża byli coraz bardziej inwigilowani przez UB i często wzywani na różne przesłuchania.

Gorliwsi kapłani bardzo niemile byli widziani w oczach niektórych czynników państwowych. Na nich piekło zastawiało przede wszystkim swe sidła. Sidła te zastawiano bez ustanku i na mnie. Raz nawet podrzucono mi na korytarzu plebanii karabiny, które na szczęście zauważyła moja służba kościelna i kazałem odnieść je do milicji.

Czułem, że czyhały na mnie jakieś ukryte siły, które starały się szkodzić mi na każdym kroku.

Władze świeckie, choć niechętne i wrogo usposobione do religii i Kościła katolickiego, odnosiły się do mnie jako do starszego kapłana z szacunkiem i nie robiły mi żadnych utrudnień osobiście. Cieszyłem się powagą u władz miejscowych, dzięki czemu udało mi się uratować wszystkie domy kościelne od zajęcia ich na cele świeckie. Dzięki mej interwencji pozostawiono siostry zakonne Elżbietanki, w zajętym przez państwo szpitalu.

Zarząd Miasta zawsze i we wszystkim szedł mi na rękę. Gdy zaszła potrzeba rozszerzenia cmentarza grzebalnego, Zarząd Miasta przydzielił parafii św. Stanisława i św. Wacława około 3 hektarów

ziemi. Tenże Zarząd pomógł mi w naprawieniu dachu nad plebanią po pożarze.

Czyhały jednak na mnie ciągle jakieś siły ukryte, które knuły spiski na moją osobę i robiły wszystko, by mnie ze Świdnicy usunąć. Siły te nie rekrutowały się spośród moich parafian, ani nawet spośród sfer rządowych. Czyhali na mnie niestety, jak na Chrystusa, Judasze spośród „swoich", spośród sfer duchownych.

Nikt wówczas jeszcze nie wiedział o tym, że w dekanacie świdnickim sprawuje urząd „proboszcza" ksiądz, który, jak się później okazało, nie miał wcale święceń kapłańskich. Był oszustem, intruzem, wilkiem, który nie przez drzwi wszedł do owczarni, ale jako złodziej, a co najgorsze, był konfidentem UB. Osobnik ten już dawno rył i kopał pode mną dołki, oskarżał mnie i rzucał na mnie różne oszczerstwa nie tylko przed władzami państwowymi, ale nawet w kurii wrocławskiej. Co zaś najdziwniejsze, że miał w tej kurii poważanie i posłuch.

Ostrzegało mnie przed nim wiele poważnych osób, które wiedziały o jego niecnych wyczynach. Lecz ja nie dawałem temu wiary. Odnosiłem się do niego zawsze grzecznie, uprzejmie i z życzliwością, ale nie wiedziałem, że mam w swoim dekanacie jadowitego węża. Był to osławiony pan Czesław Jankowski, „proboszcz" parafii Górka koło Sobótki, który po moim odejściu ze Świdnicy, w r. 1954 został „proboszczem", „dziekanem", ba, nawet „kanonikiem" w Świdnicy.

Kuria wrocławska, okłamywana przez takich „panów" jak ów ksiądz Jankowski i innych jeszcze moich „przyjaciół" też niestety księży, robiła wszystko aby mój pobyt w Świdnicy utrudniać i obrzydzić.

Po śmierci proboszcza ks. Kubicy kuria przysłała proboszcza do Świdnicy, który osiadł przy parafii. Proboszcz ten objął już całkiem urzędowanie ja zaś byłem tu tylko jako „zwykły wikary", a właściwie rezydent.

Za radą ks. Prymasa pozostałem w parafii jako rezydent blisko pół roku. Ale nowy mój proboszcz tak mnie ograniczył w pracy, że mi nie pozwolił wcale głosić kazań. Wolno mi było tylko odprawiać cichą Mszę św. i spowiadać.

Kiedy już nie mogłem znieść tego wszystkiego, napisałem do ks. Prymasa list z prośbą, by mi pozwolił opuścić Świdnicę. Po otrzymaniu od niego przychylnej odpowiedzi, wyjechałem ze Świdnicy cichutko w nocy w dniu 4 grudnia 1952 roku i przeniosłem się do Częstochowy.

Tak zakończyła się moja siedmioletnia misja na Ziemiach Odzyskanych.

Sześć lat pracowałem jako duszpasterz, nauczając, udzielając Sakramentów św. i kierując duszami, a blisko jeden rok pasterzowałem cierpieniem w więzieniu na Mokotowie.

Na Ziemie Odzyskane poszedłem na rozkaz ks. Prymasa i Kardynała Hlonda: poszedłem pracować na chwałę Bożą nad zbawieniem dusz. Pracowałem gorliwie, z całkowitym zaparciem się siebie, nie szczędząc sił ani zdrowia. Pracowałem bardzo ciężko i bez wytchnienia prawie ponad siły ludzkie, nie mając nigdy dostatecznej i odpowiedniej pomocy. Pracę swoją przypieczętowałem cierpieniem, bo prawie cały rok spędziłem całkiem niewinnie w więzieniu. Pracowałem bezinteresownie, bo opuszczając Świdnicę nie miałem żadnych oszczędności ani żadnego majątku.

Żal mi było nie Świdnicy, ale dusz ludzkich, które nie miały tam jeszcze dostatecznej opieki duchowej, bo było tam za mało księży, a lud wołał o tę opiekę, wołał o kapłanów i przewodników duchownych.

Żal mi było pracy duszpasterskiej, którą kochałem nad życie! Idąc stamtąd na wygnanie i tułaczkę, mogłem powtórzyć śmiało te słowa, które wyrzekł niegdyś św. Grzegorz VII Papież kiedy szedł na wygnanie: „Umiłowałem sprawiedliwość, a nienawidziłem nieprawości, dlatego umieram na wygnaniu".

Ale modliłem się za tych, którzy mi zadali te cierpienia. Niech im Bóg to wszystko przebaczy!

Poszedłem dumny na wygnanie i tułaczkę, bo dzieliłem los takich, jak J.E. ks. Kardynał Wyszyński, Prymas Polski, który również musiał iść na wygnanie, jak biskupi śląscy i wielu innych biskupów i księży.

Niech to wszystko będzie na większą chwałę Bożą!

POSŁOWIE

W tekście pozostawiono nieaktualną dziś pisownię niektórych nazw (np. Msza św.) wielką literą. Tytuły niektórych rozdziałów zmieniono zgodnie z zawartą w nich treścią.

Janina Kocemba

Ireneusz Pałac

DZIAŁALNOŚĆ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" W ŚWIDNICY (część II)

OD AUTORA

Gdy w zeszłym roku podjąłem się napisać szkic historii świdnickiej „Solidarności", chciałem, aby opracowanie to objęło całe dziesięciolecie 1980—1990. Odnalazłem niemało materiałów archiwalnych, rozmawiałem z działaczami Związku.

Jednak zdobytych informacji wystarczyło na stosunkowo rzetelne opisanie tylko ostatniego okresu trwania „Solidarności". W rezultacie, rozdział pracy pomyślany jako ostatni, jest, jak dotychczas, jedynym zakończonym.

Wyraziłem zgodę na jego opublikowanie. Mam jednak świadomość, że pominięcie wydarzeń lat 1980—81 oraz dramatycznego okresu stanu wojennego jest nie do przyjęcia. W imię prawdy i sprawiedliwości trzeba ten rozdział historii naszego miasta ocalić od zupełnego zapomnienia. Dlatego dokończenie swej pracy traktuję jako moralne zobowiązanie. Myślących podobnie proszę o kontakt — może wspólnymi siłami łatwiej uda się tego dokonać.

Niech wybaczą mi osoby, które poczują się w tym tekście niedocenione. Nie było moją intencją ani dodawać, ani ujmować zasług. Dążąc do obiektywizmu, starałem się zachować dystans wobec opisywanych ludzi i zdarzeń. Przyznaję, że dla mnie, związanego z „Solidarnością" przez lata, jest to bardzo trudne.

... WIOSNA NASZA

Rok 1988 okazał się rokiem przełomu. Majowe i sierpniowe strajki, chociaż nie tak powszechne jak w 1980 roku, udowodniły to, o czym większość społeczeństwa była przekonana już od dawna. Sytuacja gospodarcza pogorszyła się na tyle, że władza nie znajdowała już skutecznych sposobów ukrycia tego faktu i opanowania nastrojów społecznego niezadowolenia.

Wzbierała fala sprzeciwu, a wraz z nią na porządku dziennym stawał problem legalnego istnienia „Solidarności".

Sytuacja świdnickiej „Solidarności" była, wyłączając największe ośrodki przemysłowe, bardzo podobna jak w reszcie kraju. Trudno właściwie mówić o istnieniu Związku. Organizacje zakładowe, jeśli przetrwały, to w stanie szczątkowym (ŚFUP, Fabryka Wagonów). W większości jednak zostały zupełnie rozbite. Aktywność organizacji pokrewnych (np. Solidarność Walcząca), także stała się znikoma. Prawie ustał kolportaż niezależnych wydawnictw. Jedynym trwałym śladem po dziesięciomilionowym Związku pozostała odprawiana każdego trzynastego dnia miesiąca, msza św. za ojczyznę. Jednocześnie jednak, powoli krystalizowała się grupa tzw. młodej „Solidarności". Tworzyli ją w większości młodzi ludzie, którzy z powodu wieku nie należeli do Związku w 1981 roku albo byli członkami, lecz nie zajmowali eksponowanych stanowisk. Grupę tę wspierali doświadczeni działacze.

Stopień pacyfikacji społeczeństwa był tak znaczny, że czasowo wykluczone było prowadzenie działalności w zakładach pracy. Dlatego rozpoczęto ją w jedyny możliwy sposób — organizując Duszpasterstwo Ludzi Pracy.

Jego początki sięgają roku 1985, gdy próbowano je utworzyć przy Klubie Ineligencji Katolickiej. Inicjatorami byli J. Sługocki i A. Patejczyk. Nie udało im się jednak rozwinąć działalności. Zdaniem większości członków Klubu, grupa ta była upolitycznio-na, przez co spotkania pozbawione zostały charakteru religijnego i światopoglądowego. Pogląd to dyskusyjny wprawdzie, ale aresztowanie J. Sługockiego, H. Stefanickiej, Z. Kuczyńskiego i M. Bąbla w związku z wydawaniem przez nich „Biuletynu Świdnickiego", przesądzało los Duszpasterstwa. Służba Bezpieczeństwa i prokuratura dążyły bowiem do włączenia do sprawy także wątków tzw. pozareligijnej działalności kleru. Dla przykładu, w postępowaniu przygotowawczym sięgnięto aż do demonstracji z 31 sierpnia 1983 r. Starano się wykazać, że znaczącą rolę w kierowaniu jej przebiegiem odegrali księża. Wkrótce potem przeszkodą okazał

się brak odpowiedniego opiekuna dla Duszpasterstwa. Ksiądz Krzysztof Żebrowski zakończył bowiem posługę kapłańską w Świdnicy.

Następną próbę stworzenia Duszpasterstwa podjęto w 1987 roku, po przybyciu do Świdnicy księdza Andrzeja Buryły. Jest prawie pewne, że jego przyjazd nie był przypadkowy. W kurii biskupiej prawdopodobnie wiedziano, że wierni potrzebują kontaktu z księdzem o wyraźnie prosolidarnościowej postawie. Z biskupem A. Dyczkowskim rozmawiała na ten temat między innymi I. Martyniak. Ponadto ks. Andrzej wyrażał swe poglądy bardzo otwarcie, co nie zawsze było mile widziane. Niezależnie od powodów, dla których skierowano ks. A. Buryłę do parafii św. Józefa, jego pojawienie się przyniosło prawie natychmiastowy skutek. Wkrótce zaczęły regularnie odbywać się spotkania Duszpasterstwa oraz comiesięczne msze w intencji ojczyzny. Kazania głoszone przez księdza, mówiące o rzeczywistości społecznej wprost i niejednokrotnie zawierające bardzo dosadne sformułowania, przyciągały coraz większą liczbę słuchaczy. Msze te miały najczęściej ciekawą oprawę artystyczną. Podobnie działalność Duszpasterstwa nabierała rozmachu. Szybko przestało być ono instytucją parafialną, a na wykłady i imprezy organizowane przez nie przychodzili ludzie z całego miasta. Uczestniczono w licznych pielgrzymkach, między innymi tradycyjnej Pielgrzymce Świata Pracy na Jasną Górę w dniu 11 września i na Ślężę w dniu 1 maja. Ponadto do skutku doszły wyjazd do Oświęcimia, Wambierzyc.

Lista osób zaproszonych do wygłaszania prelekcji podczas spotkań w Duszpasterstwie jest długa i zawiera tak znane osoby jak: K. Turkowski, A. Lenkiewicz, J. Maziarski, R. Bugaj, W. Myślecki, J. Lityński, R. Skawiński, J. Horodyski. Gośćmi byli również działacze związkowi: W. Frasyniuk, „Amal", P. Bednarz, J. Przystawa. Obecność tej grupy wynikała jednak głównie z faktu, że na bazie Duszpasterstwa powstała pierwsza po latach struktura „Solidarności".

30 IX 1988 roku zawiązał się Miejski Komitet Organizacyjny NSZZ „Solidarność". Początkowo w jego skład wchodziło pięć osób: A. Sierzputowski — przewodniczący, K. Pająkowski — sekretarz, J. Wilczewski — komisja d/s młodzieży, K. Domaradzki — komisja d/s zbierania informacji, K. Trzop — komisja d/s rozpowszechniania informacji, Z. Kuczyński — komisja d/s interwencji i praworządności.

Założyciele przekonani byli, że w panujących wówczas warunkach, dobry skutek zapewnić może jedynie działanie jawne, obliczone na dotarcie do większości załóg zakładów pracy. Tam, gdzie

pozostały jeszcze struktury tajne, działacze MKO starali się przekonywać o konieczności wyjścia z podziemia. Nie było to wcale łatwe. Kontynuowanie konspiracji, mającej coraz bardziej ograniczony zasięg, nie wróżyło sukcesu w walce o relegalizację Związku. Ale postulat zrezygnowania z metod konspiracyjnych był dla niektórych trudny do zaakceptowania. Oznaczał bowiem groźbę całkowitego zaniku działalności niezależnej. Stałoby się tak, gdyby skala wzbierającego społeczenego niezadowolenia, okazała się mniejsza niż przypuszczali zwolennicy poczynań jawnych. Wtedy nacisk społeczny nie odniósłby skutku, a zupełna dezorganizacja funkcjonującego jeszcze gdzieniegdzie podziemia, stałaby się nieodwracalna. Na tym tle doszło do utrwalenia istniejących w Związku podziałów. W regionie jego skutkiem było ostateczne rozejście się dróg tajnego Regionalnego Komitetu Strajkowego i jawnej Regionalnej Komisji Wykonawczej.

W Świdnicy także doszło do różnicy zdań między działaczami. Jednak wobec ogólnej słabości nie sformowano frakcji, które wystąpiły przeciwko formom działania przyjętym przez MKO. Głównym celem Komitetu w początkach jego działania była pomoc w tworzeniu komitetów organizacyjnych w zakładach pracy. Warunkiem powodzenia było odpowiednie „nagłośnienie" sprawy. Dlatego w informacjach o zawiązaniu MKO rozpowszechnianych między innymi za pośrednictwem Radia Wolna Europa, podane były adresy członków Komitetu.

Zawiadomiono o podjęciu działalności także Prezydenta Miasta. Odpowiedź ze strony władzy była szybka, lecz umiarkowana. Członkowie Komitetu otrzymali wezwanie do prokuratury, ale zignorowali je. Natomiast reakcje w zakładach pracy były obiecujące. We wszystkich dużych fabrykach zapoczątkowany został ferment, efektem którego będzie powstanie komitetów założycielskich. W końcu października skład MKO został poszerzony o przedstawicieli ZWAP-u: J. Hreczyńską i J. Gnutka, ŚFUP-u: K. Kołodzieja i A. Tarłowskiego oraz L. Tobiasza pracującego od czasu wyrzucenia z Fabryki Wagonów w Spółdzielni Rzemieślniczej. L. Tobiaszowi powierzono sprawy kontaktów z Kościołem. Było tu wiele do zrobienia. Jak powiedziano wcześniej, decydującym impulsem do powstania MKO było funkcjonowanie Duszpasterstwa Ludzi Pracy oraz ogromne zaangażowanie w nim. ks. A. Buryły. Początkowo odbywało się to za przyzwoleniem proboszcza ks. S. Pasyka. Między innymi obiecał on przeznaczyć na potrzeby Duszpasterstwa świetlicę remontowaną przy udziale jego uczestników. Z czasem jednak stosunek gospodarza parafii zmienił się. Doszło do kilku nieprzyjemnych incydentów, jak na przykład

przerwanie koncertu pieśni patriotycznych, odbywającego się w kościele. Kontakty pomiędzy ks. A. Buryłą i uczestnikami Duszpasterstwa a ks. proboszczem stawały się coraz bardziej napięte. Nie pozostawało to bez wpływu na atmosferę wewnątrz Duszpasterstwa i działającego ciągle w pomieszczeniach kościelnych MKO. Taki był między innymi powód rezygnacji z udziału w Komitecie K. Domaradzkiego.

Dla zrozumienia przyczyn konfliktu trzeba przypomnieć, że w tym czasie trwała budowa kościoła na Osiedlu Młodych. Funkcjonowanie ośrodka niezależnej działalności, jakim było Duszpasterstwo, na pewno komplikowały sprawy realizacji nowej świątyni.

Najwięcej uwagi członkowie Komitetu poświęcali sprawom organizacyjnym oraz próbom rozszerzenia zasięgu swego oddziaływania. Dlatego jako pierwsze merytoryczne problemy podjęto te, które budziły wówczas najwięcej społecznych emocji.

Wydarzeniem w skali kraju było rozwiązanie Stoczni Gdańskiej. MKO wydał oświadczenie protestujące przeciwko decyzji rządu. W skali lokalnej niezwykle drażliwą sprawę stanowiła obecność w Świdnicy wojsk sowieckich. Wysłano zatem do prezydenta miasta pismo, w którym domagano się zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańcom domów w pobliżu koszar oraz podjęcia radykalnych kroków dla ograniczenia uciążliwości kotłowni przy ul. H. Sawickiej. Zbierano podpisy pod petycją w sprawie usunięcia jednostek wojskowych z terenu miasta.

W rocznicę wprowadzenia stanu wojennego wezwano do udziału we mszy św. i złożenia kwiatów przed dawną siedzibą MKK. Aby nie dopuścić do manifestacji, SB zabrała z zakładów pracy K. Pająkowskiego, J. Wilczewskiego i A. Sierzputowskiego. Do Rynku przybyło bardzo wiele osób. Dlatego bez trudu zatrzymano K. Domaradzkiego, J. Kuryłę i K. Trzopa, którego pobito.

W grudniu powstał pierwszy Zakładowy Komitet Organizacyjny w Jaroszowskich Zakładach Materiałów Ogniotrwałych. W styczniu 1989 roku zarejestrowano następne: w ŚFUP-ie, Spółdzielni Inwalidów „Temal", ZWAP-ie, filii wrocławskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego i ZEM-ie. Zawiązał się także K.O. Emerytów i Rencistów i Niepełnosprawnych. Składy komitetów były bardzo zróżnicowane. Znaleźli się w nich działacze biorący czynny udział w życiu Związku w latach 1980—1981. Bardziej liczna była jednak „młoda" Solidarność i to ona w większości nadawała ton pracy.

Przystąpienie do jawnego komitetu wymagało sporej odwagi cywilnej, chociaż ryzyko nie było dla tych ludzi czymś nowym. „Solidarność" pozostawała nadal nielegalna, ale w świetle ustawy

o związkach zawodowych tworzenie komitetów założycielskich nie wykraczało poza granice prawa. W przeszłości wobec takich osób stosowano szykany policyjne i utrudniano im życie w zakładach pracy. Na szczęście w kraju postępowały przygotowania do rozmów „okrągłego stołu". Dlatego zapewne nie zanotowano przypadków represji.

Liczba zakładów pracy, w których organizował się Związek, wzrosła znacznie po rozpoczęciu obrad przy „okrągłym stole". Do czasu ich zakończenia, na początku kwietnia, zarejestrowanych było w MKO już siedemnaście komisji. Utworzono je w: „Klimatorze" w Świebodzicach, Ciepłowni „Zawiszów", Fabryce Wagonów, Spółdzielni Mieszkaniowej, Przedsiębiorstwie Robót Wodnych i Melioracyjnych, SKR w Lutomii Dolnej, Urzędzie Pocztowo-Telekomunikacyjnym, Dolnośląskich Zakładach Magnezytowych, Przedsiębiorstwie Budownictwa Komunalnego i Zakładzie Zaopatrzenia Rolnictwa.

Sposób tworzenia komitetów wszędzie był podobny. Grupa dobrze znających się i mających do siebie zaufanie pracowników występowała z inicjatywą reaktywowania Związku. Informowali o swej obecności dyrekcję i rozpoczynali zbieranie deklaracji wstąpienia do „Solidarności". Odbywało się to poprzez podpisanie listy lub wypełnienie przygotowanego druku. Prawie wszędzie wpłacano pierwsze składki związkowe i tworzono tymczasowe regulaminy finansowe.

Przy okazji ustalono zestaw najważniejszych zdaniem załogi postulatów dotyczących zakładu pracy. Występowano o przydzielenie pomieszczenia na lokal związkowy. Dyrekcje stawiane były przed faktami dokonanymi i po prostu przyjmowały je do wiadomości. Rzadko zdarzały się większe zadrażnienia. Dotyczyły one na przykład udostępniania na potrzeby Związku gablot informacyjnych, radiowęzłów oraz dostępu do dokumentów i informacji. Występowały jednak przypadki gdy powstanie „Solidarności" było utrudniane przez kierowników zakładów. Konieczna okazywała się w takich sytuacjach znajomość prawa, umiejętność sformułowania pisma czy odpowiedniego przygotowania działaczy do rozmów z dyrekcją. Tego rodzaju sprawy najczęściej trafiały do MKO. Wraz z rozwojem Związku coraz bardziej odczuwalny był brak własnego lokalu. W połowie lutego 1989 r. zwrócono się w tej sprawie do Prezydenta Miasta. Domagano się zwrotu pomieszczeń, w których w roku 1981 mieściła się MKK. Po serii uników i dwuznacznych gestów, władze miejskie zgodziły się przydzielić „Solidarności" stałą siedzibę. Jednak zajmowane poprzednio pomieszczenia użytkowane były przez ZUS i odzyskanie ich spowodowa-

łoby komplikacje w pracy Zakładu. Dlatego zgodzono się przyjąć lokal po komitecie osiedlowym w Rynku 10. Organizacją biura zajęli się członkowie MKO oraz będący najbliższym współpracownikiem T. Sachs. Wystąpiono o zwrot majątku „Solidarności". Tytułem rekompensaty otrzymano dalekopis oraz część potrzebnych mebli.

Działacze zdawali sobie sprawę, że ponowna legalizacja „Solidarności nastąpiła nie w wyniku powszechnego społecznego nacisku, chociaż i to jest część prawdy, ale na mocy uzgodnień pomiędzy władzami i niezależnymi elitami. Porozumienie tego rodzaju stwarzało pozór, że w gruncie rzeczy niewiele zależy od oddolnej inicjatywy. Stanowiło więc istotne zagrożenie dla rodzącej się aktywności. Aby zapobiec temu niebezpieczeństwu, MKO główny nacisk kładł na rozwiązanie problemów ściśle związkowych. Na pierwszym miejscu stawiano sprawy płacowe.

Sytuacja „Solidarności" była bardzo niewygodna. OPZZ czując zagrożenie swej pozycji, prowokował załogi do strajków i stawiał żądania płacowe. „Solidarność" nie mogła i nie chciała ich przelicytowywać. Skupiała się na sposobie rozdziału podwyżek płac. W tej sprawie w lutym MKO w porozumieniu z przedstawicielami największych fabryk przyjęła zasadę przyznawania równych kwot podwyżek dla wszystkich pracowników w danym zakładzie pracy. Ich wysokość miała zależeć od możliwości finansowych przedsiębiorstw. Po podpisaniu porozumienia przy „okrągłym stole" wiele uwagi poświęcono wyjaśnieniom sposobu indeksacji płac i czuwaniu, aby reguły te były właściwie stosowane.

Podobnie jak w latach 1980—81 presja wydarzeń politycznych była tak wielka, że niemożliwa była ucieczka od tych zagadnień. Dlatego związkowcy zasiadali przy stołach rokowań, a tworzące się struktury angażowały swój autorytet dla uwiarygodnienia zawartych porozumień. Największe polityczne wyzwanie tego okresu — wybory parlamentarne — miały jednak dopiero nadejść.

Musimy wygrać!

7 kwietnia Krajowa Komisja Wykonawcza podjęła uchwałę, w której znalazło się sformułowanie: „uważamy za sprawę pierwszorzędnej wagi, aby w najbliższych wyborach maksymalnie wykorzystać powstałe możliwości, mimo że nie będą to jeszcze wybory w pełni demokratyczne". Trudno określić czy tekst uchwały dotarł do ogniw odbudowującego się Związku i jaki był jego wpływ na postawy członków. Nie ulega jednak wątpliwości, że powyższe zdanie oddaje znakomicie prawie powszechny sposób rozumowania.

Odradzanie się „Solidarności" było równoznaczne z powrotem nadziei na stworzenie autentycznej reprezentacji pracowników, dbającej o ich sprawy najbardziej podstawowe. Jednak ponad tymi oczekiwaniami wyraźnie górę wzięło przekonanie, że warunkiem koniecznym jakichkolwiek zmian na lepsze jest wprowadzenie do parlamentu niezależnej frakcji. Bez wątpienia hasło „musimy wygrać" rozpowszechnione na niezliczonej ilości plakatów, fiszek i znaczków, stało się rodzajem solidarnościowego zawołania. Stanowiło także kwintesencję działań aktywistów i struktur związkowych. Już wtedy rozgorzały spory, czy ogromne zaangażowanie w kampanię wyborczą nie odbędzie się kosztem zaniedbania funkcji ściśle związkowych. Pytania tego rodzaju były szczególnie uzasadnione tam, gdzie, jak w Świdnicy, grono działaczy „Solidarności" nie było zbyt liczne. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że włączenie się Związku w wybory powodowało wciąganie do działalności coraz większej liczby członków „Solidarności". Wytyczony bowiem był wyraźny, konkretny cel, który w poczuciu większości był możliwy do osiągnięcia w stosunkowo niedługim czasie. W wyniku tego, w miarę jak nabierały tempa przygotowania do wyborów, wzrastała także ilość rejestrowanych komisji zakładowych. Tworzyli je zaś w dużej części ludzie zaangażowani również w kampanię wyborczą.

Wyniki wyborów, podobne w całym kraju świadczą o tym, że być może nawet gdyby świdnicka „Solidarność" zignorowała przygotowania wyborcze, rezultat byłby taki sam. Ale przecież wiosną 1989 roku nie wydawało się to wcale oczywiste. Dlatego praca jaką wykonano była rzeczywiście ogromna.

Wszystko rozpoczęło się w marcu 1989 roku. Wtedy właśnie w Wałbrzychu zawiązał się jeden z pierwszych w kraju lokalny komitet obywatelski. Inicjatorem powstania i szefem był M. Tarnowski — niewątpliwie najbardziej znany działacz „Solidarności" w województwie, pełniący funkcję przewodniczącego RKW Wałbrzych. Od początku w pracach Komitetu brali udział przedstawiciele Świdnicy: A. Sierzputowski, K. Pająkowski, K. Trzop, J. Wilczewski a potem także I. Pałac i M. Ossowski.

Komitet w chwili zawiązania stawiał sobie wiele różnych celów, jednak szybko przekształcił się w strukturę zajmującą się głównie wyborami. Za tę stronę działalności odpowiedzialny był świdniczanin, M. Sośnicki.

Komitet wyłonił solidarnościowych kandydatów na posłów i senatorów. Odbyło się to w następujący sposób. Osoby ubiegające się o nominację, wśród nich M. Ossowski, prezentowały się przed wszystkimi członkami Komitetu. O składzie „drużyny Lecha" de-

cydowała specjalnie powołana komisja wyborcza. Delegowani do niej byli przedstawiciele wszystkich środowisk i ugrupowań. Zadecydowali oni, że o fotel senatora ubiegać się będzie M. Tarnowski, a kandydatem do sejmu będzie M. Kowal. Po jednym miejscu do obu izb parlamentu zarezerwowano dla przedstawicieli Komitetu Obywatelskiego przy L. Wałęsie. Wymieniano kilka prawdopodobnych nazwisk osób, którym złożone będą propozycje. Ostatecznie do kandydatów wyłonionych w Wałbrzychu dołączyli: prof. Bojarski — senat i J. Lityński — sejm.

Województwo wałbrzyskie tworzyło okręg wyborczy w wyborach do senatu oraz dzieliło się na dwa okręgi. nr 100 wałbrzyski i nr 101 świdnicki w wyborach do sejmu. Dla usprawnienia pracy i uzyskania względnej łatwości w koordynowaniu przygotowań, stworzona została struktura hierarchiczna. We wszystkich większych ośrodkach działacze powoływali lokalne Komitety Obywatelskie „Solidarność". Natomiast KO w Świdnicy pełnił rolę jakby zwierzchnika grup terenowych i pośrednika w ich kontaktach z Wałbrzychem i Warszawą.

Ordynacja wyborcza określała nieprzekraczalne terminy zakończenia kolejnych czynności wyborczych. W ten sposób narzuciła niejako rytm pracy. Najbardziej pilną sprawą było znalezienie wystarczającej liczby osób do reprezentowania „Solidarności" w komisjach wyborczych. Powszechnie doceniano wagę tej sprawy. Uważano, że udział licznej i dobrze przygotowanej grupy ludzi „Solidarności" jest absolutnie koniecznym warunkiem dla uczciwego przeprowadzenia wyborów. Uzasadnieniem tego stanowiska było.

— Po pierwsze, znane z przeszłości fakty lekceważenia podstawowych zasad rzetelności w czasie prac komisji, głównie podczas obliczania wyników oraz przypadki dokonywania fałszerstw wyborczych.
— Po drugie, przebieg kampanii dawał podstawy do obaw, że władza może próbować postępować niezbyt fair. Przejawy wojny plakatowej lub ostre stwierdzenia padające w czasie spotkań wyborczych, można było uznać za mieszczące się w normie. Tym bardziej, że dotyczyły one wszystkich ugrupowań, także „Solidarności".

Ale niektóre zdarzenia wyraźnie odbiegały od uznanych reguł gry. Dla przykładu kilka z nich.

Na terenie województwa rozprowadzono dużą ilość ulotek szkalujących kandydatów „Solidarności", przy czym wiele egzemplarzy to tzw. fałszywki — posiadały nagłówek „Biuletyn informacyjny

K.O. „Solidarność". Świadkowie twierdzili, że udział w ich rozlepianiu brali funkcjonariusze M.O.

Dyrekcja Oddziału RSW w Świdnicy zobowiązała odpowiednim pismem wszystkich kioskarzy i gospodarzy klubów do rozprowadzenia materiałów propagandowych PZPR, jako dodatków do Trybuny Ludu, Gazety Robotniczej i Słowa Polskiego. Rozporządzenie zawierało zapowiedź kontroli jego wykonania. Podejrzewano, że wśród osób zaangażowanych w akcję wyborczą są konfidenci SB. W jednym przypadku (dotyczył ważnego członka K.O. w Wałbrzychu), podejrzenia te całkowicie potwierdziły się. Dochodziło także do zadrażnień w kontaktach z urzędnikami obsługującymi wybory. Stąd wynikały posądzenia o stronniczość. I chociaż w większości przypadków znajdowano zadowalające wszystkich rozwiązanie, pozostawało wrażenie, że przedstawiciele władzy traktują Solidarność jak organizację, wobec której nie wiadomo właściwie dlaczego uchylono zakaz publicznej działalności.

Atmosferę nieufności co do intencji władzy podsycały jeszcze wydarzenia w kraju. Brutalne rozpraszanie manifestacji 1-majowych (Wrocław), czy też pokrętne interpretacje prawa wyborczego dokonywane przez Państwową Komisję Wyborczą (kreślenie „na krzyż" kart wyborczych) utwierdziły te obawy.

Zgodnie z ustaleniami, Solidarność mogła zgłosić do jednej trzeciej składu Komisji oraz miała prawo do obsadzenia funkcji wiceprzewodniczącego. Ponadto każdy z kandydatów mógł być reprezentowany przez mężów zaufania. Bez większych trudności ustalono delegację do Komisji Okręgowej. Weszli do niej. M. Morawski, M. Ślasko, M. Wójcik oraz I. Pałac jako wiceprzewodniczący.

O wiele trudniej było ten problem rozwiązać na szczeblu komisji obwodowych. W Świdnicy i gminie było ich około 40, w całym okręgu 240. Zachodziła konieczność przyjścia z pomocą wioskom odległym od największych miast. „Solidarność" była tam słaba i oparcie się tam wyłącznie na własnych siłach było niemożliwe. Trudno ustalić dzisiaj dokładną liczbę osób, które pracowały w komisjach jako członkowie i mężowie zaufania. Z całą pewnością liczba ich sięgała 150. W większości byli to członkowie organizującego się Związku. Oczywiście najwięcej osób zgłoszono z dużych zakładów pracy: ŚFUP, Fabryki Wagonów, ZEM-u i ZWAP-u. Z mniejszych firm licznie reprezentowane było PBK. Zaangażowało się także wielu nauczycieli. W MKO, na podstawie danych osobowych, dokonano rozdziału kandydatów na poszczególne obwody. Starano się, aby w komisjach znaleźli się ludzie mieszkający w okolicach lokali, znający się wcześniej. Pod względem wy-

kształcenia musiały to być grupy raczej wyrównane. W przypadku osób wyjeżdżających poza Świdnicę, konieczne było uwzględnienie trudności komunikacyjnych. Dlatego odpowiednie przydziały mieli ludzie posiadający samochody.

Ponieważ ludzie „Solidarności" stanowili mniejszość w komisjach, a w większości nie mieli żadnych podobnych doświadczeń, konieczne było jak najlepsze przygotowanie ich do pełnienia swych funkcji. Podstawowe informacje na temat prawa wyborczego przekazano im podczas szkoleń organizowanych przez Urząd Miasta. Zadbano jednak, aby ich wiedza była większa niż przeciętna. W tym celu przeprowadzono dodatkowe szkolenia, w których najwięcej uwagi poświęcono praktycznym radom i wskazówkom. Instruktoże takie przeprowadzano także poza Świdnicą: w Strzegomiu, Żarowie i Świebodzicach. Prowadził je I. Pałac, który wcześniej uczestniczył w podobnych spotkaniach organizowanych w Warszawie.

Opracowano także kilka wersji pisemnych instrukcji, w które wyposażono naszych ludzi. Efekt tych starań był znakomity. Przedstawiciele „Solidarności" wykazali dobry poziom przygotowania, a w wielu przypadkach nadawali ton pracom komisji. Nie stwierdzono prób manipulacji wyborczych. Inna rzecz, że wyniki były na tyle jednoznaczne, że dokonanie tego było praktycznie niemożliwe.

Jak już powiedziano, świdnicka „Solidarność" przystępując do wyborów była dopiero w początkowej fazie organizacji i nie posiadała prawie żadnej bazy materialnej. W tym momencie, jak już nieraz wcześniej bywało, znacznego poparcia udzielił Kościół. Prawdą jest, że stosunek proboszczów poszczególnych parafii był zróżnicowany — od dużej rezerwy po pełną życzliwość. Nie zmienia to faktu, że uzyskana pomoc była wręcz nieoceniona. Początkowo Związek „urzędował" w pomieszczeniach Duszpasterstwa Ludzi Pracy. Z oczywistych względów było to nie do przyjęcia na dłuższy czas. Lecz pomimo zadrażnień jakie występowały, tolerowano naszą obecność do czasu uzyskania lokalu w Rynku. Pierwsze sprzęty i maszynę do pisania pożyczono w Klubie Inteligencji Katolickiej. Ksiądz dziekan L. Sosnowski zaprosił przedstawicieli Związku na zebranie księży z całego dekanatu. Rezultatem spotkania była między innymi współpraca dotycząca spełnienia drugiego co do wagi i trudności wymogu nałożonego przez ordynację wyborczą. Kandydaci „Solidarności", aby zostać zarejestrowanymi, musieli uzyskać, w formie podpisów, poparcie co najmniej 3 tysięcy obywateli. Nie jest to mało, zwłaszcza, że czasu było niewiele. Ponadto przyjęta strategio zakładała zdobycie wie-

lokrotnie większej liczby podpisów. Celem tego było maksymalne rozpropagowanie postaci kandydatów oraz włącznie do udziału w wyborach dużej liczby osób. Rozumiano, że choćby tak drobny gest jak podpisanie listy popierającej kandydata, sprawia, że wybory zaczynają być także „moją" sprawą.

Informacje od księży spoza Świdnicy, dotyczące godzin odprawiania nabożeństw, pozwoliły ułożyć dokładny harmonogram, według którego kilkuosobowe ekipy przyjeżdżały do kolejnych wsi. Przy miejscowej pomocy organizowano punkty informacyjne. Przed lub po mszach rozdawano „bibułę", zbierano podpisy i pieniądze, których nigdy nie było w nadmiarze. Ponieważ przed stolikami tworzyły się kolejki, była wreszcie okazja policzyć się. Podobne akcje przeprowadzono także pod kościołami świdnickimi. W przypadku parafii św. Józefa odbyło się to bez aprobaty proboszcza.

Zbierano podpisy także w zakładach pracy, w siedzibie Związku oraz w specjalnie organizowanych punktach w mieście. W rezultacie uzyskano ich kilkanaście tysięcy. Tylko część z nich załączono do oficjalnego zgłoszenia kandydatów w Okręgowej i Wojewódzkiej Komisji Wyborczej. Reszta stanowiła rezerwę „na wszelki wypadek" — jeszcze jeden przykład panującej atmosfery nieufności.

Niewątpliwą zasługę Kościoła stanowiła także popularyzacja postaci naszych kandydatów. Zrozumiała była obawa przed bezpośrednim zaangażowaniem w kampanię wyborczą. A jednak w niektórych parafiach odbyły się spotkania wyborcze. w Świdnicy miały charakter wykładów w ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej.

W czasie kampanii prowadzono na dużą skalę akcję propagandową. Zorganizowano wiele grup, które według ustalonej kolejności plakatwoały poszczególne rejony miasta oraz wyjeżdżały do okolicznych wsi. Plakatów było pod dostatkiem, w związku z tym zrywane z murów i parkanów szybko zastępywano nowymi. Kolportowano ogromną ilość ulotek i gazet. Rozprowadzano tzw. cegiełki na fundusz wyborczy, będące podstawowym źródłem finansowania. Przez głośniki na ulicach nadawano specjalnie zredagowane audycje.

Właściwa kampania wyborcza rozpoczęła się w Świdnicy od wiecu zorganizowanego 1 maja w Rynku. Poprzedziły go blisko dwutygodniowe przygotowania. Ambicją sztabu wyborczego było zrobienie „hitu". Do udziału zaproszono bardzo wielu ludzi. Pierwszy raz od wprowadzenia stanu wojennego wystąpił publicznie poeta M. Jachimowicz. Bawił publiczność ludowy satyryk M. Wój-

cik. Znakomitą muzykę, szczególnie dla młodzieży, zaprezentował M. Jurecki. Młodzieżowa grupa przy akompaniamencie gitary, śpiewała pieśni patriotyczne. Postarano się o odpowiednich prowadzących, dobre nagłośnienie i efektowną dekorację — nad sceną górował siedmiometrowej wysokości biały orzeł. Całością oprawy artystycznej kierował i scenariusz wiecu ułożył A. Matuszkiewicz. Ilość przybyłych na wiec przeszła najśmielsze oczekiwania. Liczbę uczestników szacowano na dziesięć tysięcy osób. Chociaż dla kandydatów było to pierwsze publiczne wystąpienie, zaprezentowali się dobrze. Szczególnie podobał się W. Bojarski. W zgodnej ocenie wiec był wielkim sukcesem. W mieście odbyło się jeszcze kilka spotkań wyborczych, w tym także w największych zakładach pracy. Doszło również do przedwyborczych konfrontacji między W. Bojarskim i jego kontrkandydatem Z. Zastawnym. Początkowo impreza była pomyślana jako publiczna polemika „drużyny Lecha" z kandydatami obozu władzy. Jednak „nasi" nie byli przekonani co do jej celowości, a druga strona stanowczo odrzuciła propozycję. W rezultacie w spotkaniu zgodził się wziąć udział, określający się jako niezależny kandydat młodych, Z. Zastawny. W opinii publiczności pojedynek był bardzo wyrównany.

Udało się także zorganizować, niezależną od ofiacjalnej, kontrolę przebiegu i wyników wyborów. O jej sprawności świadczy fakt, że prawie dokładne wyniki znane były „Solidarności" na długo przed obliczeniem ich przez Okręgową i Wojewódzką Komisję Wyborczą. Wyniki głosowania są znane. Kandydaci „Solidarności" uzyskali od 2/3 do 3/4 głosów. Poza nimi nikt więcej nie uzyskał akceptacji wyborców — wszystkie miejsca mandatowe obsadzono dopiero w drugiej turze.

Nie sposób wymienić wszystkich osób, które wniosły swój wkład w wyborczy sukces. Część z nich stanowili aktywiści „Solidarności", w tym przede wszystkim tworzący MKO. Inni w wyniku wyborów zostali działaczami. Podkreślić także trzeba udział wielu osób spoza Związku oraz osób starszych wiekiem, których rola była jednak ogromna. Wymienię tylko niektórych: A. Miedziński, S. Janczak, A. Krzysztofik, W. Pawłowski, P. Sachs, P. Sierzputowski i inni.

Zakończenie

Rezultaty czerwcowych wyborów zasadniczo zmieniły sytuację „Solidarności". Minęło zaledwie kilka miesięcy od czasu ponownej rejestracji sądowej. Nieoczekiwanie dla samego siebie Związek

mocą powszechnego poparcia wyrósł na najbardziej wpływowy ruch polityczny. Wiązano z nim ogromne nadzieje. Oczekiwano, że zostaną przeprowadzone zmiany systemowe. W odczuciu społeczeństwa zniknęły także przeszkody dla szybkiej poprawy jakości codziennego życia. „Solidarność" stanęła przed ogromnym wyzwaniem. Nie mogła zawieść pokładanego w niej zaufania, a przecież była kompletnie nieprzygotowana do pełnienia roli, jaka przypadła jej w udziale.

Powyższe uwagi dotyczyły, chociaż w różnej skali, zarówno kierowniczych gremiów Związku, jak i jego terenowych i zakładowych ogniw. Świdniccy działacze, którzy jeszcze niedawno dla załatwienia czegokolwiek musieli kołatać do wielu drzwi, stali się nagle uczestnikami gry o polityczne wpływy i obsadę ważnych stanowisk. W zakładach pracy, z wyjątkiem tych, w których doszło już do konfliktów, dyrekcje zaczęły Związkowi okazywać życzliwość. Uznawały zasadność zgłaszanych przez niego uwag i postulatów. W większości przypadków, była to jedynie pozorna zgodność, właściwie tylko werbalna.

Przed ludźmi „Solidarności" stanęła pokusa bycia kimś ważnym. Niejeden dał się ponieść tej fali. Stworzone zostało wrażenie, że wpływ „Solidarności" na bieg wydarzeń jest przeogromny. Tymczasem rzeczywistość w ocenie społecznej zmieniała się bardzo powoli. Dlatego okres bezpośrednio po wyborach, to próby wzmocnienia pozycji „Solidarności" i przełamania barier, które powodowały, że potencjalnie silny Związek, okazywał się bezradny w zderzeniu ze strukturami komunistycznego państwa. Takie było uzasadnienie podjętych przez MKO akcji protestacyjnych.

W dniu 21 lipca zorganizowana została wspólna z Ruchem Młodzieży Niezależnej manifestacja uliczna. Wzięło w niej udział kilkaset osób. Po odczytaniu oświadczenia uformował się pochód, który przeszedł wokół Rynku. Zatrzymał się przy wejściu do teatru, w którym akurat rozpoczynała się akademia z okazji rocznicy ogłoszenia Manifestu PKWN.

W dniu 18 sierpnia świdnickie zakłady wzięły udział w godzinnym strajku regionalnym, będącym reakcją na nieudolność rządu. MKO uzgodniła jednak, że nie powinno się przerywać pracy, a jedynie wywiesić flagi i o godzinie 12.00 włączyć syreny.

W niespełna miesiąc później premierem został T. Mazowiecki. Był to moment, w którym ostatecznie zdecydował się rozdział „Solidarności" na dwa nurty: związkowy i polityczny. W Świdnicy obyło się bez dramatycznych wydarzeń, jakie spowodowała uchwała KKW o odebraniu znaku „Solidarności" komitetom obywatelskim.

Znacznie wcześniej dojrzało przekonanie o konieczności podziału pracy i zakresów odpowiedzialności. Związek zawodowy pragnął zajmować się głównie sprawami dotyczącymi zakładów pracy. Zadaniem ruchu obywatelskiego miało być natomiast przeobrażenie systemowe na szczeblu lokalnym. Warunkiem powodzenia było uzyskanie społecznej akceptacji i wiarygodności.

Wspólny udział w przeprowadzeniu wyborów parlamentarnych zapewniał spełnienie powyższych warunków.

W październiku zawiązał się Klub Obywatelski Ziemi Świdnickiej. Jego szefem został M. Niemiec, a współpracowali z nim R i S. Polaczenko, Z. Kuczyński, M. Lenczewski, K. Trzop, A. Ćwirko, S. Szelest oraz reprezentujący MKO K. Pająkowski. Klub nawiązał kontakt z podobnymi tworzonymi w całym województwie. Organy władzy państwowej i terytorialnej konsultowały z nim decyzje najważniejsze dla regionu. Jego głos liczył się przy rozstrzyganiu spraw personalnych. Zapewne najważniejszym rozdziałem w ich działalności był udział w wyborach samorządowych. Członkowie Klubu weszli w skład utworzonego na ten czas Komitetu Obywatelskiego „Solidarność". Zawiązali koalicję z Polskim Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym i wystawili wspólną listę kandydatów do rady miejskiej. Tak jak w czerwcu 1989 r. prowadzono kampanię wyborczą, organizowano spotkania z kandydatami, rozlepiano plakaty, kolportowano ulotki itp. Poparcia kandydatom Komitetu ponownie udzielił Kościół.

Głównym wydarzeniem kampanii był „koncert stulecia" w sali Świdnickiego Ośrodka Kultury. Rzeczywiście nie pamiętano w mieście, aby podczas jednego wieczoru wystąpiło tyle gwiazd estrady: M. Opania, D. Rin, kabaret „Elita", zespoły „Lombard", „Lady Pank", „Reds", Wyniki wyborów były zbliżone do tych z 1989 r. Kandydaci K.O. „Solidarność" uzyskali 26 miejsc w 32 osobowej radzie. Jej skład przesądził o powierzeniu obowiązków prezydenta miasta J. Drobnemu, zaproponowanemu na to stanowisko przez „Solidarność".

Nurt związkowy „Solidarność" nie uniknął włączenia się w rozwiązywanie problemów, będących domeną Klubu Obywatelskiego. Było to szczególnie wyraźne podczas wyborów samorządowych. Jednak starano się działanie MKO i komisji zakładowych ograniczyć do spraw ściśle prawniczych.

Przeprowadzono szkolenia związkowe z zakresu prawa, ekonomii i zasad funkcjonowania przedsiębiorstw oraz innych istotnych dziedzin. Wiele uwagi poświęcono zwłaszcza problematyce przekształceń własnościowych. Podczas cotygodniowych spotkań przed-

stawicieli zakładów pracy informowano się wzajemnie o sprawach dziejących się wewnątrz przedsiębiorstw. Próbowano wspólnie znaleźć wyjście z trudnych sytuacji. W spotkaniach tych uczestniczyli działacze Zarządu Regionu, posłowie i senatorowie OKP, Prezydent Miasta i goście z zagranicy. Zorganizowano przepływ informacji i prasy związkowej. Przy pomocy MKO podejmowano interwencje w zakładach pracy, Urzędzie Wojewódzkim, Urzędzie Miasta, Prokuraturze i Dowództwie Armii Radzieckiej w Świdnicy. W siedzibie MKO porad udzielał radca prawny T. Zawadzki. Włączono się do akcji pomocy dzieciom specjalnej troski, organizując paczki świąteczne. Latem 1990 roku przy pomocy Zarządu Regionu umożliwiono wyjazd na kolonie prawie 50 dzieciom pochodzącym z rodzin o trudnej sytuacji materialnej. Między innymi dzięki poparciu „Solidarności" uzyskano postęp w pertraktacjach na temat ograniczenia uciążliwości pobytu wojsk sowieckich. Przedstawiciel Związku uczestniczył w rozdziale przejętych przez miasto mieszkań. W blisko 60 zarejestrowanych w MKO komisjach zakładowych, przeprowadzono wybory statuowych władz.

W dniu 12 XII 1988 r. odbyło się II Walne Zebranie Delegatów Ziemi Świdnickiej. Powołano na nim do życia Międzyzakładową Komisję Koordynacyjną, która przejęła obowiązki funkcjonującego dotychczas tymczasowego MKO. Wybrano prezydium MKK i Komisję rewizyjną. Szefem MKK wybrano A. Sierzputowskiego. Na podobnych zebraniach w Wałbrzychu i Wrocławiu wybrano delegatów na II Zjazd Krajowy. Zostali nimi: Z. Lipnicki, J. Murzyn, K. Pająkowski, I. Pałac i A. Sierzputowski.

Po okresie zgody i prawie bezkonfliktowej współpracy nastąpiły jednak w Związku wewnętrzne tarcia i różnice zdań. Szczególnej ostrości nabrały z chwilą rozpoczęcia kampanii prezydenckiej. Narastała społeczna frustracja powodowana przede wszystkim złą sytuacją ekonomiczną kraju. Do głosu doszli działacze deklarujący większy radykalizm poczynań „Solidarności". Rozpoczęły się wzajemne oskarżenia. Stawiano rozmaite zarzuty, niejednokrotnie zupełnie bezpodstawne. Wezwania do powściągliwości, opanowania i ważenia słów nie znajdowały posłuchu. Argumenty o konieczności, pod groźbą rozbicia, zachowania neutralności Związku w kampanii prezydenckiej nie były dość przekonywujące. W rezultacie A. Sierzputowski złożył rezygnację z pełnienia swej funkcji i 7 XII 90 r. odbyło się III Walne Zebranie Delegatów. Wybrano na nim nowego szefa MKK. Został nim dotychczasowy wiceprzewodniczący MKK K. Pająkowski. Powołano nowy skład prezydium i komisji rewizyjnej.

Postcriptum

Rozdział naszej historii, w którym ogromną rolę odgrywa „Solidarność", nie został jeszcze zakończony. Pomimo ograniczeń i słabości jej wpływ na bieg wydarzeń wciąż jest duży. Przy czym nie jest to jedynie wpływ bezpośredni poprzez funkcjonujące struktury Związku. Dużą rolę w życiu społecznym odgrywają ludzie nie będący już związkowcami, ale związani z „Solidarnością" w różnych okresach jej działania. „Solidarność" ukształtowała ich, stanowiła często najważniejsze doświadczenia życiowe. W dziesiątą rocznicę sierpnia 1980 zorganizowano w Muzeum Dawnego Kupiectwa okolicznościową wystwę. Zaproszono dawnych i obecnych działaczy. Na spotkaniu wspominano minione czasy, zastanawiano się nad przyszłością. Na pytanie, czy warto było, słyszało się zdecydowane — tak. Pytania: Czy podobnie będziemy oceniani za kolejne 10 lat, nikt nie zadał. Ale odpowiedź nadejdzie.

Świdnica, maj 1991.



Irena Kozłowska

WSPOMNIENIA ŚWIDNICZANKI Z ROKU 1944

Proroctwo

Położyła palec na otwartej stronie, otworzyła oczy i przeczytała: „A gdy się przybliżył, ujrzawszy miasto, zapłakał nad nim mówiąc — O gdybyś i ty poznało, i to w ten dzień twój, co to jest ku pokojowi twemu a teraz zakryte jest przed oczyma twymi! Albowiem przyjdą na cię dni, i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblegną cię, i ścisną cię zewsząd, i na ziemię cię powalą i synów twoich, którzy w tobie są a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu".

Irenie zrobiło się gorąco, opanował ją nagły, nieznany lęk, poczuła, że coś się w niej rozpada, nie może zebrać myśli. Trwało to dłuższą chwilę, wreszcie powiedziała głośno, trochę jednak nieswoim głosem:

— To przecież niemożliwe, przesąd. Usłyszawszy swój głos w pustym mieszkaniu, ochłonęła, zaczęła myśleć, szukać przyczyny dziwnego zbiegu okoliczności. Niewątpliwie była zdenerwowana, przewrażliwiona, czepiała się każdej nitki nadziei. W tej chwili nawet wróżba, najbardziej idiotyczna pociecha mogłaby ją uspokoić.

Dziś był szósty dzień powstania w Warszawie. Szósty dzień samotnego strachu o swoich, którzy w tej chwili byli zamknięci w mieście, sami ze swoim bohaterstwem i nienawiścią do wroga, romantyczni szaleńcy osaczeni przez wyrachowaną podłość.

Nastrój podniecenia i oczekiwania obserwowało się w Warszawie przez cały lipiec. Front zbliżał się szybko. Niemcy wywozili swoje rodziny, w połowie miesiąca zaczęto ewakuować biura i urzędy niemieckie. Ludzie z nieukrywaną radością patrzyli na ciągnące na zachód kolumny samochodów, pokrzykiwali dość odważnie na ulicach:

— Wieją Szwaby, ale mają pietra.

Sytuacja pod koniec miesiąca uległa pewnej zmianie, bo znowu jakieś oddziały zaczęły nadciągać do miasta. 29 lipca wypłacono pobory wszystkim kolejarzom i zwolniono ich na urlop. Wtedy to

ojciec przyjechał do Mietków na Okęcie na parę dni. Nie wiedział, że zostanie dużo dłużej i do swojego domu już nie wróci.

W tych ostatnich dniach mówiło się głośno o powstaniu. Młodzież była zgrupowana w wielu domach, widziało się przemykających pod murami chłopców z dziwnymi pakunkami, a niejednemu lufa wyglądała spod marynarki, kiedy usiłował ukryć stena. Aż dziw, że ich Niemcy nie zgarnęli wtedy, bezbronnych przecież, bo niejednokrotnie uzbrojenie grupy przyszłych bohaterów składającej się z 20 ludzi stanowił jeden Vis.

27 lipca na murach Warszawy ukazało się zarządzenie gubernatora Fischera nakazujące, aby 100 tysięcy mężczyzn stawiło się do kopania okopów. Znaczyło to, że Niemcy będą się bronić w mieście.

29 można było przeczytać porozklejaną tu i ówdzie odezwę o treści dość zaskakującej. Głosiła ona mianowicie, że płk Skokowski, dowódca Polskiej Armii Ludowej wobec ucieczki dowództwa AK obejmuje kierownictwo sił zbrojnych i wzywa do walki z Niemcami.

Irena wróciła z Warszawy wzburzona, wyglądało na to, że jest to prowokacja. Na razie nie były znane tylko jej przyczyny.

31 lipca „Biuletyn Informacyjny" doniósł o umocnieniu frontu tzw. przedmościa Warszawy przez Niemców, co wskazywałoby na to, że zanosi się na dłuższy opór. Rosjanie więc nie będą forsowali Wisły w najbliższych dniach. Odezwa sprzed dwóch dni była na pewno prowokacją.

Irena zaatakowała Mietka.

— Wobec tego Alowcy nie wezmą udziału w walce, a przecież też nienawidzą Niemców, chcą ich bić i zawsze bili, a teraz nie będą, nie ma żadnych szans. Z czym chcecie zaczynać? — krzyczała już — pewna, że nic nie pomoże, że sprawa przesądzona, że i tak pójdą.

Mietek milczał ponuro, aż wreszcie jak to on.

— Nie moja sprawa, nie ja decyduję. Każą, to pójdę. Będzie rozkaz, wykonam. Jestem żołnierzem.

Wieczorem pojechała do Warszawy ostatni raz. Długo nie mogła zasnąć, czując swoją bezradność wobec nieuniknionego, katastrofy, która wisiała nad jej rodziną, jej miastem, katastrofy, której była pewna, nic nie powstrzyma. Jeszcze wtedy wierzyła, że będzie razem z nimi wszystkimi. W czasie powstania miała mieszkać w Warszawie. W mieście zawsze bezpieczniej, u mamy pod opieką, zwłaszcza w ósmym miesiącu ciąży było rzeczą ryzykowną siedzieć samej prawie na wsi. Cenniejsze rzeczy przywiozła już do mamy: ubrania, bieliznę, wyprawkę Andrzeja, który miał się urodzić. (Byli przecież pewni, że urodzi się syn). Gienia, jej młodsza sio-

stra, już od kilku dni nie nocowała w domu, była na punkcie zbornym na Sadybie razem z narzeczonym, Maćkiem.

W domu mama była sama. Padał deszcz. Irena poczekała trochę aż się przejaśni i wybrała się o 12-tej na Okęcie.

— Zamknij dobrze drzwi, klucz oddaj sąsiadom i wracajcie z ojcem zaraz. To się chyba niedługo zacznie, czekam z obiadem — żegnała ją matka.

Nigdy już tego obiadu nie jedli.

Konduktor w tramwaju pokrzykiwał wesoło:

— To już ostatni kurs — jadziem, proszę państwa — potem do remizy.

Przybiegła do domu zdyszana, w progu minęła się z Mietkiem.

— Idę, cholera, krzyknął. Pocałował ją w przelocie. — Czekałem tylko, żeby się z tobą pożegnać. Myślę, że jutro wrócę. Mamy zbiórkę na Jezuickiej.

Nie zdążyła mu nic powiedzieć. Stała z głupio otwartymi ustami i machała mu ręką, kiedy się obejrzał.

O tym dniu tak napisał Mietek w swoim pamiętniku:

— Dostałem rozkaz zawiadomienia trzech kolegów, by stawili się na 2-gą godzinę na Starym Mieście (zwanym później Starówką) przy katedrze św. Jana. Tam mieli czekać na nas inni. Przyznam się, że zły byłem na to wszystko, gdyż nie przypuszczałem, że chodzi już o Powstanie. Pożegnałem się z tobą tak, jak bym na wieczór miał być z powrotem. Deszcz wtedy trochę padał, wziąłem palto i kapelusz. —

O piątej przyleciała podekscytowana sąsiadka.

— Już się zaczęło. Nasi opanowali Dom Akademicki na Pl. Narutowicza. Strzelanina w mieście. Niemcy uciekają, boją się naszych. Za tydzień będzie po wszystkim, zobaczy pani. —

Nie zobaczyła.

Na drugi dzień dowiedziała się znowu, że wczoraj wieczorem wrócił z Warszawy Roman. Roman był narzeczonym Irki P., która mieszkała trzy domy dalej. Było ich w domu trzech — poszli na Jezuicką wszyscy. O pół do czwartej przyszedł porucznik i powiedział, że zostaną ci, którzy mają własną broń, reszta pójdzie do domu i zgłosi się rano, bo jutro będą dostarczone pistolety i karabin maszynowy. Roman chciał zabrać Visa najmłodszemu bratu, Zygmuntowi i wyprawić smarkacza do domu, ale ten się postawił.

— Rozkaz był, że ci z bronią zostają, a broń mam ja. Ty nie masz, idź i tak przecież jutro przyjdziesz. —

O tym tak pisał Mietek:

— Na Starówkę poszedłem piechotą, gdyż tramwajów jakoś nie było widać. Tam spotkałem Janka i weszliśmy do domu Jezuicka 6.

Było tam pełno mężczyzn, wśród nich b. wielu znajomych z Okęcia. Był Rysiek, Zygmunt, Marian zw. „Zając", Tadek „Minoga", Kazik i Zygmunt — bracia D. i wielu innych. Odbywał się tam właśnie pokaz broni. Rozpylacze konspiracyjnej produkcji na wzór angielskich Stenów, polska „Błyskawica". Z powodu małej ilości broni kilku kolegów dostało rozkaz powrotu do domu, między innymi Roman D. —

I tak Roman zrezygnowany poszedł. Kiedy dochodził do przystanku kolejki EKD, tramwaje już nie jeździły, usłyszał pierwsze strzały.

— Zaczęło się. Pomyślał.

— Wsiadaj pan — ktoś krzyknął — odjeżdżamy.

Wsiadł. Nie miał nawet czasu na refleksje, bo zaraz jakiś przestraszony Niemiec puścił serię z pistoletu maszynowego po oknach jadącego pociągu, poszły szyby, ktoś krzyknął — O rany! Pasażerowie padli na podłogę. Pociąg minął granicę miasta.

O tym wszystkim dowiedziała się Irena dużo później. Najpierw były szepty:

— Jak on mógł. Gdzie jego postawa patriotyczna, Jaka to bezideowa młodzież dzisiaj. Irka nie powinna na niego spojrzeć. —

Chłopakowi było głupio, dręczyły go wyrzuty, że nie został, że nie odesłał Zygmunta do domu, że mógł coś wymyśleć.

Tylko matka Romana w głębi cierpiącego i przerażonego serca dziękowała Bogu, że chociaż ten jeden jest przy niej, że chociaż on jest, jak się wydawało bezpieczny.

Przez pierwsze dni dochodziły najbardziej fantastyczne plotki, fabrykowane prawdopodobnie na miejscu, bo kontakt z miastem był całkowicie zerwany. Słabe oddziały istniejące w rejonie lotniska zostały przez Niemców szybko zlikwidowane. W świetle miejscowych informacji nasi odnosili same zwycięstwa, Niemcy szli masowo do niewoli, optymizm rósł.

Irena starała się nie poddawać temu hurra nastrojowi, ani uczuciu pustki i niepokoju, oczekiwała ciągle jakiejś pewności lub pociechy. Ojciec nie mówił nic. Palił tylko bez przerwy dzień i noc, chodził po mieszkaniu, od czasu do czasu odzywał się tylko lakonicznie:

— No i cóż, i to trzeba będzie przeżyć. —

Dziś poszedł do rodziny na Opacz, Irena została sama. Posprzątała, wstawiła kartofle i nie mając już nic do roboty, wpadła na ten niedorzeczny pomysł. Miała w domu Pismo św.. Było to b. stare wydanie z XVIII w. odziedziczone po babce. Babka jej kiedyś powiedziała, że ludzie wróżyli z Biblii.

— Trzeba tylko bardzo się skupić i bardzo chcieć dowiedzieć się prawdy — mówiła. A wtedy zamknij oczy, otwórz byle gdzie i palcem pokaż miejsce skąd zaczniesz czytać, a Pismo św., księga boża powie ci prawdę. —

Tak wierzyła babka. Dziś właśnie Irena postanowiła spróbować. Wskazała palcem proroctwo Jeremiasza o zburzeniu Jerozolimy. Pasowało do jej miasta i miało się sprawdzić całkowicie i nieodwołalnie do końca w ciągu najbliższych pięciu miesięcy.

Na drugi dzień Niemcy zaczęli strzelać do tych mieszkańców Okęcia, którzy próbowali wyjść na ulicę. Rano zabłąkana kula wpadła przez okno do pokoju, odbiła się do ściany i spadła na kołdrę, pod którą spała Irena. Po południu przesunęli z ojcem tapczan pod przeciwległą ścianę. O piątej w sieni zrobił się ruch, ktoś jęczał. To przynieśli chłopca z przestrzelonymi nogami. Wybiegł z domu, który stał samotnie w polu w odległości około stu metrów od ich uliczki. Zobaczył go Niemiec, puścił serię, chłopak przewrócił się niedaleko ich domu. Sąsiad podczołgał się i przyniósł go do sieni. Domek był dwurodzinny, apteczkę miała tylko Irena. Położyli go na jej tapczanie, trzeba było zrobić opatrunek. Sąsiadki patrzyły uważnie na jej opanowane, sprawne ruchy, wzdychały i radziły:

— Niech pani na krew nie patrzy, bo dziecku może zaszkodzić. Jeszcze pani poroni z tego przejęcia. Niech by się tym kto inny zajął. —

Ale żadna nie miała o tym pojęcia i nie kwapiła się z pomocą.

Za kilka dni odnieśli chłopaka do domu, który stał samotnie po drugiej stronie pola. Tym razem nie spotkali żadnego Niemca. Gorączkował długo, ale wyzdrowieć nie zdążył.

Któregoś wieczora seria wybuchów granatów postawiła wszystkich w uliczce na nogi. Samotny dom stał w płomieniach. Po chwili straszne wycie rozdarło powietrze — ludzie palili się żywcem. W przeciągłym jęku i trzasku płomieni słychać było pojedyncze strzały — to strzelano do tych, którzy ratowali się ucieczką skacząc przez okna. Ocalał tylko jeden dziesięcioletni chłopak, który wypełznął przez okienko w piwnicy i ukrył się w polu w kartoflach. Spłonęły dwadzieścia trzy osoby.

Tymczasem w sieni rozgrywały się dantejskie sceny. Kobiety zawodziły ogarnięte paniką. Jedna klęczała pośrodku modląc się głośno. Inna tłukła głową o ścianę. Dzieci darły się w niebogłosy. Stała pośród nich śmiesznie nieforemna, na opuchniętych nogach, starając się opanować sytuację, powiedzieć coś, żeby przestały obrzydliwie się bać.

— Pani, oni nas wszystkich spalą, zaraz tu będą, Jezu, Jezu!

— Wieczne odpoczywanie...

— A niech ich nagła cholera, żebyście z piekła nie wyszli, zbóje.

— Matko Najświętsza, ratuj!

— Czego pani nie płacze, Lżej pani będzie, płacz pani, i tak trzeba żegnać się z tym światem.

— Kobiety, uspokójcie się — mówi.

(Jak się umiera w ogniu, — myśli) — jeszcze was nie palą, jeszcze będzie czas rozpaczać. (Udusisz się, będziesz wstrętnie pokręcona. To boli to boli. Po co krzyczeć teraz. Trzeba będzie chyba wyjść, jak nas podpalą, nie krzyczeć, niech strzelają. Straszne to — razem z ojcem i Andrzejkiem, on nawet nie będzie wiedział).

Kobiety w sieni ciągle płakały.

Krzyki z tamtego domu cichły powoli, płomień przygasł, dochodził tylko swąd palonych ciał jak z krematorium.

Do nich nie przyszli.

Głód zaczynał na dobre dokuczać. W domu było kilkanaście kilogramów mąki żytniej, jakieś drobne ilości kaszy, soli i sacharyny.

Ojciec wychodził w nocy na przyległe pole kartofli, kopał i przynosił na obiad. Do tego była lebioda, którą rwało się na podwórku. Z żytniej mąki zrobiła Irena zakwas i po paru dniach upiekła chleb w elektrycznym piecyku. Okęcie było podłączone do elektrowni pruszkowskiej, a ponieważ tą samą linią szedł prąd na lotnisko, więc Niemcy nie wyłączyli. Kradzenie prądu było czynem patriotycznym, mieszkańcy Okęcia z ogromną gorliwością starali się stanąć na wysokości zadania, żaden abonent elektrowni nie płacił za rzeczywiste zużycie prądu. Płaciło się uczciwie haracz inkasentom i kontrolerom elektrowni, bo to przecież swoi i też muszą żyć (tak samo w tramwajach nie brało się biletu od konduktora), ale żaden licznik na Okęciu nie wykazywał normalnego stanu. Mietek, zamiłowany elektryk, zrobił jakieś przedziwne urządzenie, które pozwoliło na ogrzewanie pokoju i kuchni, gotowanie, pieczenie i prasowanie wyłącznie na elektryczności przy zużyciu kontyngentowych 15 kWh miesięcznie.

Kiedyś, kiedy już Mietka nie było, zepsuł się w gniazdku bezpiecznik, trzeba było zreperować pod napięciem. Ojciec się na tym absolutnie nie znał, a Irena potwornie bała się prądu. Śmieszna rzecz, drobiazg, na który nie zwraca się uwagi w czasach normalnych, w szczególnych zaś okolicznościach urasta do problemu, od rozwiązania którego nieraz zależy wszystko. Irena podjęła decyzję uratowania rodziny od głodu i zimna. Gniazdko zostało zreperowane.

Teraz najgorsze były noce. Irena leżała z otwartymi oczami, nawet nie starając się ich zamknąć. W głowie plątały się obrazy z walczącego miasta. Widziała nieżywą matkę, zabitą na podwórku, biegnącego z Visem Mietka — nie widziała, czy zdążył, Maćków stale razem, trzymających się za rękę, tak jak chodzili po ulicach przed powstaniem. Teraz im nie wygodnie z karabinami.

Pod podłogą uparcie chrobotała mysz, to ona była winna jej bezsenności. Irena była przekonana, że gdyby mysz przestała, ona natychmiast by zasnęła. Ojciec poruszył się niespokojnie, dostał ataku kaszlu. Kaszlał tak przez całe lata, odkąd pamięta, ale wtedy spała, kaszel niepokoił matkę, a teraz ją. Ojciec budzi się, zapala papierosa, nie wie, że Irena nie śpi. Robi to bardzo cichutko, potem drugi papieros, trzeci. Jakiś czas cisza, potem znów mysz i nowy atak kaszlu.

Pod koniec sierpnia do nocnych odgłosów dołączyło jeszcze ciężkie dudnienie Halifaxów alianckich, na których polscy lotnicy wieźli zrzuty dla powstańców. To było pocieszające, ale też nie pozwalało usnąć. Nasłuchiwała tylko, czy odezwie się niemiecka artyleria przeciwlotnicza, życzyła im szczęśliwego lotu i powrotu. Długo jeszcze o nich myślała, uspokojona trochę usypiała nad ranem, kiedy już świtało.

O pół do ósmej ojciec przynosił jej śniadanie do łóżka — spała godzinę. Nigdy mu tego nie powiedziała.

— Spałaś, córuchno, — pytał troskliwie — pewno ta mysz ci przeszkadzała, już ja ją dziś złapię. —

— Nie, tatusiu, nic nie słyszałam, ja mam bardzo mocny sen. —

W drugiej połowie sierpnia ukazali się na Okęciu warszawiacy. Byli to ludzie, którym Niemcy pozwolili opuścić miasto z białą szmatką w ręku na znak poddania się. Patrzyło się na nich jak na tchórzy. Jak mogli — armia ginie, ale nie poddaje się — myślała Irena — moi nie wyjdą. Później warszawiacy zaczęli opowiadać o tym, co się stało na Woli, o masowych rozstrzeliwaniach ludności cywilnej, o wrzucaniu granatów do piwnic pełnych ludzi, o tym jak pędzono kobiety i dzieci przed czołgami atakującymi barykady, o paleniu domów. Mieszkańcy Okęcia zrozumieli. Tamci nie byli tchórzami, na powstańców nie mówili nic złego, chociaż bezpośrednią przyczyną ich nieszczęścia byli właśnie ci chłopcy z biało-czerwoną opaską na ramieniu, przemykający przez podwórka i sienie. Za nimi szła śmierć.

Któregoś dnia ogródkami przybiegła Lutka.

— Wiesz — mówi — jedna kobieta, co przyszła z Woli powiedziała, że widziała naszych, mojego Jurka, twojego Mietka i Kazika i Ryśka, mówili jej, że wycofują się przez getto. —

Tak, to znaczy, że tydzień temu jeszcze żyli. A teraz? Mój Boże, to tyle czasu. Cały tydzień.

— Nie martw się, Jurek jest bardzo rozważny, on ich nie puści na śmierć. —

Gdybyż to tylko od niego zależało!

Nad Warszawą było coraz więcej dymu. Na zachodzie paliła się Wola, nad Wisłą Czerniaków, dolny Mokotów. Samoloty niemieckie startujące z lotniska przelatywały niziutko nad domem Ireny, pod skrzydłami miały równiutko podwieszone bomby, skręcały zaraz w prawo na Warszawę, potem było słychać huk spadających bomb, natychmiast ukazywał się słup dymu, a Irena gorączkowo starała się zgadnąć, która to może być ulica. Początkowo zaczęła liczyć bomby, ale kiedy doszła do 472 musiała przerwać. Trudno było stać w ogródku całymi dniami z podniesioną głową na nabrzmiałych nogach z ciężkim brzuchem. Coraz częściej dostawała zawrotów głowy, musiała uważać, żeby nie upaść, kładła się na tapczanie, odpoczywała.

W tym czasie Mietek przechodził na Starówkę.

Z pamiętnika: ... W ostatnim dniu Woli sytuacja była beznadziejnie tragiczna. Nie wiadomo, czy powstanie trwa dalej. Co robić teraz? Dokąd iść? Może do Puszczy Kampinoskiej, a może urwać się do cywila. Wielu spośród nas poszło do domu. Czy doszli?

Czekaliśmy na odwrót na Stare Miasto. Niemcy zarzucali nas ulotkami. Ulotki nawoływały do zaprzestania walki, mówiły, że zostaliśmy zdradzeni przez Rosję, wzywały do współpracy z Niemcami. Podpis: gen Bór.

Nareszcie! Zbiórka! Przechodzimy przez dziurę w murowanym parkanie na cmentarz żydowski, przez getto na Starówkę. Pociski altyleryjskie towarzyszą nam od czasu do czasu.

Na Starówce spokojnie. Ludność wita nas owacyjnie. Najwięcej serca mam dla Starówki. Ludzie dają wszystko, co mają. Oburzają się, gdy nie chcemy wziąć papierosów, cukru czy chleba.

Najbardziej dokuczliwą bronią były granatniki. Wpadały nagle w podwórza, na ulice, na barykady. Od tych właśnie granatników zginęło kilku chłopców z naszego plutonu.

Staliśmy wtedy na Piwnej, ja byłem na kwaterze, gdy przybiega Kazik z płaczem — Zygmunt nie żyje. (Ten Zygmunt, który nie chciał wracać do domu w pierwszym dniu Powstania). Tak, Zygmunt zginął na posterunku, przywalony gruzami zburzonego domu. Kazik przez kilka dni był niezdolny do akcji. Był kompletnie załamany.

Później nowe ofiary. Zdobyto na Pl. Zamkowym czołg. Rozebrano szybko barykady i nasi pancerniacy wjechali nim na ulicę Kilińskiego. Masa ludzi obstąpiła go, wiwatują. Parę kroków od naszej bramy czołg wyleciał w powietrze — naładowany był materiałem wybuchowym. Ponad 200 zabitych, drugie tyle rannych. Straciliśmy wtedy kilkunastu ludzi. Nasza kompania została wtedy poważnie zmniejszona. —

Pod koniec sierpnia Niemcy zaczęli łapać na Okęciu mężczyzn i wywozić „na okopy", jak się to nazywało. Wozili ich ciężarówkami na przedmieścia Warszawy i tam kazali kopać rowy czy doły na stanowiska dla dział. Czasem nad ludźmi pojawił się pojedynczy samolot rosyjski i ostrzeliwał kopiących z broni pokładowej w przekonaniu, że to żołnierze niemieccy. Co parę dni ktoś nie wracał z okopów. W ten sposób zginął najbliższy sąsiad Ireny zostawiając dwie córki.

Zabierając na okopy Niemcy skrupulatnie badali Kenkarty, sprawdzając, czy w brygadzie roboczej nie ma „bandytów". Bandytami nazywali uchodźców z Warszawy. Tych natychmiast wysyłali do obozu.

Skoro tylko zorientowano się w niebezpieczeństwie, zaczął działać urząd gminny na Okęciu. Każdego warszawiaka meldowano wstecz, robiono stałych mieszkańców Okęcia na poczekaniu. W ten sposób ojciec miał sfałszowane zameldowanie. Meldunek warszawski mógł go narazić na duże niebezpieczeństwo.

Patrole niemieckie zaczęły chodzić po domach coraz częściej, odkąd Niemcy spalili część Ochoty aż do toru kolejowego. Między walczącym miastem a Okęciem powstał martwy, pusty pas ziemi niczyjej.

Żołnierze niemieccy niechętnie szli do Warszawy. Wzmocniono oddziały żandarmerii i SS. Zdarzały się wypadki dezercji, dlatego zarządzono ścisłą kontrolę domów prywatnych. Irena przestała zamykać mieszkanie. Patrole przychodziły nieraz sześć razy dziennie.

— Kto tu mieszka? Bandytów nie ma? Żołnierzy niemieckich nie było? Głośniej lub ciszej, głosem butnym warkliwym, czasem zmęczonym i obojętnym.

Tego dnia siedzieli z ojcem przy kolacji. Otworzyły się drzwi, weszło ich sześciu, pięciu żołnierzy Wermachtu i kapitan.

— Kto tu mieszka? Nie ma więcej nikogo? — Spytał któryś z nich.

Żołnierze rozleźli się po pokoju. Jeden zaczął brzdąkać na pianinie, drugi przeglądał płyty, inni stanęli przed mapą Europy, która wisiała nad łóżkiem ojca. Na tej mapie przed powstaniem były

powpinane chorągiewki oznaczające linię frontu. Teraz je Irena zdjęła. Nie można było Niemców drażnić.

Kapitan podszedł do stołu.

— Przepraszam, czy państwo mówią po niemiecku?

— Tak.

— Państwo pozwolą, że się przedstawię — ciągnął — Staude jestem. Kapitan Staude.

Irena skinęła, ojciec coś mruknął.

— Ja rozumiem, że moja sytuacja jest niezręczna — kontynuował — ja bardzo przepraszam, ale ja muszę z kimś mówić. Czy mogę usiąść?

— Proszę.

— Widzi pan, ja mam żonę w ciąży, tak jak pani, chyba już niedługo. Ona też. Jestem z Berlina, ale nie byłem tam pół roku. Moją rodzinę ewakuowano na wieś. O proszę, to są oni.

Mówił b. szybko, jakby rzeczywiście chciał z siebie wyrzucić wszystko, zanim będzie musiał stąd iść dalej do innych ludzi, którzy nie będą go słuchali, okażą przed nim strach, staną się przedmiotami, które trzeba będzie odepchnąć, żeby zajrzeć, czy za nimi nie czai się niebezpieczeństwo.

— O, proszę — wyciągnął z portfela fotografię, taką uroczystą w formacie pocztówkowym, na której był oficer w mundurze a obok siedziała kobieta z dzieckiem na ręku.

— To mój starszy, dziś ma trzy lata. Młodsze urodzi się za jakiś miesiąc. Nie wiem nawet, czy będzie lekarz. Boję się bardzo o żonę. A tu, czy tu jest lekarz? Bo u nas na lotnisku jest jeden b. dobry. Jak będzie potrzeba, to ja go przyślę, to mój kolega, porządny człowiek. Proszę zapamiętać moje nozwisko — Staude — w razie czego można się powołać.

Rozmowa właściwie ograniczała się do monologu kapitana, ojciec tylko raz wtrącił, że był w Niemczech w niewoli w czasie pierwszej wojny. Potem Staude wstał, ukłonił się, ręki nie wyciągnął na pożegnanie, bo nie był pewny, czy nie spotka go afront.

— Do widzenia, życzę pani zdrowia — powiedział. Zawołał żołnierzy i wyszli.

Wieczorem, kiedy ojciec kładł się spać, zauważył brak zegarka. Był to srebrny zegarek z dewizką i co ciekawe, kupiony w Niemczech w czasie pierwszej wojny. Był nakręcany kluczykiem, który ojciec zawsze nosił w kieszeni kamizelki.

— Popatrz, a to złodzieje dopiero, mapę oglądali, naród panów, psiakrew, ale i tak pożytku nie będzie miał łotr, już go nie nakręci.

— Może i nie będzie musiał. Wtrąciła Irena.

Dużo później dowiedzieli się, że były to słowa prorocze.

Zbliżał się koniec sierpnia. Warszawa walczyła ciągle, nad miastem wisiały coraz ciemniejsze chmury dymu, wybuchy bomb i huk artylerii stały się nieodłącznym elementem codziennego życia.

W nocy 31 sierpnia oddział Mietka opuszczał Stare Miasto. Z dziennika Mietka:

— Weszliśmy do kanału o 11-tej w nocy 31 sierpnia. Wejście do kanału (płyta 50×50 cm), osłonięte było niską, już przez pociski zniszczoną barykadą. Czołgaliśmy się na brzuchach. Parę centymetrów nad naszymi głowami przelatywały pociski świetlne. Nasi z narożnego domu przy pl. Krasińskich osłaniali strzałami wejście. Palące się wokoło domy dawały migocące, czerwone światło. Zewsząd słychać terkoczące kaemy. Widowisko rzeczywiście piękne, dekoracje wspaniałe. Żeby jednak umieć to odczuć, trzeba samemu przeżyć. Było piękne w swej grozie, jednak nie chciałbym czegoś podobnego po raz drugi oglądać.

Opuściłem się po żelaznych hakach parę metrów w dół. Poczułem od razu wilgotny powiew. Miałem spodnie podwiązane powyżej kolan. Panterka wpuszczona w spodnie dawała locum na amunicję, parę puszek konserw i chleb. Plecaki wyrzuciliśmy przed włazem, by się zbytnio nie obciążać. Stałem na wilgotnym betonie i szukając naokoło rękoma, namacałem przed sobą Zygmunta. Mieliśmy trzymać się za ręce i gęsiego posuwać się naprzód. Ciemno tu było niemożliwie. Gdzieś nad nami słychać było szum bieżącej wody. Staliśmy tak ze dwie minuty, w końcu szeptem pytam Zygmunta, czemu stoi. Odpowiada, że nie wie dokąd iść. Tego się się spodziewałem, przypuszczałem, że wszyscy przed nami czekają, tymczasem tamci już dawno poszli. Nie mieliśmy latarek elektrycznych, zapalona zapałka wskutek wilgoci zaraz zgasła. Następne nie chciały się palić. Zdążyłem tylko zauważyć, że o parę stopni niżej płynie woda. Kanał ma około półtora metra szerokości. Zorientowaliśmy się, że do śródmieścia powinniśmy raczej iść w prawo. Woda sięgała do połowy łydek. Chociaż kazano nam w kanale zachować ciszę, zacząłem krzyczeć: — Zbyszek! Zbyszek! — w końcu usłyszałem głos Zbyszka nawołujący mnie. Dziwna akustyka jest w kanale. Szalenie trudno było się zorientować, z której strony dochodzi ten głos i z jak daleka. Zaczęliśmy w miarę możliwości biec, nawołując się wzajemne. Głos Zbyszka stawał się bliższy, w końcu dogoniliśmy go. Zbyszek miał szczególnie ciężko, gdyż dźwigał nasz KM. Zaczęliśmy go nieść we dwóch. Przed nami posuwał się długi wąż brodzących w wodzie ludzi. Co jakiś czas mignęło światełko elektryczne. Zatrzymywaliśmy się i znów szliśmy dalej. Pod nogami pełno było najrozmaitszych przeszkód, jakichś wodorostów, czy czegoś w tym rodzaju.

Nogi z trudnością posuwały się naprzód. Kanał teraz był niższy, tak że trzeba było iść mocno schylonym. Gdzieś nad nami słychać było głuche detonacje. Szliśmy przez dwie godziny. Wszystko odbyło się w porządku, szczęśliwie. Przy wyjściu pomagali nam wydostać się chłopcy ze Śródmieścia. Znaleźliśmy się na rogu Wareckiej i Nowego Światu. Z jednej strony byliśmy zadowoleni, że znaleźliśmy się, jak nam się wydawało w bezpiecznym miejscu, z drugiej wstyd trochę, że opuściliśmy Starówkę. A tu ci każdy krzyczy — Czołem Starówka!—. Dostaliśmy kwaterę na Świętokrzyskiej 20. Byliśmy mokrzy, zziębnięci i brudni. Doskonale zrobiła nam butelka wódki."

15 września rano było bardzo pięknie, słońce świeciło, niebo było całkiem niebieskie. Nagle dał się słyszeć głuchy szum, taki jak często w nocy i bardzo wysoko ukazały się na niebie srebrne punkty. Niemcy otworzyli ogień, jeden punkt się zachwiał i z długim ogonem dymu spadł na ziemię. Ludzie płakali widząc jak leciał. Za to od innych zaczęły się odrywać różnokolorowe plamki, które niżej okazały się spadochronami — zielone, czerwone, niebieskie, całe niebo było nimi usiane.

— To desant, nareszcie alianci przysłali pomoc, no, już oni dadzą Niemcom — stwierdził sąsiad. Nie mogli widać do tej pory ludzi zebrać, ale teraz, pani kochana, taki desant codziennie to ho, ho, popędzą Szwabów jak nic. —

— Panie sąsiedzie, pan wie, ile to kilometrów, czy pan myśli, że alianci będą narażali swoich ludzi? To są zrzuty, o niech pan patrzy. —

Na linach spadochronu chwiało się coś, co przypominało worek, w każdym razie nie skoczka. Niemcy dawno już przestali strzelać, kiedy zorientowali się, że zasobniki spadają na dzielnice opanowane przez nich. Zrzut tylko w małej części dostał się w ręce powstańców, całą resztę przejęli Niemcy. Szaleli za chwilę po okolicznych polach na ogromnych motocyklach z przyczepami, w których wieźli olbrzymie worki.

Za parę dni ukazały się w pokątnym handlu amerykańskie papierosy.

Nowy człowiek

Ostatnio Niemcy jakoś mniej pilnowali i od czasu do czasu można było pokazać się na drodze. Irena czuła się coraz gorzej, wybrała się więc do akuszerki Łysiowej, która odbierała jeszcze od czasu do czasu porody, ale była już stara i zgadzała się raczej niechętnie.

— Pani Łysiowa, lekarz przewidział poród na pierwsze dni października, czy mogłaby pani do mnie przyjść?
— A daleko to, bo nogi mnie teraz bolą i trudno chodzić.
— Nie, zaraz za polem Ostaszewskiej, ten narożny domek.
— A pani to katoliczka?
— Tak. Dlaczego? — zdziwiła się Irena.

Pytanie było nieistotne i raczej zaskakujące. Później dowiedziała się, że Łysiowa należała do Świadków Jehowy, których było sporo na Okęciu. Odznaczali się nieposzlakowaną uczciwością i sumiennością, żyli według zasad ewangelicznych i raz w roku chrzcili nowo wstępujących w pobliskich gliniankach ku uciesze gawiedzi, traktującej cały obrządek jako doskonałe widowisko.

— Kto panią do mnie skierował? Ja przeważnie do swoich chodzę. Ale Bóg każe każdego wspomagać, chorych nawiedzać, więc ja nie robię żadnych różnic. Każda istota rodzi się ku chwale Bożej. Dobrze, przyjdę, niech pani zawiadomi, przyśle kogoś, mąż niech przyjdzie.—
— Kiedy męża nie ma, mąż jest tam i ja nie będę mogła pani zapłacić, dopóki nie wróci, ja nie mam pieniędzy — wyrzuciła z siebie szybko, rumieniąc się. Pierwszy raz w życiu znalazła się w takiej sytuacji, kiedy musiała kogoś prosić niemalże o łaskę. Zawsze jej trudno przychodziło prosić o cokolwiek, jeszcze tutaj w dodatku obcą kobietę.
— Co też pani — Łysiowa podeszła bliżej — ja o pieniądze nie pytam, to mój obowiązek, tym bardziej teraz. Niech się pani nie martwi, będzie pani miała pieniądze, to zapłaci, nie to nie. Pan Bóg wynagrodzi. —

Irena podziękowała i wyszła podniesiona na duchu słowami prostej kobiety. Teraz przez pole na Opacz. Zocha obiecała pożyczyć becik i dwie poszewki. W Warszawie mama szyła śliczną wyprawkę dla pierwszego wnuczka, kaftaniczki, koszulki, niezliczone ilości pieluch, flanelowe, batystowe, całe tego stosy leżały w bieliźniarce powiązane różowymi wstążeczkami, żeby Andrzejek miał się w co ubrać, żeby było mu ciepło i wygodnie. Teraz w domu nie było nic.

Termin rozwiązania zbliżał się, należało coś zorganizować. Znalazła starą markizetową bluzkę i uszyła dwa kaftaniki. Podarła prześcieradło na 6 pieluch i z dwóch białych flanelowych ściereczek uszyła ciepły kaftanik. To była cała wyprawka Andrzejka. Przed samym powstaniem znaleźli z Mietkiem stary, wyrzucony przez kogoś dziecinny wózek spacerowy. Mietek pięknie go odnowił, pomalował na czerwono i teraz wózek stał w kącie pokoju i czekał na swoje przeznaczenie.

Irena dostała od Zochy becik i za pół godziny znowu widać było na polu jej ciężką zniekształconą sylwetkę poruszającą się ostrożnie wzdłuż bruzdy, żeby się nie potknąć. Właśnie zobaczył ją żołnierz niemiecki i strzelił. Nie trafił. Irena padła w bruździe i za chwilę ostrożnie podniosła głowę, szukając tego, kto strzelał. Nie zauważyła go. Może stał za węgłem któregoś z pobliskich domów. Podniosła się, przeszła parę kroków, znów strzał. Znów leży w kartoflach. Teraz czekała dłuższą chwilę. Kiedy podniosła się i schylona zaczęła biec, strzały już się nie powtórzyły. Niemiec albo już odszedł, albo chciał ją zmusić do biegu. Wyglądało to zapewne szalenie zabawnie, jak nieforemna gruba baba z tobołkiem pod pachą biegnie niezdarnie, potykając się. Żołnierze niemieccy na Okęciu w owym czasie mieli niewiele rozrywek.

Zdyszana dopadła furtki, potem sieni, drzwi i rzuciła się na tapczan.

— Co się stało, gonił cię kto? — pytał zaniepokojony ojciec.

— Nie, tylko strzelał, ale jakoś kiepsko, nie trafił.

— A to drań, do kobiety ciężarnej. Myślałem, że tylko do mężczyzn strzelają.

— A co, do tatusia też strzelali?

— Wczoraj, jak szedłem po wodę do studni, zauważył mnie widocznie i strzelił, ale też jakoś mu nie wyszło.

W drugiej połowie września Irena była głównie zajęta przygotowaniami do porodu, który miał się odbyć w domu przy pomocy Łysiowej i ojca. O lekarzu nawet się nie mówiło. Podobno gdzieś był, ale dotrzeć do niego nie było można, zresztą Irena liczyła na swoje końskie zdrowie a psychicznie uodporniała się przy pomocy autosugestii.

W tych dniach wyłonił się jeszcze jeden problem do rozwiązania — kopanie kartofli. Mietek w tym roku na swoim hektarze pola posadził kartofle, trochę dla siebie, trochę na sprzedaż. Teraz została sama, nie mając pojęcia o tych sprawach musiała się nimi zająć. Trzeba było znaleźć kobiety do kopania i zakopcowania, trzeba było zapłacić, a pieniędzy nie miała w ogóle. Tymczasem kopaniem zajęli się uchodźcy z Warszawy. Wychodzili na okoliczne pola i kradli ziemniaki, musieli przecież żyć, ale i ona musiała żyć także i nie mogła pozwolić, żeby zabrali jej wszystko. Bronić się jednak nie umiała.

— Pani kochana, kradną pani kartofle, kupa ludzi u pani na polu, niechże pani coś zrobi. —

— Cóż ja mogę. Przecież ich nie przepędzę.

— Sumienia nie mają, żeby sieroty okradać, tam w Warszawie ludzie giną a ci tu rabują, że też na nich kary nie ma.—

Irena doskonale wie, że ojciec w nocy kopie kartofle na polu Ostaszewskiej, inaczej umarliby z głodu.

— Niech się pani nie dziwi, mówi do sąsiadki — oni już niczego nie mają, stracili więcej niż ja, nie mogę się na nich gniewać. —

Oburzona sąsiadka wzrusza ramionami, dziwi się, wychodzi. Za godzinę przyjdzie inna i znów rozmowa się powtórzy. Irenę to męczy, denerwuje. Teraz czeka na każdą następną, stara się uodpornić. Powtarza sobie, że nie wolno jej się unosić, musi panować nad sobą, a tu coraz trudniej wytrzymać.

Fragment pamiętnika Mietka:

— Coraz ciężej było wytrzymać — pisał o tych dniach Mietek. — W nocy piekielny ogień artyleryjski, w dzień stukasy i granatniki. Zwątpiliśmy całkowicie. Wtedy właśnie przyszedł rozkaz gen. Bora... — Wytrzymajcie jeszcze 5 dni — pomoc nadchodzi...

Jakie szalenie długie były te dni. Jednak piątego dnia pomoc nadeszła. Ujrzeliśmy nad sobą szybkie myśliwskie samoloty rosyjskie. Od tej chwili stukasy nie mogły bezkarnie latać. Nie znaczy to, by nie latały wcale, ale widać było już ich tremę. Nadlatywały niziutko, rzucały bomby i uciekały z powrotem. Takie bezładne bombardowanie czyniło mniejsze szkody, mogliśmy utrzymać nasze pozycje. Poza tym rosyjska artyleria przeciwlotnicza też odstraszała. Później pokazały się rosyjskie maszyny bombardujące. Nad Warszawą unosiły się czerwone gwiazdy. Mieliśmy sowieckie zrzuty. Naprawdę potrafili z nas kpić. Dali nam starą broń, nieraz w stanie uszkodzonym z instrukcją w języku rosyjskim. Zrzucali też i żywność. Widziałem czarne suchary po prostu w proszku, gdyż dla oszczędności rzucali bez spadochronów. —

W sobotę 23 września pojawili się na Okęciu żołnierze niemieccy z czerwonobiałymi opaskami ze swastyką na rękawach. Były to oddziały ewakuacyjne. Przechodzili? Zatrzymali się chwilowo? Mieli zacząć akcję? Nie wiadomo. Na osiedlu zapanował popłoch. Ludzie zaczęli zakopywać rzeczy w ogródkach, przemyśliwać, co można będzie ze sobą zabrać.

Ojciec patrzył na Irenę przerażony i mówił:

— Co my zrobimy córuchno, Trzeba będzie zabrać materac, żebyś nie musiała rodzić na ziemi. Położy się na wózek pieluchy i becik i pójdziemy. Dobrze, że jest wózek, bo nie unieślibyśmy. —

— Tatusiu, ja wezmę album z fotografiami, przecież musimy zabrać i mamę i Gienię i Mietka. Nie zostawimy ich Niemcom.—

Cały projekt był oczywiście niedorzeczny. Materac był za ciężki, album mniej ważny niż jedzenie czy ubranie. Ale tak się właśnie myśli w chwili grozy. Irena pamięta jak w 39 roku we wrześniu,

kiedy w czasie oblężenia Warszawy palił się ich dom, mama wyniosła 10 butów każdy od innej pary.

Po południu wchodzą do mieszkania Niemcy.

— Potrzebna kwatera. Ile osób tu mieszka? Trzeba zwolnić jedno pomieszczenie.

— Córka będzie jutro rodzić, jak chcecie, zajmijcie kuchnię.

Wycofali się. Zajęli natomiast kuchnię u sąsiadów. Spało ich tam dziesięciu.

Niedziela 24 września była słoneczna i ciepła. Z samego rana ojciec wybrał się na Opacz. Irena została sama i wtedy się zaczęło. Wiedziała, że to długo trwa, tylko bała się, że ojca nie ma i trzeba będzie po niego posłać tzn. iść do najbliższego domu, przedefilować przez podwórze pełne niemieckich żołnierzy. A jak ją chwyci ból właśnie tam, czy zdoła się opanować, żeby nie pokazać po sobie, że coś się z nią dzieje i nie zrobić z siebie widowiska. Zdecydowała się około 10-ej. Udało się. Pobiegła córeczka sąsiadki i sprowadziła ojca.

Do Łysiowej było zbyt daleko, żeby ryzykować samotną wyprawę przez pole. Ojciec musiał iść na posterunek żandarmerii, gdzie przydzielono mu jednego żandarma jako eskortę i przyprowadził Łysiową. Uważała, że jeszcze za wcześnie, ale przyszła.

Po południu bóle były już bardzo częste, Irena musiała się położyć. Ojciec już nie wchodził do pokoju, tylko krzątał się po kuchni, gotował duże ilości wody i czekał. Kochany ojciec, musiał się ogromnie denerwować, ileż wtedy wypalił papierosów. Bał się bardziej niż ona, nigdy w życiu nie był w takiej sytuacji. Zdawał sobie sprawę, że jego jedynej w tej chwili córce grozi niebezpieczeństwo, któremu nie może zapobiec, nie będzie mógł nic poradzić, jeżeli stanie się coś nieprzewidzianego. Ewakuacja groziła ciągle. Doskonale wiedział, co w takich wypadkach potrafią Niemcy. A jeżeli każą jej iść, tak jak to niejednokrotnie robili w Warszawie? Rodzące kobiety niesiono na noszach, czasem Niemcy kazali je kłaść na ziemi i zostawiać własnemu losowi. Tym losem była śmierć w mundurze SS-mana, który strzałem z pistoletu dobijał wijącą się w bólach kobietę.

W pokoju Łysiowa opowiadała Irenie, jak na Zieleniaku rodziły kobiety pod płotem, Niemcy strzelali do każdego, kto chciał im pomóc.

Irena leży teraz spocona i przerażona, a Łysiowa czyta biblię. Wie, że dopóki położnica nie krzyczy, to jeszcze nie pora, nie ma powodu do alarmu. A Irena przecież nie będzie krzyczała, do końca nie wyda żadnego jęku, przedstawienia nie będzie. Łysiowa jest więc spokonja i zaczyna dyskusję na tematy religijne. Jest gorącą

wyznawczynią swojej nowej wiary i zarażona duchem apostolskim pragnie nawracać. Irena zdaje sobie sprawę z absurdalnej sytuacji i chce jej się śmiać, ale podejmuje temat, nie chcąc robić przykrości starej kobiecie.

— My, proszę pani, wierzymy tylko w biblię, to jest sama prawda. Kościół katolicki pozmieniał w biblii dużo, dla swojej wygody, dla interesu. Katolicyzm to jest religia dla bogatych. Dlaczego kościoły są takie wspaniałe, dlaczego tam tak dużo ołtarzy, obrazów, rzeźb, złota, kwiatów? Chrystus był ubogi, nie mieszkał tak za życia. U nas w domu modlitwy jest tylko krzyż na ścianie i nic więcej.

— Widzi pani, katolicy chcą w ten sposób uczcić swojego Boga, tak okazują Mu swoją miłość.

— Czy oni wszyscy kochają Boga? Przecież ci Niemcy to też katolicy, Hitler katolik.

— Wydaje mi się, pani Łysiowa, że postawa moralna nie zależy od wyznawanej religii, nie od tego, kto jakiego Boga chwali, ale od tego, jaki jest dla innych ludzi. Najważniejsze przykazanie to: Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego .

— O, pani to zupełnie tak mówi jak nasz duchowny, szkoda, że pani nie będzie zbawiona.

— Skąd pani wie?

— Bo zbawieni będą tylko ci, którzy poznali prawdę. Ich wezwie Pan.

Znów ból. Teraz Irena myśli tylko o tym, żeby nie krzyczeć, zaciska dłonie i przygyza wargi. Łysiowa patrzy w biblię i nie zdaje sobie sprawy ze stanu pacjentki. Po chwili ciągnie dalej.

— A czy pani wie, że człowiek składa się z trzech części — z ducha, duszy i ciała?

— Nie, tego nie wiedziałam. A jaka jest różnica między duchem i duszą?

— Dusza to wszystko to, co w człowieku żyje, to że krew płynie, że bije serce, że jelita pracują, a duch to rozum, który Bóg dał człowiekowi i uczucie, żeby miał dla innych.

— Ciekawa jest ta wasza wiara — myśli Irena — i bardzo przekonywująco muszą mówić wasi kaznodzieje.

Koło szóstej Łysiowa stwierdza, że niedługo powinno się skończyć, zmienia teraz temat, opowiadając o wszystkich tragicznych porodach, jakie w ciągu swojej długiej praktyki odbierała. Mówi o potworkach bez rąk, bez nóg, o dzieciach z głową jak bania, o tragicznych cesarskich cięciach, o noworodkach wyjmowanych z łona matki po kawałku, o tym jak matki umierały przy porodzie i nic nie można było poradzić.

— Wie pani, puls zanikał, robiła się taka sina, krzyczeć przestawała i już.

Irena cierpi wewnętrznie, ale nie przeszkadza kobiecie mówić. Temat nie najbardziej odpowiedni dla rodzącej, ale to jest wszystko poza religią, czym żyje ta kobieta, o psychologii nigdy nie słyszała. Krząta się teraz po pokoju Lutka, która przybiegła koło siódmej. Szykuje pieluszki, kaftaniki, obleka becik. Irena jest mokra jak szczur.

— Słuchaj, zmienię ci koszulę — mówi Lutka — gdzie masz inną?

— W Warszawie.

— Jak to? No, coś przecież musi być.

— Są jeszcze nocne koszule Mietka.

— Włożę ci jedną.

I teraz Irena leży w męskiej koszuli. Zdaje się jej, że jest w szpitalu, bardzo ją zawsze śmieszyła bielizna szpitalna, musi okropnie wyglądać.

O ósmej Łysiowa decyduje, że nie obejdzie się bez lekarza.

— Pani już powinna dawno urodzić, ale teraz to już sama nie dam rady.

Lutka wysyła ojca i wraca.

Irena chwilami czuje, jak opuszcza ją świadomość, słyszy swój własny świszczący oddech i z daleka dobiegające — Jezus Maria, Jezus Maria. Kiedy otwiera oczy, widzi skuloną postać Lutki, jak siedzi na progu (dlaczego nie na krześle, dziwi się Irena) i zalana łzami powstarza —

— Ja tego nie wytrzymam, nie wytrzymam.

— Nie martw się — odzywa się Irena — ja za to wytrzymam, przecież ostatecznie to ja rodzę, a nie ty.

Znów ostry ból. Irena odchyla głowę do tyłu i zagryza wagri. Wtedy Łysiowa chwyta ją za głowę i przyciska brodę do piersi.

— Na litość boską, niech pani głowy nie zadziera, wole pani urośnie, gardło rozedmie.

— Od krzyku, pani Łysiowa, od krzyku, a przecież ja się nie drę.

— Szkoda, jakby był mąż, to niechby się pani darła. Ja to bym wszystkich mężów siłą przy żonach trzymała w czasie porodu, żeby widzieli, jak się kobiety męczą przez nich. Kochaliby bardziej wtedy, szanowali.

Irena uśmiecha się i myśli sobie, jak to dobrze, że Mietek jest w tej chwili daleko, że nie musi jeszcze i tego przeżywać.

Ojciec poszedł, minuty płyną jak wieki. Łysiowa robi Irenie zastrzyk. To na podtrzymanie serca — myśli Irena — i przypomina sobie kobietę, co to jej puls zaniknął i zrobiła się taka sina i już. Walka o życie trwa, o 10 jest już po wszystkim.

Irena zobaczyła Andrzejka najpierw w postaci cienia na ścianie, potem usłyszała odgłos klapsa i pisk nowego człowieka.

Łysiowa orzekła — Piękny chłopak, duży. A Lutka z przerażeniem — Ależ on jest strasznie brzydki.

Irenie było wszystko jedno, poczuła ogromną ulgę. Jeszcze spojrzała, czy dziecko jest całe, czy nie zeszpecone i zamknęła oczy.

W tym samym czasie w niedzielę wieczorem umarł w Warszawie ojciec Maćka, znany artysta malarz. Trawiony od miesięcy nieuleczalną chorobą, w czasie powstania pozbawiony właściwej opieki lekarskiej, w najprymitywniejszych warunkach leżał parę tygodni w piwnicy, aż zmarł opłakiwany przez żonę, która była przy nim do ostatka. Pochowano go na skwerku przed domem róg Mokotowskiej i Pięknej wśród innych żołnierzy i cywilów, którzy w tej okolicy rozstali się z życiem.

Tymczasem Łysiowa i Lutka wykąpały Andrzejka, ułożyły w wózeczku i wtedy wrócił ojciec, sam bez lekarza.

— Dlaczego tak długo, dlaczego sam? Zaatakowały go kobiety.

— Co z Irką?

— Już ma pan wnuka, już po wszystkim, ale lekarz koniecznie potrzebny.

Ojciec wszedł do pokoju, zbliżył się najpierw do niej, pochylił się i pocałował ją w czoło.

— Moja dzielna córka — powiedział. Potem spojrzał na Andrzejka i stwierdził — Czerwony, moje córki rodziły się białe.

— No, a gdzie lekarz? Dlaczego nie przyszedł? — pyta Łysiowa.

— Jutro rano przyjdzie, dziś nie chciał. Nie wiem, czy mam go potępić, nie wiem. Ludzie są słabi. Widzicie, najpierw musiałem iść na posterunek, dostałem dla eskorty dwóch żandarmów, w nocy boją się chodzić. Kiedy przyszliśmy pod dom, zostali na dole, a ja poszedłem na piętro. Doktor grał w brydża. Wyszedł do mnie, zapytał, które to dziecko córka rodzi, kiedy powiedziałem, że pierwsze, stwierdził, że ma czas.

— One, proszę pana po 40 godzin rodzą, przyjdę rano i tak zdążę.

— Ależ doktorze, mówię, akuszerka uważa, że pomoc lekarza jest konieczna, córka może umrzeć.

— Co tam akuszerka, panikę robi, a córka wyżyje, gdzie ja teraz po nocy będę chodził.

Wyraźnie się bał. Nie wiedziałem, co robić, nie było sposobu go zmuszać, właściwie był, ale nie mogłem go użyć, nie mogłem. Kiedy zszedłem na dół, żandarmi zainteresowali się, dlaczego nie ma lekarza.

— Co, nie ma go w domu? Dlaczego nie idzie? Może nie chce? Możemy iść po niego.

Wiecie, zrobiło mi się strasznie wstyd za tego lekarza. Niemcy okazali się bardziej ludzcy. Czy miałem prawo skorzystać z ich pomocy, nie zbodyłem się na to. Powiedziałem tylko — Przyjdzie jutro rano, mówi, że teraz za wcześnie.

— No ja, gdyby jutro rano nie przyszedł, niech pan da znać, my go sprowadzimy. — Domyślili się szwaby jednak.

W nocy przy Irenie czuwała ciotka Maryla. Ojciec wyprowadził się do kuchni. Andrzejek spał spokojnie, rano obudził go potworny huk, szyby zabrzęczały w całym domu. To Niemcy postawili na torze kolejowym olbrzymie działo, z którego bombardowali broniące się jeszcze Śródmieście pociskami, które nazywano „szafami" albo „krowami", gdyż lecąc skrzypiały jak szafa lub ryczały jak krowy. Taki pocisk rozpruwał czteropiętrową kamienicę do piwnic. Huki te towarzyszyły nowemu człowiekowi w jego pierwszych dniach życia.

O 10 rano przyszedł lekarz. Irena nie pamięta, czy powiedział — dzień dobry — wie natomiast na pewno, że zaraz w progu spytał:

— Czy pani ma pieniądze? Ten zabieg kosztuje.

— Nie, panie doktorze, nie mam pieniędzy i nie zapłacę panu. Zapłacą tamci... jak wrócą.

Na to nic się nie odezwał, ale został. Trzeba było teraz leżeć nieruchomo wiele dni i pomoc kobieca okazała się niezbędna. Lutka sama miała troje dzieci, najmłodsze półroczne i nie mogła stale siedzieć przy Irenie. Przez jedną noc dyżurowała ciotka Maryla, ale ponieważ była głucha, trudno się było z nią porozumieć. I wtedy zjawiła się Irka. Miała 19 lat i nigdy w życiu nie pielęgnowała niemowląt ani położnic, ale nie przeraziła się. Przez dwa tygodnie przewijała, kąpała Andrzejka, prała pieluchy, wstawała w nocy, była na każde zawołanie. Zawsze uśmiechnięta, pełna humoru i energii — kochana Irka.

Powstanie dogorywało. Coraz ciemniejsze chmury unosiły się nad miastem, coraz groźniejsze dochodziły wieści.

U Lewentich zatrzymała się uciekinierka z Warszawy, pani Wiśniewska. Było tam b. dużo ludzi, nocowali na dole w trzech pokojach, śpiąc pokotem na podłodze i w stodole i nad stajnią. W dzień biwakowali na podwórku, prali jakieś szmatki przy studni, dzieci rozłaziły się po gospodarstwie zrywając pomidory i ogórki, które rosły zaraz za domem. A pani Wiśniewska stała na skraju drogi i przerażonymi oczami patrzyła w kierunku miasta. Całymi dniami jej wychudzona postać z rozwianymi siwiejącymi włosami tkwiła

w jednym miejscu jak posąg Niobe. Wiśniewska rozstała się w pierwszym dniu powstania z synkiem.

— Wyszłam do sklepu po nici — mówiła — Jacuś został sam, miałam zaraz wrócić, ale nici nie było, poszłam dalej i wtedy zaczęli strzelać, ludzie pobiegli do bram, ja za nimi, a potem już nie można było wrócić. Jacuś został sam, on ma siedem lat. Co znim się stało, gdzie on teraz jest?

— Niech się pani nie martwi, przecież w kamienicy byli ludzie, zajęli się dzieckiem, na pewno się znajdzie. — Pocieszali przygodni rozmówcy bez większego przekonania, ale zrozpaczona kobieta budziła litość.

— Jacuś został sam, Jacuś został sam — powtarzała z wzrokiem utkwionym w słupy dymu.

Sąsiadki uważają, że jak ktoś jest chory, to musi jeść rosół. Wobec tego codziennie któraś zabijała kurczaka i przynosiła Irenie. Mieli teraz z ojcem co jeść. Kobiety przychodzą, przynoszą obiad, trochę plotek i patrzą z odrazą na Andrzejka, bo jest brzydki. Subtelniejsze mówią, że z tego się wyrasta, inne dziwią się: Pani taka ładna, mąż też niczego sobie, a dzieciak brzydki, skąd to się takie wyrodzi.

Irenie jest przykro, bardzo kocha Andrzejka i wierzy, że będzie ładniejszy, a poza tym zna swoje sąsiadki, jest im wdzięczna za rosół z kury i wybacza im.

Po kilku dniach stan Ireny bardzo się pogorszył, straciła apetyt, zaczęła gorączkować. Ojciec i Irka byli zaniepokojeni, ale bezradni. Doktor się nie zjawił, chociaż obiecał zajrzeć. Gorączka nie ustępowała.

I oto nagle jakoś tak po południu otworzyły się drzwi i stanął w nich niemiecki kapitan. Uśmiechnął się widząc ich konsternację i powiedział po polsku — Dzień dobry — jestem lekarzem, powiedziano mi, że pani potrzebuje pomocy. Zaraz zobaczymy.

Zbadał Irenę, zostawił jakieś proszki i stwierdził, że potrzebne są zastrzyki.

— Ach, przepraszam, ja się jeszcze nie przedstawiłem, moje nazwisko... jestem Polakiem. Państwo się dziwią, cóż, czasem mundur niemiecki daje jedyną szansę przetrwania.

Przyniósł wieczorem zastrzyki i odtąd przychodził dwa razy dziennie. Nie tylko do Ireny, chodził po okolicy, dowiadywał się o chorych, leczył, znosił im lekarstwa, które kradł z apteki niemieckiej dla swoich podopiecznych.

Przydzielono mu kwaterę w domu rodziców Irki, gdzie mieszkał z żoną, synkiem i teściową. Był bardzo przystojnym brunetem, człowiekiem o dużej inteligencji i wielkim sercu. Kiedy miał więcej

czasu, rozmawiał z Ireną o literaturze, o sztuce i o polityce. Był zmęczony wojną, przewidywał, że się skończy w styczniu, on wtedy zrzuci mundur i wróci do normalnego życia. Wówczas jeszcze Irena nie rozumiała, co dla niego znaczyła — normalne życie.

Któregoś dnia mówili o Niemcach. Irena z nienawiścią i pogardą, doktor bardzo powściągliwie starał się jej wytłumaczyć różnicę między systemem a narodem.

— Faszyzm rozwinął się dzięki terrorowi i brutalnej sile, której nikt nie doceniał, kiedy można było jeszcze coś zrobić. Faszyści to nie naród niemiecki, naród ich nienawidzi coraz bardziej odkąd przekonał się, że wszystko, co mówi Goebbels jest kłamstwem, naród panów to sama góra, hitlerowcy, a nie wszyscy. Inteligencja niemiecka lekceważyła Hitlera i to był jej główny błąd, przez to właśnie ucierpiała najwięcej.

Irena słucha, jeszcze nie wie, że taki sam sąd o Niemczech usłyszy ze sceny kilka lat po wojnie oglądając dramat Kruczkowskiego „Niemcy".

Na poparcie swoich twierdzeń doktor przytacza szereg przykładów lekarzy, naukowców niemieckich, którzy zginęli w obozach i więzieniach, lub z których zrobiono narzędzia potwornych zbrodni.

— Tu nawet na Okęciu był ze mną jeden nauczyciel gimnazjalny, porządny człowiek, którego przecież zmuszono do udziału w tłumieniu powstania. On się absolutnie do tego nie nadawał. — To już nie jest walka za ojczyznę,to jest zwyczajny mord — mówił. Zginął w Warszawie jakieś dwa tygodnie temu. Z jego oddziału wrócił jeden żołnierz. To był kapitan Staude.

— Staude? — wykrzyknęła Irena.

— Tak. A pani o nim słyszała?

— Poznałam go, mówił mi o panu, żeby się do pana zwrócić, jak będzie źle.

— A pani się nie zwróciła — stwierdził przyciszonym głosem — ja nawet wiem dlaczego.

Gorączka nie spada — 39,5, 40. Irena jest wciąż przytomna, tylko strasznie słaba, trudno jej się poruszyć, widzi stroskane spojrzenia ojca i nawet nie ma siły się uśmiechnąć.

W tym czasie dochodzą najgorsze wieści. Fort Czerniakowski został wysadzony w powietrze,

— Tam mieli być Gienia i Maciek, nie mam już siostry — myśli z przerażeniem. — W Śródmieściu piekło, najcięższe walki. Co z matką? Boże, czy my już nigdy nie będziemy razem?

Niemcy pędzą ludność cywilną do obozu w Pruszkowie.

5 października zawieszenie broni.

Z pamiętnika Mietka: „... nasze dowództwo pertraktowało z Niemcami w sprawie zawieszenia broni. Nie wiedzieliśmy, czym to się skończy. Czy potraktują nas jak żołnierzy, czy też jako bandytów. Zresztą w ostateczności mamy jeszcze broń. Jak lepiej w końcu — czy pójść do niewoli jak żołnierz, czy też zostać cywilem. Zawieszenie broni trwało dwa dni. 5 października dowiedzieliśmy się o wynikach rokowań. Całkowita kapitulacja, zdanie broni, jesteśmy jeńcami wojennymi.

Powoli długim szeregiem opuszczaliśmy Jasną. Przy bramach stały kobiety z oczami opuchniętymi od łez. Nie mogłem na nie patrzeć. Przecież my je opuszczamy, zdajemy je na łaskę wroga. Idziemy oddać broń.

Wierz mi, Irko, to bardzo bolało. Szliśmy Złotą do Żelaznej. Tu był jeszcze nasz teren, ale już tutaj spotykaliśmy pojedynczych żołnierzy niemieckich. Granice przestały istnieć, barykady zostały rozebrane. Szliśmy czwórkami. Niekiedy któryś wyskoczył, by pożegnać się z matką, żoną czy ze spotkanymi znajomymi. Żelazna, Jerozolimskie, Tarczyńska. Tu już widać było wyraźnie strefę niemiecką. Co jakieś 50 m stał żołnierz z bronią, aż do Domu Akademickiego. Cała Ochota spalona. Stoi tylko kościół św. Jakuba i Dom Akademicki.

Na pl. Naurtowicza czekaliśmy aż oddziały przed nami złożą broń. Spotkałem chłopów z furmankami.

— Skąd jesteście?

— Z Sękocina.

— Co jest na Okęciu?

— Wszystko w porządku.

— No, chwała Bogu — pomyślałem i już kombinowałem, jakby się stąd urwać, ale właśnie zbliżył się Niemiec i zawołał, że już nasza kolej. Ustawiliśmy się w czwórki. Powolnym marszem przekroczyliśmy bramę Domu Akademickiego.

Z boku stał czołg nieruchomo, był teraz spokojny, tylko groził. Podchodziliśmy do miejsca, gdzie na kupie leżała złożona przez inne oddziały broń. W milczeniu każdy składał swoją i salutował. Niemcy zachowywali się poważnie. Patrząc na kolegów w oczach wielu widziałem łzy. Coś chwyta cię za gardło, w oczach czujesz ciepło, nieznośna mgła nie pozwala widzieć. Taką bolesną chwilę przeżyłem po raz drugi w życiu. Teraz rozpoczął się marsz zwyciężonych. Szliśmy Grójecką, Opaczewską, Bema poprzez spaloną Wolę do Ożarowa.

Po drodze pytałem ludzi, co słychać na Okęciu. Wiadomości były sprzeczne. Jedni mówili — wszystko w porządku, inni, że Okęcie

spalone, ludzie wywiezieni. Jeśli na Okęciu nie ma nikogo, to nie mam po co uciekać.

Do Ożarowa przyszliśmy w nocy. Szansa ucieczki doskonała. Nawet specjalnie nas nie pilnowali. Ciemna noc, co 50 m żołnierz, mogliśmy uciec nawet wszyscy. Ale po co? Do kogo? Wprowadzili nas do jakiejś fabryki. Maszyny już stąd wywieźli, więc było dużo miejsca na rozesłanej słomie. Siedzieliśmy tu trzy dni. Niektórym z nas udało się dostać trochę żywności za pośrednictwem pań z R.G.O. (Rada Główna Opiekuńcza). Ja dostałem drogi prezent — scyzoryk. Mój zgubiłem w Warszawie. Ten mam do tej pory. Panienka, która mi go wręczyła, powiedziała z uśmiechem: „Ten scyzoryk przynosi szczęście". Uwierzyłem. Wiele rzeczy potem w niewoli sprzedałem za chleb, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, aby sprzedać swoje szczęście."

— Panie doktorze? co oni z nimi zrobią?

— Cóż, wezmą ich do obozu, bo na podstawie Konwencji Genewskiej potraktują ich jako jeńców wojennych, tam posiedzą parę miesięcy stosunkowo bezpiecznie i wszystko się szczęśliwie skończy.

— A jeśli on już nie żyje?

— Co pani takie rzeczy wygaduje. Niech pani uważa na siebie. Pani musi przeżyć, kto się dzieckiem zajmie.

Był jednak zaniepokojony, bo wszystkie jego wysiłki aby uratować pacjentkę, szły jak dotąd na marne. Przesilenie nastąpiło w dwa dni po kapitulacji Warszawy. Doktor stwierdził z zadowoleniem:

— No, teraz już widzę, że się pani nie da, tylko tak dalej, tylko tak dalej. Ja tu wpadnę jutro, ale chyba już niebezpieczeństwo minęło.

Już więcej nie przyszedł. Kiedy znalazł się na końcu uliczki i wszedł właśnie na polną drogę, bo tam po drugiej stronie czekał na niego któryś z darmowych pacjentów, zastąpił mu drogę patrol żandarmerii.

— Halt! Hende hoh!

Odbierają broń i kolbą popychają przed sobą. Zbliżają się do domu, gdzie mieszkał, zatrzymują się, dwóch wchodzi. W tej chwili znikają w sąsiednim ogórdku trzy postacie. To żona, synek i teściowa doktora uprzedzone w ostatniej chwili unikają aresztowania. Ktoś doniósł, że lekarz jest Żydem. Zastrzelono go tego samego dnia. Nie doczekał normalnego życia, mundur go nie uchronił przed podłością.

Niekończący się pochód wypędzonych z własnych domów ludzi wlókł się szosą Włochowską w świat, do celu, którego nikt z nich

nie znał. Ciągnęli za sobą wózki, walizki, nieśli na plecach tobołki lub węzełki w rękach, tyle tylko mogli zabrać ze sobą, tyle dźwignąć. Szli wolno, oglądając się za siebie na konające miasto, przystawali na krótką chwilę, poganiani przez Niemców warknięciem, kolbą. Jeśli ktoś nie nadążał, zostawał na miejscu, przygwożdżony do ziemi strzałem z karabinu.

Co odważniejsi mieszkańcy Okęcia podkradali się do idących i zza węgła podawali im chleb, wodę, papierosy — za darmo a czasem za zegarek lub dolary. Groziło to oczywiście utratą życia, ale my jesteśmy bohaterskim narodem i lubimy ryzyko.

Na zakręcie szosy stawała codziennie od rana p. Wiśniewska i niespokojnymi oczami penetrując tłum, głośno wołała:

— Jacek Wiśniewski, kto widział Jacka Wiśniewskiego?

Tak setki razy dziennie, aż do ochrypnięcia i wreszcie na trzeci dzień z tłumu wyrwał się chłopak i z okrzykiem — Mamo — przypadł do niej. Niemiec udał, że nie widzi. Jacuś się znalazł. Wiśniewska zmieniła się nie do poznania, nie opuszczała chłopca ani na chwilę, stała się bardzo aktywna, szykowała się do wyjazdu do krewnych na prowincję, miała teraz cel, miała swego Jacusia.

Z pamiętnika Mietka: „Z Ożarowa na Zachód ruszyły transporty jeńców. Wpakowali nas do wagonów towarowych, po 56 w każdym. Drzwi zatrzaśnięte z hałasem oznajmiły, że nie mamy nic do powiedzenia. Po dwugodzinnym manewrowaniu ruszyliśmy i jechaliśmy dwie doby. Przez ten czas tylko raz wypuścili nas na zewnątrz. Minęliśmy Poznań. Pociąg pędzi teraz z dużą szybkością, spieszy się Niemcom wywieźć nas z Polski. W wagonie jest niemożliwy tłok. Jedziemy bardzo demokratycznie: żołnierze razem z oficerami. Pan kapitan i pan porucznik grają w brydża razem z kapralem i strzelcem. Ja ułożyłem się spać w pozycji niezbyt wygodnej. Głowa co chwila odskakuje od bocznej ściany wagonu, za to nogi spoczywają na kolanach pana majora. Nastrój panuje rodzinny. Toczy się rozmowa.

— Dokąd nas wiozą?

— Pod granicę aliancką na wymianę.

— Tak, na wymianę, ale na mydło.

Jeden porucznik stoi przy oknie i w pewnym momencie mówi:

— Tu kończy się Polska.

Zrobiła się cisza, wszyscy powstali i odśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła" a potem „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród".

Na każdej stacji spotykaliśmy Polaków. Musieliśmy mówić, cośmy za jedni i skąd jedziemy. Wiedzieli o powstaniu, czytali w gazetach, widzieli w kinie. Na innych stacjach pełno było dzieciа-

ków w wieku od 8 do 15 lat z opaskami Hitlerjugend, ci nam grozili i wymyślali.

Nareszcie dojechaliśmy do stacji Fallingbostel. Otworzyli drzwi i poprowadzili do odrutowanego obozu — Stallag XIB.

Gdzie jesteś nieszczęśliwa Warszawo? Tak pragnąłbym zobaczyć Twoje ruiny i zgliszcza. Warszawo moja! Nie potępiaj mnie za to, że byłem jednym z tych, którzy przyczynili się do Twego kalectwa. Straciłaś wiele, ale czy my wszyscy nie oddaliśmy się Tobie bezgranicznie? Czyż mało istnień ludzkich dla Ciebie zeszło z tego świata? Warszawo, bądź dla nas wyrozumiała. Przemów echem minionych dni walki i wstaw się na nami, by historia nie osądziła nas zbyt surowo.

Ballada G-moll

Irena ciągle jeszcze leżała osłabiona gorączką. Rano któregoś dnia stanęły w drzwiach dwie postacie. Nie poznała Gieni i Maćka. Wyglądali jak para nędzarzy. Ona w mundurku harcerskim pozszywanym w wielu miejscach sznurkiem, on w spodniach pospinanych drutem, straszliwie wychudzeni, okryci kurzem, smutni.

— Żyjecie! — krzyknęła tylko, dalej mówić już nie mogła.

Zawsze w chwilach wielkich wzruszeń coś chwytało ją za gardło. Robiła wtedy wrażenie niewrażliwej, obojętnej, a ludzie obserwując ją mówili:

— Ależ ona nie ma serca, jak głaz stoi, pozbawiona wszelkich uczuć, nawet nie zapłacze.

Patrzyła teraz na nich żywych przecież, choć strasznie wynędzniałych, szczęśliwa i przerażona zarazem. Są nareszcie, pierwsi, jeszcze mama i Mietek, czy ich też zobaczy?

— Idziemy z Piaseczna pieszo, dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że Okęcie nie spalone. Nie byliśmy pewni, czy was zastaniemy — zaczął Maciek.

— Mówili, że wywieźli wszystkich, że nie mamy czego szukać — dodaje Gienia. Między uściskami Gienia wstrąca:

— Wszy nie mamy, pozbyliśmy się ich w Piasecznie.

Ojciec wreszcie sadza ich przy stole, podaje kawę z palonego na blasze żyta, częstuje odgrzanymi kartoflami. Wszyscy chcą mówić na raz, przerywają, zaczynają coraz to inną sprawę, są szczęśliwi, że się znaleźli, że znów są rodziną, czują się bezpieczni. Nie wiedzą nic o mamie, o rodzicach Maćka. Gienia i Maciek byli na Sadybie cały czas odcięci od Śródmieścia.

Przed powstaniem marzyła im się zabawa w żołnierzy. Młodzi przeważnie zaangażowani w ruchu podziemnym, mimo wszystko traktowali swoje zadania jak wielką przygodę. Niemcy byli groź-

ni, ale głupi, można było ich okpić, wyprowadzić w pole, przechytrzyć. Wielu padło. Wiadomo było, co się dzieje na Szucha, na Pawiaku, w obozach, ale dopóki osobiście ktoś tego nie przeżył, wszystko pozostawało ponurą legendą, mimo wszystko legendą i można było jeszcze się bawić, śmiać, balansując na krawędzi śmierci, która wciąż wydawała się daleka i nieprawdopodobna, mimo że kilka razy dziennie przechodziła tuż obok. Dopiero powstanie przestało być zabawą. Wtedy człowiek się naprawdę bał. Wtedy wiadomo było, że wroga się nie okpi, nie obejdzie bokiem, że albo się go zabije albo..., tego wprawdzie nie dopuszczało się do świadomości, ale stale się czuło. Czuło się śmierć zupełnie wyraźnie i ci, którzy zostali przy życiu, już nie mówili o walce jak o zabawie.

Opowieść Maćków trwała do późnej nocy.

— Zostaliśmy zgrupowani w domach prywatnych na Sadybie, jak wiecie, jeszcze przed 1 sierpnia. Naszym zadaniem było opanowanie Siekierek. 1-go wysłali nas trzech do warsztatu rusznikarskiego niemieckiego na zwiad. Po paru kwadransach zorientowaliśmy się, że jesteśmy obserwowani, po drodze kręcili się jacyś cywile. Trzeba było ich zgubić. Kiedy zeszliśmy z drogi w jakieś krzaki, jeden z tych ludzi zaczął strzelać. Nikogo szczęśliwie nie trafił, a jacyś mali chłopcy przeprowadzili nas na Sadybę i udało się nam dostać do domu. Taki był mój udział w walce w pierwszym dniu powstania.

W tym samym czasie w innym miejscu nastąpiło starcie z patrolem ukraińskim, wtedy zginął pierwszy z naszych — Andrzej. Ponieważ broni nie dostarczono, nie odbyła się zaplanowana akcja na fort czerniakowski, później go zresztą Niemcy sami wysadzili. Część naszej grupy wycofała się do Kabat i do Morysinka a reszta wróciła na kwatery. Oficjalnie powstania na Sadybie nie było. Później zaczęła się blokada, nie wypuszczali nikogo z domów.

— To tak jak u nas — wtrąca ojciec.

— Okropne było to siedzenie w domu — dodaje Gienia. — Raz przed naszą willą zatrzymał się patrol niemiecki, było ich chyba z siedmiu, a nas w domu około piętnaście osób, prawie zupełnie bez broni. Niemcy stanęli przed furtką i zaczynają dyskusję, pokazują na dom, oglądają się za siebie. Chłopcy obsadzili stanowiska. Część idzie na strych, reszta przy oknach, mają dwa Visy i trzy Tetetki, będą się bronić. Do strzelaniny, jak widzicie nie doszło.

— Niemcy bardziej się nas bali niż my ich — kontynuuje Maciek. Podejrzewali, że mamy większe możliwości. Po kilku dniach blokadę zdjęto i można się było swobodniej poruszać. W nocy przyszli łącznicy z Lasów Kabackich, wtedy Niemcy wycofali się z frontu.

Powstanie na Sadybie zaczęło się 18 sierpnia i trwało do 2 września. Otrzymaliśmy rozkaz ubezpieczyć przejście oddziałów partyzanckich z lasu. Oni mieli zrzuty broni i amunicji i mieli z tym przejść na dolny Mokotów.Aby im to umożliwić, trzeba było odwrócić uwagę wroga. W tym celu wyruszyliśmy w stronę kościoła Bernardynów i tam zbudowaliśmy barykadę. Przez dwa dni byliśmy na Chełmskiej, w tej kamienicy na rogu, pamiętacie?

Siedzieli w pokoju na pierwszym piętrze. Mieli tam punkt obserwacyjny. W ścianie frontowej były dwie dziury wyrwane przez pociski a pod przeciwną ścianą stało pianino. Urządzili więc koncert. Maciek grał, oni śpiewali, ale kiedy Niemcy zaczęli znowu strzelać w ich stronę, musieli uciec do piwnicy. Ostatnim utworem, który Maciek grał była Ballada G-moll Chopina. Irena pamięta, to był jego ulubiony utwór. Maciek często ją grywał, a przed rozpoczęciem powstania na Sadybie Ballada stała się jakby hymnem ich grupy.

— Kiedy wyszliśmy z piwnicy, to już nie było tego mieszkania — mówi Maciek — tylko pod ścianą stało otwarte pianino. Zatrzymało w sobie melodię Chopina, z nią później umarło, tak jak umierała Warszawa przy dźwiękach żałobnego marsza.

— Przez kilka dni byliśmy małą wyspą koło tej barykady. Tylko tchórzostwu Niemców zawdzięczamy to, że żyjemy. Po prostu przypuszczali, że nas jest więcej i dysponujemy większymi siłami. Ale jak nas potem popędzili, to do tej pory nie wiem, jak wróciłem na Sadybę. Po drodze trafiłem na parkan z kolczastego drutu, przesadziłem go z zadziwiającą zręcznością, dopiero w domu zauważyłem, że mam do krwi podrapane nogi i spodnie w strzępach.

Zadanie w zasadzie zostało wykonane — tylko jakim kosztem. Zginęło wielu. Koło Wilanowa m. in. kpt. „Cichy" (Julian Jan Kozłowski), który przyszedł z lasu, Cichociemny, bardzo dzielny żołnierz.

— Nie macie pojęcia, jak to strasznie przykro patrzeć, jak ktoś umiera i nic na to nie można poradzić — dodaje Gienia. Gienia siedziała całą noc przy Wojtku, wiadomo było, że umrze, postrzał w brzuch, naruszona wątroba. Czasami odzyskiwał przytomność i pytał: „Gieniu, czy ja będę żył — powiedz — czy będę? Nie chcę umrzeć".

— Strasznie trudno było mi wtedy kłamać. Najgorsza jest beznadziejność.

2 września z braku broni i amunicji trzeba było skończyć. Siedzieliśmy w domach, pozdejmowaliśmy opaski i czekaliśmy. Niemcy nawoływali, żeby wychodzić, nikt nie miał odwagi pierwszy. Po drugiej stronie szosy słychać było wybuchy, to Własowcy rzu-

cali granaty do piwnic i strzelali do wszystkich. W piwnicy z nami siedziała ciocia Malinowska. Ktoś wpadł nagle i krzyknął: „Tadzika postrzelili, jest ranny".

— Szkoda, powiedziała ciocia, lepiej żeby zastrzelili od razu — wtedy dopiero się rozpłakała.

Wyszliśmy z piwnicy pod wieczór. Na szosie stał tłum ludzi, z których Niemcy formowali kolumnę marszową i kierowali w stronę Wilanowa. Szliśmy jak najwolniej, aby nie daleko dojść przed nocą. Starsi udawali jeszcze słabszych niż byli, młodsi prowadzili ich pod ręce i tak wlekliśmy się przed siebie coraz dalej od Warszawy. Za nami paliło się miasto, przy drodze leżały trupy i ranni. W pewnym momencie wyrwała się z grupy młoda dziewczyna i z płaczem pochyliła się nad ciałem jakiegoś chłopca. Niemiec zdejmował już karabin, ale ludzie wciągnęli ją do środka między siebie i wtedy poznaliśmy ją, to była Halina. Szła potem jak we śnie, z taką nieruchomą twarzą, aż przykro było patrzeć — narzeczonego jej zabili.

Wreszcie, kiedy już było całkiem ciemno, dotarliśmy za Wilanów i tam eskortujący doszli do wniosku, że dalej nie można iść. Zatrzymaliśmy się. Zdaje się, że ten postój zorganizowany został przez naszych przy pomocy łapówki. Ulokowali nas w zabudowaniach jakiegoś dużego gospodarstwa. W nocy schylone postacie odrywały się od budynków i mknęły na przełaj przez pole w kierunku drogi, nawet ci osłabieni staruszkowie nagle odzyskali siły.

Zatrzymaliśmy się we troje z ciocią pod przydrożnym krzyżem i tu nastąpiło rozstanie. Ciocia Nina wyjęła z woreczka pieniądze (miała trochę srebrnych dwuzłotówek), podzieliła je na równe trzy części, dla mnie, dla Gieni i dla siebie. Pożegaliśmy się. Ponieważ ludzie mówili, że rannych odwieziono do Konstancina, ciocia poszła szukać Tadzika. Dla nas byłoby to zbyt niebezpieczne, więc skierowaliśmy się w stronę Kabat. Tam mieszkała pewna kobieta, która przynosiła cioci mleko, mieliśmy jej adres i to miał być nasz pierwszy punkt oparcia."

Maćkowie doszli do wsi o świcie. Mieszkańcy siedzieli na tobołkach w sieniach domów przygotowani do ewakuacji. Po komórkach i strychach tłoczyli się warszawiacy. Weszli na podwórko. Jacyś ludzie snuli się tu bez celu dziwnie poubierani, w kaloszach, paltach zimowych lub tenisówkach na gołych nogach. Ktoś z obandażowaną głową siedział na ławce pod ścianą — kobieta czy mężczyzna? Był w niemieckim płaszczu wojskowym i w damskich sandałach. Starsza kobieta w chustce niosła do obórki wiadro z wodą. Domyślili się, że to gospodyni.

— Dzień dobry! Czy to pani Walczakowa?

— Ja, a bo co?

— Nas tu pani Malinowska przysłała, ta z Sadyby.

— Panno Święta, to paniusia kochana żyje? Gdzież ona jest? Z wami nie przyszła? Ranna może?

— Nie, jest zdrowa i cała, pan Tadzik tylko ranny chyba, ciocia poszła go szukać do Konstancina.

— Antychrysty przeklęte! Co to oni z narodem zrobili. Nam też chyba przyjdzie zabierać się stąd niedługo. Spakowalim wszystko i siedziem. Czekamy. A wy głodni pewno, kartofle w domu są, dam wam.

— My byśmy chcieli się tu zatrzymać, jak pani pozwoli. Nie wiemy jeszcze dokąd pójść.

— A zostańcie, jak chcecie, jak długo my to i wy możecie tu być. Niemcy do wsi nie zaglądają za bardzo, w lesie siedzą juchy. Gdziesi tam armaty majom, bo bardzo stamtąd strzelali. Spać to możecie na strychu, tam jeszcze trochę miejsca jest.

Umyli się pod studnią. W kuchni dostali miskę ziemniaków i ostatecznie wyczerpani powlekli się za Walczakową na strych. Ogarnął ich kwaśny zapach potu i stęchlizny. W świetle naftowej latarni zobaczyli jakieś pokulone postacie pod ścianami.

— Tu — wskazała gospodyni. — Koło komina się połóżcie, zawsze cieplej, a nawet trachę słomy tu jest. Pierzyny to wywieźlim dalej na wieś do mojej siostry, a jak wam zimno bedzie, to se te płachty weźcie ze sznura i możecie się przykryć.

Zrobili sobie posłanie, jak mogli najwygodniej, pozbierali płachty, które okazały się bardzo podartymi derkami na konie. Starannie poprzykrywali dziury jednej derki całymi kawałkami drugiej i zasnęli. Rano mieli skórę pocentkowaną i swędzącą. Pcheł w takich ilościach nie widzieli nigdy przedtem.

W Kabatach spędzili kilka dni. Kopali kartofle i cebulę, gotowali na ognisku zupy, zbierali jeżyny i tak żyli. Kiedyś wybrali się do sąsiedniej wsi do piekarza po chleb. Dostali duży dwukilowy pachnący bochen. Jak pięknie pachnie świeży chleb po tylu dniach głodu. Zaczęli szybko wysupływać srebrne dwuzłotówki, ale piekarz im przerwał:

Co wy, myślicie, że ja od was wezmę, bierzcie tak, za darmo. Chleba wam będę żałował, niech wam idzie na zdrowie. Ja widzę, co wy za jedni i wiem, coście przeszli.

Przyjęli, nie mieli pojęcia, kiedy znowu będą jedli chleb, na jak długo starczy im pieniędzy.

Na strychu było coraz zimniej, przykrywali się jakimiś łachami, mieli wszy. Wreszcie zdecydowali się ruszyć dalej. Poszli w kierunku Piaseczna. Gdzieś po drodze Maciek przypomniał sobie

znajomego księdza. Powędrowali tam. Ksiądz poczęstował ich obiadem, a potem wygłosił kazanie:

— Czy wy jesteście po ślubie? Tak razem idziecie, lepiej by zaraz wziąć. — Gienia nic nie rozumie. Jak to sobie ksiądz wyobraża — myśli — teraz mają brać ślub, kiedy nawet dachu nad głową nie mają.

— Macie tu znajomych w Piasecznie. Idźcie z Bogiem, kochani, idźcie, idźcie. Na pewno znajdziecie ich, tylko nie zapomnijcie o ślubie, żeby po bożemu żyć, po bożemu.

Maćkowie odchodzą. Z żalem oglądają się na piękny ogród, sad, żegnani surowym upomnieniem księdza. „Bezdomnych w dom przyjąć, głodnych nakarmić, nagich przyodziać" tak będzie pewno mówił niedługo na kazaniu.

Po kilku godzinach marszu trafiają do znajomego lekarza z Warszawy, doktora Grzybowskiego, który od lipca mieszka w Zalesiu na letnisku. W domu przebywa 30 osób, uciekinierów z Warszawy, śpią pokotem na słomie. Doktorowa gotuje zupę w dużym kotle na podwórzu. Doktor przyjmuje ich bardzo serdecznie.

— Jest jeszcze miejsce na dwie osoby na werandzie. Koc dam wam swój — mówi — ja się przykryję kurtką, w pokoju jest cieplej. Możecie być z nami dokąd chcecie. Zupy starczy. Rano dostaniecie przydział funkcji. Wszyscy tu pracujemy wspólnie, łatwiej przeżyć.

W Zalesiu Maćkowie mogli po raz pierwszy coś uprać, mogli się porządnie umyć i pozbyć się wszy.

Myśleli stale o Irenie, o ojcu, o rodzicach Maćka. Doszła ich tam wiadomość, że domy bliżej Raszyna stoją całe, chociaż Okęcie do toru kolejowego spalone. Postanowili iść na Opacz, dowiedzieć się przynajmniej, co się dzieje z Ireną. Po 20 kilometrach marszu dobrnęli do celu i oto są.

Teraz Irenę ogarnia nowy strach. Niemcy stale łapią młodych ludzi. Co ona z nimi zrobi? Jak ich ochroni? Strach ten pojawia się codziennie skoro tylko się obudzi i męczy ją do wieczora. Przeżywa każde skrzypnięcie drzwi i każdy głośniejszy krzyk Niemca na dworze. Trudno ich stale ukrywać więc chodzą a ona się boi.

Raz pół dnia przesiedzieli w piwnicy, do której wchodziło się wprost z kuchni. Klapę zastawiła Irena stołkiem, na nim postawiła balię i prała. Ale Gienia odkryła, że w piwnicy są stonogi i stanowczo orzekła, że w piwnicy za żadne skarby siedzieć nie będzie, nawet gdyby musiała iść na okopy. Zresztą nikt jej tego nigdy nie zaproponował, szczęście miała niebywałe. Przez całą wojnę nigdy nie żądali od niej Niemcy pokazania Kennkarty. Któregoś dnia weszli do mieszkania i legitymują. Irena z dzieckiem na ręku,

ojciec stary (specjalnie zapuścił brodę), Maciek wygląda tak, jakby miał mocno rozwiniętą gruźlicę, waży 45 kilogramów, pokazuje przy tym plik recept (ciekawe skąd je miał), żadne z nich nie nadaje się do kopania okopów. Wreszcie Gienia, kwitnąca zdrowiem młoda dziewczyna z warkoczami, ona jedna powinna iść, Irena truchleje. Zaraz zabiorą jej siostrę. Tymczasem Niemcy patrzą, nie widzą i wychodzą. Wszyscy oddychają z ulgą, jeszcze raz się udało.

Tylko Andrzejek nic nie rozumie, wodzi czarnymi oczkami i jest spokojny, Maćkowie orzekli, że nie jest taki najbrzydszy. Rzeczywiście spłaszczona głowa Andrzejka zaokrągliła się, oczki patrzyły prosto i chyba widać już teraz było zarys brody, której zupełnie nie miał, jak się urodził. Wszyscy się nim opiekowali. Gienia prała pieluchy, Maciek prasował. Robił to bardzo starannie, można powiedzieć metodą naukową. Ojciec nawet czasem zbliżał się do wnuka i ruszał wąsami. Dziecko wodziło wzrokiem z zainteresowaniem a ojciec stwierdzał:

— Widzicie, poznaje dziadka, bystry chłopak.

Pewnego razu Maćków nie było w domu a Irena musiała wyjść po mleko.

— Może tatuś popilnuje, żeby mały się nie rozkopał, ja za pół godziny wrócę.

— Dobrze, tylko nie później, bo ja się do niemowlęcia boję dotykać.

W drodze powrotnej Irena słyszy już na podwórzu wrzask Andrzejka i gniewny baryton ojca. Wpada do pokoju i nie może powstrzymać się od śmiechu. Chołpak wierzga gołymi nóżkami, a ojciec wiąże mu na brzuszku pieluchę w piękny supeł.

— Przestań bachorze wierzgać, już trzeci raz mu wiążę tę pieluchę, a on się ciągle rozkopuje — mówi widząc Irenę. Ojciec po raz pierwszy w życiu przewijał niemowlę.

Andrzejka kąpie się w niecce. Jest to sprzęt szanowany w rodzinie, przechodzi z pokolenia na pokolenie. Babka kąpała w niej swoich sześciu synów, potem mama Irenę i Gienię. Chociaż były już w tym czasie w użyciu wanienki, ale uważało się, że drzewo jest „miękciejsze" i przyjemniejsze w dotyku, a niecka płytsza i dziecko nie może się utopić. Teraz kąpie się Andrzejek. Lubi to bardzo. Trzepie rączkami i nóżkami, wszyscy otaczają nieckę i nagle Irena stwierdza, że dziecku marszczy się skóra na nóżkach, Andrzejek schudł. Nie zauważyli tego dotychczas, chociaż ostatnio krzyczał częściej między jednym karmieniem a drugim. Teraz już wiadomo — był głodny. Pokarm Ireny po kartoflach nie jest wartościowy. Trzeba z dzieckiem iść do lekarza. Irena wybierze się

następnego dnia, owija becik kocem, bierze dziecko na rękę i wychodzi na drogę. Jakaś przypadkowa furmanka podwozi ją do doktora.

Okazuje się, że od urodzenia dziecko straciło pół kilograma na wadze, jest zagłodzone. Lekarz przepisuje dietę tuczącą, każe go karmić sztucznie, dawać sok z owoców.

— Mój Boże — myśli Irena — gdzie ja znajdę na Okęciu krowę, owoce?

W powrotnej drodze nie trafia się żadna furmanka. Trzeba iść cztery kilometry pieszo. Ręce mdleją pod ciężarem, nogi stają się sztywne, cała zlana potem brnie naprzód. Wybiera drogę na przełaj, przez pole, trochę krótsza. Robi się szaro, nagle stopa natrafia na pustkę, chwieje się, pada na kolano, na szczęście łapie równowagę. Idąc przez pole zapomniała o rowie przeciwlotniczym. Omalże nie wpadła, nie złamała nogi, nie przygniotła sobą dziecka, ale silny instynkt kochania kazał jej zmobilizować resztki sił, żeby nie dopuścić do nieszczęścia. Podnosi się i idzie dalej. Andrzejek musi mieć mleko! Na drugi dzień Irena znalazła kobietę, która trzymała krowę, nawet nie wiadomo, czy zdrową, ale dawała mleko, które właścicielka sprzedawała po bardzo wysokiej cenie. Wędrowało się teraz codziennie trzy kilometry przez pola po litr mleka, które miało ratować siły i życie Andrzejka.

Trzeba żyć

W związku z koniecznością kupowania mleka wyłonił się problem pieniędzy. Do tej pory żyli jedynie kartoflami, czasem dostawali od kogoś trochę cebuli lub marchwi, ale na dłuższą metę nie mogło to wystarczyć. Zdecydowano, że zajmą się handlem. Wiele ludzi utrzymywało się w czasie okupacji z handlu. ale z nich nikt jeszcze tego nie próbował. Maćkowie widzieli w Piasecznie, jak kwitł handel wymienny. Niechętnie już przyjmowano banknoty Generalnej Guberni. Trzeba było w domu znaleźć coś, co przedstawiałoby wartość wymienną, w Piasecznie zaś zdobyć atrakcyjny towar, który dałby się wymienić na miejscu na mleko. Ze starych kawałków filcu i wełny zrobiliśmy z Gienią trzy pary pantofli rannych, wyszukały jakieś zapasowe żarówki, kilka narzędzi ślusarskich Mietka, jeden garnek, kilka słoików, dwie serwetki i z tym przedziwnym towarem Maćkowie wyruszyli do Piaseczna. Najpierw pieszo przez lotnisko do Pyr. Pasy startowe Niemcy systematycznie wysadzali zakładając materiał wybuchowy co kilka metrów. Trzeba więc było zrobić duże koło, żeby ominąć

niebezpieczny teren. Z Pyr do Piaseczna kursowała kolejka wąskotorowa, popularna „ciuchcia".

Poszli. Nie wiadomo było, czy dotrą na miejsce, czy ich nie złapią po drodze, ale głód doskwierał i trzeba było ich wyprawić.. Wrócili po dwóch dniach, przywieźli trzy litry oleju rzepakowego — dwa zostały sprzedane, jeden dla nich.

Olej. Nareszcie po dwóch miesiącach diety kartoflanej. Można okrasić zupę, smażyć placki. Z plackami ostrożnie, za dużo wychodzi oleju.

Maćkowie chodzą do Piaseczna co kilka dni. Irena za każdym razem drży ze strachu. Któregoś dnia wracają bez towaru.

— Nie gniewaj się, straciliśmy tyle pieniędzy — mówi Gienia.

Patrząc na ich twarze Irena już postanowiła w myśli — Więcej was nie puszczę. Domyśla się, że musiało się stać coś niedobrego.

— Kiedy wracaliśmy, przed samymi Pyrami zaczęli ostrzeliwać pociąg — opowiada Gienia. Maszynista zatrzymał, ludzie zaczęli wyskakiwać i uciekać w pole. My nie mogliśmy się dopchać do wyjścia. Był straszny tłok, zamęt, wszyscy krzyczeli — prędzej, prędzej, bo nas wszystkich wytłuką. Przed nami wysiadał jakiś starszy człowiek, Maciek go puścił przodem i właśnie wtedy, kiedy był już na stopniu, odpadła mu głowa. Tułów stał jeszcze moment i krew buchła z otwartej szyi, zrobiło mi się niedobrze, Maciek porwał mnie za rękę, przeskoczyliśmy chyba przez trupa i pobiegliśmy za ludźmi. Nasz plecak został w wagonie, jak wróciliśmy, to go już nie było, ktoś zabrał.

Koniec z handlem, decydują wszyscy, nie można narażać życia dla głupiego oleju. Maćkowie nigdzie nie pojadą.

Pod koniec października na osiedlu zaczyna się mówić o nauce. Jest trochę dziewcząt i chłopców w wieku gimnazjalnym miejscowych i wysiedlonych, którzy przerwali naukę na kompletach. Delegacja rodziców zwraca się do Ireny i do Maćków:

— Zajmijcie się nimi, przecież nie mogą marnować czasu, na wiosnę będą musieli już iść do szkoły.

W tym czasie wszyscy już byli pewni, że wojna musi skończyć się na wiosnę.

— Zapłacimy pieniędzmi albo w naturze. Jakoś się pogodzimy.

I tak zaczęła się na Okęciu szkoła na linii frontu. Lekcje odbywały się w prawdziwej klasie, gdyż w jednym z domów była tam przed powstaniem jedna klasa szkoły powszechnej. Właścicielka domu, pani Labochowa oddaje pomieszczenie za darmo, nawet znalazło się trochę kredy. System nauczania jest dość skomplikowany — metoda klas łączonych na poziomie gimnazjalnym. Żadne z nich nie ma o tym pojęcia, poza rzetelnymi wiedomościami

wyniesionymi ze szkoły średniej i znajomością programu poszczególnych klas, nie wiedzą nic o metodach pracy, wszyscy robią na wyczucie, na bazie doświadczeń, które dały im lata korepetycji.

Układają program nauczania, rozkład zajęć, zdobywają podręczniki. Irena bierze polski, angielski, łacinę i biologię, Gienia francuski, historię i geografię, Maciek matematykę, fizykę i chemię. Piętrzą się teraz trudności, bo chociażby taki plan lekcji, różne klasy, różne przedmioty nie mogą sobie wzajemnie przeszkadzać w jednej izbie, a poza tym Irena i Gienia mają tylko jedno palto i jedną parę butów. Trzeba tak to chytrze przemyśleć, żeby zdążyć między lekcjami wpaść do domu i przebrać się. Maciek dostał od kogoś płaszcz z czerwonymi wypustkami, taki, jaki nosili przed wojną uczniowie klas licealnych. Nosi go do spółki z ojcem, ale za to buty każdy z nich ma własne.

Młodzież uczy się chętnie, jest pilna, konspiracyjny charakter pracy czyni naukę bardziej atrakcyjną, walczymy dalej pod bokiem Niemców.

— Mickiewicz w „Księgach pielgrzymstwa" pisał — „Przeklęty, kto przed najlżejszym wiatrem pada podobny strzaskanej kolumnie" — Zwróćcie uwagę na aktualność tych słów. Jak je rozumiecie?

— Proszę pani, laudando to gerundium czy gerunivum — pyta ktoś spod ściany.

— Tyle razy już mówiłam — zaczyna zniecierpliwiona Irena i nagle urywa, krzyczy stłumionym szeptem — Niemcy!

Zobaczyła przez okno, jak na ganek weszły jakieś postacie w zielonych mundurach, już dobijają się do drzwi.

Uczniowie błyskawicznie porywają książki i wymykają się przez kuchnię do ogródków. Irena idzie otworzyć.

— Kto tu mieszka? Nie było tu żołnierza niemieckiego? — Zaglądają do klasy.

— Szkoła, tak?

— Żołnierza nie było. A tu była szkoła, przed wojną. Teraz nikt się nie uczy.

Łażą między ławkami, rozglądają się, wychodzą. Nie chce im się szukać tego żołnierza, już się nie krępują przyznać niemal otwarcie, że uciekł. Są zrezygnowani, jacyś ospali, chyba przestraszeni. Wiedzą już, że wszystko — kaput. W tej chwili już nikt nie wierzy w zwycięstwo Niemiec. Po kwadransie lekcja toczy się dalej.

U ciotki Hanki kwateruje generał von Bach, człowiek, który kierował największą zbrodniczą akcją w czasie tej wojny. Kiedy przyjechał, kazano wszystkim opuścić dom i przenieść się do budynków gospodarczych. Sam generał, kiedy spotkał ciotkę na po-

dworzu, bardzo przepraszał, że robi kłopot, ale potrwa to kilka dni. Był niesłychanie ugrzeczniony. Kiedy jego ordynans porwał gęś na podwórku, żeby ją upiec swemu panu na obiad, ciotka zaczęła mu wymyślać i odbierać zdobycz, zainteresowany hałasem generał wyjrzał przez okno i bardzo surowo skarcił żołnierza za kradzież i kazał za gęś zapłacić.

W tym czasie na murach domów na Okęciu ukazały się obwieszczenia, w których komendant miasta uroczyście zapewniał mieszkańców Warszawy, że mienie ich jest pod opieką wojska niemieckiego i że nie muszą się o nie bać. Do Warszawy wchodzić nie wolno, jest to teren wojskowy; każdy, kto postąpi wbrew zarządzeniu, zostanie rozstrzelany.

Opiekę wojska było słychać. Systematyczne wybuchy i słupy dymu obwieszczały, że Niemcy niszczą to, czego nie udało im się unicestwić w czasie powstania. Warszawa musi przestać istnieć na mapie Europy. To był wyraźny rozkaz führera.

Codziennie wyjeżdżały do Warszawy kolumy samochodów z ludźmi. Niemcy obstawiali kamienicę po kamienicy, kazali wynosić wszystko z mieszkań i piwnic na ulicę, meble osobno, pościel, ubrania, szkło. Potem szli sprawdzać, czy czegoś nie pozostawiono, następnie podjeżdżały ciężarówki, ładowano zdobycz, dom oblewano benzyną i podpalano.

Sprytni Polacy ukrywali w kieszeniach to, co się dało, czasem wspaniałomyślny Niemiec podarował cały tobół albo dywan. W ten sposób bogacił się ludek podwarszawski.

W mieszkaniach podejrzanej chołoty okęckiej pojawiły się kryształy, dywany, panowie paradowali w eleganckich szlafrokach i bonżurkach, a panie w sukniach z francuskiego jedwabiu. Zaczął się pokątny handel różnościami. Można był nabyć zegarek, pierścionek, kupon materiału, buty po śmiesznie niskich cenach. Kiedyś pewna kobieta opowiedziała Irenie, że tu taki jeden sprzedawał komplet talerzyków do ciasta. Coś pięknego, nigdy takich nie widziała. Ręcznie malowane, na każdym inny obrazek ze złotą obwódką.

— A nie wie pani, gdzie ten człowiek je znalazł w Warszawie? Tak, zgadza się, ulica Żurawia. Talerzyki należały do Ireny. Wygrzebał je chyba z piwnicy. Pewnie mama wyniosła je tam w obawie przed bombardowaniem, a może ich dom jeszcze stał wtedy. Była to rodowa porcelana mamy. Talerzyki malowała jakaś kuzynka z Wiednia i podarowała babce w prezencie ślubnym.

— A ile on chce za nie? — spytała Irena, tak sobie, przez ciekawość. Każda przecież suma była dla niej teraz za wysoka. Kiedy obecnie wszyscy pracowali na mleko dla Andrzejka i trochę oleju,

jak mogłaby marzyć o odkupieniu swoich talerzyków. Zresztą to było zupełnie nieistotne, stwierdziła ze zdziwieniem, że straciła zupełnie przywiązanie do przedmiotów, pamiątek.

— Mówił, że chyba ze 250 zł warte.

— Ano, chyba — przytakuje Irena. A w duszy myśli — 10 l oleju, musiałabym oszaleć.

Korciło ją, żeby zobaczyć te talerzyki, bo były stamtąd, były na nich jeszcze ślady palców matki, która je pakowała, ale nie poszła, nie odważyła się.

Kriegsgefangenenpost

18 października przyszła kartka od Mietka.

„Kochana Irko!

Jestem w Ożarowie, jedziemy do obozu. Są ze mną Kazik, Rysiek, Zygmunt S. i Marian. Nie wiem, co z matką, 5-go wyszła z Warszawy. Spotkałem się z Tadkiem G. Jedzie tym samym transportem. Zawiadom rodziców. Nie wiem nic o Maćku i Gieni. Wierzę, że dostaniesz tę kartkę. Całuję Ciebie i nasze dziecko, Mietek."

Żyją! Irena biegnie do sąsiadów, mówi im o ich najbliższych. Niektórzy już dostali kartki.

— Gdzie Zygmuś? — pyta matka Kazika i Romana, nic o nim nie piszą, a ja mam złe przeczucie. Co się z nim stało, mój Boże?

— Może został ranny, może pojechał innym transportem — pociesza Irena, ale brzmi to fałszywie, bo i ona czuje, że to chyba nie to, że raczej śmierć.

Od tej pory czeka na wiadomość z Niemiec, żeby już wiedzieć, gdzie jest, żeby mu napisać o sobie, o Andrzejku, o nich wszystkich. Może będzie mu można posłać paczkę. Nie bardzo byłoby co do tej paczki włożyć, ale już coś wymyślą, muszą.

Co dzień rano nadsłuchuje, czy nie idzie listonosz, czy nie niesie listu. Wpada z lekcji z nadzieją, że już jest. Dlaczego tak długo. Wreszcie któregoś dnia przychodzi kartka z nadrukiem Kriegsgefangenenpost.

„Kriegsgefangenenpost to brzmi jak tajemnica,
To pociągów daleki świst,
To twój dom, numer, ulica,
To czekanie na twój list.
Nie wiem nawet, czy na mnie czekasz,
Czy powracać warto będzie znów.
Wołam, wołam ciebie z daleka
Tym najdziwniejszym spośród wszystkich słów —
Kriegsgefangenenpost..."

Przyszło to Irenie nagle. Deklamowała ten wiersz na tajnych wieczorkach literackich, które odbywały się u nich w domu lub u kogoś ze znajomych. Zawsze wywierał duże wrażenie. Był to ulubiony utwór Mietka, podkreślał zawartą w nim prawdziwość uczuć. Teraz on przesyła swoje na takim zadrukowanym po niemiecku świstku.

„Irko moja!

Nie wiem, czy jesteś w swoim domu, co robisz, gdzie przebywasz. Składam Ci życzenia przetrwania tych chwil. Ucałuj nasze dziecko ode mnie, moja mamuśko. Pisz o sobie i o wszystkich. Nie pytaj, co robię — odpowiedź jest w nadruku. Pisz często i obszernie. Twój na zawsze — Mietek."

Listy przychodziły dość często drogą oficjalną i nieoficjalną. W ich świetle życie w obozie nie było najgorsze. Było co jeść, było co palić, praca była stosunkowo lekka. Irena nie powinna się martwić. A jednak mimo wszystko czuła, że to kłamstwo, była nawet przekonana o tym, bo sama takie kłamstwa fabrykowała co parę dni posyłając radosne wieści do Stalagu XIB.

A rzeczywistość?

Z pamiętnika Mietka:

„Do Stalagu przybyła nas grupa około półtora tysiąca ludzi. Oprócz nas byli tu Holendrzy, Anglicy, Francuzi, Włosi i Rosjanie. Szliśmy z biało-czerwonymi opaskami na prawym ramieniu. Z nami szły kobiety — sanitariuszki i łączniczki. Polacy — jeńcy wojskowi z 39 r. płakali widząc polskie barwy. Rozmieścili nas w kilku drewnianych barakach. Jedzenie było skąpe. Rano zamiast kawy pijaliśmy coś w rodzaju mięty, okropne paskudztwo. Na obiad prawie codziennie kartofle w mundurkach. W Polsce kartofle gotowane w parniku dla świń były o wiele apetyczniejsze. Cztery razy w tygodniu była zupa z jakiegoś zielska zarzucona pęcakiem. Trudno go było wyłowić z tych wodorostów, resztę się wyrzucało. Sypialiśmy na drewnianych łóżkach trzypiętrowych. Zdarzało się często, że łóżka te się załamywały.

Jeńcy wojskowi wszystkich narodowości oprócz Rosjan otrzymywali od Amerykańskiego Czerwonego Krzyża paczki raz w miesiącu. Otóż po naszym przybyciu Polacy wrześniowi jak również jeńcy innych narodowości (prócz Anglików, ci już wszystko zjedli względnie nie chcieli dać) zrobili składkę na nas. Była to duża ofiara z ich strony. Przez parę dni jedliśmy różne smakołyki i palili amerykańskie papierosy. Po paru dniach zrobili nam rewizję. Nie było chłopca, który by czegoś nie stracił, mnie zabrali doskonałe mydło toaletowe. W tym obozie byliśmy około trzech tygodni. W ciągu tego czasu byliśmy dwa razy w odwszalni i w

kąpieli. Zrobili nam także zdjęcia. Siadaliśmy po dwóch (oszczędność na kliszach) trzymając na wysokości piersi swój numer. Odebrali nam dowody osobiste, przestałem być człowiekiem, zostałem numerem 140225. Podzielili nas na wiele grup, które kolejno wyjeżdżały do miejsca pracy.

Kobiety miały osobny barak w tym samym ogrodzeniu, co my. Utworzyła się policja porządkowa męska i żeńska, która zwracała baczną uwagę, by towarzystwo się nie mieszało. Pomimo to wiele dziewczyn zaszło...

Jak wszędzie tak i tu była giełda i wolny rynek. Można było kupić i sprzedać wszystko: dolary, funty, złote zegarki, papierosy i jedzenie. Wreszcie wyjechaniśmy stąd. Nasza grupa około 150 pojechała do Hartzburga. Mieszkaliśmy poza miastem z dala od ludzkich siedzib. Dom ogrodzony drutem kolczastym, wartownicy, normalnie. Rozbili nas znowu na mniejsze grupy. Chodziliśmy do trzech kopalń rudy żelaznej, do lasu ścinać drzewa i do paru prywatnych firm.

My wszyscy pracowaliśmy w kopalni „Fryderyka". To była najgorsza kopalnia ze wszystkich, pod ziemią mokro z dołu i z góry. Na powierzchni tak samo ciężka praca. Pracuje się bez względu na pogodę. Rysiek i Zygmunt podali się za ogrodników, pracowali więc na dole, ja i Kazik obaj monterzy pracowaliśmy na powierzchni, w hali. Majster nasz, płowy blondyn ze świńskimi oczkami podprowadził nas do jakiejś ogromnej maszyny, wskazując na nią ręką pyta: „A zatem obaj monterzy powiedzcie, co to jest"? Wiele było ironii w tym pytaniu. Spojrzałem na Kazika, Kazik tylko brwi uniósł bezradnie. Zacząłem się przyglądać temu stworowi uważnie, trzeba się spieszyć z odpowiedzią, przecież tu będzie dobra praca.

— To jest pompa — mówię pewnym głosem.

— No tak — śmieje się płowe bydlę. Jest zadowolony. My też. Mamy ją rozebrać, przeczyścić i złożyć. To była pompa do pompowania wody z kopalni. Kolos. Mogła ważyć jakieś 800 kg. Przynieśliśmy rozmaite klucze i młotki. Zabrałem się raźno do roboty, a Kazik mówi:

— Powoli, nie spiesz się, ty nie wiesz, jak się u Niemców pracuje,

Słusznie, po co się spieszyć, jest przecież tyle czasu, No tak, ale jak to się rozbiera, Próbujemy z jednej strony, nie idzie, z drugiej to samo. Boimy się powiedzieć majstrowi, że przy takich pompach jeszcze nie pracowaliśmy. Robimy hałas, pukamy młotkami, pozawijaliśmy rękawy. Był tam jeden Ukrainiec ślusarz, gdy nie było majstra, rozmawiał z nami, ale on też nie bardzo

się orientował. Poradził nam, żeby to dźwignąć trochę w górę. Pomysł okazał się dobry, przy pomocy dźwigu unieśliśmy ją trochę, po jakichś trzech dniach odmontowaliśmy dwie części, a tych części było chyba osiem. Dalej ani rusz nie idzie, na domiar złego jedna z tych części pękła. Doszliśmy do wniosku, że był słaby odlew. Ustawiliśmy ją tak, żeby nie było widać, przecież to sabotaż. W końcu majster sam orzekł, że trzeba z żelaza zrobić jakiś przyrząd, przy pomocy którego da się pompę rozebrać dalej. Akurat w tej chwili nadszedł kierownik kopalni. Przy nim szczególnie należało szybko pracować. Kazik został przy tej przeklętej pompie, ja zaś chwyciłem kawałek żelaza i podskoczyłem do kuźni. Miałem to kuć na gorąco. Włożyłem w ogień, podrzuciłem koksu i ponieważ stałem tyłem do kierownika, pytam Kazika, czy on jeszcze jest.

— Jest — mówi Kazik — przygląda ci się.

Czułem, że to się źle skończy. Wyjąłem żelazo z ognia i aż mi się gorąco zrobiło. Spaliłem zupełnie, po prostu się stopiło. Starałem się tak stanąć, aby on tego nie zauważył. Miałem pod ręką drugi kawałek. Grzeję go od nowa. No, wreszcie jest dobre, teraz tylko na kowadło. Ale jak tu zagiąć równo, gdy kowadło jest krzywe, Pytam Kazika: — Jest jeszcze,

— Jest. Cały czas patrzy na ciebie.

— Niedobrze — myślę — przejadę się.

No i przejechałem się. Słyszę, jak kierownik mówi coś do majstra. Za chwilę ten przychodzi do mnie i każe włożyć palto. Wiem już, co to znaczy. Będę pracował na placu. Tam znajomość pompy wodnej nie jest potrzebna, praca w ogóle jest bardzo łatwa, wymaga tylko dużo siły. Przenoszenie na ramionach szyn żelaznych, pchanie po szynach wózków, przerzucanie koksu z jednej kupy na drugą, niwelowanie gliniastego terenu. Tam pracowałem przez miesiąc. Kilka razu udało mi się wysłać pocztowe kartki prywatnie. Nie miałem wielkiej pewności, czy dojdą. Jednak doszły szybciej niż listy jenieckie."

Mietek nie zdawał sobie wtedy sprawy, że właśnie tu na placu zaczęła się jego droga ku śmierci. Tu właśnie nabawił się gruźlicy, która za trzy lata już w Polsce wpędziła go do grobu. Ale wtedy nie domyślał się tego nikt.

Pomiędzy nimi latał biały gołąb smutku i nosił smutne wieści — jak sparafrazował kiedyś Słowackiego ojciec, widząc kartkę od Mietka.

„Kochana! Przesyłam Tobie i wszystkim najbliższym pozdrowienia z gór Hartzu. Pracujemy tu w kopalni razem z Ryśkiem, Kazikiem i Zygmuntem. Warunki mamy, trzeba przyznać, zupeł-

nie ludzkie. Otoczenie piękne, wokół pasma gór porośnięte lasem, powietrze zdrowe. Myślę stale o tobie, przykro mi, że się z Tobą nie pożegnałem, ale jeszcze nie wiedziałem, o co chodzi. Zygmunt D. odszedł od nas. Nie wiem, co się z Wami dzieje, czy wszyscy żyjecie, czy mieszkacie po staremu. Moje biedactwo, tak ci teraz ciężko z dzieckiem. Kocham Cię coraz mocniej, wierzę, że się zobaczymy. Tak mi żal, że nie widziałem naszego dziecka i ono mnie nie widziało. Piszę do Ciebie, ale nie wiem, czy list mój dojdzie. Do mnie jeszcze nie pisz. Niech Cię Bóg ma w swojej opiece. Mietek."

Była to właśnie jedna z tych wysłanych prywatnie kartek. Irena dalej czekała na oficjalny list z nalepką na paczkę. Już umyślili co poślą, już wystarali się o tekturowe pudełko i mocny sznurek, żeby tylko można było wysłać. Tygodnie mijają i nic. Nawet pisać nie można. i znów przychodzi jedna z tych nielegalnych kartek.

„Kochana! Wczoraj wieczorem przyszły do nas pierwsze listy. Między innymi jeden chłopak dostał list z Ursusa. Bardzo mnie to ucieszyło, gdyż mogę wnioskować, że i Wy pewno mieszkacie na dawnym miejscu. Irko, jeśli masz możność, udziel wszystkim naszym znajomym z Warszawy schronienia. To są bardzo nieszczęśliwi ludzie. Napisz, czy już ktoś u ciebie mieszka. Dbaj, żeby ojciec miał co palić. Jeżeli kartofle sprzedałaś, to pieniądze na żywność. Odżywiaj się dobrze, to jest najważniejsze. U nas jest jeszcze jesień, ciągle deszcz i mgła. Ciągle jestem na powietrzu, co nie jest miłe. Nie wiem, jak będzie w zimie. Zresztą do zimy może się pogoda jakoś wyjaśni. Pragniemy tego wszyscy. Największą bolączką jest brak tytoniu. nie przysyłaj jeszcze nic. Na paczkę potrzebny jest przekaz. Dbaj o siebie. Ja stale myślę o Tobie. Mietek."

Tak. Głoduje, nie ma co palić, marznie. Czy wytrzyma? Kiedy nareszcie będzie ten przekaz? (Przekaz na paczkę musiał wysłać jeniec do rodziny). Jest listopad, zbliża się zima, jest coraz trudniej tu na miejscu, a co dopiero tam. W ostatnich dniach listopada przychodzi legalny list, tej samej treści co nielegalna kartka i znów nie ma przekazu na paczkę. Można oszaleć.

„Kochany mój! Dostałam wczoraj pierwszy Twój list. Mieszkamy w swoim własnym domu z ojcem, Gienią i Maćkiem i z naszym synkiem, który urodził się 24 września wieczorem. Ważył przeszło 4 kg. Jest podobny do Ciebie, ma Twoje czoło, nos, kształt głowy, ciemne włoski a oczy zielononiebieskie. Jest bardzo grzeczny, dużo je i śpi, mało płacze. (O tym, że Andrzejek schudł, że go trzeba sztucznie karmić, nie napiszę). Chcemy go ochrzcić

imonomi: Andrzej Konrad, wiesz dlaczego Konrad (Mietek domyśli się — samotnie walczący rewolucjonista). Czy zgadzacz się? Co do mnie, to wyglądam tak jak w zeszłym roku w maju (kłamie Irena, nie napisze przecież, że jest chuda, zwyczajnie chuda), czeszę się jak przed maturą. Dajemy sobie jakoś radę, pracujemy na chleb wszyscy. Kartofli zebrałam połowę, resztę ukradli. Wszyscy sąsiedzi bardzo mi pomagają. O mamie wiemy, że żyje, ale nie wiadomo, gdzie teraz jest. Jak się czujesz ze zdrowiem, czy masz ciepłe ubranie? Tak się martwię i tęsknię. Jak tylko będę mogła, zaraz wyślę Ci paczkę. Jak często można do Ciebie pisać? Całujemy Cię mocno wszyscy. Irena."

Wreszcie jest przekaz. Pakują wszyscy. Zawartość przedstawia tak wielki skarb, że nie mogą oczu oderwać. Smalec. Gienia uczy córkę miejscowego rzeźnika grać na fortepianie. Dziewczynka nie ma zupełnie słuchu, ale tato ma słoninę, a słonina jest strasznie potrzebna do paczki. Przetopiły z Gienią cały miesięczny zarobek za te lekcje — 1 kg słoniny. Suchary. Ciotka Hanka dała cały bochenek, zaznaczając przy tym:

— Tylko sami nie zjedzcie, daję, bo i Ryśkowi posyłam, niech sobie chłopcy zjedzą.

Chleba nie jedli od wielu tygodni, ale nie ruszą. Poznają gorycz wyrzeczenia i chyba smak bohaterstwa na co dzień. Jeszcze tytoń. Z zapasów Mietka zostało niewiele. Teraz palą we dwóch ojciec i Maciek, kupić nie ma za co i nie ma gdzie. Irena już dawno nie pali, przestała jeszcze będąc w ciąży. Wyrzeczenia zresztą są domeną kobiet, doskonale to potrafią, ale oni... Ilość wysłanego tytoniu będzie zależała teraz od mężczyzn. Decydują jednomyślnie posłać połowę do obozu.

— My sobie jakoś poradzimy.

Nie wiadomo wprawdzie jak, ale to przyjdzie dopiero później. Teraz Irena jest im bardzo wdzięczna. W paczce jest jeszcze woreczek suszonych jarzyn, suszone skórki od jabłek, które parzy się jak herbatę. Trzeba by może skarpetki, szalik, ale to już musi pozostać w sferze marzeń. Może się później uda zdobyć.

Na drugi dzień idą z Gienią 10 km pieszo do najbliższego urzędu pocztowego. Wróciły późno, ale udało się wysłać.

Po tygodniu paczka była z powrotem. Obóz, w którym przebywał Mietek, znalazł się już za linią frontu. Zjedli wszystko sami. Ojciec z Maćkiem wypalili tytoń. Trudno im było teraz zdecydować, czy bardziej się martwią, że Mietetk nie dostał paczki, czy bardziej cieszą, że mogą jeść smalec. Głód jest okrutny.

Mama

Dwie stare panny mieszkające przy ulicy Kruczej były przerażone. Powstańczy Dzielnicowy Komitet Kwaterunkowy kazał im oddać dwa pokoje obcym ludziom, którzy stracili własny dach nad głową. Panie czuły się pokrzywdzone i oburzone. Przez trzydzieści lat zajmowały trzypokojowe mieszkanie tylko we dwie, a tu naraz obcy ludzie. Najpierw zamknęły kuchnię na klucz, żeby nikt się nie kręcił, ale trwało to tylko dwa dni, potem musiały otworzyć. Wobec tego zamknęły skrzynię z węglem na kłódkę a drzewo na rozpałkę przeniosły do swego pokoju.

— Jak panie chcą gotować, to proszę przynieść swoje drzewo, my przecież nie możemy zostać na zimę bez opału, nikt nam tego nie da — mówiła panna Lola zbolałym tonem do mamy, która była właśnie jednym z tych intruzów w ich mieszkaniu.

Mieszkanie mamy spaliło się w połowie września, kiedy ogień z sąsiedniego domu przerzucił się na ich kamienicę, a już wtedy nie było straży pożarnej ani wystarczającej ilości wody, żeby gasić. Wtedy w mieszkaniu na Żurawiej leżał ranny Jurek L. Zaczął się jeden z gwałtowniejszych nalotów i wszyscy zeszli do piwnic.

— Niech ciocia schodzi, ja się nie boję, zostanę.

— Cóż ty sobie wyobrażasz, mój drogi, że ciebie rannego tu zostawię bez opieki? Ja się zresztą też nie boję, sprzykrzyło mi się stale schodzić na dół, raz posiedzę na górze.

— Ależ ciociu ja naprawdę proszę, nie mogę cioci narażać.

— Przestań, nie zawracaj głowy.

W tym momencie ogłuszający huk przerwał ich rozmowę i mama zauważyła, że fortepian, który stał pod ścianą, podskoczył nagle i opadł na podłogę, prawdopodobnie z brzękiem strun, ale tego już nie było słychać. Trzy grube nogi fortepianu rozleciały się w różne strony, a wieko wyskoczyło z zawiasów. Potem już nie było nic widać. Tumany kurzu wypełniły pokój. Mama chciała podbiec do Jurka, ale potknęła się o leżącą nogę fortepianu i upadła. Kiedy kurz osiadł, otwory okienne świeciły jasną pustką, widać było niebo, oficyna stojąca naprzeciwko runęła.

To były ostatnie wypadki, które mama przeżyła w starym mieszkaniu. Zaraz na drugi dzień zapalił się dom. Jurka przeniesiono do szpitala po drugiej stronie ulicy. Za parę dni poczuł się na tyle dobrze, że opuścił szpital i wrócił do oddziału.

Teraz mama zbierała kawałki drewna w ruinach, żeby zapalić pod kuchnią i ugotować trochę płatków owsianych, którymi karmiła również małe dziecko. Był to może dwuletni chłopaczek bardzo chudziutki, którego przyniosła tu matka i wróciła po walizkę.

Nigdy już jej więcej nie widziano. Prawdopodobnie zginęła od bomby w jakimś przygodnym schronie, a może dosięgła ją kula z broni wyborowego strzelca.

Tego dnia mama wróciła ze szpitala, dokąd zaniosła wypraną bieliznę. Mama całe życie bała się krwi, kiedy widziała ranę, robiło jej się słabo. Nie mogła więc pracować jako pielęgniarka, dlatego podjęła się czegoś, co o wiele przekraczało jej siły; prała bieliznę szpitalną. Nikt nie chciał tego robić. Panie z kamienicy gotowały dla rannych, pełniły dyżury w przejściach podziemnych i w piwnicach, którędy teraz odbywał się cały ruch pieszy i transport. Żadna jednak nie chciała prać. Nawet Janka, zawodowa praczka, która rzadko bywała całkiem trzeźwa, wykrzykiwała na podwórku:

— Niech inne pierą, ja se muszę wypocząć i tak niedługo pożyję, a darmo brudów prać nie będę.

Wobec tego prała mama. Przynosiła stosy zakrwawionych prześcieradeł i koszul, w których roiło się robactwo, a cuchnęło to wszystko tak straszliwie, że ludzie odwracali się z obrzydzeniem. Mama ustawiła balię w kącie podwórka, wodę czerpała ze studni wykopanej w czasie powstania pod ścianą i prała całymi godzinami ścierając ręce do krwi. Z chwillą, kiedy dom się spalił, nie było już gdzie tego robić i ostatnie wysuszone sztuki odniosła z nowej kwatery.

Panny Sabinę i Lolę znała od dawna, nawet bywały u siebie od czasu do czasu, ale teraz kiedy wszystko się zmieniło, zmienili się i ludzie. Obie panie przestały mamę lubić i tylko w drodze zupełnego wyjątku pozwoliły w swojej piwnicy postawić dwie walizki z ubraniem, ale klucza mamie nie dały. Kiedy czegoś stamtąd potrzebowała, jedna z nich schodziła razem do piwnicy i pilnie patrzyła mamie na ręce. W czasie nalotów obie kryły się tu przed bombami, wpuszczały również mamę, ale nikogo więcej.

— Ludzie to potwory, proszę pani, jeszcze by coś ukradli, a poza tym mają wszy. Wszyscy teraz mają wszy — mówiła Sabina — obrzucając mamę badawczym spojrzeniem.

Dziś właśnie, kiedy mama przyszła ze szpitala, już trwał nalot, więc nie wchodziła na górę, tylko prosto do piwnicy. Zastała tam obie panie, były same.

— A gdzie dziecko? — Spytała.

— Zostało na górze — odpowiedziały — trudno, żebyśmy go znosiły, nie mamy siły. Zresztą to dziecko i tak nic nie rozumie.

Mama nie powiedziała ani słowa, tylko skierowała się prosto ku klatce schodowej.

— Co pani robi? Nie słyszy pani, jak walą?

— To strasznie niebezpiecznie, jeszcze panią zabiją tam na górze.

Mama nie słuchała, pędziła po schodach czując cały strach samotnego dziecka. Chłopczyk siedział na łóżku, trzymał kurczowo rączkami róg poduszki, ale nie płakał. Szeroko otwartymi przerażonymi oczami patrzył w jeden punkt, a białymi wargami bezgłośnie szeptał: Mama. Mama! Mama!

Mama chwyciła go na ręce i zbiegła w dół. Trzymał się mocno, przytulał do drugiego człowieka i rozumiał, że już się nie musi bać. Tylko nie rozumiał, dlaczego ta, która go niesie, to nie jego mama.

Od tej pory przez ostatnie dni powstania mama nie opuszczała chłopczyka. Myła go, karmiła, a jak zasypiał, opowiadała mu bajki, tak jak swoim dzieciom dawno temu. O córkach myślała jak o nieżyjących. Do Śródmieścia doszły słuchy o spaleniu Okęcia i wysadzeniu Fortu Czerniakowskiego, więc jak mogły się uratować.

Ludzie szykowali się do opuszczenia miasta. Przezorni zamykali resztki mienia w piwnicach i barykadowali drzwi. Nocą po korytarzach podziemnych, już nie strzeżonych, snuli się podejrzani osobnicy z łomami, wychodzili na ulicę niosąc walizy, które z kolei znów musieli porzucić, bo przecież nie zdołaliby nieść przez dłuższy czas takiego ciężaru. Wiele tych walizek odebrali Niemcy.

Teraz powstało pytanie, co zrobić z dzieckiem. Mama była bardzo chora na czerwonkę, miała strasznie potłuczoną głowę, gdyż chodząc ciemnymi przejściami w piwnicach nieraz nie zauważyła wystającej belki czy haka. W takich warunkach nie mogła nawet pomyśleć, żeby dziecko wynieść na ręku z miasta. I oto sprawa rozwiązała się sama. Wieczorem przybiegła znajoma, młoda mężatka.

— Pani Zofio, proszę mi dać chłopca.

— Jak to dać?

— Bardzo proszę, Niemcy podobno puszczają matki z małymi dziećmi, a ja się tak strasznie boję, żeby mnie nie wywieźli do obozu. Błagam panią, jemu będzie dobrze u mnie, ja go adoptuję, zaopiekuję się nim jak własnym. Ja bardzo kocham dzieci.

Trudno było stwierdzić, czy to prawda, ale co mama miała robić, musiała zaufać tej kobiecie, zresztą znała ją jako osobę porządną. Podeszła więc do łóżka, gdzie dziecko spało, owinęła je kocykiem i śpiące oddała. Nigdy nie dowiedziała się, co się z chłopcem stało. Teraz była już zupełnie sama.

Przyszła pora opuszczenia miasta. Mama wzięła butelkę przegotowanej wody i torebkę sucharów. Nie miała już wtedy siły, żeby nieść teczkę z bielizną, więc umieściła ją na szufelce od

śmieci, przywiązała sznurkiem i ciągnęła za sobą przez całą drogę do Dworca Zachodniego. Szła w tragicznym pochodzie mijając miejsca znajome od dzieciństwa. Sterczała w niebo jedna ściana kościoła św. Aleksandra, w którym brała ślub, dalej sklep, gdzie pracowała, ruiny domu, w którym była pensja, gdzie się uczyła. Żegnała się z Warszawą nie wiedząc na jak długo, nie znała celu, do którego gnał ją zły los.

Pierwsze dni wolności

Okno w kuchni znajdowało się na przeciw drzwi, zawsze trzeba było pamiętać, żeby je zamykać, bo kiedy było otwarte, robił się przeciąg.

17 stycznia rano, kiedy Irena weszła do kuchni, żeby zagrzać mleko dla dziecka, spojrzała w szary kwadrat okna, w którym jak w ramie mieścił się w dalekiej perspektywie duży budynek hotelu lotniczego. Patrzyła na niego codziennie bez żadnego zainteresowania i dziś spojrzała zupełnie odruchowo, ale na szczęście dość świadomie aby stwierdzić, że nagle budynek poruszył się i wyskoczył w górę. Jednym skokiem znalazła się przy oknie i zdążyła je otworzyć. Jednocześnie powietrze rozdarł potworny huk, któremu towarzyszył brzęk wypadających szyb u sąsiadów. Szary dom złamał się wpół i opadł tworząc bezkształtną kupę gruzu. Wszystko to stało się tak szybko, że Irena niezupełnie zdała sobie sprawę z tego, czego była świadkiem a już w kuchni był ojciec, Gienia i Maciek. Pozrywali się z łóżek i stali teraz trzęsąc się z zimna i zdezorientowani.

Sąsiad załomotał do drzwi.

— Słyszeli państwo, to już koniec. Szkopy wysadzili hotel i wieją.

— W Warszawie już są Ruscy i nasi.

W sieni zgromadziło się parę osób, ktoś widział ostatniego Niemca, jak chyłkiem biegł przez pole w stronę Włoch. Podobno jacyś inni dwaj uciekali motorem. Na Okęciu nie było już ani jednego żołnierza. Okęcie było bezpańskie, po prostu niczyje.

Andrzejek upomniał się o swoje śniadanie, Irena zagrzała mleko i wstawiła kartofle dla reszty rodziny. Właśnie się dogotowywały, kiedy zgasły elektryczne piecyki, kuchenka wystygła.

— Nie ma prądu — krzyknęła do pokoju.

— Już teraz chyba długo nie będzie — odkrzyknął Maciek. — Niemcy musieli wysadzić elektrownię w Pruszkowie.

Temperatura w mieszkaniu zaczęła opadać natychmiast, dziecko wpakowali do mamy pod kołdrę (mama leżała wtedy chora) i zaczęli się zastanawiać, co dalej. Ojciec zaproponował, żeby rozpalić

ogień pod kuchnią. W piwnicy było może wiadro węgla po poprzednich lokatorach, ale odkąd tu mieszkali, pod płytą nie paliło się nigdy. Ojciec przystąpił do akcji bardzo zasadniczo. Wybrał jakieś resztki popiołu, sprawdził szybry, włożył papier, postrugał trochę drewna, włożył parę kawałków drobnego węgla i podpalił. Nie chciało się palić. Kiedy wreszcie zajęło się drewno, czarny dym buchnął ze wszystkich fajerek, tuman sadzy uniósł się w powietrzu i osiadł grubą warstwą na świeżo wypranych andrzejowych pieluchach. Głęboko w rurze, prawie tuż pod wylotem kominowym leżała paczka prasy konspiracyjnej, której już Irena nie zdołała roznieść przed powstaniem. Teraz wszystko się spaliło.

— Trzeba będzie gdzieś pożyczyć żelazny piecyk i ustawić go w pokoju — odezwała się Irena.

— No dobrze, ale gdzie wstawi się rurę?

— W okno, w tej desce, którą zasłoniliśmy dziurę po kuli, wytnie się otwór i obsadzi się rurę.

Projek był gotowy, tylko na razie nie było ani piecyka, ani rury, ani opału, było tylko zimno.

Irena wybrała się na poszukiwania. Najpierw oczywiście do państwa Paprockich. Wybrały się z Irką na strych i tam znalazły piękny okaz sztuki kowalskiej z końca XIX w. Piecyk był okrągły, solidnie kuty z ozdobnymi uchwytami i opierał się na czterech nóżkach w kształcie lwich łap. Na pewno nadawałby się do muzeum, ale był cały i miał teraz służyć im przez kilka zimowych miesięcy. Chłopcy natychmiast ściągnęli go na dół i zanieśli do Ireny. Do tego znalazł się kawałek rury, który zresztą nie bardzo pasował. Teraz zaczęła się wędrówka od domu do domu, przeszukiwanie strychów i piwnic, schowków i szop. W efekcie Irena przyniosła do domu trzy różnych rozmiarów kolanka i kilka kawałków rury, które taże nie pasowały do siebie.

Z kolei trzeba było zdobyć opał. Wybrali się z Maćkiem. Mieli nadzieję, że w wysadzonym na lotnisku budynku uda się im coś zdobyć, parę desek, a może trochę koksu.

Szosą od strony Raszyna jechała kolumna czołgów. Radzieccy żołnierze w białych kombinezonach siedzieli na wierzchu pojazdów obleganych przez gromady wrzeszczących dzieci. Wyglądało to na zabawę karnawałową. Trudno było uświadomić sobie, że ci ludzie idą z frontu i mają za sobą długie dni morderczej walki. Po obu stronach szosy stały tłumy ludzi, był nieopisany tumult i gwar.

Irenę zaprzątała tylko jedna myśl — jak przedostać się na drugą stronę szosy, żeby zdobyć drewno na opał, bo inaczej będą marzli wszyscy. Znalazła się wreszcie przerwa w kolumnie i prze-

skoczyli z Maćkiem na drugą stronę między dwoma czołgami. Wtem tuż za plecami rozległ się ogłuszający terkot.

— Strzelają do nas — przemknęło jej przez głowę. — Nie, to przecież nie Niemcy.

Odruch strachu jeszcze wciąż działał. Obejrzała się. Tuż za nią stała pocieszne biała postać. Był to żołnierz radziecki, który strzelał sobie na wiwat z pepeszy. Pierwszy raz widziała wtedy pepeszę z bliska. Żołnierz roześmiał się głośno, widząc jej przerażoną minę.

— Niczewo, Germańce kaput, idziemy na Berlin.

Po żmudnych poszukiwaniach w gruzach, udało się wyciągnąć jakieś dwie deski, trochę papy i koszyk koksu. Starczy to na jeden dzień, a co potem? Odtąd zdobywanie opału stało się problemem najważniejszym. Kiedy wracali, szosą szły już oddziały polskie. Polskie mundury, pierwszy raz od pięciu lat; ludzie płakali.

Jakaś kobieta chwyciła żołnierza za rękę i spytała:

— Panie, jak to teraz będzie? Kołchozy założą?

— Nie wiem, chyba nie. Poszedł dalej.

Po południu rozmawiano na Okęciu o nowym ustroju, a owa kobieta autorytatywnie zapewniała;

— Kołchozów nie będzie, mówił mi sam dowódca polskiego wojska.

Jeszcze nigdy chyba na Okęciu nie wypito tyle bimbru, co tego dnia. W każdym niemal domu goszczono żołnierzy radzieckich i polskich. Wieczorem poznali rosyjskiego kwatermistrza, który odtąd bywał częstym gościem w ich domu aż do końca ich pobytu na Okęciu.

Stanął w drzwiach barczysty, wysoki, miał chyba przeszło czterdzieści lat i dziwnie przypominał żołnierzy rosyjskich z czasów pierwszej wojny, dlatego może, że nosił duże wąsy. Pachniało od niego wódką. Zawsze pachniało, gdy przychodził, ale nigdy nie był pijany.

— Zdrastwujtie — zawsze tak zaczynał — kwatera potrzebna dla dwóch oficerów.

— Bardzo nam przykro, ale chyba nie u nas — tłumaczy ojciec swoim pięknym rosyjskim, który nieraz wprowadzał w błąd Rosjan i nie chcieli wierzyć, że ojciec jest Polakiem.

— Widzicie, nas tu jest dużo, żona chora, małe dziecko, wypędzili nas Niemcy z Warszawy.

Kwatermistrz kiwa głową, rozumie, dobrze rozumie, co robili Niemcy, jego rodzina też musiała przed nimi uciekać. Pójdzie szukać gdzie indziej.

Z bliższych domów dochodzą śpiewy i dźwięki harmonii. Pierwszy raz słyszą nowe melodie; „Rozkwitały jabłonie i grusze" i „Płynie, płynie Oka". Piecyk wygasa, robi się zimno. W nocy ojciec wstaje, rozpala jeszcze raz, rano temperatura w pokoju wynosi plus 2 stopnie.

Trzeba iść do Warszawy, nareszcie po pięciu miesiącach zobaczyć swoje miasto. Strach ich ogarnia na myśl, co tam zobaczą. Patrzyli przez tyle miesięcy na konanie i pogrzeb miasta, widzieli słupy dymu unoszące się coraz to nad inną dzielnicą. Czy tam jeszcze w ogóle coś jest?

Zdecydowano, że pierwsi pójdą Irena i Maciek. Żegnają się z rodziną, idą na niepewne, Warszawa jest zaminowana. Czeka ich dziesięć kilometrów marszu.

Na szosie panował ożywiony ruch, samochody wojskowe, gromady ludności cywilnej pieszo i wozami. Po obu stronach szosy puste pola. Im bliżej Ochoty, tym więcej wypalonych domów straszących pustką i białymi plamami okien. Szli teraz wolniej, ogarniał ich niepokój wobec nieznanego „dziś" w umarłym mieście. Mają oto zobaczyć własną trumnę, z której udało im się ujść cało tylko dzięki przypadkowi. Trumnę, czy połamaną kolebkę? Czuli się coraz bardziej nieswojo, dochodzili do Zieleniaka. Miejsca, gdzie tysiące ludzi spędziło tu najgorsze dni przed skierowaniem do transportu.

W powietrzu czuć było wyraźny zapach spalenizny. Jeszcze kilka dni temu Niemcy wysadzili ostatnie domy. Stoją w bramie obszernego placu, gdzie do sierpnia zajeżdżały wozy z jarzynami na targ, a w czasie powstania Niemcy spędzali ludzi z Ochoty, aby znęcać się nad nimi, potem pędzić żywych dalej, a trupy wywieźć wozami. Plac teraz jest pusty, ziemia pokryta śniegiem, pod parkanem widać jakieś połamane deski a na ścianie ślady kul i brudne smugi, chyba krew.

— Chodźmy stąd — mówi Irena — dosyć. Lepiej nie myśleć o tym, bo nigdy nie dojdziemy.

Na ulicy mijają ich trzy baby z olbrzymimi tobołami na plecach; wracają. Wracają z szabru. Ludzie-hieny, im pierwszym udało się dotrzeć do miasta. Gromady takich plądrowały piwnice, ocalałe mieszkania. Kradli, rabowali, bogacili się. Ileż to bogactwa dała im wojna!

— Popatrz pani, prawdziwy jedwab, na Filtrowej znalazłam, cały kupon, w piwnicy leżał, nawet nie spleśniał, sucha piwnica.

— A te buty, pani, to złe? Oficerki, pani, za balią w korytarzu stali, tylko że schodów tam nie było, po bellkach na drugie piętro wlazłam.

Irena i Maciek patrzą i słuchają z podziwem dla zimnej krwi i przytomności umysłu człowieka prymitywnego, który nie czuje grozy, jeżeli nie dotyczy go bezpośrednio, który cieszy się łupem, jak ów nędzarz z noweli Żeromskiego obdzierający trupa powstańca. Tamtego usprawiedliwiała nędza, dla tych nie ma usprawiedliwienia. Odchodzą, odprowadzani pogardliwym spojrzeniem tamtych trzech. Od razu poznały, że tych dwoje to nie z ich branży.

— Dziady, pewnie do swojego mieszkania idą, i tak nic nie znajdą.

Pierwsze zwały gruzu tarasują ulicę, trzeba się wspinać w górę, aby przejść. Sterczące w niebo szyny tramwajowe, balkony na jezdni, puste ściany kamienic, poskręcane latarnie, kikuty drzew, w dołach trupy.

Z głębi miasta dochodzą głuche detonacje. Jest przeraźliwie pusto i smutno. Znany skurcz chwyta Irenę za gardło, nie byłaby w stanie powiedzieć słowa. Maciek milczy. Brną przed siebie, a po głowie tłuką się myśli:

— Czy tu kiedykolwiek będzie Warszawa?

— Ile lat trzeba czekać aż się usunie gruzy?

— Czy tu w ogóle będzie można mieszkać?

Idą najpierw do domu Ireny, wiadomo, że spalony, ale może w piwnicy jeszcze coś jest. Żeby się dostać do oficyny, trzeba sforsować wał gruzu, gdzie kiedyś był front domu, potem zjeżdża się w dół na butach i trzeba ostro zahamować, bo na samym dole jest studnia, wykopana tu widać w czasie powstania. Stamtąd weszli do piwnicy. Była cała. Leżało tam trochę węgla, starych rupieci i kilka szuflad, które mama wyniosła w czasie powstania. Niczego wartościowego oczywiście nie było. Jeszcze jakieś stare książki. Irena pochyliła się i znalazła album oraz swój podręcznik do angielskiego. Zabrali to ze sobą. Na zewnątrz, tam gdzie było mieszkanie, sterczała w jednym miejscu gmatwanina drutów — to był przedtem fortepian oraz zielona rama łóżka mamy, resztę przykrywał śnieg.

Dom, w którym mieszkali rodzice Maćka, ocalał. Tylko narożnik wyrwany przez spadającą bombę, ukazywał wnętrze czyjegoś pokoju, gdzie na ścianie wisiały obrazy i duża głowa jelenia z rogami. Wydostali się na siódme piętro. Mieszkanie było splądrowane i przedstawiało opłakany widok. Sprzęty, pościel, garderoba były dokładnie wymieszane, poduszki poprute, prześcieradła i firanki podarte, skórzane obicia foteli pocięte. Książki w stertach leżały razem z innymi rzeczami na podłodze. W dwóch pokojach były dziury w suficie aż do nieba. Ich zainteresowała przede wszystkim kuchnia. Znaleźli tu trochę płatków owsianych, kaszy,

mąki, jakieś budynie. Zabrali to wszystko do plecaka i zajęli się zabezpieczeniem mieszkania. Usunęli rzeczy spod dziur w sufitach, zatarasowali drzwi kuchenne. Front zamknęli żelazną sztabą a na drzwiach Maciek wymalował czaszkę i dwa skrzyżowane piszczele a pod tym napis: „Wejście do mieszkania grozi śmiercią". Wszystko to było bardzo prymitywne, większą gwarancję stanowiło to, że mieszkanie było wysoko na siódmym piętrze. Nogom nie przywykłym do miastowych pięter niesporo było drapać się aż pod samo niebo. Tyle skarbów leżało przecież dużo niżej.

Kiedy wracali, szarzało. Zapadał wczesny zimowy mrok, należało bardzo się spieszyć, aby wyjść z miasta zanim ściemni się zupełnie.

W Śródmieściu było pusto, dopiero na Ochocie zaczęli spotykać ludzi. Przysiedli na chwilę na jakimś murku aby odpocząć, a obok ulokowały się dwie kobiety z tobołami na plecach.

— Popatrz, pani, jakie te ludzie głupie, nie wiedzą, co brać. Widziałam takiego jednego w Alejach Jerozolimskich, jak obraz wyniósł. Taki trochę większy, a ramę, pani, miał, szeroką, złotą aż się oczy śmiały. I co pani powi, postawił ten obraz przy murze, płótno wyciął, zwinął i zabrał, a ramę zostawił. Pojmuje pani, taką ramę.

Wlekli się teraz powoli, robiło się coraz ciemniej i smutniej. Za nimi sterczały mury ich miasta, które kochali, którego tragedię przeżyli, a teraz byli bezradni wobec jego klęski.

W domu wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy weszli. Już krążyły wieści, że ktoś wszedł na minę i rozerwało go.

Przy kolacji ojciec spytał po prostu:

— No, to kiedy wracamy?

Ta nieoczekiwana decyzja zawarta w pytaniu stała się od razu rzeczywista. Naturalnie, że wrócą, skoro jest gdzie mieszkać. Późno w nocy zdecydowali, że Irena zostanie na razie tutaj z mamą i Andrzejkiem — warunki w Warszawie są nieodpowiednie dla chorych i niemowląt. Dla zdrowych też nie były odpowiednie, ale kto o tym wtedy myślał. Wrócą wreszcie do siebie, do swego miasta. Warszawa będzie na pewno, do głowy im wtedy nie przyszło, że jeszcze nie zapadła ostateczna decyzja czy Warszawa ma zostać stolicą. Oficjalnie stało się to dopiero we wrześniu, ale dla nich nie ulegało to żadnej wątpliwości już wcześniej.

Zaraz w pierwszych dniach ogłoszono, że pieniądze, które dotychczas były w obiegu, są nieważne. Każdy obywatel dostanie 500 zł, kiedy zgłosi się w biurze przy ul. Targowej i odda kennkartę. Zaraz zaczęły się różne machlojki. Wymieniano pieniądze na czarnym rynku. Ich to nie dotyczyło, bo nie mieli pieniędzy wca-

le. Zebrała więc Irena wszystkie kennkarty i wyruszyła w drogę na Pragę po pierwsze nowe pieniądze. W ogonku przed biurem trzeba się było ustawić o świcie, więc wyprawa musiała potrwać co najmniej dwa dni.

Szła pieszo aż do Wisły. Tutaj zbierały się gromadki ludzi, których przewodnicy przeprowadzali po lodzie na drugą stronę. Przewodnicy znali drogę. Samemu było niebezpiecznie przechodzić ze względu na miny. Właśnie kiedy ich grupa dochodziła do drugiego brzegu, rozległ się huk i na lewo od nich w odległości około 100 m wzniósł się biały tuman kurzu. To mina, ktoś na nią nieostrożnie nadepnął. Teraz trzeba było jeszcze dostać się na Grochów, bo tam mieszkali znajomi, u których można było przenocować. Ale czy jeszcze mieszkali?

Na szczęście znalazła ich zdrowych i całych. Przyjęli ją serdecznie. Na drugi dzień wstała o czwartej i poszła na Targową. W kolejce już stało około tysiąca osób. Biuro otwarto o ósmej, miało być czynne do drugiej. Mróz był wtedy siarczysty, ludzie przytupywali, biegali w kółko, żeby się rozgrzać. Zaraz pojawiły się baby z gorącą herbatą i z jakimś jedzeniem, ale Irena nie mogła nic kupić, nie miała jeszcze pieniędzy.

Zbliżała się 14 godzina, a ludzi przed nią było jeszcze sporo. Coraz bardziej nerwowo spoglądała do przodu, czy zdąży. Niestety, była dziesiąta, kiedy zatrzasnęło się okienko. Spróbuje jutro. Wróciła na Grochowską. Na drugi dzień wyszła o trzeciej. Było zupełnie ciemno. Mijała posterunki sowieckie. Raz zatrzymała ją żołnierka o skośnych oczach, ale jakoś się wytłumaczyła i poszła dalej. Teraz ogonek był jeszcze stosunkowo krótki. Pieniądze dostała około pierwszej. Miała teraz 2500 zł — majątek. Dla dzieci nie wypłacano pieniędzy. Poszła zaraz na targ i kupiła chleb. Bochenek białego chleba. Kupiła jeszcze słoninę i coś jeszcze, tego nie pamięta, ale chleb — tego nie zapomni do końca życia.

Nie ułamała ani kawałka. Niosła go jak największy skarb w całości do domu.

Na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej była pierwsza stacja komunikacji miejskiej. Duże platformy zaprzężone w dwa konie woziły pasażerów w dwie strony.

— Na Pragie, na Pragie!

— Na Ochote, na Ochote — wołali woźnice i zbierali komplet chętnych.

Teraz Irena pozwoliła sobie na luksus jazdy. Miała pieniądze.

Ruscy

Na Okęciu było pełno Ruskich, tak powszechnie nazywano żołnierzy sowieckich. Dowództwo kwaterowało w budynku szkolnym, reszta w mieszkaniach prywatnych.

Po pierwszym zetknięciu się ze zwycięską armią wkraczającą od strony Raszyna 17 stycznia, Irena spotkała ich znowu na imieninach u ciotki Hanki 19-tego. Rosjanie zajęli u niej większość pokoi na biura. W stołowym stały telefony, maszyny do pisania, w łazience urzędował dowódca. Wyjęli drzwi od ubikacji, dowódca siedział na sedesie, przed nim ustawiono stolik i tam przyjmował interesantów, którzy tłoczyli się w holu. 19-ego rano ciocia powiedziała im uprzejmie ale stanowczo, żeby się wynieśli ze stołowego na dzisiejszy wieczór, bo będą goście. Zrobili to bez sprzeciwu.

Większość gości na przyjęciu stanowiły panie, bo mężowie i bracia jeszcze nie wrócili.

Dwuskrzydłowe drzwi do holu były otwarte, a w drzwiach cisnęli się żołnierze głowa przy głowie i oglądali zupełnie dla nich nie zrozumiałe widowisko — przyjęcie imieninowe. Nie rozumieli, dlaczego wino pije się w kieliszkach a nie w szklankach, a mięso je się widelcem a nie nożem.

Po klacji podszedł do cioci Hanki kapitan i spytał grzecznie, czy oficerowie mogą zatańczyć z paniami. Ciocia się zgodziła, więc przynieśli adapter, płyty, kłaniali się paniom bardzo wytwornie w pas, kiedy prosili do tańca i trzeba powiedzieć, że tańczyli bardzo dobrze. Na drugi dzień znowu wprowadzili się do stołowego.

Gotowała im u cioci w kuchni jakaś towarzyszka sierżant, ale nie miała o tym żadnego pojęcia. Np. ulepiła pierogi i wrzuciła je do kotła na zimną wodę, oczywiście wszystko się rozgotowało, potem opłukała kocioł zimną wodą i zaparzyła w nim herbatę. Ciocia nie mogła na to patrzeć, próbowała udzielić jej wskazówek, ale to nic nie pomagało.

U pp Paprockich kwaterował kapitan NKWD. Czekał, aż padnie Berlin, żeby objąć tam stanowisko komendanta dzielnicy. Był to człowiek prostoduszny i dość rozsądny. Kiedyś w rozmowie z Ireną z całą otwartością przyznał się do swojego nieuctwa.

— Widzi pani, w Polsce to nawet dzieci uczą się języków obcych (wiedział, że Irena uczy angielskiego), a ja nie znam żadnego języka poza rosyjskim. — Czyż ja nie powinienem mówić po niemiecku? Na takim stanowisku, a taki głupi człowiek jak ja.

Innym razem zwierzał się Irenie, że chętnie ożeniłby się z Polką, one są takie inteligentne i delikatne, ale — która by mnie chciała, takiego prostaka.

Kiedy kapitan poleciał wreszcie do Berlina, kwaterę u pp Paprockich dostało młode małżeństwo. Misza był lotnikiem a Gala pracowała w biurze na lotnisku. Miała 19 lat i była w ciąży. Głowę myła pod studnią na podwórzu przy dziesięciostopniowym mrozie!

— Gala! Jak ty możesz? Dlaczego nie w łazience? — Denerwowała się pani Paprocka.

— Niczewo, ja przyzwyczajona, a w łazience to wam podłogę pochlapię.

Gala z dumą nosiła odznakę Bohatera Związku Radzieckiego. Kiedy spytano ją, w jakich okolicznościach ją dostała, odpowiedziała, że ze strachu.

— Jak to ze strachu?

— Żebyście wiedzieli, jakiego ja wtedy miałam stracha.

Opowiedz Gala, jak to było.

— To było dwa lata temu. Służyłam tak, jak teraz w łączności. Siedzieliśmy przez jakiś czas w okopach. Pewnego razu nam, telefonistkom powiedziano, że gdyby któraś z nas spotkała taki to a taki typ radiostacji, ma strzelać do obsługi bez ostrzeżenia. Był to typ nie używany w Armii Radzieckiej. Podobno na nasze linie zrzucono niemieckiego szpiega, który właśnie ma taką stację. Któregoś dnia wchodzę ja do ziemianki i widzę, jak oficer w mundurze stoi właśnie przy tej radiostacji. Byłam w walonkach, więc nie słyszał, jak weszłam. Nie namyślając się długo, strzeliłam. On się przewrócił, a ja uciekłam. Biegnąc pomyślałam sobie: to pomyłka, a jeśli źle rozpoznałam, to mnie rozwalą. Nie ma co, trzeba ukryć się w lesie, a potem... Nie wiedziałam co potem. Na razie biegłam przez las w coraz gęściejsze zarośla i tam bez tchu zapadłam w gąszczu. Siedziałam tam przez całą dobę. Na drugi dzień słyszę krzyki; to koleżanki mnie wołają: — Gala, wracaj. Gala, masz się zameldować w dowództwie. — Acha, myślę. Już wiedzą. Już mnie rozstrzelają. Nie ma głupich, nie odzywam się. A one dalej chodzą i krzyczą: — Gala, wróć, Gala, odznaczyć cię chcą. Wyłaź! Wylazłam, ale jeszcze nie wierzyłam. Zawlekły mnie do dowództwa, a tu nasi oficerowie śmieją się i ręce wyciągają, gratulują. Okazało się, że był to właśnie ten szpieg i dobrze zrobiłam, więc mnie odznaczyli.

Misza i Gala mieszkali już parę tygodni i pewnego dnia, jak zwykle, wyszli rano do pracy, a w południe p. Paprocka usłyszała jakiś pisk dochodzący z ich pokoju. Weszła i zobaczyła, że na środku łóżka coś leży pod żołnierskim kocem i rusza się. Podniosła koc i znalazła niemowlę. Nowo narodzony chłopczyk golutki wierz-

gał nóżkami i wrzeszczał. P. Paprocka umyła go, owinęła w jakieś prześcieradło i dała mu trochę rumianku.

O trzeciej przyszła Gala z pracy.

— Gala, bój się Boga, kiedy urodziłaś? Dlaczego poszłaś do pracy

— Urodził się o pierwszej w nocy, to jeszcze zdążyłam się wyspać. Dlaczego miałam nie iść, przecież nic mi nie jest. — Taka była Gala.

Za parę dni zaprosili Irenę na „chrzciny", czyli nadanie imienia aktem urzędowym. Przyszli goście, była harmonia, wódka, ogórki kwaszone i cebula. A żeby chłopak był spokojny i nie przeszkadzał, Gala zawinęła trochę cukru w szmatkę, umoczyła w wódce i dała malcowi ssać. Rzeczywiście spał przez cały czas. Podobno zupełnie dobrze się potem chował.

Wszyscy na Okęciu znali Wanię. Był żołnierzem, który stale się tam kręcił, zachodził do domów, zagadywał. Nosił czapkę zsuniętą na tył głowy, spod której wystawały czarne, kręcone włosy. Spoglądał dziko spode łba i budził niepokój.

Kiedyś Irena była u sąsiadek, dwóch młodych dziewcząt, których ojciec został zabity przy kopaniu okopów. Nagle otworzyły się drzwi i wszedł Wania. Stanął na progu, rozejrzał się po pokoju, wziął krzesło i usiadł.

— A ty tu po co? — spytała najodważniejsza Irena.

— Poznakomit'sia.

— To zdejmij czapkę.

— Po czemu?

— W Polsce jest taki zwyczaj, że jeżeli w pokoju są damy, to panowie zdejmują nakrycia głowy.

Zdjął, przedstawił się i zaczął rozmawiać. Mówił, że chętnie zmieniłby kwaterę, że chciałby mieszkać prywatnie, przy rodzinie. Ale od tego momentu wszystkie przestały nagle rozumeć po rosyjsku i rozmowa jakoś nie szła. Po paru minutach wstał, ukłonił się i wyszedł.

Na drugi dzień rano Irena usłyszała jakieś krzyki pod swoim oknem na ulicy. To wóz utknął w błocie a furman klął i okładał konie batem. Nagle pojawił się Wania.

— A ty co? — Wrzasnął na chłopa. To podeprzeć wozu nie umiesz, nad biednym zwierzęciem się znęcasz. Dawaj, popchnij z jednej strony, ja z drugiej, to mu będzie łatwiej ruszyć.

Zaskoczony chłop posłuchał i koń pociągnął. Potem Irena widywała Wanię, jak starszej sąsiadce wody naciągnął ze studni, komuś drzewa narąbał, a nawet ogródek przy domu skopał. Taki był ten Wania.

Od lutego do sierpnia 45 roku zrobił się w mieszkaniu Ireny hotel. Zaraz po wkroczeniu Sowietów przyszedł jakiś przedstawiciel nowej władzy i oświadczył, że ma za duże mieszkanie. Musi oddać dla kwaterunku pokój albo kuchnię. Nie pomogły tłumaczenia, że mieszka tu pięć osób dorosłych i małe dziecko. Kazali opróżnić jedno pomieszczenie i zaraz do kuchni wprowadził się jakiś podejrzany osobnik z żoną, córeczką i teściową. Maćkowie z ojcem przenieśli się wtedy do Warszawy a Irena z matką i dzieckiem została, dzieląc mieszkanie z nowymi lokatorami. Ludzie ci ciągle pili, awanturowali się całymi dniami i nocami. Pobita i pokrwawiona kobieta wpadła w nocy z krzykiem do pokoju Ireny. Na drugi dzień mała dziewczynka relacjonowała mamie Ireny przebieg wypadków. Mama nie rozumiała z tego nic, bo dziecko przemawiało najczystszą rynsztokową łaciną.

W tym czasie doszła jeszcze jedna plaga. Wiecznie podpity kwatermistrz przyprowadzał po dwóch lub trzech oficerów lotników na nocleg. Irena odstępowała im własny tapczan a obie z mamą spały w jednym łóżku, w drugim kącie pokoju. Miało to tę dobrą stronę, że sąsiedzi z kuchni siedzieli wtedy cicho i można było spać spokojnie.

Wszyscy ci majorowie czy pułkownicy zachowywali się jak dżentelmeni. Wychodzili palić na korzytarz, żeby małemu dziecku nie zaszkodził dym. Przynosili wodę ze studni, czy trochę drewna na opał. Czasem zostawiali jakiś przydział konserw czy mydła. A przede wszystkim opowiadali mamie historie swego życia, wypłakiwali swoje żale, mówili jak to jest w Związku Radzieckim. Oczywiście tylko wtedy, kiedy nie było świadków, kiedy Irena wyszła a koledzy jeszcze nie wrócili. Biedni to byli ludzie, poczciwi, potwornie zastraszeni i sterroryzowani. Mieszkańcom Okęcia wydawali się prymitywni, czasem śmieszni, ale nie byli źli. Szary, przeciętny człowiek zetknął się wtedy z drugim przeciętnym człowiekiem. Polacy tu jeszcze nie poznali perfidii i zakłamania systemu, nie doświadczyli jeszcze niczego złego na własnej skórze. Dziwili się tylko, że ci prości żołnierze powtarzali zawsze jako najważniejszy argument wszelkiej racji: — „Stalin skazał, eto prawda!"

Groby

Groby we wspomnieniach Warszawy zajmują dużo miejsca, za dużo nawet jak na jedno pokolenie. Były groby na Wielkanoc, na Dzień Zaduszny w dawnych przedwojennych czasach, groby w czasie oblężenia Warszawy, okupacji, powstania i groby po wyzwoleniu. Groby coraz smutniejsze, coraz bardziej tragiczne.

Świąteczny zapach pieczonego ciasta i pasty do podłogi zapowiadał święta wielkanocne. W Wielkli Piątek ojciec zabierał dzieci na groby.

Przed wojną przeważnie wtedy było ciepło, przynajmniej jak pamiętają Warszawiacy. Trasa wędrówki zaczynała się od placu Trzech Krzyży i wiodła Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem do Starego i Nowego Miasta. W Kościele św. Aleksandra, którego kopułę i dwie wieże widać było w perspektywie ulic, panował nastrój podniosły, uroczysty. Biała figura Chrystusa leżała na dywanie z hiacyntów. To właśnie zapach hiacyntów kojarzył się ściśle z Wielkanocą i grobami. W cytrynowym gaju przy ołtarzu śpiewały kanarki.

U Św. Krzyża znów były teatralne dekoracje przedstawiające skały na tle czerwonego nieba, na górze stały trzy krzyże i tu także pachniały hiacynty. Kiedy wychodziło się z kościoła, czarny granitowy Chrystus wskazywał dalszą drogę wyciągniętą ręką. Potem Wizytki, Karmelici, kościół św. Anny.

W Katedrze grób urządzano w bocznym ołtarzu, było mroczno, trochę straszno, przy wielkim ołtarzu śpiewali klerycy. Dzieci po odwiedzeniu grobu podchodziły do stolika przy drzwiach, gdzie panie z Towarzystwa Dobroczynności siedziały z tacą i przyjmowały datki oraz dawały obrazki. Trzeba było zebrać jak najwięcej obrazków, potem oglądało się je w domu, pokazywało koleżankom, która ma najładniejsze.

Obyczaj odwiedzania grobów był nierozerwalnie związany z Wielkanocą. Po obu stronach ulicy ciągnęły tłumy dorosłych i dzieci, drętwiały zmęczone nogi, bolały oczy od ciągłej zmiany światła, ale się szło, żeby potem wspominać, opowiadać, dzielić się wrażeniami a oglądając wdychać niepokojący zapach hiacyntów.

Na groby szło się jeszcze w Dzień Zaduszny — na cmentarze. Przepełnione tramwaje dowoziły ludzi na Powązki, Bródno, Wolę. Każdy z tych cmentarzy miał swój właściwy charakter. Wielki ogród powązkowski płonął tysiącami świec i zniczy, które oświetlały marmurowe pomniki rodzinnych grobowców. Pod ścianą katakumb paliły się znicze na grobach Reymonta, Żwirki i Wigury i wielu innych zasłużonych. W powietrzu unosił się zapach chryzantem.

Na cmentarzu wojskowym, kilka kilometrów dalej, harcerki porządkowały mogiły żołnierzy Pierwszej Wojny Światowej i Wojny Bolszewickiej, zapalały lampki a przed wielkim zniczem w środku cmentarza odbywał się apel poległych.

Bródno było zupełnie inne. Wzdłuż szerokiej alei po obu stronach siedzieli żebracy. Stuletnie babki sepleniące zdrowaśki za

zmarłych i przekleństwa na żywych, którzy je mijali nie dając jałmużny. Dziady cmentarne o skołtunionych brodach i zaczerwienionych oczach, groźni i zaczepni z kosturami w rękach, kaleki bez rąk i nóg, ślepcy, paralitycy i wszelkie nieszczęście ludzkiego plemienia obnażające swoje ułomności, domagało się wsparcia ofiarując w zamian pacierze. O żebrakach cmentarnych krążyły legendy, że wielu z nich to bogacze, którzy czerpią ze swego rzemiosła niezłe dochody, że symulują kalectwo, że posuwają się nieraz do okrucieństwa kalecząc własne dzieci, żeby budziły litość przechodniów. Stąd na głównej alei panował zgiełk i tumult, płacz, nawoływania. Rozległy cmentarz wchłaniał w boczne alejki rodziny robotnicze, uboższych rzemieślników, którzy tu właśnie chowali swych zmarłych. Jarzyły się tysiącami świeczki maleńkie ustawione na mogiłach najwyżej obłożonych darnią, przyodobionych żelaznym krzyżem i blaszanym wieńcem.

W tych odległych czasach panował w Warszawie ustalony porządek uroczystości i ustalony przydział miejsca po śmierci. Kiedy przyszła wojna, porządek ten się zachwiał. Śmierć przychodziła ciągle i wszędzie. Cmentarze wdarły się do środka miasta, były w czasie oblężenia na każdym skwerku i podwórku. Chowano ludzi tam, gdzie zastała ich śmierć, albo i nie chowano, gdyż zburzony dom stawał się dla nich wspólną mogiłą. Po kapitulacji przenoszono zwłoki na cmentarze, czasem do zbiorowych grobów.

Przychodziły kolejne święta wiellkanocne. W kościołach urządzano groby, skromniejsze, mniej pachnące ale za to symboliczne. Figura Chrystusa spoczywała pod murem z czerwonej cegły, na którym widać było ślady kul, albo za drutami kolczastymi. W tle widniały postrzępione kontury zburzonych domów, podświetlone czerwoną łuną. Był to wyraz żałoby narodowej i męczeństwa. Granitowy Chrystus sprzed kościoła Św. Krzyża wyciągniętą ręką wołał o pomstę do nieba.

Śmierć chodziła ciągle po mieście w mundurze SS-mana, na ulicach umierali ludzie, ale grobów nie było. W miejscach straceń leżały kwiaty. Na całej trasie od Placu Trzech Krzyży do Nowego Miasta było tych miejsc uświęconych krwią wiele, dużo więcej niż kościołów.

Śmierć przychodziła do domów w urzędowym zawiadomieniu z obozów koncentracyjnych i pachniała dymem z krematoriów. Kalecy bez rąk i nóg w wojskowych mundurach stali teraz na każdej ulicy i śpiewali piosenki wojskowe lub sprzedawali grzebienie.

W roku 44-tym cmentarze zagarnęły miasto zupełnie, śmierć przeszła jak średniowieczny mór i jak w czasach zarazy nie było

trumien dla zmarłych. W pierwszych dniach powstania odbywały się jeszcze pogrzeby z księdzem i z trumną, mową żałobną i krzyżem. Potem zabrakło księży i trumien. Wkładano butelkę z kartką z nazwiskiem do kieszeni kurtki zmarłego i zakopywano, potem już i na to nie było czasu, zresztą iluż było nieznanych poległych.

Wielkie miasto-cmentarz opustoszało. Wiatr październikowy i listopadowy deszcz śpiewał zmarłym „Requiescat", a zamiast zniczy płonęły nieustannie pożary. Kościoły sterczały zburzonymi ścianami i resztkami wież zmieniając pejzaż miasta.

Powracający w styczniu warszawiacy znajdowali obok zburzonych domów mogiły. Dobrze, jeżeli wiadomo było czyje, uchował się krzyż z drewnianą tabliczką i z napisem zrobionym chemicznym ołówkiem, którego nie zmył deszcz. Takich grobów było niewiele, najczęściej nie było ich wcale. Poprzyklejane na murach wisiały tragiczne nekrologi:

— Babcia, mama i Romek leżą tu pod gruzami. Ja wyjeżdżam. Nie wiem dokąd. Zbych.

— Tolka zasypało w piwnicy na Pięknej. My wychodzimy. Kwiatkowscy.

— Jurek zginął w kanałach. Zocha.

Nie było najbliższych, nie było nawet ich mogił. Dokąd teraz chodzić w Zaduszki? Gdzie położyć kwiaty, zapalić świeczkę? Tylko pustka, kupa gruzów, śmierć.

I oto rosną nowe cmentarze. Koło szpitala na Okęciu pojawiają się pierwsze groby. To ci, którzy uciekli śmierci w konającym mieście i nie mieli siły dotrwać do wyzwolenia, skapitulowali. Na tabliczkach nagrobnych uważny obserwator dostrzeże dziwne i w pierwszej chwili niezrozumiałe: Śp. ... zmarł śmiercią tragiczną dnia 16 września 1944 r. Gdzieindziej 25 sierpnia, albo 4 września. Przecież to dni powstania, a ci chłopcy byli tam i tam zginęli. Wiadomo, że ich nie można było odnaleźć, więc? Ich tu rzeczywiście nie ma. Groby potrzebne są matkom, żonom, rodzinom. Tu przychodzą, przynoszą kwiaty, tu się modlą. Takich symbolicznych grobów jest w Warszawie coraz więcej, znajdziemy je na wszystkich cmentarzach, żeby byli wśród swoich, razem.

W obawie przed epidemią zaczęła się akcja ekshumacji. Nieliczni tylko mogli odnaleźć zwłoki swoich bliskich i przenieść je na cmentarze. Wielu zapisywało się do brygad ekshumacyjnych w nadziei, że w czasie odkopywania trupów znajdą swoich. Była to najbardziej makabryczna czynność jaką można sobie wyobrazić. Z otwartych dołów rozchodził się mdlący trupi zapach, zapierający oddech. Trzeba było wiele silnej woli, żeby nachylić się i zajrzeć do środka, poruszyć rozkładającą się szarobrunatną, galare-

towatą masę, która mogła się okazać w każdej chwili ciałem ojca, matki lub brata.

Maciek znalazł grób swego ojca przed domem na skwerku nie uszkodzony. Droga na Powązki była daleka. Trzeba było znaleźć wóz, postarać się o nową trumnę, gdyż ta, w której był pochowany mocno nadgniła i nie można jej było bezpiecznie przewieźć.

Kondukt posuwał się powoli wśród pustych ulic. Koń potykał się o sterty cegieł, omijał wyrwy na jezdni, wóz podskakiwał na nierównościach. Minęło kilka godzin zanim dobrnęli na Powązki. Cmentarz był częściowo zbombardowany. Mijali wiele otwartych grobów. Tu i ówdzie widać było roztrzaskane trumny i rozrzucone kości.

Zmęczony ksiądz odprawił krótkie egzekwie i podszedł natychmiast do drugiej mogiły, gdzie po raz nie wiadomo który w tym dniu odmówił modlitwę, aby pójść z ostatnią posługą znowu dalej i dalej.

Ekshumacje odbywały się teraz planowo dzielnicami. Ukazywały się ogłoszenia, w jakiej dzielnicy i kiedy odkopywać się będzie groby i ludzie szli tłumnie asystować przy tym w nadziei, że może akurat trafią na bliskich.

W tym czasie Gienia dostała list od cioci Malinowskiej z Krakowa z prośbą, żeby szukała Tadzika. Znak rozpoznawczy — medalik ze św. Krzysztofem.

Na Sadybie kopano w kwietniu. Prace miały trwać parę dni, a z Warszawy trzeba było przyjść pieszo, stawić się wcześnie rano na miejscu i czekać może cały dzień nie odchodząc ani na krok, a potem może drugi albo trzeci.

Jest godzina 9 rano, wieje zimny wiatr, na niebie wiszą ciężkie chmury. Nadjeżdża ciężarówka. Wyskakują ludzie w waciakach z łopatami i z kilofami. Z szaferki wysiada kobieta — lekarz w fartuchu i jakiś mężczyzna w prochowcu przewiązanym paskiem, w czerwonym szaliku i w czapce wojskowej, to kierownik ekipy.

— Proszę się rozstąpić, kopiemy tutaj.

— Proszę nie podchodzić blisko, będziemy głośno podawali opis zwłok — mówi kierownik.

Ludzie biorą narzędzia. Pierwsze grudy stwardniałej ziemi padają na bok. W tłumie poruszenie, wymiana zdań. Jakaś kobieta zaczyna płakać. Odkopują mogiłę zbiorową. Po kilku minutach ukazuje się noga w bucie, kopią dalej, drugiej nogi nie ma, jest brunatna masa tułowia. Głowa nie do poznania, nie można rozróżnić rysów twarzy. Wiatr niesie mdlący znany zapach. Lekarka wkłada gumowe rękawiczki, oddziela kieszenie, materiał jest

zbutwiały, rozłazi się jak papier. W kieszeni jest portfel, zawartości nie można ustalić, jakieś papierki bez koloru. Lekarka zaczyna opis.

— Mężczyzna bez nogi, w bluzie niemieckiej (poznaje po guzikach), włosy jasne, zęby nie uszkodzone, brak znaków szczególnych, wiek około 20 lat.

W tłumie cisza, nikt nie przyznaje się do zmarłego, odkładają na bok. Żołnierz nieznany.

Następny. — Mężczyzna szatyn. Zwłoki nie uszkodzone. Medalik na piersi. Gienia słucha uważnie, podpowiada.

— Proszę zobaczyć, jakiego świętego przedstawia.

Lekarka podnosi medalik, czyści go gałgankiem.

— Nie mogę poznać, rzadko spotykany wizerunek.

— Zobaczę sama. Gienia zbliża się do zwłok. Robi jej się słabo.

Na brązowej twarzy zatarte rysy, obnażone zęby i fetor okropny. Już poznała. Charakterystyczny, nieco skrzywiony ząb Tadzika na przodzie. Pochyla się jeszcze nad medalikiem, tak, nie ma wątpliwości — św. Krzysztof.

— Poznaje pani? — Pyta lekarka.

— Tak. To mój kuzyn.

W tłumie poruszenie. Zazdroszczą jej. Szczęśliwa. Znalazła. Nie przyszła na próżno. Straszny paradoks. Jakież to szczęście? Jeżeli się nie zobaczy zwłok, można mieć jeszcze nadzieję, teraz wszelka nadzieja się kończy.

— Dobrze, że cioci tu nie ma — myśli Gienia i wstrzymuje oddech.

— Może pani ciało zabrać — słyszy.

— Teraz? Przecież nie ma jak.

— No, jeżeli pani nie może, to my zabierzemy.

— Ale rodzina chce go pochować w rodzinnym grobie.

— To trzeba było przyjechać z trumną.

— Przecież nie wiedziałam, że go znajdę. Jego matka jest w Krakowie, musi przyjechać.

— No, to zabieramy, nie zostawię przecież zwłok na wierzchu. Niecierpliwi się kierownik. — Niechże pani się decyduje, musimy pracować dalej; albo pani bierze, albo nie.

Gienia jest bezradna, nie wie, co robić. Zyskała jednak sympatię zebranych. Czują jakąś wspólną więź, są w pewnym sensie jedną rodziną zmarłych. Występuje wreszcie jakiś człowiek w gumowych butach i żołnierskiej bluzie.

— Czekaj pan, wolnego. Przecież można go zakopać tu obok osobno, niech poczeka na matkę te parę dni.

— A da mi pan gwarancję, że za trzy dni będzie zabrany? Ja muszę skończyć tu do soboty. Muszę zameldować, że teren oczyszczony. W poniedziałek ekipa idzie gdzie indziej, nie będziemy zostawiać trupów po drodze.

Gienia decyduje się szybko. Tak. Wyślę depeszę zaraz, ciocia Nina przyjedzie jutro i można będzie pochować. Jeżeli nie, to załatwią to sami z Maćkiem.

— No, to niech będzie. Podpisze tu pani pokwitowanie odbioru zwłok. I niech pani zakopie tam pod tamtym krzakiem.

— Przecież sama nie poradzę, zresztą nie mam narzędzi.

— Ja pani ludzi nie dam, oni nie są od tego, kto im zapłaci?

Wtedy człowiek w gumowych butach wychodzi z tłumu, podchodzi do ciężarówki, bierze łopatę i bez słowa zaczyna kopać. Dołączył do niego drugi z ekipy.

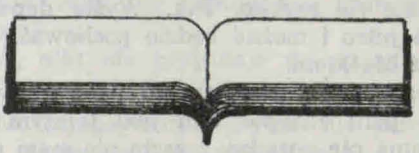
Lekarka pochyla się nad następnymi zwłokami.

— Kobieta, stara, bez zębów, przestrzelona klatka piersiowa serią w poprzek, we włosach rogowy grzebień...

Ludzie z ekipy ekshumacyjnej przenoszą Tadzika do nowej mogiły.

DANUTA SAJDAK

KRONIKA



ROK 1991

STYCZEŃ

1.I. Od 1 stycznia w sklepach Pewexu kupujemy tylko za złotówki, bowiem od tej daty przestały obowiązywać bony towarowe banku PKO S.A.

✲

2.I. Świdnicki „Iglotech" rozpoczął przygotowania do rozszerzenia asortymentu produkcji dla potrzeb służby zdrowia. Będą to duże igły chirurgiczne o specjalnych ostrzach przystosowanych do zszywania twardych tkanek oraz bardzo małe igły stosowane podczas operacji przeprowadzanych pod mikroskopem.

✲

4.I. Inauguracja świdnickiej służby zdrowia stała się faktem. Przestał formalnie istnieć Przemysłowy Zespół Opieki Zdrowotnej. W siedzibie przy ul. Kopernika pozostaną gabinety specjalistyczne oraz nowo utworzony centralny ośrodek badań kontrolnych. Zmienił się zasięg działania, bowiem prócz miasta ZOZ sprawuje pieczę nad zdrowiem mieszkańców Żarowa, Marcinowic i gm. Świdnica. Obecna baza to 3 szpitale, 4 duże przychodnie rejonowe, 9 wiejskich ośrodków zdrowia i 11 przychodni zakładowych. Dokonane zmiany mają na celu lepsze i racjonalne wykorzystanie bazy oraz kadry fachowej, zwłaszcza lekarzy specjalistów.

✲

5.I. Działający w Świdnicy Klub Federacji Konsumentów prowadzi ożywioną działalność nie tylko w obronie konsumentów, ale również potrafi docenić handlowców z prawdziwego zdarzenia. Prezesem KFK została p. Krystyna Nowicka a sekretarzem p. Czesława Bolavec.

✲

6.I. W hallu Świdnickiego Ośrodka Kultury odbyła się pierwsza w tym roku giełda staroci, numizmatów i osobliwości.

✲

7.I. W Świdnicy przez 2 dni goszczono przedstawicieli miasta Biberach (w Niemczech). Odwiedził nasze miasto pierwszy zastępca burmistrza d/s finansowych Martin Loth oraz dyrektor Miejskich Zakładów Komunalnych Wolfgang Lotz. W czasie pobytu goście omawiali formy planowanej współpracy gospodarczej, zwiedzili Fabrykę Wago-

nów, ŚFUP, ZEM oraz 2 firmy prywatne „Polrat" i „Gales". Spotkali się z Zarządem Miasta i Radą Miejską oraz Spółką „Nieruchomości Świdnickie" i Stowarzyszeniem Przedsiębiorców i Kupców. Na koniec zwiedzili Krzyżową i Zamek Książ.

✲

8.I. W sali teatralnej ŚOK odbyły się trzykrotnie audycje muzyczne dla przedszkolaków pt. „Utwory muzyczne o zwierzętach".

✲

8.I. W Galerii Sztuki ŚOK odbył się wernisaż malarski plastyka amatora Artura Fencza. Wystawa malarska nosi nazwę „Hochsztaplerstwo".

✲

9.I. W Świdnickim Ośrodku Kultury odbyło się spotkanie przedstawicieli samorządów szkolnych z terenu miasta. Głównym tematem była Sprawa pomocy szkołom, które mają zbyt mało środków budżetowych na pokrycie niezbędnych potrzeb.

✲

10.I. W sali teatralnej ŚOK aktorzy Teatru Dramatycznego w Wałbrzychu, wystawili spektakl teatralny pt. „Eimgranci" Sł. Mrożka.

✲

10.I. W Galerii Fotografii w Świdnicy zakończono międzynarodową wystawę aktu fotografików z Czechosłowacji, Niemiec i Polski.

✲

11.I. W Cierniach uruchomiono 2 studnie głębinowe, które poprawią zaopatrzenie w wodę mieszkańców Świebodzic.

✲

12.I. W Świdnicy wandale znów dali znak o sobie niszcząc na placu Grunwaldzkim metalową konstrukcję, na której była umieszczona duża tablica z planem miasta, bardzo przydatna, zwłaszcza dla przyjezdnych.

✲

13.I. W sali teatralnej ŚOK Parafialny Zespół Teatralny z Lutyni k/Wrocławia zaprezentował „Jasełka ludowe".

✲

15.I. W Świdnicy doszło do podpisania kolejnych uzgodnień pomiędzy gospodarzami miasta a przedstawicielami jednostek PGWAR w obecności pełnomocników rządów RP i ZSRR. Rosjanie definitywnie opuszczą miasto do 15 IV 91 r. i przekazują miastu 26 budynków willowych przy ul. Kościuszki i Mickiewicza, 1 pawilon handlowy, 5 budynków wielorodzinnych przy ul. H. Sawickiej i Polnej Drodze o 225 mieszkaniach, 1 budynek przy ul. Armii Czerwonej, 2 kompleksy koszar przy ul. Gdyńskiej i Parkowej oraz budynek szkoły przy ul. H. Sawickiej. Na dokumentach podpisy złożyli: w imieniu miasta — wiceprezydent Jacek Łapacz, rządu RP — płk Jan Brus, pełnomocnik rządu ZSRR do spraw pobytu wojsk AR w Polsce płk Leonid Olszewski oraz ppłk Anatolij Łymoriew.

✲

16.I. W Państwowej Szkole Muzycznej uczniowski chór, zespoły instrumentalne wystąpiły w noworocznym koncercie. Były kolędy oraz kameralne utwory różnych kompozytorów.

✲

16.I. W Świdnicy odbyło się spotkanie członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich z p. Tadeuszem Jacewiczem, redaktorem pisma „Businessman Magazine" a zarazem autorem tele-

wizyjnego programu „Business", który w ramach Świdnickiego Forum Gospodarczego dał wykład o kierunkach polityki gospodarczej w kraju.

✲

17.I. W Galerii Sztuki w Świdnicy z wieczorem aktorskim z cyklu „Na pięciolinii barw wystąpiła Anna Tokarczyk z Wałbrzycha.

✲

18.I. W sali teatralnej ŚOK z blusowymi kolędami wystąpiła Anna Orczyk z Dzierżoniowa, a towarzyszyła jej sekcja rytmiczna — kontrabas, fortepian, gitara.

✲

23.I. W sali imprezowej ŚOK ze spektaklem pt. „Blok" Stanisława Lema, wystąpili aktorzy Teatru Dramatycznego z Jeleniej Góry.

✲

19.I. W Świdnicy w wykonaniu aktorów Wałbrzyskiego Teatru Dramatycznego odbyło się przedstawienie pt. „Wariat i zakonnica".

✲

20.I. W Domu Nauczyciela odbyła się impreza mikołajkowa zorganizowana przez pracowników Hurtowni Wielobranowej „Alfa" dla dzieci najbardziej potrzebujących pomocy, opieki i ciepła. Dzieci były goszczone podwieczorkiem, obejrzały występy, otrzymały paczki ze słodyczami i upominkami.

✲

21.I. W sali imprezowej ŚOK grupa teatralna „Vacat" wystąpiła w spektaklu teatralnym pt. „O miłości".

✲

21.I. Na Sesji Rady Gminnej w Świdnicy postanowiono przejąć od Armii Radzieckiej tereny w obrębie wsi Witoszów Dolny i pod Modliszowem. Teren o powierzchni 81 ha będzie przywracany rolnictwu, natomiast obiekty przekazane będą na działalność gospodarczą. Ponadto na Sesji wybrano nowych członków zarządu: G. Bekasa, L. Laskowskiego i J. Żydka.

✲

21.I. Rada Pracownicza ZEM „Polmo-Elmot" wystąpiła do Ministra Przemysłu o odwołanie dyrektora naczelnego pana Stefana Buraka. Od tego dnia b. dyrektora zawieszono w czynnościach. Pełnienie obowiązków dyrektora powierzono p. Mieczysławowi Ilczyszynowi.

✲

29.I. W Świdnicy odbyła się Sesja Rady Miejskiej, na której prezydent miasta Jacek Drobny, złożył sprawozdanie z prac zarządu miasta. Podjęto szereg postanowień w zakresie sprzedaży użytkowych zasobów mieszkaniowych, przyjęcia przedszkola dawnego PGKiM, zakupienia mikrobusu, nowych stawek różnych opłat, powołano komisje do spraw nazewnictwa ulic, przyznano dotację (25 mln zł) akcji ferii zimowych.

✲

24.I.W Świdnicy — muzycznym wydarzeniem miesiąca był rewelacyjny duet gitarowy — Jarosław Traliński i Jacek Kulczyński z Wrocławia.

✲

24.I. W Świdnicy decyzją Rady Miasta odbył się pierwszy przetarg ograniczony na sprzedaż 29 mieszkań odzyskanych od P.G. Wojsk Armii Radzieckiej. Mogli do niego startować mieszkańcy miasta po wpłaceniu wadium w wysokości 15 mln zł. W ciągu 4 godzin sprzedano 15 mieszkań za kwotę 1 mld 225 mln zł. Pozostałe lokale, które nie znalazły nabywców, będą sprzedawane na przetargach.

24.I. W Marcinowicach odbyło się spotkanie władz gminnych i komisji oświaty i kultury z przedstawicielami kuratoriów, wizytatorami delegatury świdnickiej i dyrektorami szkół. Dyskutowano o budowie szkoły w Marcinowicach, podziale kompetencji, zasadach współpracy i finansowania szkół. z pieniędzy gospodarstw pomocniczych oraz innych sprawach z zakresu oświaty.

✲

25.I. Uczniowie I LO im. J. Kasprowicza już uczą się w nowej siedzibie, to jest w opuszczonym przez wojska radzieckie Domu Oficera przy ul. Pionierów. Przez kilka miesięcy przeprowadzono najważniejsze roboty remontowe i zabezpieczające, które pochłonęły 170 mln zł. Prócz środków finansowych otrzymanych z kuratorium, pomocy materialnej, sprzętu itp. udzieliły: Fabryka Wagonów, ŚFUP, ZWAP i Siwela. Pomagali także rodzice, uczniowie, wychowawcy.

✲

27.I. W Wojewódzkim Plebiscycie Sportowym III miejsce przypadło akrobatom świdnickim w składzie: Daniel Gutszmit, Arkadiusz Kalisz, Dariusz Szczebak, Piotr Szczygieł — mistrzowie kraju — zdobywcy I i II miejsca w Pucharze Polski. VI miejsce zdobyła natomiast Dorota Sniewicz — siatkarka — najlepsza zawodniczka zespołu, reprezentantka kraju. W/w są zawodnikami Klubu „Polonia" Świdnica. W grupie trenerów na V miejscu uplasował się Emil Szczęsny — trener świdnickich akrobatów.

✲

28.I. Świdnicki Oddział PCK zebrał i przekazał na pomoc dla Litwinów 4 200 tys. zł w gotówce oraz różne dary w naturze.

✲

29.I. Podczas zimowych ferii szkolnych dla dzieci pozostających w mieście ŚOK, Dom Kultury Dzieci i Młodzieży, Biblioteka Miejska, ZWAP, Klub ŚSM i OSiR zadbały o imprezy rozrywkowe. Wyświetlano ciekawe filmy, prowadzono prezentacje muzyczne, ciekawe dyskusje, organizowano dyskoteki, zabawy na lodowisku, wycieczki itp.

✲

I. Na świdnickim Rynku dobiega końca renowacja zespołu budynków wokół Ratusza, w których mają siedzibę m. in.: Muzeum Dawnego Kupiectwa, Ośrodek Kultury oraz Klub MPiK. Wszystkie budynki otrzymały świeże elewacje. Obecnie układa się wokół chodniki ze specjalnie dobranych kamiennych płyt, mając na uwadze zabytkowy charakter kompleksu.

✲

I. Galeria Fotografii Świdnickiego Ośrodka Kultury prezentuje wystawę fotografii Anatolija Suszczenki z Sachalina pt. „Płaszczyzny".

✲

I. W Domu Kultury ZWAP „Mera-Pafal" Towarzystwo Przyjaciół Lwowa urządziło opłatek. Na uroczystej kolacji pod przewodnictwem ks. Jandziszaka śpiewano kresowe kolędy, wspominano dawne dzieje i lata tułaczki.

✲

I. Przedsiębiorstwo Robót Drogowych i Instalacyjnych wykonało bezpłatnie drogę do domków przy ul. Wrocławskiej. Dzięki temu gestowi budżet miasta zaoszczędził 64 mln zł, a mieszkańcy otrzymali w darze wygodne dojście i dojazd do swych domów.

I. Zmarł Ludwik Tyński — człowiek nierozerwalnie związany z historią Świdnicy, artysta malarz, który uwiecznił na płótnie zabytki architektury świdnickiej. Malował głównie pejzaże i portrety. Jego obrazy znajdują się w prywatnych zbiorach w kraju i za granicą. Do końca swoich dni nie rozstawał się z pędzlem i sztalugą. Żył 66 lat.

✲

I. W Świdnicy prywatyzacja handlu ma gwałtowny przebieg, już niewiele zostało w mieście sklepów państwowych czy spółdzielczych. Nie uszczęśliwia to w pełni konsumentów, gdyż ceny są coraz wyższe i do tego w każdej placówce inne.

✲

I. Spółka „Saxon" z Jaworzyny Śl. przekazała bezpłatnie Radzie Wojewódzkiej LZS 15 kompletów strojów sportowych wartości 1,5 mln złotych oraz 12 mln zł na obóz treningowy przełajowców.

✲

I. Miasto Świebodzice otrzymało 7 miliardów zł w formie dotacji z Urzędu Wojewódzkiego w Wałbrzychu, na kontynuację budowy szkoły.

LUTY

1.II. W Świdnicy podpisano porozumienie w sprawie przejęcia rządowej administracji ogólnej przez Urząd Miasta Świdnicy. Porozumienie ze strony Urzędu Rejonowego Administracji Państwowej podpisał kierownik A. Szczepankowski, a ze strony Urzędu prezydent miasta.

✲

1.II. W Świdnicy, tak jak w całym kraju, maksymalna opłata czynszu za mieszkania kwaterunkowe wzrosła o 100 %.

✲

2.II. Prywatyzacja zatacza coraz szersze kręgi. Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej przekształciło się w spółkę akcyjną „Nieruchomości Świdnickie". Jej jedynym udziałowcem posiadającym cały pakiet akcji jest Rada Miejska. Dopiero po 2 latach 20% udziałów będzie mogła wykupić ponad 500-osobowa załoga.

✲

3.II. W Świdnicy, w mieszkaniu przy ul. Kopernika 50 nastąpił wybuch gazu. Właściciel mieszkania F.P. wchodząc do łazienki z papierosem, spowodował zapalenie się gazu nagromadzonego w pomieszczeniu. Nastąpił wybuch, w wyniku którego zburzone zostały dwie ściany i wybite wszystkie szyby. Franciszek P. został ranny lecz jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

✲

5—7.II. Na lodowisku OSiR w Świdnicy odbyły się XVI Ogólnopolskie Igrzyska Młodzieży Szkolnej. Brało w nich udział ponad 350 uczestników niemal z całego kraju. Podczas inauguracji igrzysk zaproszeni goście, publiczność i zawodnicy obejrzeli występy taneczne dzieci i młodzieży z SOK, MDK, Szkoły Podstawowej Nr 4 oraz wystawę plastyczną pt. „Sport w oczach dziecka". Zmagania sportowe odbywały się w miłej atmosferze. Wyższy poziom prezentowały dziewczęta. Na zakończenie odbyły się pokazy jazdy figurowej na lodzie. Najlepszym wręczono nagrody i medale. Najmłodsi uczestnicy otrzymali książki, których fundatorem był p. R. Grześlowski. Druga część igrzysk — dyscypliny narciarskie — odbyła się w Dusznikach.

✲

6.II. W sali imprezowej SOK w Świdnicy spotkali się uczestnicy XVI Ogólnopolskich Sportowych Igrzysk Młodzieżowych na programie

estradowym pt. „Roztańczony rejs" w wykonaniu zespołu tanecznego „Krąg" w reżyserii Marii Skiślewicz.

✲

7.II. W Świdnicy przy ul. Korczaka, koło budowanego tam szpitala, w nocy nastąpiła awaria sieci wodociągowej, w wyniku której ta dzielnica i część osiedla Młodych pozbawione były dopływu wody przez 3 dni. Naprawą zajęła się ekipa Zakładu Wodociągów i Kanalizacji. Prace trwały do późnej nocy w dniu 9..II. br.

✲

8.II. Obradowali radni Rady Miejskiej w Świdnicy; głównym tematem były podatki oraz statut „Fundacja dla Świdnicy".

✲

9.II. Zarząd Gminy Świdnica zatwierdził na sesji budżet na 1991 r. w wysokości 10 mld zł po stronie zarówno dochodów jak i wydatków.

✲

10.II. Tegoroczne ferie zimowe większość dzieci spędziła w mieście, tylko niewielka liczba szczęśliwców wyjechała na zimowiska. W celu właściwego wykorzystania czasu przez dzieci i młodzież, ŚOK, OSiR, DKDz.iM, Biblioteka Publ. i Klub Sp-ni Mieszkaniowej, wszystkie szkoły, zorganizowały różne formy wypoczynku z bogatym programem m.in. wyjazdy do Rzeczki na sanki i narty, wypady na łyżwy, udział w turniejach sportowych. Odbywały się również zajęcia świetlicowe z grami, zabawami, konkursami, balami czy oglądaniem bajek lub ciekawych filmów.

✲

12.II. W Świdnicy odbył się I-szy przegląd kabaretów pn. „Kabaretomania.

✲

12.II. Na zaproszenie Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich odwiedził nasze miasto były minister d.s. współpracy z zagranicą p. Marcin Święcicki, zapoznając członków z bieżącymi problemami gospodarki kraju. Było to kolejne spotkanie w ramach „Świdnickiego Forum Gospodarczego". Głównym tematem spotkania była współpraca gospodarcza Polski ze Wschodem i Zachodem.

✲

12.II. Świdnicki Sobotni Klub Muzyczny „Lustro" na zakończenie karnawału zorganizował tzw. „wydanie specjalne ze śledzikiem". Prócz prezentacji płyt Diany Ross oraz muzyki tanecznej z lat sześćdziesiątych odbył się pokaz tańców karnawałowych.

✲

14.II. W Świebodzicach na sesji Rady Miejskiej powołano zespół Obsługi Placówek Oświatowo-Wychowawczych łącznie ze szkołami, przedszkolami i żłobkami oraz przedyskutowano reformę w służbie zdrowia, reorganizację Urzędu Miasta i telefonizację Osiedla Piastów.

✲

15.II. W Witoszowie Górnym gm. Świdnica, burzliwy przebieg miało zebranie rolników, którzy narzekali na wysokie obciążenia podatkowe i ubezpieczeniowe, ceny nawozów i maszyn oraz fakt, że GS-y i PZZ odmawiają skupu zboża.

✲

16.II. W Świdnicy powołano wojewódzki Protestacyjny Komitet Koordynacyjny wszystkich sektorów rolnictwa, w związku z katastrofalną sytuacją ekonomiczną tego działu gospodarki. W jego skład weszli przedstawiciele z „Solidarności" RJ., PGR, RSP, ZRO, Związku Pszcze-

larzy i Spółdzielczości Mleczarskiej. Siedzibą Komitetu jest Związek Rolników Indywidualnych przy ul. H. Sawickiej 25. Komitet na swym posiedzeniu przyjął postulaty do negocjacji oraz postanowił wyegzekwować je.

✲

17.II. W Gross-Rosen — na terenie b. obozu koncentracyjnego odbyły się uroczystości upamiętniające 46 rocznicę oswobodzenia. Z różnych stron kraju przybyło 45 byłych więźniów obozu. W intencji pomordowanych w Rogoźnicy odbyła się Msza św., w której uczestniczyli byli więźniowie, wojewoda wałbrzyski, burmistrz Strzegomia i delegacja z Broumowa w Czechach.

✲

18.II. W Świdnicy od dłuższego czasu trwa akcja protestacyjna ZNP w sprawie godnych warunków życia i pracy nauczycieli. Ponieważ cele akcji nie zostały osiągnięte, pogotowie przekształciło się (w skali kraju) w Ogólnopolski Komitet Protestacyjny ZNP.

✲

19.II W Świdnicy na komendę policji zgłosił się przestraszony mieszkaniec miasta i zeznał, że parę minut po 22.00 na ulicy Esperantystów nieznany mężczyzna używając noża zrabował mu odtwarzacz video i 3 kasety wartości 2,5 mln zł.

✲

20.II. Załoga Kombinatu Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Świdnicy włączyła się do ogólnopolskiej akcji protestacyjnej. Prócz oflagowania budynków, ogłoszono czynny strajk okupacyjny. Strajkowały również załogi gospodarstw w Komorowie, Mokrzeszowie, Milikowicach i Szczepanowie.

✲

20.II. Siatkarki „Polonii" Świdnica pokonały „Gwardię" Trzebnica 3:1, 3:0.

✲

22.II. Zarząd Gminy Świdnica postanowił, że na terenach wsi dotychczas pozbawionych urządzeń wodociągowych będzie prowadzona budowa sieci wodociągowej i kanalizacyjnej. Pierwszym pozytywnym przykładem jest wieś Boleścin, gdzie każda rodzina przeznaczyła na ten cel 4 mln zł. Z podobną inicjatywą wystąpili mieszkańcy Krzczonowa.

✲

25.II. W Świdnickim Ośrodku Kultury aktorzy Teatru Animacji z Jeleniej Góry przedstawili dla najmłodszych świdniczan bajkę pt. „Tajemnica złotego klucza".

✲

25.II. W Świdnicy na budynkach szkolnych powiewają biało-czerwone flagi na znak protestu wobec zwlekania z waloryzacją płac dla nauczycieli.

✲

25.II. W Świdnicy przy ul. Mennickiej 4 młodych mężczyzn dokonało bestialskiego napadu na szesnastoletnią dziewczynę, Danutę K. i okaleczyło jej twarz ostrym narzędziem. Dziewczyna przebywała w szpitalu, a policja dokonała aresztowania 3 sprawców.

✲

26.II. Na Świdnickich bazarach jabłka kosztują tyleż co pomarańcze — 7 tys. zł za kilogram. Tego jeszcze nie było, trudno przyzwy-

czaić się do huśtawki cen, zwłaszcza na artykuły spożywcze, warzywa i owoce.

✲

27.II. W sali imprezowej ŚOK w spektaklu teatralnym pt. „Monachomachia" I. Krasickiego wystąpili aktorzy Tetatru im. C. K. Norwida z Jeleniej Góry.

✲

II. Młodzież klas maturalnych świdnickich szkół średnich rozpoczęła balowanie na studniówkach, bowiem już tylko 100 dni pozostało do pierwszych egzaminów maturalnych.

✲

II. W Szkole Podstawowej Nr 4 założony został dziecięcy zespół tańca towarzyskiego. Prowadzi go W. Skiślewicz.

✲

II. Spółdzielnia „Nowe Życie" kiedyś ubierała Polki, jak również produkowała na eksport. Ostatnio sytuacja diametralnie się zmieniła, w tej firmie szyje się wyłącznie na eksport z powierzonych materiałów i dodatków dla odbiorców z Niemiec, Anglii, Francji i Szwajcarii. Natomiast na rynek krajowy trafiają znikome ilości odzieży opartej o wzornictwo zachodnie.

✲

II. W gminie Świdnica Koło Gospodyń Wiejskich zorganizowało ciekawą imprezę w świetlicy w Pogorzale. Wystąpiły ludowe zespoły artystyczne z Lutomii Dolnej, Słotwiny i Mokrzeszowa. Odbyła się także zabawa wieńcząca koniec karnawału.

✲

II. W gminie Marcinowice zapadły już decyzje o instalacji lamp ulicznych w Zebrzydowie — ostatniej wsi w gminiej, w której nie ma tego typu oświetlenia.

✲

II. W Świebodzicach — pierwszym oficjalnie zarejestrowanym uchodźcą ze Związku Radzieckiego jest dwudziestoczteroletni lekarz-pediatra Konstantin Martynow z Doneicka. Zarząd Miasta dał mu zakwaterowanie, pracę w ZOZ oraz wystąpił z wnioskiem o kartę stałego pobytu.

MARZEC

1.III. W sali imprezowej ŚOK artyści scen warszawskich wystąpili dla małych mieszkańców naszego miasta ze spektaklem teatralnym pt. „Zima w wiosce Smerfów".

✲

1.III. W Świdnicy z powodu złego stanu budynków i zagrożenia pożarowego, zamknięto 2 żłobki: przy ul. Konopnickiej i pl. Wojska Polskiego, a zatem ich sieć kurczy się coraz bardziej.

✲

1.III. W Szkole Podstawowej Nr 3 funkcjonuje klasa alternatywna. Uczęszcza do niej 15 pierwszoklasistów. Rodzice płacą po 20.000 zł miesięcznie. Stanowi ona zalążek pierwszej w mieście szkoły społecznej.

✲

2.III. W Galerii sztuki Nieprofesjonalnej w Świdnicy zorganizowano pośmiertną wystawę prac malarskich Ludwika Tyńskiego — piewcy krajobrazu i zabytków świdnickich. Goście wernisażu uczestniczyli w losowaniu obrazów oraz wzięli udział w wieczorze wspomnień o artyście. Organizatorami byli: ŚOK i galeria „Vitro-Art".

✲

2.III. W Świdnicy odbył się I Zjazd Hufca ZHP zrzeszającego w swych szeregach harcerzy ze Świdnicy, Jaworzyny Śl., Marcinowic, Dobromierza i innych gmin. W trakcie obrad zreorganizowano dotychczasową strukturę. Powołano nową Komendę Hufca i Komisję Rewizyjną. Komendantem hufca został ponownie hm Piotr Pamuła, przewodniczącym Komisji Rewizyjnej — Barbara Strzelecka. Komenda Hufca posiada obecnie 10 instruktorów, a Komisja Rewizyjna — 7.

✲

3.III. Pogoda kilku ubiegłych dni choć chłodna, wskazuje na przyjście przedwiośnia. Na Świdnickich placach handlowych pojawiły się bazie i krokusy. W ogrodach działkowych rozpoczęto prace porządkowe.

✲

4.III. W sali teatralnej ŚOK z recitalem pt. „Za ścianą sali balowej" wystąpiła Kasia Kajder ze Studium Nauczycielskiego w Świdnicy.

✲

5.III. ZOZ w Świdnicy jest w bardzo trudnej sytuacji finansowo-kadrowej, która paraliżuje działalność do tego stopnia, że dyrektor naczelny wybrany na to stanowisko w drodze konkursu, pół roku temu, złożył rezygnację.

✲

7.III. Zespół „Polonii" Świdnica rozegrał mecz piłkarski z drużyną „Polaru" Wrocław inaugurując wiosenną rundę spotkań w klasie międzyokręgowej. Mecz wygrano zasłużenie w dobrym stylu 3:1.

✲

7.III. W świetlicy hotelu sportowego w Świdnicy odbył się Sejmik Kultury Fizycznej. Głównym tematem spotkania były sprawy organizacji i finansowania sportu i rekreacji na terenie naszego miasta.

✲

8.III. W sali teatralnej ŚOK przez dwa dni odbywały się eliminacje rejonowe Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

✲

9.III. W Kawiarni „Casanowa" z premierowym repertuarem poetycko-muzycznym pt. „Jeśli miłość jest" wystąpił Piotr Plesner — krakowski grafik i scenograf. Występ ten połączony był z wernisażem jego twórczości.

✲

9.III. W klubie przy ul. Marchlewskiego odbył się finał międzyzakładowego turnieju rekreacyjnego dla pracowników ZWAP „Mera-Pafal". W 5 zespołach reprezentujących produkcję i administrację, zwyciężyła administracja. Uczestnikom wręczono puchary i nagrody.

✲

10.III. Do Świdnicy wcześniej niż w kalendarzu zawitała wiosna, ale tradycyjnych porządków jeszcze nie widać, choć proszą o to ulice, podwórka, klatki schodowe.

✲

10.III. W Świdnicy przy ul. Kopernika 11-letnie dziecko na rowerze wyjechało nagle na jezdnię wprost pod nadjeżdżający samochód. Dziecko z obrażeniami ciała przewieziono do szpitala.

12.III. Na posiedzeniu Klubu „25" przyjęto w poczet członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich nowych przedsiębiorców. Byli nimi panowie: Leszek Mazurek (firma „Belimor"), Bogdan Błaszczyk (prezes GS — Świdnica), Henryk Pawłowski (gospodarstwo ogrodnicze), Jerzy Skonieczny (zakład usługowy), Bogdan Grabowski („Cormax" — ska z o.o.), Andrzej Hołowański (gospodarstwo sadownicze). Złożono życzenia najlepszych osiągnięć w biznesie i pracy w Stowarzyszeniu.

✲

15.III. W Świdnicy w biały dzień o godz. 15.00 nieznany sprawca w wieku około 16 lat pchnął nożem przechodzącą ulicą Nadbrzeżną trzydziestosiedmioletnią kobietę R.O. i ukradł jej torebkę zawierającą 10 tys. zł. Kobietę w stanie szoku ze znacznym upływem krwi przewieziono do szpitala.

✲

15.III. Siatkarki „Polonii" Świdnica zdobyły kolejne punkty w 2 wygranych meczach z „Zelmerem" Rzeszów, wynikiem 3:1, 3:0.

✲

15.III. Wiosna najwcześniej zawitała na stragany. Cieszą oczy szklarniowe pomidory, ogórki, szczypiorek, sałata, a nawet pokazują się kalafiory. Niestety nie często warzywa te trafiają na stół przeciętnego mieszkańca, bowiem ich ceny są horrendalne, za wyjątkiem szczypiorku, którego pęczek kosztuje 2,5 tys. zł i sałaty — główka 5 tys. zł.

✲

17.III. Na zakończenie rozgrywek II ligi siatkarki „Polonii" stoczyły dwa zwycięskie pojedynki z drużyną „Metalu" Kluczbork wygrywając 3:0 i 3:1.

✲

17.III. Na sesji Rady Miejskiej dokonano oceny wykonania budżetu za 1990 r. Osiągnięto nadwyżkę budżetową w wysokości 1,7 mld zł. Mimo to były kłopoty z uzyskaniem absolutorium dla władz miejskich. Do dymisji podali się prezydent i wiceprezydent. Rada Miejska podzielona na dwa obozy nie jest w pełni jednomyślna. Ciąg dalszy sesji odłożono na 25.III.

✲

18.III. W świdnickim Ośrodku Kultury młodzi świdniczanie obejrzeli bajkę „Królowa Śniegu"w wykonaniu zespołu Teatru Lalek w Wałbrzychu.

✲

18.III. W Milikowicach na przystanku, 2 chuliganów napadło na kierowcę kursowego autobusu z MPK w Świdnicy i zabrało mu 500 tys. złotych. W wyniku błyskawiczych działań, Milicja ujęła jednego ze sprawców.

✲

19.III. Minęło 10 lat jak m/s „Świdnica" został sprzedany greckiemu armatorowi „Greconiar Skipping Agency Ltd." i nazwany „Kostis". Wówczas po raz ostatni wypłynął pod biało-czerwoną banderą z ładunkiem rudy sławiąc imię naszego miasta.

✲

27.III. Świdnicka młodzież obchodziła dzień wagarowicza o bardzo urozmaiconym repertuarze; m. in. miały miejsce: estradowy show połączony z wyborami „miss wiosna-1991", koncert gitarowy J. Tralińskiego i J. Kulczyńskiego, pokazy mody erotycznej, tańców towarzyskich, wystawa kwiatów jedwabnych.

21.III. Na sesji Rady Miejskiej w Świebodzicach — przekształcono w zakłady budżetowe ZPC „Śnieżka", FUKW „Klimator" oraz Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, które będą obecnie rozliczane z budżetu miasta i będą zwolnione od popiwku. Ponadto na tejże sesji udzielono absolutorium Zarządowi Miejskiemu oraz zatwierdzono plan społeczno-gospodarczy na r.b.

✲

22.III. Muzyczny Klub „Lustro" przedstawił program poetycko-muzyczny pt. „Jeśli miłość jest" w wykonaniu Bożeny Kuźmy, Agnieszki Rozwens i Joanny Piotrowskiej. W programie było też „sto pytań do Miss" i konferencja prasowa z „Miss wiosna-1991".

✲

23.III. W sali teatralnej ŚOK odbył się Show Andrzeja Rosiewicza pt. „Rosiewicz na prezydenta".

✲

23.III. Pracownicy świebodzickiej Poczty okupowali budynek Ratusza protestując przeciwko niezastosowaniu kary aresztu wobec sprawcy napadu na jedną z pracownic tamtejszej Poczty. Prokuratoura Rejonowa zarządziła aresztowanie winnego napadu.

✲

22.III. Rolnicy Mokrzeszowa, Marcinowic, Jawornika i Świdnicy przez 3 godziny blokowali drogi. Do przejazdu dopuszczone były pojazdy uprzywilejowane, tzn. radiowozy policyjne, karetki pogotowia, autokary z dziećmi.

✲

24.III. W Świdnicy zakończyły się rozgrywki tenisa stołowego w ramach ligi TKKF oraz Grand Prix naszego miasta. W klasyfikacji drużynowej zwyciężyła reprezentacja Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego przed Fabryką Wagonów „Świdnica" i zespołem Dolnośląskich Zakładów Magnezytowych.

✲

24.III. Na boisku sportowym odbył się mecz piłki nożnej świdnickiego zespołu „Polonii" z liderem klasy międzyokręgowej, drużyną BKS Bolesławiec. Świdniczanom udał się rewanż za jesienną porażkę, bowiem pokonali lidera 2:0.

✲

25.III. Na sesji Rady Miejskiej radni ostatecznie udzielili władzom miejskim absolutorium, a dotychczasowy prezydent, Jacek Drobny wycofał wniosek o odwołanie go z zajmowanego stanowiska.

✲

25.III. W Świdnicy odbyło się I walne zebranie oddz. miejskiego Porozumienia Centrum. Wybrano nowy zarząd. Przewodniczącym Świdnickiego PC został Wiesław Rybiński, czł. międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" przew. kom. zakł. w ŚFUP. Wiceprzewodniczącym — Michał Ossowski z-ca dyr. I LO — czł. zarządu „Solidarności" Pracowników Oświaty i Wychowania Ziemi Świdnickiej, skarbnikiem — Ryszard Korczak, rencista, b. prac. ŚFUP.

✲

26.III. W Świdnicy w rozgrywkach koszykówki szkół ponadpodstawowych wśród dziewcząt zwyciężyła ekipa II LO. II miejsce przypadło Studium Nauczycielskiemu, a III Liceum Medycznemu. Wśród chłopców natomiast I miejsce zajął zespół Szkół Mechanicznych przed II LO. W finałach rejonowych drużyny naszego miasta zdobyły dwa pierwsze miejsca.

27.III. W siedzibie Cechu Rzemiosł Różnych w Świdnicy przedstawiciele świdnickiego rzemiosła spotkali się z delegacją rzemieślników z Francji. Zagraniczni goście przyjechali w celu zapoznania się z potencjałem tutejszego rzemiosła oraz konkretnymi propozycjami. Po wymianie poglądów ustalono propozycje dot. wystawy polskich wyrobów we Francji i obustronną wymianę personalną.

✲

28.III. W Świebodzicach został wyłożony do publicznego wglądu projekt planu szczegółowego zagospodarowania przestrzennego miasta w celu zgłaszania ewentualnych wniosków bądź uwag do opracowania.

✲

30.III. W Dolnośląskich Fabrykach Mebli dobiegła kresu ich długoletnia działalność, bowiem dotąd zjednoczone fabryki z siedzibami w Świdnicy, Świebodzicach, Bystrzycy Kłodzkiej i Lubawce, zaczęły funkcjonować samodzielnie. Podzielono majątek, a każdy zakład pozostał przy swojej specjalizacji produkcyjnej. Świdnica zatem produkować będzie zestawy sypialne i drobne pojedyncze meble.

✲

III. Przy poparciu świdnickiego Ośrodka Sportu i Rekreacji weźmie udział w jednej z wypraw krajowych w Himalaje mgr Piotr Snopczyński. Jeśli sponsorzy pomogą sfinansować marzenia, będzie to pierwsza próba zdobycia Mont Everestu przez świdniczanina.

✲

III. Rada Miejska w Świdnicy podjęła uchwałę o nieodpłatnym przekazaniu budynku przedszkolnego (z mienia po Armii Radzieckiej) na rzecz Świdnickiej Fundacji Pomocy Biednym Dzieciom z przeznaczeniem na Rodzinny Dom Dziecka.

✲

III. Prezydent m. Świdnicy, mgr J. Drobny, w okresie I kwartału spotkał się z młodzieżą klas przedmaturalnych w następujących szkołach: Liceum Zawodowym przy ZEM, I LO im. J. Kasprowicza, Studium Nauczycielskim, Technikum Budowlano-Elektrycznym. Spotkania odbywały się pod hasłem: Żaden polityk nie może działać w oderwaniu od swoich wyborców lub ludzi, dla których pracuje.

✲

III. W gminie Marcinowice niemal we wszystkich podległych miejscowościach prowadzi się prywatyzację sklepów, klubów i gospodarstw.

✲

III. Świdnicki Oddział Polskiego Czerwonego Krzyża w okresie I kw. 1991 r. wydatkował 59.261 tys. zł na dożywianie dzieci najbiedniejszych w szkołach podstawowych, wydając im 16.482 posiłków.

KWIECIEŃ

2.IV. Miejski Rejon Dróg i Mostów w Świdnicy został postawiony w stan likwidacji. Rejon stanął przed groźbą bankructwa, a jego ponad 50 osobowa załoga — utratą pracy.

✲

2.IV. We współzawodnictwie wojewódzkim „O zdrowie i sprawność załogi" I miejsce zajął świdnicki ZWAP „Mera-Pafal".

✲

3.IV. Świdnicka Oczyszczalnia Ścieków, dzięki zabiegom władz miasta i poparciu wojewody wałbrzyskiego znalazła się na I miejscu hierarchicznej listy zadań, co oznacza, że Narodowy Fundusz Ochrony

Środowiska i Gospodarki Wodnej przeznaczył fundusze na dokończenie inwestycji ze względu na stan zaawansowania robót i charakter budowanej oczyszczalni w tut. podregionie. Przeznaczono też środki na zweryfikowanie założeń projektu części biologicznej oczyszczalni.

✲

4.IV. Dolnośląskie Zakłady Przemysłu Cukierniczego „Snieżka" w Świebodzicach w ramach przekształceń własnościowych stały się zazakładem budżetowym miasta, przy zachowaniu dotychczasowej nazwy i asortymentu produkcji.

✲

5.IV. Obchodzono pierwszą rocznicę istnienia Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich, które przyczyniło się do podniesienia prestiżu miasta w skali kraju. Inaugurację drugiego roku uświetnił bankiet wydany w kawiarni „Casanova" oraz występy kabaretu „Elita".

✲

6.IV. W Świdnicy odbył się rejonowy przegląd szkolnych zespołów artystycznych. Obejmował on młodzież z miasta i gminy Świdnica, Jaworzyny Śl., Marcinowic, Dzierżoniowa, Bielawy, Świebodzic, Żarowa, Strzegomia, Pieszyc, Niemczy, Dobromierza i Piławy.

✲

7.IV. Piłkarska jedenastka „Polonii" Świdnica sprawiła tęgie lanie drużynie „Łużyce" Lubań odnosząc zwycięstwo 5:1. Należy podkreślić, że Świdnica uplasowała się w tabeli ligi międzyokręgowej na II miejscu.

✲

9.IV. W Świdnicy odbyło się walne zgromadzenie rzemieślników z Cechu Rzemiosł Różnych. Głównym tematem obrad było sprawozdanie z działalności za rok 1990. Sprawozdawcą był starszy Cechu, p. Edward Czerniec. Zasłużeni rzemieślnicy w liczbie 20 osób uhonorowani zostali odznaczeniami resortowymi.

✲

10.IV. W sali imprezowej ŚOK aktorzy Teatru Dramatycznego w Wałbrzychu wystawili sztukę teatralną pt. „Tato, tato, sprawa się rypła" napisaną przez świdniczanina R. Latkę.

✲

12.IV. W Świdnicy, zgodnie z decyzją Rady Miejskiej, Bank Gospodarki Żywnościowej wzbogacił się o prawie 500 m kw. powierzchni biurowej w budynku przy ul. Łukowej.

✲

13.IV. W sali lustrzanej ŚOK odbył się koncert pt. „Tak ma być", w wykonaniu zespołu muzycznego z Dzierżoniowa, poświęcony muzyce lat sześćdziesiątych i piosenkom beatlesów.

✲

14.IV. Świdniczanin Piotr Gilko, pracownik Nieruchomości Świdnickich S.A., został wybrany na przewodniczącego nowo powołanej sekcji branżowej pracowników GKiM NSZZ „Solidarność" województwa wałbrzyskiego.

✲

15.IV. W Świdnickiej Fabryce Urządzeń Przemysłowych za pośrednictwem zakładowego radiowęzła przeprowadzili rozmowy z załogą senator prof. Włodzimierz Bojarski i poseł Marian Kowal. Mówiono o sytuacji ekonomicznej społeczeństwa, prywatyzacji, o perspektywach handlu z krajami byłego ZSRR.

15.IV. W Świdnicy przy ul. Towarowej, GS Samopomoc Chłopska buduje sporym nakładem sił i środków ubojnię zwierząt rzeźnych. Dzienna wydajność tego zakładu to ubój 40 szt. trzody chlewnej i 10 sztuk bydła.

✲

18.IV. Zamiast rozkwitu wiosny, trzeba było zanotować powrót zimy. Na nie oczyszczonych drogach jeździło się ciężko, bo pługi i piaskarki odpoczywały.

✲

19.IV. W Świdnicy odbył się VIII Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność" Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Wzięli w nim udział m. in. przew. Komisji Krajowej Solidarności M. Krzaklewski, przew. Regionu Dolny Śląsk Tomasz Wójcik i przedstawiciele zainteresowanych ministerstw za wyjątkiem Ministerstwa Finansów, a przecież chodziło o kryteria podziału budżetu, likwidację popiwku itp. Zapowiedziano, że jeśli podjęte wnioski w ciągu 12 dni nie przyniosą oczekiwanych rezultatów — związek zmuszony będzie do podjęcia akcji protestacyjnych.

✲

20.IV. Liceum Ogólnokształcące im. J. Kasprowicza w Świdnicy gościło w dniach 12—20 kwietnia ośmioosobową delegację uczniów Eksperymentalnej Międzynarodowej Szkoły Średniej z Kokkodal w Danii, której przewodniczył pedagog Jan Thomsen. Świdniccy licealiści przyjęli gości w swoich domach, zapewniając wspólnie z dyrekcją LO atrakcyjny pobyt w naszym mieście, okolicy (Górach Stołowych, Karkonoszach i Książu).

✲

20.IV. W świdnickim NOT odbyło się spotkanie członków Stowarzyczenia Przedsiębiorców i Kupców z przedstawicielami rzemiosła polskiego: Jerzym Bartnikiem — przew. Krajowej Rady Rzem. Polskiego, Henrykiem Rozparą — prezesem Zarządu oraz przedstawicielami Wałbrzyskiej Izby Rzemieślniczej. Mówiono o konieczności integracji przedsiębiorstw rzemieślniczych i stworzeniu silnego lobby, które reprezentowałoby interesy rzemieślników.

✲

20.IV. Na VI Zjeździe Związku Ochotniczych Straży Pożarnych dla miasta i gminy Świdnica, prezesem związku został p. Franciszek Majcher. W programie przyjęto uchwałę o uaktywnieniu działalności jednostek ZOSP oraz o poprawie zabezpieczenia p/pożarowego również na terenie zakładów.

✲

23.IV. W Świdnicy muzycy Filharmonii Sudeckiej dali dwukrotnie audycje muzyczne dlla uczniów szkół naszego miasta.

✲

24.IV. W sali teatralnej ŚOK aktorzy Teatru Animacji z Jeleniej Góry wystąpili w musicalu pt. „Doktór Ojboli".
6

✲

24.IV. W gminie Świdnica odbyła się Sesja Rady Gminnej. Podstawowym tematem było sprawozdanie z wykonania planu finansowego za 1990 r., absolutorium dla zarządu, podział nadwyżki budżetowej.

26.IV. W Świdnicy przy ul. Marksa otwarto nową prywatną aptekę p.n. „Allium". Jej właścicielka, mgr farmacji Danuta Radecka, zadbała o właściwy wystrój, zestaw leków i kosmetyków, tworząc placówkę na wysokim poziomie.

✲

27.IV. W Świdnicy staraniem SOK i firmy „Digi-Tech" bardzo atrakcyjnie wypadł koncert „Bluesmania". Grało pięć zespołów z różnych stron kraju, a „rodzynkiem" imprezy był ceniony bluesman ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, Billy Ochca. Ten rodowity Indianin grał na gitarze i grzebieniu. Imprezie towarzyszyła wystawa sprzętu „Digi-Tech". Sponsorami imprezy byli także „Uniwerse compakt, Biuro Podróży „Falesa".

✲

28.IV. Na Wojewódzkiej Olimpiadzie Ekologicznej w Mokrzeszowie II miejsce wśród najlepszych młodych ekologów zdobył Andrzej Janczyszyn, uczeń I LO w Świdnicy.

✲

IV. Władze miasta, kupcy i przemysłowcy rozpoczęli przygotowania do realizacji koncepcji utworzenia świdnickiego banku. Udziałowcami byłyby miejscowe organizacje gospodarcze i jednostki samorządowe.

✲

IV. W Pszennie nastąpiła likwidacja jedynego żłobka. Zamiast niego utworzono grupę żłobkową przy przedszkolu w tej wsi.

✲

IV W Świdnicy odbyło się spotkanie przedstawicieli trzech organizacji: Towarzystwa Inicjatyw Gospodarczych z Wałbrzycha, Dzierżoniowskiej Izby Przemysłowo-Handlowej oraz Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich. Zawarły one porozumienie, zwracają się do władz naszego miasta z propozycją pomocy przy utworzeniu Banku Świdnickiego. Oferta zawierała wejście kapitału w wysokości 15 mld zł, pomoc przy organizowaniu instytucji w celu zredukowania kosztów organizacyjnych do minimum.

✲

IV. W rejonowym Biurze Pracy na koniec kwietnia było już zarejestrowanych 7066 bezrobotnych, w tym 3496 kobiet a ofert pracy było zaledwie 94.

✲

IV. W Marcinowicach otwarto w nowych pomieszczeniach, udostępnionych przez Straż Pożarną) Gminną Bibliotekę wraz z kawiarnią i licencjonowaną wypożyczalnią kaset video. W miłej uroczystości wzięli udział przedstawiciele: Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, goście z sąsiednich gmin oraz Zarząd Gminy Marcinowice. W dniu tym pożegnano odchodzącą na emeryturę p. Jadwigę Kulig — bibliotekarkę, która przez 35 lat prowadziła bibliotekę wiejską w Wirach.

MAJ

1.V. Brak pieniędzy uniemożliwia zakup analizatora „Spektrum", najbardziej nowoczesnego urządzenia amerykańskiej firmy „Abbott", która zaoferowała szpitalowi laesingową sprzedaż w cenie 39 mln zł, podczas gdy cena takiego urządzenia na zachodzie wynosi 250 tys. marek. Zwrócono się do społeczeństwa o pomoc, otwierając na ten cel konto w banku.

1.V. W Świdnicy obchody 1 maja miały nieco odmienny charakter niż w latach minionych. Działacze lewicowych organizacji politycznych, związkowych i kobiecych spotkali się w siedzibach SdRP. Pod pomnikami i na grobach weteranów ruchu robotniczego złożono wiązanki kwiatów, zorganizowane były festyny sportowo-rekreacyjne.

✲

4.V. Strażacy obchodzili swoje święto w dniu św. Floriana. Po uroczystej mszy św. odprawionej w kościele św. Stanisława i św. Wacława, ksiądz proboszcz dziekan Sosnowski poświęcił rozbudowaną siedzibę straży. W uroczystościach uczestniczyli: komendant policji Jerzy Danieluk, przew. MKK „Solidarność" Jerzy Pająkowski oraz delegacja zawodowej straży pożarnej z niemieckiego miasta Bischofsheim. Przy tej okazji 8 świdnickich strażaków otrzymało awans.

✲

4.V. Rada Miejska na wniosek zarządu miasta wybrała drugiego wiceprezydenta Świdnicy. Został nim Włodzimierz Bernacki, świdniczanin z urodzenia. Ma 32 lata, jest absolwentem II LO i Politechniki i obronił pracę doktorską w Instytucie Matematyki PAN. Tam też przez 2 lata pracował jako starszy asystent, następnie ponad rok jako prezes Świdnickiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Jest żonaty, ma 1 córkę.

✲

5.V. W kościele parafialnym w Boleścinie k/Świdnicy dokonano kradzieży obrazu Matki Boskiej z dzieciątkiem. Wartość dzieła, pochodzącego z 1911 r., wyceniono na 15 mln zł.

✲

5.V. Gmina Świdnica ogłosiła konkurs na najładniejszą wieś i zagrodę. Bierze w nim udział 30 wsi. Dla uczestników konkursu wyasygnowano 320 mln zł. Jest to powrót do tradycji sprzed kilkunastu laty.

✲

7.V. 35 uczniów kl. VIII ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Świdnicy uczestniczyło w pięciodniowej wycieczce do Paryża, zorganizowanej przez Biuro Turystyczne „Europa", mające siedzibę w naszym mieście. Młodzież wróciła zauroczona „stolicą świata."

✲

8.V. Na początku maja mocno rozhuśtały się ceny poszczególnych artykułów spożywczych, niemal w każdym sklepie na ten sam towar ceny są inne.

✲

9.V. W kościele św. Stanisława i św. Wacława w Świdnicy nieznany sprawca skradł obraz olejny przedstawiający św. Teresę z krucyfiksem i pękiem róż w dłoni, oprawiony w złoconą ramę. Wg informacji ks. proboszcza, strata sięga 10 mln zł.

✲

9.V. Na II części sesji Rady Miejskiej debatowano nad szesnastoma projektami uchwał. A oto najważniejsze: 6 dotyczyło majątku posowieckiego i form jego zagospodarowania, pozostałe — sprawy Spółki Wodno-Ściekowej Bystrzyca, najmu lokali, zatwierdzenie regulaminu organizacyjnego Urzędu Miejskiego i bloku spraw personalnych.

✲

9.V. Mali świdniczanie obejrzeli spektakl teatralny pt. „Kopciuszek" w wykonaniu Teatru Dziecięcego z MDK z udziałem Zespołu Tańca Towarzyskiego „Impuls" i „Małe tango".

10.V. Wojewódzkie Zrzeszenie LZS w Świdnicy i Wojew. Komenda Straży Pożarnej w Wałbrzychu zorganizowały w Rogoźnicy VII Wojewódzki Bieg Zwycięstwa dla upamiętnienia zwycięstwa nad hitleryzmem oraz złożenia hołdu ofiarom byłego obozu koncentracyjnego w Gross Rosen. Przed rozpoczęciem biegu złożono kwiaty przed mauzoleum i zapalono znicze.

✲

10.V. W Świdnicy zawiązała się Grupa Inicjatywna stawiająca sobie za cel powołanie Regionalnej Izby Gospodarczej. W skład Grupy weszli: Kazimierz Chmielowski (F-ka Wagonów „Świdnica"), Stanisław Szymecki („Mera-Refa" Świebodzice), Tadeusz Kruszyński („Karolina" Jaworzyna Śl.), Stanisław Hryciuk (ŻZMO), Edward Krumplewski („Mera-Fael" SA Świebodzice), Jerzy Makarski (Stowarzyszenie „Gryf" Świdnica), Edward Szywała (Stowarzyszenie Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich). Celem izby będzie ochrona i reprezentacja interesów zrzeszonych podmiotów gospodarczych wobec władz państwowych szczebla lokalnego i centralnego.

✲

11.V. Trzy dni trwała wizyta gości z zaprzyjaźnionego niemieckiego miasta Biberach. Tym razem gościem nr 1 był nadburmistrz tego miasta C. W. Hofman — twórca i propagator partnerstwa między obu miastami. Uwieńczeniem wizyty była ratyfikacja układu partnerskiego Świdnicy i Biberach. Goście zwiedzili Krzyżową, Książ, zabytki miasta. W niedzielę wzięli udział w porannej mszy. Przywieźli także dary dla miasta, tj. nową karetkę pogotowia ratunkowego oraz proporzec z herbem m. Biberach.

✲

12.V. W Pszennie rozegrany został finałowy mecz Ogólnopolskiego Turnieju Juniorów Młodszych odbywający się w ramach akcji „Piłkarska kadra czeka - 90/91". Do turnieju wojewódzkiego zakwalifikowały się drużyny ze szkoły podstawowej w Roztoce i szkoły podstaw. w Pszennie.

✲

14.V. W Galerii Sztuki ŚOK otwarto 2 wystawy plastyczne. I-sza Kena Fleminga — artysty plastyka z Wielkiej Brytanii, II-ga Gerarda Skrzyńskiego — plastyka ze Świebodzic. Artyści wystawiali prace malarskie i rysunkowe.

✲

15.V. Świdnicki „Orbis" przekształcił się na spółkę pracowniczą. Używa nadal znaku firmowego, na co uzyskał zgodę, i działa nadal w Rynku, w tym samym pomieszczeniu.

✲

15.V. Fabryka Domów Świdnickiego Przedsiębiorstwa Budowlanego w ramach niewykorzystanych mocy produkcyjnych rozpoczęła produkcję garaży z elementów prefabrykowanych o boksach pojedynczych, zespołowych, a nawet piętrowych. Chętni będą mogli nabyć garaż z elementów oraz zlecić jego postawienie.

✲

15.V. W Świdnicy odbyło się spotkanie założycielskie partii politycznej — Polskiego Forum Chrześcijańsko-Demokratycznego.

✲

16.V. W sali „Mera-Pafal" odbyło się Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Klubu Sportowego „Polonia" Świdnica. Prezes — Henryk

Rataj przypomniał sukcesy tego klubu na przestrzeni 45 lat. Po raz pierwszy przyznano honorowe tytuły członka klubu a otrzymali je: Maria Przyborowska, Apolonia Dąbrowska, Władysław Jankowiak, Czesław Rybicki, Borys Kaczmarewicz, Mikołaj Jaworski. Długoletniemu prezesowi Władysławowi Refciowi nadano tytuł honorowego Prezesa. Po głosowaniu wybrano 21-osobowy zarząd. Urzędującym wiceprezesem został Daniel Perski, związany z M.K. „Polonia" od 1974 r. Uchwalono także społeczną radę Klubu. Nowo wybranemu zarządowi życzenia w imieniu władz miasta złożył Albert Gaszyński, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w Świdnicy.

✲

18.V. W konferencji polsko-czechosłowackiej, która odbyła się w Nachodzie, w posiedzeniach grupy VII tj. Przedsiębiorczość, Handel, Usługi, przez dwa dni uczestniczyli przedstawiciele Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich, panowie: J. Kubara i J. Plebanek.

✲

18.V. W Szkole Podstawowej Nr 10 w Świdnicy odbył się II Konkurs Wiedzy o Świdnicy i Regionie Świdnickim. Organizatorami konkursu byli: Delegatura Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Towarzystwo Regionalne Ziemi Świdnickiej. Poziom wiedzy prezentowany przez młodzież był wysoki. Pierwsze miejsce zajęła reprezentacja Szkoły Postawowej Nr 9 w składzie Monika Kozłowska, Dorota Borowska, Anna Kot. II miejsce — reprezentanci Szkoły Podst. Nr 6 — Rafał Orlik, Wojciech Wojtaszek, Marek Księżarek, III miejsce zajęli uczniowie Szkoły Podst. Nr 4 — Aleksandra Netkowska, Wojciech Serwatka, Marcin Orski.

✲

18.V. W Świdnicy przy ul. Esperantystów zdarzył się tragiczny wypadek drogowy. Kierujący Fiatem 126p Adam L. zjechał nagle na lewy pas jezdni i zderzył się czołowo ze Starem-200. Kierowca poniósł śmierć na miejscu.

✲

19.V. W gminie Marcinowice odbył sięy uroczystości związane z obchodami Święta Ludowego, w których uczestniczyli: wojewoda wałbrzyski Jerzy Świteński, prezes ZWPSL Jan Łaganowski oraz przedstawiciele organizacji politycznych, społecznych i związkowych. Prócz części oficjalnej było szereg imprez na stadionie sportowym oraz różnego rodzaju kiermasze.

✲

19.V. W świetlicy ogrodu działkowego przy ul. Prądzyńskiego odbyło się zebranie sprawozdawcze zarządu POD im. ks. Bolka, na którym dokonano podsumowania działalności za 1990 rok. Konferencja podjęła stosowne uchwały, zatwierdzono plan pracy, preliminarz wydatków, wysokość opłat i pracy użytkowników na rzecz ogrodu.

✲

19.V. W Świdnicy zakończyła się wizyta trzydziestosiedmioosobowej grupy dzieci z Łotwy, którym towarzyszyło czterech opiekunów. Byli to uczniowie najmłodszych klas z polskim językiem nauczania. Gospodarzem imprezy była Szkoła Podstawowa Nr 13. Czas pobytu dzieci był urozmaicony wycieczkami, zwiedzaniem miasta, spotkaniami z rówieśnikami i pogłębieniu znajomości języka polskiego.

20.V. W sali widowiskowej Świdnickiego Ośrodka Kultury wystąpił z koncertem zespół formacji rokowej „Parsivalband" z Włoch.

✲

20.V. Rada Miejska w Świdnicy przeznaczyła nieruchomości przekazane przez Armię Radziecką następującym użytkownikom: przy ul. Stawki — na potrzeby ZOZ, przy ul. Armii Czerwonej 2 — dla Urzędu Gminy w Świdnicy, salę widowiskowo-kinową dla I LO, a nieruchomości w postaci 2 budynków koszarowych, stołówki, sali gimnastycznej i auli przy ul. Parkowej dla Oświaty wraz z blokiem mieszkalnym dla 50 rodzin nauczycielskich.

✲

20.V. Uczestnika rajdu samochodowego „Elmotu", z RFN, spotkała bardzo nieprzyjemna przygoda. Z parkingu w Zagórzu Śląskim k/Świdnicy, skradziono jego samochód porsze-turbo 944 o wartości 300 mln zł.

✲

20.V. W sali teatru SOK koncertował zespół „Parsivalband" z Cremony (Italia). Cały dochód z koncertu przeznaczony został na rzecz Fundacji Pomocy Biednym Dzieciom „Ut Unum Sint".

✲

22.V. W Świdnicy na spotkaniu kierownictw NSZZ „Solidarność", RI, PSL, PSL „Solidarność" zadeklarowano potrzebę jednolitego działania we wspólnym froncie wyborczym. Uczestnicy zaapelowali do wszystkich, którym leży dobro RP oraz interes wsi i rolników o wyłonienie właściwej reprezentacji w przyszłym nowo wybranym parlamencie.

✲

29.V. W sali lustrzanej SOK klub muzyczny „Zielone Lustro" wystąpił z programem muzycznym pt. „Muzyka ludowa z różnych stron".

✲

30.V. We wszystkich świdnickich parafiach odbyły się tradycyjne uroczystości święta Bożego Ciała. Msze Święte rozpoczęły uroczystości, a następnie wyruszyły procesje obchodząc pięknie udekorowane ołtarze w różnych punktach miasta. W modłach uczestniczyły tłumy świdniczan.

✲

22.V. W Świdnicy, na wniosek NSZZ „Solidarność" regionu Dolny Śląsk, protestowało 90% zakładów przerywając pracę na 1—2 godziny. Chodziło o poparcie wniosków podjętych na VIII Krajowym Zjeździe Delegatów „Solidarności", który odbył się w naszym mieście 19.IV.1991 roku. Była to akcja przeciwko błędom w polityce gospodarczej i społecznej rządu.

✲

23.V. Przez 2 dni jury w składzie: przewodniczący — Anna Łowicka dyr. MDK, Hanna Raszkiewicz — nauczycielka muzyki, Joanna Piotrowska — nauczycielka i redaktor „Wiadomości Świdnickich" wysłuchało na II Festiwalu Piosenki Przedszkolnej 27 solistów, 7 duetów, 1 zespołu, przyznając 20 równorzędnych nagród. W konkursie wzięło udział wiele utalentowanych dzieci. Oceniono także wysoko duży wkład pracy nauczycieli w przygotowaniu dzieci.

✲

24.V. W Baszcie (Klub NOT) w Świdnicy z prelekcją wystąpił doc. Wojciech Radecki. Na spotkaniu mówiono o czystości środowiska naturalnego i ochronie przyrody.

25.V. W Burkatowie i Bystrzycy Dolnej gmina Świdnica, została uruchomiona instalacja gazowa. Roboty wykonano w czynie społecznym.

✲

26.V. Na campingu świdnickiego OSiR-u w Złotym Lesie odbył się trzydniowy Ogólnopolski Zlot Campingu i Caravaningu. Dla gości przygotowano bogaty program kulturalno-rekreacyjny.

✲

28.V. W Świdnicy odbył się koncert w Rynku z okazji obchodów Dnia Matki. Z koncertem wystąpiła orkiestra dęta Świdnickiej Fabryki Wagonów i zespół folklorystyczny „Górzanie" z Piławy.

✲

28.V. W Świdnickim Ośrodku Kultury przez dwa dni wystawiano bajkę dla dzieci pt. „Mądralinka".

✲

V. Urząd Miasta Świdnicy przekazał piękny obiekt przy ul. Mickiewicza 13—15 na rzecz Fundacji Pomocy Biednym Dzieciom. Po przeprowadzeniu remontu w obiekcie tym ma znaleźć pomieszczenie Rodzinny Dom Dziecka, który zostanie otwarty z inicjatywy „Ut Unum Sint".

✲

V. Proboszcz parafii rzymsko-katolickiej przy kościele św. Stanisława i Wacława, ks. dziekan Ludwik Sosnowski, wystąpił o zwrot majątku kościelnego, to jest 4 budynków zabranych kościołowi w latach pięćdziesiątych. Spotkało się to z aprobatą władz miasta. W 4 budynkach zamierza się otworzyć placówkę szkolną — katolicką szkołę podstawową, dom opieki dla samotnych, chorych opuszczonych, w wieku podeszłym, dom dla samotnej matki, oraz przedszkole prowadzone przez siostry zakonne.

✲

V. Zawodowa Straż Pożarna w Świdnicy prowadziła akcję protestacyjną o charakterze ekonomiczno-finansowym, chcąc zwrócić uwagę społeczeństwa na ogromne trudności. Z tej przyczyny oflagowano budynki i samochody.

✲

V. W Świdnicy odbyło się spotkanie mieszkańców miasta z posłami na Sejm obecnej kadencji A. Dynowską i A. Kowalem, poświęcone aktualnej sytuacji w kraju oraz ustawie o rentach i emeryturach.

✲

V. Laureatami Rejonowego Przeglądu Szkolnych Zespołów Artystycznych zostali: „Balerynki", „Letskiss", „Impuls" z MDK, „Małe tango" ze Szkoły Podstawowej Nr 4, „Żaki" ze Szkoły Podstawowej Nr 15, zespół taneczny ze Szkoły Podstawowej Nr 10. Zespół Chóralny ze Szkoły Podstawowej Nr 15. Zespoły uczestniczyły również w koncercie galowym zorganizowanym przez Wojewódzki Ośrodek Metodyczny.

✲

V. W Miejskiej Bibliotece Publicznej zakończył się konkurs czytelniczy dla uczniów klas III szkół podstawowych. Brały w nim udział trzyosobowe reprezentacje z 10 szkół podstawowych. I miejsce zdobyła drużyna ze Szkoły Podstawowej Nr 10 w składzie: Kornelia Potrzebka, Marta Błaszkiewicz i Urszula Pidanty. II miejsce zajęła Szkoła Podstawowa Nr 16 — Michał Ogrodziński, Anna Kunicka, Izabela Kuc. III miejsce — Szkoła Podstawowa Nr 5: Angelika Baczkowska, Grze-

gorz Steimetz, Ewelina Witkowska. Laureaci otrzymali piękne nagrody książkowe zakupione przez Miejską Bibliotekę Publiczną. Z recytacjami wystąpił zespół ze Szkoły Podstawowej Nr 1.

CZERWIEC

1.VI. Z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka odbyły się w Świdnicy różnorodne imprezy sportowe, loterie fantowe, kiermasz książki. Włożono dużo pomysłowości, by dzieciom sprawić przyjemność. Dla dzieci chorych Zarząd Główny Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce" zorganizował bal, dzieci otrzymały słodycze i zabawki.

✲

1.VI. Na regionalnym Zjeździe Unii Demokratycznej we Wrocławiu w skład rady wszedł przewodniczący koła świdnickiego Unii Artur Sierzputowski, a do komisji rewizyjnej skarbnik koła świdnickiego Józef Radziwiłko.

✲

2.VI. W Muzeum Dawnego Kupiectwa otwarto wystawę czasową pt. „Koleje żelazne".

✲

4.VI. W Wałbrzychu ogłoszono wyniki konkursu zorganizowanego przez WZ PCK i Wojew. Stację Sanitarno-Epidemiologiczną, na najlepszy internat szkolny. Wśród najlepszych jest Internat Szkół Medycznych w Świdnicy, który zdobył III miejsce.

✲

5.VI. Świebodzice mają szanse stać się jednym z najbardziej czystych miast. Do zakupionej w r. 1990 szwedzkiej czyszczarki jezdni, doszło nowe urządzenie — tzw. odkurzacz chodników. Wydatkowano na ten cel 850 mln zł. Sporo, ale to się miastu opłaci, bowiem samojezdne urządzenia czyszczą miasto doskonale.

✲

10.VI. W wyniku prowadzonych przekształceń własnościowych majątek świdnickiego POM-u zostaje przekazany spółce pracowniczej.

✲

8.VI. W Kościele Pokoju odbył się inauguracyjny koncert Świdnickich Dni Muzyki Kameralnej. Utwory J. S. Bacha, F. Liszta, B. M. Cernohorsk-yego i L. Vernea grał na organach Martin Strejc z Czechosłowacji.

✲

10.VI. Szkoła Podstawowa w Witoszowie Dolnym zorganizowała sesję na temat słowa „Wolność". Przedstawiono interpretacje tego słowa w przekroju historycznym przez uczniów i b. więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau. Zaprezentowano również prace plastyczne oraz wypowiedzi dzieci z klas zerowych na temat tego co rozumieją pod hasłem „wolność".

✲

12.VI. Wśród delegowanych z województwa wałbrzyskiego przebywał we Francji na stażu w zakresie restrukturyzacji gospodarki, Piotr Mielnik, naczelnik Wydziału Prognoz i Analiz Urzędu Miejskiego w Świdnicy. Był to pierwszy dziesięciodniowy wyjazd szkoleniowy w ramach pomocy rządu francuskiego w restrukturyzacji regionu wałbrzyskiego. Uczestników zapoznano ze środkami i mechanizmami stosowanymi przy restrukturyzacji w okręgu Loraine w Lotaryngii.

8.VI. Najmłodszy stażem teatr amatorski „Kotki" z Młodzieżowego Domu Kultury zrobił swój pierwszy krok wystawiając spektakl wg Witolda Gombrowicza pt. „Dziewictwo" w reżyserii Barbary Kapelańczyk z II LO w Świdnicy.

✲

9.VI. Piłkarze „Polonii" Świdnica nie zmarnowali szansy awansu do III Ligi. W ostatnim meczu, któremu kibicowało ponad 2 tys. sympatyków futbolu, bez większego problemu pokonali „Zagłębie" II Wałbrzych i zapewnili sobie tym samym drugą — premiowaną awansem — lokatę w tabeli.

✲

11.VI. W Świdnicy przebywał na zaproszenie Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich, Senator Jerzy Bojarski. Na spotkaniu poruszono kwestie związane z restrukturyzacją naszego terenu.

✲

14.VI. W sali imprezowej ŚOK odbył się spektakl teatralny pt. „Emigranci" Sł. Mrożka w wykonaniu aktorów Teatru Dramatycznego w Wałbrzychu.

✲

15.VI. W Kościele Pokoju w ramach VII Świdnickich Dni Muzyki Kameralnej z koncertem wystąpili: Mikko Kano z Japonii — skrzypce, Maria Szwaiger-Kułakowska — fortepian. W programie wykonano utwory J. S. Bacha, J. Brahmsa, C. Francka i H. Wieniawskiego.

✲

15.VI. Świdnicki Zespół Pieśni i Tańca „Jubilat" obchodził 15-lecie swego istnienia. Z tej okazji w sali teatralnej ŚOK odbył się koncert galowy, były nagrody i wyróżnienia, a zespół pokazał na scenie wszystko to, co ma w swoim dorobku najlepszego. Zespół liczy 35 osób (jest to ucząca się i pracująca młodzież z naszego miasta). Szefem zespołu od 5 lat jest Lubomir Szmid. Zespół występował z powodzeniem nie tylko w kraju, ale również we Francji, RFN, Jugosławii i Czechosłowacji.

✲

15.V. W dniach 14 i 15 czerwca odbył się I letni Turniej dla dzieci i młodzieży, zorganizowany przez Komisję Zakładową NSZZ „Solidarność" ŚFUP przy współudziale Klubu Sportowego „Stal" i dyrekcji zakładu. Turniej ten zorganizowano z okazji X-lecia odsłonięcia tablicy upamiętniającej protest robotniczy z czerwca 1976 r. W turnieju wzięło udział 550 dzieci i młodzieży w wieku od 6 do 18 lat. 62 drużyny toczyły boje o najlepsze wyniki, a walczyć było o co: jako nagrody ufundowano piłki nożne, zegarki kwarcowe, bluzy sportowe itp.

✲

16.VI. Świdnicki Ośrodek Kultury zorganizował konkurs na prace plastyczne dzieci i młodzieży. Ponad 1100 autorów z różnych miejscowości Dolnego Śląska nadesłało prawie 2.500 prac na „Biennale Sztuki Dziecięcej Świdnica-91". Przyznano 24 nagrody i wyróżnienia w 3 grupach wiekowych. Poziom prac był dobry. Na szczególne uznanie zasłużyły sobie: Szkoła Nr 12 w Świdnicy oraz Nr 2 i 15 w Wałbrzychu.

✲

16.VI. W hallu Świdnickiego Ośrodka Kultury otwarto pokonkursową wystawę IV Biennale Sztuki Dziecięcej.

✲

17.VI. W sali świdnickiego klubu NOT odbyło się spotkanie przedsiębiorców i kupców naszego rejonu na którym założono Regionalną

Izbę Gospodarczą z siedzibą w Świdnicy. Zarejestrowano 73 członków-założycieli reprezentujących tutejszy biznes. Prezesem Izby został Kazimierz Chmielewski, dyrektor naczelny Świdnickiej Fabryki Wagonów. Wybrano również Radę Izby Gospodarczej.

✲

18.VI. Na kortach tenisowych OSiR-u rozegrano mistrzostwa mieszkańców Świdnicy w tenisie ziemnym. Startowało 35 zawodników w 3 konkurencjach. Sponsorem mistrzostw była Spółka „ATUT" oraz znany rzemieślnik Zbigniew Lachowicz.

✲

19.VI. W sali teatralnej ŚOK odbył się koncert w wykonaniu licznych zespołów świdnickich, a dochód z tej imprezy przeznaczono na zorganizowanie wakacji dzieciom z rodzin zagrożonych.

✲

19.VI. Z okazji 20-lecia współpracy Fabryki Wagonów „Świdnica" z Akademią Medyczną we Wrocławiu, na terenie fabryki odbyło się sympozjum pod hasłem „Medycyna dla przemysłu". Po zapoznaniu się z referatem i przeprowadzonej dyskusji, dyrektor fabryki, Kazimierz Chmielewski, złożył na ręce obecnego na sympozjum rektora AM Zbigniewa Knapika 100 mln zł. Natomiast Akademia Medyczna przyznała dyrektorowi naczelnemu i jego zastępcy złote odznaki honorowe, a kierownik Zakładowej Przychodni Ryszard Oleksy otrzymał odznakę srebrną.

✲

20.VI. W Świdnicy odbył się pierwszy taneczny pokaz uczniów pobierających lekcje rytmiki, podstaw baletu i tańca. Szkoła prowadzona jest przez fachowca, p. Elżbietę Gawur, byłą członkinię zespołu „Mazowsze". Piękne stroje ludowe, powiewne szaty w tańcach nowoczesnych dodały uroku widowisku.
W przerwach bawił gości Andrzej Waligórski, znany satyryk wrocławski.

✲

22.VI. W świdnickim Kościele Pokoju wystąpił w Dniach Muzyki zespół „Poznańskie Słowiki" pod dyrekcją Jerzego Kurczewskiego z utworami Wacława z Szamotuł, J. S. Bacha, G. F. Haendla i S. Moniuszki.

✲

22.VI. Na Dolnośląskiej Spartakiadzie Młodzieży Świdniczanin, Rajmund Ośmiałowski z klubu MKS „Bolko", zwyciężył w biegu na 400 m zdobywając tytuł mistrza makroregionu dolnośląskiego. Natomiast drugi zawodnik z tego klubu Krzysztof Kruk, zajął II miejsce w biegu na 400 m przez płotki i zdobył tytuł wicemistrza.

✲

23.VI. Na Zalewie Witoszowskim odbyły się eliminacje II Mistrzostw Sekcji Wędkarskiej o Puchar jej prezesa. Wzięło w nich udział 12 członków sekcji „Nieruchomości Świdnickie". Wg końcowej klasyfikacji I miejsce zdobył Jarosław Waszczuk — 1310 pkt, II Ryszard Łukaszewski — 1270 pkt, III Jan Matych — 910 pkt.

✲

24.VI. W Galerii „S" w Strzegomiu zaprezentował swe prace z podróży po Turcji i Syrii Wojciech Gęgotek, strzegomianin, student III roku Wydz. RiT w Katowicach. Wystawa jest plonem wyprawy w latach 1990 i 1991.

24 do 26.VI. odbyło się w Świdnicy 8 spotkań radnych z mieszkańcami w różnych dzielnicach miasta.

✲

27.VI. W świetlicy ZWAP „Mera-Pafal" odbyły się wybory do władz Izby Okręgowej Pielęgniarek i Położnych.

✲

27.VI. W Marcinowicach odbyło się spotkanie kierownictwa zarządu gminy z dyrektorem WODR-u, w którym uczestniczyli również profesorowie uniwersytetu w stanie Minnesota w USA. Przebywali oni w WODR jako doradcy do spraw rolnictwa. Dyskutowano o systemach organizacji finansowania i zarządzania gminą. Goście z Ameryki chcieli się zorientować na przykładzie gminy Marcinowice jak przebiega reorganizacja systemów terytorialnych w naszym kraju.

✲

28.VI. Nad Świdnicą we wczesnych godzinach wieczornych przeszła gwałtowna ulewa z wyładowaniami atmosferycznymi, w wyniku której doszło do zalania piwnic w obiektach mieszkalnych, gospodarczych itp. W akcji ratowniczej uczestniczyło 13 sekcji straży pożarnej na terenie Świdnicy, a także Jaworzyny, Żarowa i okolicznych wsi.

✲

29.VI. Na zorganizowanych w Poznaniu Mistrzostwach Polski Szkolnego Związku Sportowego Juniorów w lekkiej atletyce Krzysztof Kruk z MKS „Bolko" zajął II miejsce w biegu 400 m przez płotki, co dało mu tytuł wicemistrza Polski.

✲

30.VI. W Swidnicy zostały rezgrane mistrzostwa Polski w Kolarstwie Szosowym. Start i meta umiejscowione zostały przy ul. Polna Droga. Kolarze mieli do przejechania 8 okrążeń na trasie Świdnica — Modliszów — Złoty Las — Lubachów — Bystrzyca — ul. Polna Droga. Wygrał Marek Leśniewski. Dalsze miejsca zajęli: II Jerzy Sikora, III Bogdan Jamiński (obaj z Dolmelu), IV Tomasz Serediuk (Moto Jelcz), V Jacek Badyk (Polkowice). W imprezie wzięło udział 172 najlepszych kolarzy, a wyścig obejrzało tysiące świdniczan.

✲

VI. Fabryka Mebli w Świdnicy jest już samodzielnym przedsiębiorstwem produkcyjno-usługowo-handlowym i nazywa się „Dolmeb". Po dwumiesięcznej działalności nie narzeka na brak popytu, uruchomiono własny duży sklep firmowy obok zakładu w zaadaptowanej stołówce.

✲

VI. Wizytę w Biberach trwającą 4 dni złożyli przedsetawiciele Rady Miejskiej z Komisji Kultury, a także grupy: harcerzy, sportowców oraz zespół, który brał udział w festiwalu muzycznym.

✲

VI. W Świdnicy zorganizowano II Festiwal Piosenki Przedszkolnej. Najlepszym wykonawcom przyznano 20 równorzędnych nagród. Najwięcej zdobyli repezentanci przedszkoli Nr 1—5 i Nr 3—4. Galowy koncert, na którym rozdano nagrody ufundowane przez licznych sponsorów, zakończył „Śpiewające Święto".

✲

VI. Stowarzyszenie Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich z myślą o aktualizacji spisu telefonów wydało w nakładzie 10 tys. egzemplarzy informator telefoniczny ziemi świdnickiej. Zawarto w nim numery północnej części województwa wałbrzyskiego. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży w większości przekazano na cele charytatywne.

VI. W Pszennie rozpoczęto budowę nowej szkoły. Władze gminy z nadwyżki budżetowej przekazały na ten cel 1 mld zł, tyle samo daje kuratorium.

LIPIEC

1.VI. Z inicjatywy ks. Kazimierza Jandziszaka, proboszcza parafii na Osiedlu Młodych, przyjechały do Świdnicy dzieci z Czarnobyla — 7 chłopców oraz 15 dziewczynek w wieku 1—16 lat, pod opieką 2 wychowawców i pielęgniarki. Znaleźli oni gościnę u 25 polskich rodzin. Władze miasta na odpoczynek Czarnobylan przeznaczyły 5 mln zł. Z kwoty tej dzieci otrzymywały kieszonkowe po 10 tys. dziennie. Pobyt dzieci trwał 3 tygodnie. Dzieci miały wiele atrakcyjnych wycieczek i spotkań.

✲

1.VI. W kawiarni „Casanova" z inicjatywy Społecznego Ruchu Inicjatyw Gospodarczych „Spring"-92" odbyło się spotkanie z prezesem Agencji do Spraw Inwestycji zagranicznych oraz prezesem NBP. Omówiono warunki inwestowania kapitału zagranicznego w Polsce, zasady tworzenia banków komercyjnych i zasady uzyskiwania kredytów inwestycyjnych.

✲

1.VII. W Marcinowicach filia Świdnickiej Spółdzielni Mieszkaniowej rozpoczęła budowę czterech bloków mieszkalnych o 60 mieszkaniach.

✲

2.VII. W Marcinowicach przy drodze Świdnica—Wrocław oddano do użytku nową stację benzynową. Dystrybutory czynne są całą dobę. Sprzedaje się w nich wszystkie rodzaje paliwa. Właściciel stacji, przedsiębiorstwo „Marbud" zajmujące się produkcją materiałów budowlanych w tej miejscowości, zapowiada otwarcie sklepu z akcesoriami samochodowymi, parkingu i kawiarenki.

✲

5.VII. Dzięki pomocy finansowej sponsorów, wyrusza na podbój najwyższej góry świata dwójka himalaistów — Alek Lwow i Świdniczanin Piotr Snopczyński. Lecą do Kathmandu na spotkanie z pozostałą grupą uczestników, wyposażeni nie tylko w sprzęt dla himalaistów, ale również dla nepalskich oficerów łącznikowych, którzy będą towarzyszyć ekspedycji.

✲

5.VII. W Świdnicy u zbiegu ulic Równej i Zygmuntowskiej została otwarta kolejna nowa apteka. W otwarciu wzięli Udział członkowie Komisji Zdrowia i Izby Lekarskiej. Apteka nazywa się „Bona", jej właścicielką jest p. mgr Karaszewska. Prócz pełnego asortymentu leków apteka jest dobrze zaopatrzona w kosmetyki dla dzieci.

✲

8.VII. Izba Rzemieślnicza zmieniła lokalizację przenosząc się z Wałbrzycha do Świdnicy, gdzie znalazła lokum w zabytkowej kamieniczce przy ul. Trybunalskiej. Izba zrzesza 6 cechów rzemiosł różnych z terenu województwa wałbrzyskiego.

✲

10.VII. Komisja Budżetu i Rozwoju Gospodarczego oraz Gospodarki Miejskiej spotkała się z przedstawicielami Dolnośląskiego Banku Gos-

podarczego w sprawie umowy na założenie Banku Komunalnego. Po wysłuchaniu opinii gości komisja postanowiła na razie nie przedkładać wniosku na Sesji Rady Miejskiej.

✲

12.VII. Zarządzeniem Prezydenta m. Świdnicy utworzona została straż miejska, która funkcjonuje na zasadach jednostki budżetowej. Straż jest umundurowana. Jej działalność to utrzymywanie bezpieczeństwa i porządku publicznego (zapewnienie spokoju, ładu i czystości). Funkcjonariusze będą mogli legitymować, wymierzać kary grzywny i kierować wnioski o ukaranie do kolegium d.s. wykroczeń.

✲

14.VII. W Wałbrzychu na konwencie wyborczym kół Unii Demokratycznych Świdnicę reprezentowało 10 delegatów, którzy wysunęli 2 kandydatów na posłów i 1 na senatora. W wyniku głosowania wystartują ze Świdnicy do wyborów: do Senatu Jadwiga Bałtakis, do Sejmu Jan Lityński i Artur Sierzputowski. Na liście po obliczeniu wyników świdniczanie zajęli trzy pozycje w pierwsze czwórce osób z najwyższą ilością głosów.

✲

15.VII. Świdnickie Przedsiębiorstwo Budowlane przekazało Spółdzielni Mieszkaniowej w Osiedlu Zawiszów kolejny budynek, w którym znalazło się tysięczne mieszkanie. Na pierwszy tysiąc nowych mieszkań w Zawiszowie wypadło czekać równe cztery lata.

✲

16.VII. Na zaproszenie Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców, przybył do Świdnicy Prezes Krajowej Izby Gospodarczej dr A. Arendarski, który spotkał się z przedstawicielami Regionalnej Izby Gospodarczej.

✲

20.VII. W Świdnicy w Muzeum Dawnego Kupiectwa otwarto bogato dokumentowaną wystawę prezentującą dzieje naszego miasta od XVII wieku po dzień dzisiejszy. Organizatorami wystawy było Muzeum, Tow. Regionalne Ziemi Świdnickiej i Fundacja Dziedzictwa Kulturowego Śląska z Würzburga w RFN. W otwarciu wystawy prócz organizatorów uczestniczyli przedstawiciele Konsulatu Generalnego RFN we Wrocławiu oraz władz Świdnicy.

✲

22.VII. Świdnicę odwiedzili przedstawiciele MONAR-u. W Rynku rozdawali broszury i książki poruszające problem narkomanii oraz AIDS. Chętni mogli też porozmawiać z osobami zajmującymi się tą problematyką.

✲

22.VII. W ZEM staje na dwa tygodnie produkcja. Pracownicy muszą pójść na przymusowe urlopy. Zatrudnieni bezpośrednio w produkcji otrzymają 100% poborów, reszta tzw. postojowe w wysokości 75% średniej zakładowej. Przerwa w produkcji spowodowana jest brakiem pieniędzy na wypłaty, bowiem magazyny są pełne gotowych wyrobów czekających na odbiorców, którzy z kolei nie mają czym zapłacić.

✲

23.VII. W Kościele Pokoju z koncertem organowo-chóralnym wystąpił chór kościelny z niemieckiego miasteczka Alt Kalkar w pobliżu holenderskiej granicy. Kierownikiem chóru a zarazem solistą grającym na organach jest Edward Słowik — absolwent wrocławskiej PWSM, b. dyrektor Szkoły Muzycznej w Dzierżoniowie.

25.VII. W Marcinowicach w trosce o poprawę jakości wody pitnej zamontowano nową stację uzdatniania wody o wydajności 60 m³/h. Poprawę odczują w szczególności mieszkańcy nowego osiedla.

✲

28.VII. W Świdnicy przy ul. Jodłowej do sklepu firmy ZOAPiS dokonano włamania. Policja ustaliła sprawców, którymi okazało się rodzeństwo. 9-letni Krzysztof i 10-letnia Mariola. Łup w postaci artykułów spożywczych, łakoci i papierosów powrócił do właściciela. Wiek przestępców obniża się coraz bardziej.

✲

31.VII. Na zaproszenie nadburmistrza miasta Biberach (RFN) Klausa Hoffmana przebywał w tym mieście prezes Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich. Owocem współpracy obu miast w sferze gospodarczej jest m. in. ufundowanie 3 ośmiotygodniowych stypendiów dla młodych inżynierów z zakresu projektowania przy pomocy komputerów, marketingu dużego i małego przemysłu, techniki obliczeń kalkulacji itp. Fundatorem stypendiów jest A. Handman. Również nadburmistrz Biberach zadeklarował w przyszłości 2 stypendia podobnego typu dla 2 inżynierów budownictwa. Ponadto nawiązano kontakty z tamtejszym Nadleśnictwem oraz Izbą Przemysłowo-Handlową.

✲

VII. Jak w całej służbie zdrowia tak i świdnickiej dotkliwie brakuje pieniędzy. Wprowadzono więc rygory oszczędnościowe. Kurczy się baza lokalowa zarówno w lecznictwie otwartym jak i zamkniętym. Brak środków w miarę możliwości pokrywają samorządy lokalne Świdnicy, gminy Świdnica i Marcinowice oraz miasta i gminy Żarów.

✲

VII. Przez kilka kolejnych dni w II dekadzie miesiąca na świdnickim Rynku odbywają się na platformie przystrojonej kwiatami, pokazy ubiorów letnich prosto z Danii i Włoch, sprowadzonych przez firmę Chwaliszów GmbH. Ciuchy są ładne, kolorowe, modne, a co najważniejsze, niezbyt drogie. Już za 40—60 tys. można kupić letnią suknię i koszulkę. Nieco więcej trzeba zapłacić za spodnie czy sukienkę. Dla panów pokazano eleganckie garnitury i stroje sportowe, a wszystko przy dźwiękach muzyki.

✲

VII. W Świebodzicach bezmyślną decyzją władz miejskich zniszczono stojący w Rynku pomnik wdzięczności, który stanowiły trzy figury żołnierzy Wojska Polskiego. Sprawa skierowana została do Prokuratury Rejonowej w Świdnicy.

SIERPIEŃ

2.VIII. W kościele parafialnym w Strzegomiu dwudziestoszesciooosobowy chór amatorski Rosedale Sommer Horale dał koncert, w którym wykonał 17 pieśni religijnych opartych na murzyńskim folklorze południowoafrykańskim i amerykańskim.

✲

3.VIII. Rada Miejska w Świdnicy zbierała się dwukrotnie: 31 lipca i 3 sierpnia, i obradowała nad przystąpieniem m. Świdnicy do Banku Świdnickiego S.A. Mimo apelu prezydenta miasta Jacka Drobnego o nie wnoszenie poprawek, radni zadecydowali inaczej odsyłając do poprawki projekt statutu.

5.VIII. W Fabryce Wagonów „Świdnica" odbyło się posiedzenie Rady Regionalnej Izby Gospodarczej, na którym omówiono zakres prac na najbliższy okres oraz przygotowania związane z przyjęciem delegacji m. Biberach.

✲

9.VIII. Na świebodzickim Rynku od południa do późnej nocy występowały trupy teatrów ulicznych w ramach IX Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Ulicznych. Tego rodzaju imprezę mieszkańcy oglądali po raz pierwszy, bowiem poprzednich 8 festiwali odbywało się zawsze w Jeleniej Górze, a dopiero w tym roku zaszczytny choć niełatwy obowiązek współgospodarza Festiwalu przypadł Świebodzicom.

✲

10.VIII. We wsiach wokół Świdnicy żniwa na półmetku. Zakończono zbiór rzepaku zarówno przez rolników prywatnych jak i spółdzielczych. Wbrew przewidywaniom nie ma trudności ze skupem zbóż. Jedynie rolnicy są niezadowoleni z ustalonych cen i część swoich zbiorów składują we własnym zakresie.

✲

13.VIII. Obywatel Japonii zamieszkały w Jokohamie postanowił w oryginalny sposób spędzić wakacje na rowerze — jadąc przez Chiny, ZSRR, Polskę aż do Hiszpanii. Wytrwały turysta zaliczył dwa pierwsze kraje, kawał naszej ojczyzny i zatrzymał się w Świdnicy, której niewątpliwie nigdy nie zapomni, bowiem ukradziono mu tu rower. Przekreśliło to jego plany odwiedzenia słonecznej Hiszpanii.

✲

14.VIII. W sali lustrzanej ŚOK w Świdnicy odbył się recital Borysa Diaczenki — aktora znanych teatrów moskiewskich. W programie były piosenki W. Wysockiego. Występ był bardzo udany dzięki perfekcji wykonania oraz umiejętnego nawiązania kontaktu z widownią.

✲

15.VIII. Słotwina w gminie Świdnica wkrótce będzie skanalizowana. Ścieki zbierze budowany obecnie kolektor i popłyną one do nowej oczyszczalni w Świdnicy. Władze gminy wyasygnowały na ten cel 750 mln zł. Resztę potrzebnych środków zgromadzili sami mieszkańcy. Roboty związane zarówno z budową kolektora jak i przepompownią są już bardzo zaawansowane.

✲

16.VIII. W Świdnicy i okolicy przybywa bezrobotnych. W Rejonowym Biurze Pracy było w I dekadzie sierpnia zapisanych 9.270 osób. W lipcu kwota wypłaconych zasiłków przez w/w biuro sięgała kwoty 3 miliardów 454 milionów 170 tys. zł.

✲

17.VIII. W Kościele Pokoju z okazji VII Świdnickich Dni Muzyki zaprezentowali utwory Bacha i Wieniawskiego artyści: Krzysztof Baranowski — skrzypce i Arnold Dąbrowski — fortepian.

✲

18.VIII. W Świdnicy przebywała przez 3 tyg. młodzież z Anglii i Polski. Obóz został zorganizowany dzięki UNESCO i miał na celu doskonalenie języka angielskiego przez młodzież szkół średnich. Dwudziestoosobowa grupa angielskich asystentów wraz z wykładowcami zamieszkała w obiekcie Technikum Mechanicznego. Program pobytu był urozmaicony. Prócz kilkugodzinnych lekcji przewidziano czas na odpoczynek i zwiedzanie Świdnicy i jej okolic.

20.VIII. W Makowicach gm. Świdnica przez 2 lata trwał remont szkoły, a dzieci uczyły się w Świetlicy w Opoczce, oddalonej od w/w wsi o 2 km. Od 1 września uczniowie klas od 0 do III rozpoczną już lekcje w czystych i ciepłych klasach. W ostateczne zakończenie robót zaangażowani byli materialnie zarówno gmina jak i rodzice uczniów. Pozostało do uporządkowania otoczenie szkoły.

✲

22.VIII. W dawnym przedszkolu DZBR „Renifer" przy ul. Pionierów zostało zlokalizowane przedszkole specjalne. Prócz pomieszczeń przedsiębiorstwo przekazało miastu bezpłatnie całkowite wyposażenie. Aby ta placówka mogła ruszyć, potrzebny jest częściowy remont i dokupienie niezbędnych pomocy dydaktycznych. Ilość zgłoszonych dzieci na razie zabezpiecza utworzenie 2 grup a przedszkole może pomieścić 4 grupy.

✲

24.VIII. Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Lutomii pozbyła się ładnego klubu. Cały budynek kupiła gmina. Obecnie znalazły tam pomieszczenie: filia Gminnej Biblioteki Publicznej, kawiarnia i wiejskie przedszkole.

✲

27.VIII. Urząd Gminy Jaworzyna Śląska opracował katalog z wykazem nieruchomości na terenie miasta i okolicznych wsi nadających się do działalności gospodarczej, a także z przeznaczeniem na mieszkania.

✲

30.VIII. Komenda Hufca ZHP w Świdnicy, w ramach harcerskiego lata, przez okres wakacji zorganizowała dla dzieci w wieku 7—11 lat 8 pięciodniowych biwaków pod namiotami w Michałkowej koło Zagórza Śl. Zapewniając opiekę, wyżywienie i wspaniałe spędzenie czasu. Każda pięciodniówka kosztowała 250 tys. zł. Niestety, nie wszystkich chętnych było na to stać.

✲

30.VIII. W Świdnicy po rocznej działalności sprywatyzowanej sieci handlowej przeprowadzono rozeznanie, co zyskał przeciętny klient. Otóż poprawę zaopatrzenia, lepszą ekspozycję towarów, estetykę wnętrz placówek, wydłużenie godzin pracy w handlu, częściowe polepszenie obsługi i szokującą wysokość, systematycznie rosnących cen.

✲

VIII. W Świdnicy nie ma już garnizonu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej — pozostał jedynie oddział budowlany, który przekazuje władzom polskim obiekty po wojskach radzieckich. Jego dowódcą jest kpt Igor Chyżyj.

✲

VIII. W skład okręgowej Komisji Wyborczej w Wałbrzychu wybrano 2 sędziów Sądu Rejonowego w Świdnicy: p.p. Wiesława Rodziewicza i Macieja Jedlińskigo.

✲

VIII. W Świdnicy 8 bloków mieszkalnych o 400 mieszkaniach 1- 2- 3-pokojowych opuszczonych przez żołnierzy Armii Radzieckiej wojewoda wałbrzyski przekazał w formie rekompensaty repatriantom za mienie pozostawione za wschodnią granicą. Pierwszeństwo w przydzieleniu mieli świdniczanie i wałbrzyszanie.

VIII. W Świdnicy powstają nowe firmy komunalne. Zakład Zieleni Miejskiej, który od lat stanowił integralną część PGKiM — nie tylko usamodzielni się, ale rozpadnie na dwie firmy. „Oaza" będzie świadczyć usługi w zakresie zieleni, zwłaszcza dla miasta, a „Ostatnia posługa" — w zakresie usługo pogrzebowych.

✲

VIII. W Świdnicy uporano się ostatecznie z handlem ulicznym w centrum miasta. Władze miejskie wydzieliły na ten cel plac przy ulicy Różanej.

✲

VIII. Świdnicki Ośrodek Kultury, OSiR, Biblioteka Miejska, Spółdzielnia Mieszkaniowa i Muzeum Dawnego Kupiectwa podjęły się prowadzenia w okresie wakacji różnorodnych farm wypoczynku i rekreacji dla dzieci i młodzieży w myśl zasady: „bawić ucząc". Mimo braku możliwości wyjazdu na kolonie, dzieci mogły brać udział w grach i zabawach na świeżym powietrzu, wycieczkach, rajdach, spotkaniach z ciekawymi ludźmi, zdobywać karty pływackie, poszerzać wiedzę o rejonie, oglądać filmy, bawić się na dyskotekach.

✲

VIII. Parafia św. Stanisława i Wacława kolejno odzyskuje nieruchomości należące w przeszłości do kościoła. Wg planów ks. proboszcza Ludwika Sosnowskiego, każdy obiekt będzie pełnił służebną rolę, np. w domu przy ul. Nowotki i placu Kościelnym uruchomiony zostanie ośrodek opieki nad samotnymi matkami i dom pomocy społecznej, a w gmachu po kolegium jezuickim projektuje się urządzić katolicką szkołę podstawową lub szkołę specjalną dla dzieci ze środowisk zagrożonych patologiami społecznymi. Być może, powstanie też szkoła średnia.

✲

VIII. Oddziały Armii Radzieckiej opuszczają ziemię strzegomską zabierając wszystko co tylko się da z budynków jednostki w Strzegomiu. Wygląda na to, że trzeba będzie przeprowadzić kapitalny remont bądź przeznaczyć obiekty do rozbiórki.

✲

1.IX. Rozpoczął się nowy rok szkolny 1991/92. Do szkół podstawowych w Świdnicy uczęszcza 9,5 tys. uczniów. Dotychczasowa baza była niewystarczająca. Sytuację poprawiła nowootwarta szkoła Nr 11 przy ul. Saperów, na którą zaadaptowano budynek dawnych koszar Wojska Polskiego.

✲

1.IX. W Świdnicy w 52 rocznicę wybuchu II wojny światowej kombatanci zorganizowali uroczystość i złożyli wiązanki kwiatów pod pomnikiem na pl. Grunwadzkim.

✲

2.IX. Szkoła Podstawowa Nr 11 w Świdnicy przy ul. Saperów 27 uruchomiła dwa oddziały przedszkolne dla dzieci z rejonu tej szkoły i Zawiszowa, które dotąd nie zostały przyjęte do innych placówek.

✲

4.IX. W siedzibie MKK NSZZ „Solidarność" odbyło się spotkanie założycielskie Fundacji Pomocy Bezrobotnym. Działania w tym zakresie popierają zarówno zarząd miasta jak i MKK „Solidarność".

✲

8.IX. W Witoszowie świętowano dożynki oraz otwarcie świetlicy — leśniczówki. Obiekt ten został wykupiony od Gminnej Spółdzielni, wyremontowany i zaadaptowany na potrzeby kulturalne wsi. Placówka

ta została poświęcona przez proboszcza, ks. Henryka Bielawskiego, miały miejsce występy artystyczne i zabawa. W uroczystościach uczestniczyły władze gminy w pełnym składzie.

✲

8.IX. W Świdnicy na Stadionie OSiR odbył się festyn z okazji „Dnia Piłkarza".

✲

10.IX. Dożynki w gm. Świdnica odbyły się w Lutomii Górnej. Po nabożeństwie odprawionym przez proboszcza ks. Kazimierza Jandziszaka, rozpoczęła się część artystyczna. Grała orkiestra Fabryki Wagonów „Świdnica", występował zespół „Krąg" z ŚOK, „Kądziołeczka" z Lutomii, „Kłos" ze Słotwiny itp. Podczas dożynek wójt gminy, St. Wachowiak, dokonał wręczenia nagród dla zwycięzców konkursu na najładniejszą zagrodę, budynek i najczystszą wieś.

✲

11.IX. W Muzeum Dawnego Kupiectwa, w sali Rajców otwarto wystawę pt. „Świdnica poprzez wieki". Zaprezentowano trofea myśliwskie.

✲

12.IX. W sali teatralnej ŚOK wystąpił z recitalem satyrycznym kabaret Jana Pietrzaka.

✲

14.IX. W Kościele Pokoju w Świdnicy licznie zgromadzeni wielbiciele muzyki kameralnej wysłuchali koncertu w wykonaniu zespołu muzyki dawnej Consilium Musicum z Austrii. Zespół muzyki dawnej w swoim repertuarze wykonał utwory W. A. Mozarta i A. Vivaldiego.

15.IX. Znów podrożały bilety na przejazd wszystkimi środkami lokomocji, opłaty pocztowe, także coraz więcej płacimy za żywność.

✲

17.IX. W Świdnicy najmłodszą spółdzielnią mieszkaniową jest Spółdzielnia Mieszkaniowa „Nauczyciel", którą powołali do życia pracownicy oświaty z inicjatywy radnych naszego miasta.

✲

18.IX. Decyzją Sądu Wojewódzkiego w Świdnicy Klub MPiK zostanie eksmitowany z dotychczasowych pomieszczeń w Rynku. Lokal przejmą spółki pracownicze, które zostały zobowiązane do zachowania branży. Powództwo wniosły „Nieruchomości Świdnickie" SA. Przypomnieć należy, że MPiK otwarty został w 1985 r., a o jego zlokalizowanie w Świdnicy toczono niemałe boje.

✲

20.IX. Zarząd Pracowniczych Ogródków Działkowych w Świdnicy zorganizował doroczną imprezę: wystawę plonów i kiermasze rzadkich roślin, sadzonek i środków ochrony.

✲

21.IX. W Świdnicy odbył się międzynarodowy mecz piłki siatkowej o memoriał Tadeusza Ząbka (trenera klasy mistrzowskiej, znajdował się on w trójce najlepszych trenerów w historii polskiej siatkówki). W dwudniowych rozgrywkach brały udział takie zespoły jak Gwardia Wrocław, Tuła — Rosja, Nachod — Czechosłowacja i Polonia Świdnica. W końcowej klasyfikacji „Polonia" Świdnica uplasowała się na I miejscu, Tuła — Rosja na II m. Gwardia Wrocław na III m. i Nachod — Czechosłowacja na IV miejscu.

✲

22.IX. W Marcinowicach Przedsiębiorstwo Produkcji Różnej, Handlu i Usług będące spółką z o.o. w swym przekształceniu posunęło się

o krok naprzód. Działa obecnie jako spółka z udziałami kapitału niemieckiego. Nowa spółka rozwinęła sieć sklepów mięsno-wędliniarskich o pełnym asortymencie.

✲

25.IX. Na świdnickim Rynku odbywał się „Jarmark". W 80 straganach i przyczepach kampingowych około 100 rzemieślników z całej Polski prezentowało i prowadziło sprzedaż swoich wyrobów.

✲

26.IX. Najmłodsi świdniczanie obejrzeli bajkę pt. „Kot w butach" w wykonaniu aktorów Teatru Animacji z Jeleniej Góry.

✲

27.IX. W sali imprezowej ŚOK odbył się wieczór autorski świdnickiego poety Antoniego Matuszkiewicza.

✲

27.IX. W Świdnicy na XXI Sesji Rady Miejskiej odwołano dotychczasowego prezydenta miasta — Jacka Drobnego. Od dłuższego czasu trwały utarczki pomiędzy radą miasta a prezydentem. Rada nie aprobowała metod pracy i podjętych decyzji gospodarczych. Dlatego też postawiono votum nieufności.

✲

29.IX. Rada Miejska w Świdnicy powołała specjalną komisję, której zadaniem było przygotowanie wyborów nowego prezydenta miasta. Chęć ubiegania się o to stanowisko wyraziło 7 osób: Andrzej Paradowski, Ryszard Giersztel, Zbigniew Lachowicz, Krzysztof Duniewski, Wiktor Karol, Zbigniew Kochman i Eugeniusz Krakowski.

✲

30.IX. W Świdnicy na koniec III kwartału 1991 r. została przekroczona liczba 10 tysięcy bezrobotnych. Faktyczny stan zarejestrowanych poszukujących pracy, wynosił 10057 osób w tym 5240 kobiet.

✲

IX. Świdnica otrzymała ze środków wojewódzkich 20 mld zł na gospodarkę komunalną. Pozwoli ona na dokończenie budowy części mechanicznej oczyszczalni ścieków w naszym mieście.

✲

IX. W Świdnicy zwolnienia grupowe z pracy przeprowadziły dla części swych załóg: ZEM „Polmo-Elmot" dla 250 pracowników i Zakł. Przem. Wełnianego „Siwela" dla 182 osób.

✲

IX. Miejscowa spółka handlowo-produkcyjna „Markom" stała się spółką z udziałem kapitału zagranicznego. Kontrahent niemiecki dostarczył maszyn do produkcji masarskiej.

✲

IX. W ramach Świdnickiego Forum Gospodarczego na zaproszenie Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców naszego miasta, odwiedzili Świdnicę wicepremier L. Balcerowicz oraz ministrowie: Święcicki, Syryjczyk i Boni.

✲

IX. W pawilonie Szkoły Podstawowej Nr 6 dzięki inicjatywie nauczycielek klas I i II i rodziców uczniów, odnowiono bardzo brudne i zaniedbane izby. Rodzice przekazali część materiałów i środki finansowe, za które zakupiono potrzebne farby. Bezpośrednio wraz z nauczycielkami wykonali też prace remontowe. Był to więc czyn społeczny o wartości 25 mln zł.

IX. W Świdnicy kosztem 6 mld zł budowany jest nowy cmentarz przy u. Ślskiej na 7 tys. grobów. W trakcie robót jest budowa domu dla obsługi, kaplica, droga dojazdowa i parking.

PAŹDZIERNIK

1.X. W sali imprezowej ŚOK wystawiono sztukę teatralną dla dzieci pt. „Cztery pory roku" w wykonaniu aktorów scen wrocławskich.

✲

2.X. Zarząd MKK NSZZ „Solidarność" jednogłośnie podjął decyzję o cofnięcie poparcia udzielonego w wyborach samorządowych do Rady Mejskiej aż 14 radnym uzasadniając pow. brakiem realizacji programu wyborczego, konstruktywnej pracy, działań na rzecz miasta i mieszkańców oraz rozgrywkach personalnych.

✲

2.X. W Cukrowni „Swidnica" zakończono negocjacje dotyczące cen skupu buraków cukrowych od plantatorów z woj. wałbrzyskiego. Cena skupu wynosiła będzie 231 tys. zł za tonę. W kwocie tej mieści się 10% dodatku za terminowość dostaw i 2 kg cukru w naturze bądź w wartości pieniężnej.

✲

3.X. W Państwowym Biurze Notarialnym w Świdnicy grupa siedmiu osób prawnych ustanowiła „Fundację dla Świdnicy", w imieniu miasta wnoszącego 65 mln zł, akt podpisali: prezydent i wiceprezydent Świdnicy, dyrektorzy ŚFUP i ZWAP, prezesi Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich, proboszczowie parafii rzymsko-katolickiej i ewangelicko augsburskiej, którzy wnieśli dalsze 28 mln zł. Łączna suma wkładów wyniosła zatem 93 mln zł. W tymże dniu zwołano I posiedzenie Rady Fundacji. Przyjęto statut i wybrano Prezydium Rady w składzie: ks. Waldemar Pytel, ks. Ludwik Sosnowski, Edward Szywała, Zdzisław Janaszak. Celem fundacji jest pobudzanie, popieranie, organizowanie i finansowanie działalności zmierzającej do zachowania dziedzictwa kulturowego Świdnicy.

✲

3.X. Delegacja Świdnickiej Fabryki Urządzeń Przemysłowych z dyrektorem W. Szuminem na czele odwiedziła zaraz po wypadku tj. wybuchu w Cukrowni Głogów 2 swoich pracowników, panów Pękalę i Szynkowskiego, którzy pracowali przy rozruchu nowo wybudowanej produktowni. Są ranni i poparzeni ale najważniejsze, że ich życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

✲

4.X. W Świdnicy powołane zostały obwodowe komisje wyborcze, Trwają też przygotowania do wyborów do Sejmu i Senatu.

✲

5.X. W okolicznych wsiach prawdziwą plagą stało się wypalanie na polach ściernisk, a w rowach chwastów. Np. w dniu 5.X. trudno było samochodem wydostać się ze Świdnicy w kierunku Wrocławia. W Pszennie przydrożne rowy stały w ogniu, a dym ograniczał widoczność do zera.

✲

6.X. Uczniowie Państwowej Szkoły Muzycznej im. L. Różyckiego w Świdnicy zorganizowali koncert dla mieszkańców miasta już w nowym gmachu (b. KM PZPR). Na koncercie wystąpili gościnnie ucznio-

nie Szkoły Muzycznej w Limburgu (RFN), z którą współpracuje świdnicka placówka.

✲

7.X. Zarząd Miasta na swym posiedzeniu jednomyślnie odwołał Radę Nadzorczą „Nieruchomości Świdnickich" SA z powodu przekroczenia kompetencji w ustalaniu wynagrodzeń dla Rady w okresie od stycznia do maja.

✲

7.X. W sali imprezowej SOK Teatr Stu z Krakowa wystawił sztukę pt. „Scenariusz dla trzech aktorów".

✲

8.X. Na Sesji Rady Miejskiej powołano na stanowisko wiceprezydenta Piotra Mielnika, dotychczasowego naczelnika wydziału prognoz i planowania oraz skarbnika miasta — Gabrielę Kowalczykową.

✲

9.X. W Świdnicy na Osiedlu Słowiańskim zawiązał się 6 osobowy komitet telefonizacji całego osiedla. Przewodniczącą komitetu została Z. Paludkiewicz.

✲

10.X. Po zakończonych rozgrywkach ligi TKKF w piłce nożnej mężczyzn prowadzi Fabryka Wagonów „Świdnica" przed Komendą Rejonową Policji oraz GS „Samopomoc Chłopska" z Marcinowic.

✲

11.X. Na XXII Posiedzeniu Rady Miejskiej w Świdnicy w II turze głosowania został wybrany nowym prezydentem naszego miasta Krzysztof Duniewski. Kandydatów zgłoszono pięciu. W tajnym głosowaniu na 29 oddanych głosów K. Duniewski otrzymał 21, 5 kandydat Poradowski, 3 głosy uznano za nieważne. Nowy prezydent liczy sobie 40 lat, jest żonaty, posiada 2 synów, był naczelnikiem Wydziału Gospodarki Komunalnej i Komunikacji tut. Urzędu Miejskiego. Z zawodu jest mgr inżynierem mechanikiem.

✲

12.X. W Świdnicy zostały wyłożone spisy uprawnionych do głosowania w wyborach do Sejmu i Senatu.

✲

13.X. W sali teatrlanej SOK odbyło się spotkanie autorskie świdnickiego poety Antoniego Matuszkiewicza pt. „Spojrzeć najdalej", które uświetniły występy Bożeny Kuźmy — recytacje, Ryszarda Fidlera — piosenki, Mirosława Ficka — gitara.

✲

13.X. W Świdnicy w dniach 11—13.X odbyły się XI Ogólnopolskie Dni Fotografii. Zorganizowano m. in. jarmark sprzętu, materiałów i wydawnictw fotograficznych, prezentację przezroczy, spotkania autorskie, błyskawiczny konkurs fotograficzny, w którym wzięło udział 75 osób. Na konkurs fotografii artystycznej nadesłano 120 prac. Jury przyznało nagrody laureatów: brązowe medale Polskiej Federacji Stowarzyszeń Fotografików, Grzegorzowi Słodorowiczowi z Bolesławca, T. Michałowskiemu z Augustowa i F. Wojewodzie z Rzeszowa. W kategorii zestawów złoty medal — L. Wesołowskiemu z Poznania, a srebrny A. Olichwierowi z Białegostoku. Błyskawiczny konkurs wygrali: W. Zieliński, Z. Stoklosa, M. Cygan. Za najciekawsze propozycje srebrnymi medalami Federacji udekorowane zostały Rzeszowskie i Wałbrzyskie towarzystwa fotograficzne.

15.X. W Cukrowni „Świdnica" rozpoczęła się kampania cukrownicza dn. 5.X. Skup surowca i produkcja cukru idą dobrze. W ciągu doby przerabia się ponad 2 tys. ton buraków. Magazyny szybko zapełniają się. Sklep firmowy zapełniony jest po brzegi, zaś zbyt jest mierny.

✲

16.X. W Świdnicy odbyło się zorganizowane przez stronę polską spotkanie przedstawicieli Francuskiej Izby Handlowej z normandzkiego miasta Caen z członkami świdnickiej Regionalnej Izby Gospodarczej. W trakcie spotkania goście z Francji przedstawili zasady działania i zdobywania środków na szeroko zakrojoną działalność. Sporo też mówiono o pomocy w kształceniu polskich młodych kadr menadżerskich w W.S.H. w Cean, które sfinansuje strona francuska oraz o pomocy w nawiązywaniu kontraktów firm obu krajów.

✲

18.X. W drugiej części obrad XXII Sesji Rady Miejskiej wiceprezydent miasta Jacek Łapacz złożył rezygnację z pełnienia funkcji. Rezygnacja została przyjęta.

✲

18.X. Rada Miejska w Świdnicy zwróciła się do mieszkańców miasta oraz wszystkich podmiotów gospodarczych, działających w mieście z apelem o szybkie i czynne wsparcie procesu tworzenia Banku Świdnickiego SA i nabywanie jego akcji. Ponadto na posiedzeniu komitetu założycielskiego podjęto ustalenie, że wszystkie akcje wypuszczone w pierwszej emisji będą uprzywilejowane.

✲

18.X. Na półmetku rozgrywek III ligi w piłce nożnej, wśród 16 klubów „Polonia" Świdnica uplasowała się na II miejscu.

✲

21.X. Siatkarki „Polonii" w ćwierćfinałowych pojedynkach Pucharu Polski, który odbył się w Chorzowie, zajęły II miejsce i zostały wyeliminowane z dalszych rozgrywek.

✲

22.X. W Świdnicy odbyło się spotkanie z „Seniorami" z okazji ich święta.

✲

23.X. W sali imprezowej ŚOK najmłodsi świdniczanie obejrzeli muzyczną bajkę pt. „Leśne przygody Czerwonego Kapturka" w wykonaniu aktrów scen łódzkich.

28.X. Powróciła z Moskwy delegacja specjalistów FW „Świdnica", która przeprowadziła negocjacje handlowe na dostawę wagonów-cystern do przewozu płynnego gazu. Za specjalistyczny tabor odbiorca ma płacić dostawami gazu do Polski. Czy kontrakt dojdzie do skutku, rozstrzygnie CHZ „Kolmex" w Warszawie.

✲

30.X. Redakcja „Wiadomości Świdnickich" przeprowadziła ranking świdniczan, którzy kandydowali do Parlamentu. Jako punkt odniesienia przyjęto największą ilość głosów uzyskanych w wyborach w województwie wałbrzyskim. Jan Lityński (UD) — 16193, Kazimierz Bełz (SLD) — 5516, Mirosław Sośnicki (KLD) — 4754, Ludwik Borucki („S") — 3304, Antoni Bajcar (PPPP) — 2951, Wiesław Kwiatkowski (KPN) — 2595, Michał Ossowski (PC) — 2378, Artur Sierzputowski (UD) — 1463, Helena Stefanicka (PC) — 1266, Janina Turoń-Białkowska („Z") — 984, Jarosław Kurzawa (PSL) — 958, Lech Leszczyc-Laskowski (SLD) — 900,

Zenon Wojak (Chd) — 899, Stanisław Walczak (KLD) — 865, Kazimierz Białkowski (KPN) — 862, Edward Czerniec (SD) — 574. W wyborach do Senatu świdniczanie zajęli 2 i 3 pozycje pod względem ilości głosów.

✲

X. Zakłady Elektrotechniki Motoryzacyjnej „Polmo-Elmot" w Świdnicy skróciły tydzień pracy do czterech dni z powodu ograniczenia produkcji.

✲

X. Stowarzyszenie Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich gościło posła na Sejm Jana Lityńskiego, któremu towarzyszył Artur Sierzputowski.

✲

X. W Świdnicy na przestrzeni I połowy miesiąca października odbyły się spotkania przedwyborcze z kandydatami na posłów i senatorów.

✲

X. Ks. proboszcz parafii św. Józefa Stanisław Pasyk wystąpił o zwrot dawnej kaplicy przy ul. H. Sawickiej, użytkowanej przez wojska radzieckie, a obecnie przekazanej miastu. W obiekcie tym do niedawna była koszarowa stołówka.

✲

X. Urząd miasta Świdnicy z braku pełnych środków na zabezpieczenie przejętego mienia po garnizonie wojsk Armii Radzieckiej przekazał dwa bloki o 150 mieszkaniach do zagospodarowania Urzędowi Miejskiemu w Świebodzicach.

LISTOPAD

1.XI. Święto zmarłych — to jedyny dzień, kiedy ciche cmentarze ożywają tłumem odwiedzających. Kwiaty, wieńce pokrywają groby, mrugają światełka zniczy i świec. Ludzkie głowy pochylają się nisko, a wargi szepcą — „wieczne odpoczywanie racz im dać Panie". Tak świdniczanie czczą pamięć swych najbliższych, przyjaciół i znajomych, którzy kiedyś byli wśród nas, a dzisiaj pozostało po nich tylko wspomnienie.

1.XI. Uzupełniono przepisy drogowe — od początku listopada do końca marca wszystkie pojazdy mechaniczne muszą jeździć od świtu do zmierzchu z włączonymi światłami mijania, a przez cały rok kierowcy i pasażerowie nawet w mieście jeżdżą w pasach.

✲

2.XI. Harcerze świdniccy (12 instruktorów i drużynowych) gościli w niemieckim mieście Biberach w dniach 26 października do 1 listopada. Była to nagroda częściowo sfinansowana przez tut. Radę Miejską. Program pobytu był bardzo atrakcyjny. Kadra harcerska spędziła 7 wspaniałych dni i nawiązała bliski kontakt z mieszkańcami bratniego miasta.

✲

3.XI. Świdnicki „Latawiec" przeznaczony i adaptowany na szpital miejski znów po raz kolejny „idzie w odstawkę". Roboty zostały wstrzymane z braku funduszy, a przecież kolejne ekipy władz centralnych i wojewódzkich zawsze obiecywały priorytetowe traktowanie tego obiektu.

3.XI. Nowo powstały Amatorski Klub Szachowy w kawiarni „Na Skarpie" w Świdnicy zorganizował turniej szachowy. Trzy pierwsze miejsca w turnieju zdobyli: Przemysław Lichwa, Kazimierz Początek i Janusz Lichwa.

✲

4.XI. Szkole Podstawowej Nr 8 w Świdnicy, borykającej się z dużymi kłopotami lokalowymi, Urząd Miasta przydzielił obszerny budynek odzyskany w ramach przejętego majątku od Armii Radzieckiej. Po kilkumiesięcznym remoncie lekcje odbywają się już w dodatkowych pomieszczeniach, które poprawiły warunki nauki.

✲

5.XI. Himalaiści powrócili do Polski bez sukcesu. Nie udało się członkom wyprawy poskromić najwyższej góry świata. Dotarli do wysokości 7.600 m n.p.m. Fatalna pogoda, zła widoczność, mgły i śnieżyce uniemożliwiły wejście na szczyt nie tylko polskiej wyprawie, ale również czterem z innych krajów.

✲

6.XI. W kolejnych meczach II ligi siatkarki „Polonii" Świdnica wygrały dwukrotnie z klubem „Beskid" Andrychów po 3:0 i prowadziły nadal w tabeli.

✲

7.XI. W sali imprezowej ŚOK z nowym programem wystąpili aktorzy i satyrycy Kabaretu Pigwa Show pt. „Striptease Pigwy — programem narodu — czyli jak wyjść z kryzysu, wychodząc z siebie".

✲

9.XI. Rada Miejska w Świdnicy przydzieliła pracownikom oświaty duży pięciokondygnacyjny gmach wybudowany z wielkiej płyty przy ul. Parkowej, pozyskany przez miasto po wyprowadzce wojsk radzieckich. Gospodarzem obiektu będzie utworzona we wrześniu Spółdzielnia Mieszkaniowa „Nauczyciel".

✲

10.XI. W Świdnicy z okazji Święta Narodowego 11 listopada, odbył się koncert w 73 rocznicę odzyskania niepodległości. Miasto było udekorowane, złożono kwiaty pod pomnikiem na pl. Grunwaldzkim, a w kościołach świdnickich odprawione były msze św. w intencji ojczyzny.

✲

10.XI. Na stadionie sportowym w Świdnicy, w ostatnim w tym sezonie występie przed własną publicznością, drużyna piłkarska „Polonii" sprawiła kibicom dużą radość pokonując pewnie zespół Kuźni Jawor 3:1, co przyniosło piłkarzom tytuł lidera grupy.

✲

11.XI. W sali imprezowej ŚOK uczennice Zespołu Szkół Medycznych wraz z pedagogami obchodzili uroczystości związane z dniem patrona szkoły — Tytusa Chałubińskiego.

✲

12.XI. W Świdnicy ukazała się ulotka z apelem do społeczeństwa podpisana przez różne organizacje i związki, w której autorzy starają się przekonać mieszkańców, iż dotychczasowe działania Rady Miejskiej są podejmowane na szkodę mieszkańców i żądają jej odwołania.

✲

15.XI. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacji w Świdnicy uruchomiło nową linię autobusową na trasie Żarów—Świdnica. Kursy odbywają się co godzinę.

15.XI. Siatkarki świdnickiej „Polonii' w meczach z drużyną „Zelmer" Rzeszów odniosły dwa zwycięstwa i uplasowały się na pierwszej pozycji w lidze.

✲

16.XI. W Gminnym Ośrodku Kultury w Szczepanowie obchodzono jubileusz 20-lecia Amatorskiego Zespołu Taneczno-Wokalnego „Szczepanowiacy".

✲

17.XI. W Świdnicy w nocy z soboty na niedzielę spadł pierwszy śnieg. Opady były obfite, a w niedzielny ranek świdniczan powitała zimowa sceneria i od razu rozpoczęły się komunikacyjne kłopoty, bowiem jak zwykle zaskoczone zostały służby komunalne. Większość ulic była zasypana śniegiem.

✲

18.XI. Rada Pracownicza „Renifer-u" wybrała jednogłośnie byłego prezydenta miasta Jacka Drobnego na po. kierownika zakładu w Świdnicy.

✲

18.XI. W Świdnickim Ośrodku Kultury odbyło się posiedzenie Towarzystwa Regionalnego Ziemi Świdnickiej. Omówiono najbardziej istotne sprawy wynikające z działalności.

✲

21.XI. W Świdnicy tak jak w całym kraju nastąpiła zmiana odpłatności za leki. Wszyscy będą płacić jednakowo. Za lekarstwa z listy podstawowej ustalono ryczałt w wysokości 3200 zł, a za opakowanie za leki z listy uzupełniającej 30%, a za witaminy, środki mineralne, specyfiki luksusowo płatne 100%.

✲

21.XI. Świdnica wreszcie wolna od stacjonujących tu przez 46 lat wojsk radzieckich, bowiem przejęte zostały ostatnie budynki i pracę zakończyła rosyjska ekipa techniczna.

✲

22.XI. W Urzędzie Miejskim w Świdnicy odbyło się spotkanie, na którym dokonano pożegnania Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Udział wzięli: pełnomocnik rządu RP do spraw pobytu wojsk radzieckich w Polsce, gen. bryg. Zdzisław Ostrowski, z-ca dowódcy PGWAR gen mjr Walentin Komarow. Był obecny wojewoda i władze miasta. Podkreślono w czasie spotkania, że rozstanie jest uroczyste i godne.

✲

22.XI. W Jaworzynie Śląskiej już po raz drugi odbyło się spotkanie z przedsiębiorcą amerykańskim polskiego pochodzenia p. Janem Pleśniakiem, który jest projektodawcą budowy 1000 domków jednorodzinnych w tym mieście. Koszt jednego domku ma wynosić 30 tys. USD. Początki budowy ma sfinansować firma ICON INC — Georga Jonas.

✲

23.XI. W sali imprezowej SOK wystawiono program estradowy pt. „Erotic Galery". Była to rewia seksu, humoru i muzyki.

✲

24.XI. W hali sportowej Świdnickiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w dniach 21—24.XI odbył się finałowy turniej bokserski juniorów o „Puchar Mistrzów Olimpijskich". Gospodarzem imprezy był klub „Polonia".

24.XI. W sali imprezowej ŚOK odbył się recital Krzysztofa Daukszewicza pt. „Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio".

✲

24.XI. Na Osiedlu Młodych odbył się turniej szachowy. Zwycięzcami zostali: A. Żumacow, M. Sośnicki i Z. Góra.

✲

26.XI. W sali teatralnej ŚOK w Świdnicy wystąpił z koncertem zespół Wrocławskiej Orkiestry Symfonicznej „Leopoldinum". Wykonano: „Koncertino" H. Czyża, suitę baletową Telmana i kilka utworów Chopina. Solistką była Anna Wachowska.

✲

27.XI. W sali teatralnej ŚOK aktorzy scen warszawskich wystąpili z monodramem pt. „Mały Książę".

✲

28.XI. W Szkole Podstawowej Nr 10 dokonano włamania. Złodzieje dokonali kradzieży sprzętu elektronicznego i fotograficznego wartości 7 mln zł.

✲

29.XI. Młodzieżowy Dom Kultury w Świdnicy zorganizował wieczór Andrzejkowych szaleństw. W programie były przepowiednie, dyskoteka oraz wyświetlano spektakl premierowy pt. „Marta".

✲

XI. Na rozegranych w Lizbonie Mistrzostwach Europy w Akrobatyce, wielki sukces odniosła czwórka męska świdnickiej „Polonii" zdobywając srebrny medal. Grupę stanowili: Daniel Gutszmidt, Artur Kalisz, Dariusz Szczebak, Piotr Szczygieł — podopieczni trenera Emila Szczęsnego.

✲

XI. Szkoła Podstawowa Nr 4 w Świdnicy zdobyła II miejsce w ogólnopolskim konkursie pt. „Dziś oszczędzam w SKO — jutro w PKO" i otrzymała nagrodę w wysokości 3 mln zł. Opiekunką koła SKO jest p. mgr Aniela Szymańska.

GRUDZIEŃ

1.XII. Młyn w Świdnicy przeszedł na wyłączny przemiał żyta i przerabia w ciągu 1 zmiany do 20 ton ziarna. W województwie wałbrzyskim jest to jedyny młyn o takim profilu.

✲

2.XII. Decyzją Rady Miejskiej w Świdnicy przekazano część lokali użytkowych Zakładu Balenologicznego przy ul. Równej na rzecz zespołu Opieki Zdrowotnej z przeznaczeniem na prowadzenie działalności leczniczo-rehabilitacyjnej.

✲

2.XII. Wojewódzki Ośrodek Doradztwa Rolniczego przekazał do likwidacji wszystkie ośrodki szkoleniowe (5), będące do ubiegłego roku w gestii WOPR-u, ze względu na spore koszty utrzymania. Maszyny, urządzenia i pomoce naukowe przejmują nieodpłatnie szkoły rolnicze. Obiekty zaś przekazane zostaną na różne cele społeczne.

✲

3.XII. W Świdnicy została otwarta nowa księgarnia stanowiąca kompleks z czytelnią przy ul. Żeromskiego. Działa ona w ramach Miejskiej Biblioteki Publicznej.

4.XII. W Świdnicy gościł p. Daniel Lavailles reprezentujący francuską spółkę zrzeszającą 50 znacznej wielkości przedsiębiorstw. Zaproponował władzom miasta budowę hotelu, który miałby być zlokalizowany przy ul. Sikorskiego.

✲

5.XII. W ŚOK wystawiono bajkę dla przedszkolaków pt. „W gościnie u hipopotama", w wykonaniu Teatru Lalek w Wałbrzychu.

✲

6.XII. W sali świdnickiego teatru wystąpił aktor — Tadeusz Kwinta z monodramem pt. „Mały książę".

✲

6.XII. W MDK odbyła się impreza pt. „Mikołaj u Balerynek". Bawiono się wesoło z Mikołajem podczas różnego rodzaju konkursów i gier.

✲

7.XII. W MPiK Stowarzyszenie Przyjaciół Dzieci Chorych na Serce zorganizowało dla swoich podopiecznych zabawę mikołajkowo-choinkową, na której dzieci otrzymały paczki.

✲

8.XII. W Państwowej Szkole Muzycznej w Świdnicy wystąpiła z recitalem fortepianowym pianistka Ewa Mazur, mieszkająca i koncertująca w Wiedniu. Grała ona utwory Mozarta i Chopina.

✲

8.XII. Zmarła Krystyna Nowicka — kierownik Oddziału Federacji Konsumetów. Śmierć nastąpiła podczas spotkania Krajowej Federacji w Warszawie. Była człowiekiem niosącym pomoc innym. Żyła 56 lat.

✲

9.XII. W powojennej historii cukrowni w Pszennie tak krótkiej kampanii jak w 1991 roku jeszcze nie było. Rozpoczęta 5 października, zakończona została 8 grudnia z powodu bardzo prozaicznej przyczyny — po prostu zabrakło buraków do przerobu.

✲

10.XII. Z inicjatywy Miejskiego Komitetu Obywatelskiego — Niezależne Forum Społeczne w Świdnicy powołano do życia spółdzielnię mieszkaniową z tymczasowym zarządem, która zajmie się remontem i modernizacją 4 budynków o 180 mieszkaniach posowieckich przed ich zasiedleniem. Każdy z członków — przyszłych użytkowników — wniósł wkład w wysokości 11,5 mln zł.

✲

13.XII. Mistrzowie II ligi TKKF miasta Świdnicy — reprezentacja ZWAP — brała udział w finałach wojewódzkich mistrzów TKKF. W wyniku rozgrywek piłkarze świdniccy zostali wicemistrzami województwa wałbrzyskiego.

✲

13.XII. W Młodzieżowym Domu Kultury zorganizowano imprezę pt. „I ty możesz zostać gwiazdą", na którą złożyły się parodie występów światowych gwiazd muzyki rozrywkowej w wykonaniu dzieci.

✲

14.XII. W Świdnicy odbyło się pierwsze posiedzenie Wojewódzkiego Komitetu Oddłużania i Kredytowania Rolnictwa. Omówiono efekty przeprowadzonych rozmów z władzami administracyjnymi i bankami w województwie wałbrzyskim.

22.XII. Świdnica w okresie przedświątecznym była fantastycznie zaopatrzona zarówno w artykuły mięsno-wędliniarskie, delikatesowe, cukiernicze jak i spożywcze. Regały, gabloty uginały się od przeróżnych towarów pochodzenia zagranicznego i renomowanych firm krajowych. Niestety, każdy kupował to i tylko tyle, na ile pozwalały posiadane zasoby pieniężne — a z tym było różnie.

✲

26.XII. Święta Bożego Narodzenia minęły spokojnie. Wieczór wigilijny był bardzo nastrojowy, prószył śnieg. Świdnica przybrała biały, prawdziwie świąteczny wygląd. W oknach mrugały światełka elektrycznych lampek. Na biało zasłanych stołach ludzie spożywali kolację wigilijną, składali sobie życzenia dzieląc się opłatkiem, wybaczali sobie wszelkie przewinienia i byli pełni życzliwości. O północy odbywały się nabożeństwa — pasterki, we wszystkich wypełnionych po brzegi kościołach. Kolejne dwa święta spędzało się w gronie rodzinnym i przyjaciół; minęły bardzo szybko.

✲

31.XII. W Sylwestra — przeważająca większość świdniczan żegnała stary i witała nowy rok na prywatnych spotkaniach. Inni bawili się na balach i zabawach, ale ceny były niebagatelne, np. w restauracji „Piast" zaproszenie dla pary kosztowało milion sto tysięcy złotych. U jednych i drugich strzelały korki od szampana, wznoszono toasty na pomyślność i bawiono się wyśmienicie.

✲

XI. W Świdnicy utworzono regionalną Agencję Rynku Rolnego. Z powodzeniem udało się jej zagospodarować nadwyżki zbóż ze zbiorów 1991 roku. Skupem interwencyjnym objęto 36 tys. ton.

✲

XII. W Urzędzie Miejskim w Świdnicy kosztem 600 mln zł wprowadzono na szeroką skalę komputeryzację.

✲

XII. W Świdnicy na Osiedlu Słowiańskim I i II, na południowo-wschodnim krańcu miasta, uzbrojono teren w sieć sanitarną, ponadto prowadzona jest budowa sieci energetycznej i dróg dojazdowych.

✲

XII. Wieża strzegomskiego ratusza nadgryziona zębem czasu mogła w każdej chwili runąć. Takiemu niebezpieczeństwu zapobieżono. Kosztem 500 mln zł poddano ją renowacji. Wzmocniono i zabezpieczono konstrukcję oraz naprawiono schody. Na pełne zabezpieczenie (tynki, balustrady itp.) potrzeba jeszcze 150 mln zł; tu może pomogą sponsorzy.

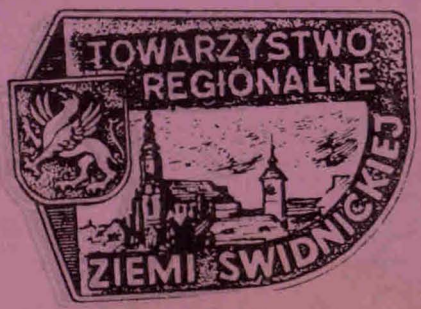
✲

XII. W Młodzieżowym Domu Kultury otwarto wystawę rysunku świdnickich przedszkolaków.

✲

XII. Rok 1991 nie był zbytnio łaskawy dla świdnickiego przemysłu. Nastąpił spadek produkcji, zbytu gotowych wyrobów, wzrosło zadłużenie w bankach, brakowało pieniędzy na wypłaty miesięcznych zarobków, ograniczono ilość dni roboczych, a także zatrudnienie. Wielu długoletnich pracowników zostało zwolnionych grupowo i musiało przejść na zasiłek dla bezrobotnych. Uległ poważnemu zmniejszeniu fundusz socjalny, zamykane są stołówki, przedszkola i żłobki. Być może, że po dokonaniu prywatyzacji poszczególnych firm, sytuacja ulegnie poprawie.

BIBLIOTEKA


TOWARZYSTWO
REGIONALNE
ZIEMI ŚWIDNICKIEJ